



Jeremy Dronfield

O chłopcu
który poszedł
za tatą
do Auschwitz

prawdziwa historia

Jeremy Dronfield

O CHŁOPCU, KTÓRY
POSZEDŁ ZA TATĄ
DO AUSCHWITZ

PRAWDZIWA HISTORIA

tłumaczenie
Anna Gralak

znak litera
nowa
Kraków 2019

Kurtowi

oraz pamięci

Gustava

Tini

Edith

Herty

Fritza=

*Jeżeli świadek się przemógł i zdecydował dawać
świadectwo, uczynił to dla dzisiejszych młodych i dla
tych, którzy dopiero się narodzą; nie chce, by jego
przeszłość stała się ich przyszłością.*

Elie Wiesel, *Noc*, tłum. Małgorzata Kozłowska



PRZEDMOWA

To historia prawdziwa. Każda występująca w niej osoba, każde zdarzenie, każdy zwrot akcji i niewiarygodny zbieg okoliczności ma potwierdzenie w źródłach historycznych. Niektóre sytuacje są tak potworne i bolesne, że byłoby lepiej, gdyby nie były prawdziwe, gdyby nigdy do nich nie doszło. Jednak to wszystko wydarzyło się naprawdę i trwa w pamięci tych, którzy wciąż żyją.

Jest wiele opowieści o Holokauście, ale ta wydaje się wyjątkowa. Historia Gustava i Fritza Kleinmannów, ojca i syna, zawiera elementy wszystkich pozostałych, lecz jednocześnie bardzo się od nich różni. Niewielu Żydów doświadczyło nazistowskich obozów koncentracyjnych od pierwszych masowych aresztowań pod koniec lat trzydziestych aż do „ostatecznego rozwiązania” i wreszcie wyzwolenia. Według mojej wiedzy nikt inny nie przeżył całego tego piekła razem, ojciec z synem, od początku do końca – od życia pod nazistowską okupacją, przez Buchenwald, Auschwitz i tamtejszy ruch oporu przeciwko SS, aż po marsze śmierci, Mauthausen, Mittelbau-Dora, Bergen-Belsen – i nie wyszedł z tego żywy. Z całą pewnością nikt taki nie zostawił świadectwa na piśmie. Fart i odwaga odegrały w tej historii pewną rolę, lecz tym, co ostatecznie zachowało Gustava i Fritza przy życiu, były ich wzajemna miłość i oddanie. „Syn jest moją największą radością” – napisał Gustav w swoim tajnym dzienniku w Buchenwaldzie. „Wzajemnie dodajemy sobie sił. Jesteśmy jednością, jesteśmy nierozłączni”. Rok później ta więź została poddana najcięższej próbie, gdy Gustava przewieziono do Auschwitz – na niemal pewną śmierć – i Fritz postanowił narazić własne bezpieczeństwo, jadąc razem z nim.

Ożywiłem tę historię, wkładając w to całe serce. Czyta się ją jak powieść. Jestem w równej mierze pisarzem, co historykiem, a jednak w tym wypadku nie potrzebowałem niczego wymyślać ani upiększać. Nawet fragmenty dialogów cytuję lub rekonstruuje na podstawie źródeł. Podstawą tej książki jest dziennik Gustava Kleinmanna pisany w obozach koncentracyjnych od października 1939 roku do lipca 1945 roku,

uzupełniony o wspomnienia Fritza i wywiady, których udzielił w 1997 roku. Żadne z tych źródeł nie jest łatwą lekturą, zarówno od strony emocjonalnej, jak i literackiej – dziennik, pisany w skrajnych okolicznościach, jest zdawkowy, pełen tajemniczych aluzji do spraw niedostępnych zwykłemu czytelnikowi (nawet historycy Holokaustu musieliby zagłębiać do prac źródłowych, by zinterpretować niektóre fragmenty). Gustav pisał go nie po to, by zostawić ślad tamtych wydarzeń, lecz by nie postradać zmysłów. Wspomniane odniesienia były dla niego wówczas zrozumiałe. Jego dziennik daje bogaty i wstrząsający wgląd w przeżywanie Holokaustu tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu i rok po roku. W uderzający sposób ukazuje niezrównaną siłę, ducha i optymizm Gustava: „[...] codziennie odmawiam cichą modlitwę” – napisał w szóstym roku w obozie. „Nie rozpaczaj. Zaciśnij zęby, mordercy z SS nie mogą cię pokonać”.

Wywiady z ocalałymi członkami rodziny dostarczyły dodatkowych szczegółów z ich prywatnego życia. One wszystkie – od tych dotyczących życia w Wiedniu w latach trzydziestych po te odnoszące się do funkcjonowania obozów i związanych z nimi osób – zostały poparte szeroko zakrojonymi badaniami dokumentów obejmujących świadectwa ocalałych, akta obozowe i inne oficjalne dokumenty, za pomocą których weryfikowałem kolejne etapy tej historii, nawet te najbardziej niezwykle i niewiarygodne.

Jeremy Dronfield, czerwiec 2018

SŁOWO WSTĘPNE KURTA KLEINMANNA

Od strasznych dni opisanych w tej książce minęło już ponad siedemdziesiąt lat. Historia przetrwania, śmierci i ocalenia członków mojej rodziny obejmuje wszystkie związane z tym okresem osoby, które doświadczyły niewoli, straciły bliskich albo miały dość szczęścia, by uciec przed nazistowskim reżimem. Reprezentuje ona wszystkich, którzy cierpieli w tamtych czasach, i dlatego nigdy nie powinna zostać zapomniana.

Doświadczenia mojego ojca i brata w czasie sześciu lat spędzonych w pięciu różnych obozach koncentracyjnych to żywe świadectwo realiów Holokaustu. Ich duch przetrwania, więź łącząca ojca z synem, ich odwaga oraz fart wykraczają poza zdolność pojmowania, lecz to właśnie dzięki nim zdołali wytrzymać tę gehennę.

Moja matka wyczuła niebezpieczeństwo, w jakim się znaleźliśmy, gdy tylko Hitler zaanektował Austrię. W 1939 roku pomogła mojej najstarszej siostrze uciec do Anglii. Ja spędziłem w Wiedniu pod rządami nazistów trzy lata, zanim matka wystarała się o mój wyjazd do Stanów Zjednoczonych w lutym 1941 roku. Nie tylko ocaliło mi to życie, lecz także przywiodło do domu kochającej rodziny, która od początku traktowała mnie jak swojego członka. Moja druga siostra nie miała tyle szczęścia. Podobnie jak matka w końcu została wywieziona razem z tysiącami innych Żydów do obozu śmierci niedaleko Mińska. O tym, że tam zginęły, wiem od dekad – nawet odwiedziłem odległe miejsce, w którym je zamordowano – lecz dowiadując się z tej książki, jak dokładnie się to odbyło, byłem głęboko poruszony, wręcz zdruzgotany.

Książka ta zawiera również wspaniałą, szczegółowy opis przetrwania mojego ojca i brata. Zobaczyłem ich ponownie, gdy w 1953 roku zostałem powołany do wojska i piętnaście lat po wyjeździe z Wiednia znów przyjechałem do tego miasta. W późniejszych latach moja żona Diane wielokrotnie bywała tam ze mną i naszymi synami, którzy poznali dziadka i stryja. Łączyły nas silne więzi rodzinne, przetrwały one rozłąkę i Holokaust. Choć nie przeżyłem traumy i nie czuję niechęci do Wiednia ani Austrii, nie znaczy to, że potrafię całkowicie wybaczyć i zapomnieć temu

krajowi jego historię. W 1966 roku ojciec i macocha odwiedzili mnie i moją siostrę w Stanach Zjednoczonych. Oprócz szansy ujżenia naszej nowej wspaniałej ojczyzny mieli okazję poznać moją przybraną rodzinę w Massachusetts. To radosne spotkanie skupiło najdroższe mi osoby, którym zawdzięczam swoje istnienie i przetrwanie.

Książka *O chłopcu, który poszedł za tatą do Auschwitz* to wnikliwa, wyrazista i jednocześnie poruszająca, dobrze opracowana historia mojej rodziny. Trudno mi wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczny Jeremy'emu Dronfieldowi za to, że ją spisał i umieścił na tych stronach. Jest pięknie skomponowana, wspomnienia moje i siostry przeplatają się w niej z historią mojego ojca i brata w obozach koncentracyjnych. Jestem wdzięczny, że historia Holokaustu mojej rodziny zostanie udostępniona szerokiemu gronu i nie popadnie w zapomnienie.

Kurt Kleinmann, sierpień 2018

PROLOG

Austria, styczeń 1945

Fritz Kleinmann kołysał się razem z wagonem towarowym i konwulsyjnie dygotał, gdy nad ścianami bez dachu huczał mroźny wiatr. Obok drzemał przytulony do niego, wyczerpany ojciec. Wokół siedziały słabo widoczne postacie, a światło księżyca ukazywało jasne pasy na ich ubraniach i kościste twarze. Nadeszła pora uciezki – wkrótce mogło być za późno.

Minęło osiem dni, odkąd opuścili Auschwitz i wyruszyli w tę podróż. Pierwsze sześćdziesiąt kilometrów pokonali pieszo. SS pędziło tysiące więźniów na zachód, po śniegu, byle dalej od posuwającej się naprzód Armii Czerwonej. Na tyłach kolumny raz po raz rozlegały się wystrzały – zabijano tych, którzy nie nadążali. Nikt się nie oglądał.

Potem wsadzono ich do pociągów mających jechać do obozów w głębi Rzeszy. Fritz i jego ojciec jak zawsze trzymali się razem. Ich transport zmierzał do Mauthausen w Austrii, gdzie SS miało wycisnąć z więźniów resztki sił, nim w końcu podda ich eksterminacji. W każdym z wagonów bez dachu tłoczyło się stu czterdziestu mężczyzn – początkowo musieli stać, lecz z upływem dni zabijało ich zimno i znajdowało się coraz więcej miejsca do siedzenia. Zwłoki układano na końcu wagonu, zdjawszy z nich ubranie, by tym, którzy wciąż żyli, było trochę cieplej.

Może i groziła im rychła śmierć, lecz ci więźniowie i tak byli szczęściarzami, bo uznano ich za zdolnych do pracy. Większość ich braci i sióstr, żon, matek i dzieci zamordowano albo zmuszono do marszu na zachód, podczas którego masowo umierali.

Siedem lat temu, gdy zaczął się ten koszmar, Fritz był jeszcze chłopcem. W nazistowskich obozach stał się mężczyzną: uczył się, dojrzywał, mimo przeciwności losu nie porzucał nadziei. Przewidział ten dzień i przygotował się do niego. On i jego ojciec mieli pod obozowymi pasiakami cywilne ubrania, które Fritz zdobył za pośrednictwem przyjaciół z ruchu oporu w Auschwitz.

Pociąg przejechał przez Wiedeń, miasto, które niegdyś było ich domem, a potem skręcił na zachód i teraz od celu dzieliło ich już tylko piętnaście kilometrów. Znów byli w ojczyźnie i gdyby uciekli, mogliby udawać miejscowych robotników.

Fritz odwlekał tę chwilę. Martwił się o ojca. Gustav miał pięćdziesiąt trzy lata i był wyczerpany – to cud, że wytrzymał tak długo. W decydującym momencie nie mógł podjąć próby ucieczki. Nie był w stanie się zmobilizować. Mimo to nie mógł odebrać synowi szansy na życie. Wiedział, że rozstanie po tylu latach pomagania sobie nawzajem będzie niezwykle bolesne, lecz namawiał Fritza, by uciekł sam. Syn błagał go, żeby szedł razem z nim, ale nie był to dobry pomysł. „Niech Bóg ma cię w opiece” – powiedział jego ojciec. „Nie mogę iść z tobą, jestem za słaby”.

Fritz wiedział, że jeśli wkrótce nie podejmie próby, potem może być już za późno. Wstał, zdjął z siebie znienawidzone pasiaki, a potem objął ojca, ucałował go i z jego pomocą wspiał się na śliską ścianę wagonu.

Uderzył w niego potężny podmuch wiatru o temperaturze minus dwudziestu stopni. Fritz spojrzał ze strachem na budki hamulcowe sąsiednich wagonów wiozących strażników z SS. Księżyc świecił jasno – od pełni dzieliły go dwa dni – wisiał wysoko i rzucał upiorną poświatę na zaśnieżony krajobraz, na którego tle każdy poruszający się kształt byłby doskonale widoczny. Dudniąc, pociąg pędził z maksymalną prędkością. Fritz zebrał się na odwagę i z nadzieją, że się uda, rzucił się w mrok i w rozpędzone, mroźne powietrze.

CZĘŚĆ I
WIEDŃ
Siedem lat wcześniej...

„GDY Z NOŻA KAPIE KREW ŻYDOWSKA...”

אבא

Szczupłe palce Gustava Kleinmanna wsuwały materiał pod stopkę maszyny do szycia. Igła terkotała jak karabin maszynowy, zostawiając na tkaninie długi, nienaganny szew. Obok stołu warsztatowego stał fotel, na który materiał był przeznaczony: szkielet z bukowego drewna z naprężonymi ścięgnami taśmy tapicerskiej i wnętrznościami z końskiego włosia. Gdy pierwszy element był już gotowy, Gustav założył go na podłokietnik: małym młotkiem przybił gwoźdźki – wewnątrz zwykłe, a z wierzchu ćwieki z zaokrąglonymi mosiężnymi główkami, rozmieszczone ciasno niczym hełmy żołnierzy ustawionych w szeregu. Wchodziły w drewno przy akompaniamencie stukania.

Dobrze mu się pracowało. Czasami brakowało zleceń, życie mężczyzny mającego na utrzymaniu żonę i czworo dzieci bywało trudne. Gustav był zdolnym rzemieślnikiem, lecz niezbyt sprytnym biznesmenem. Zawsze jednak jakoś dawał sobie radę. Urodził się w małej wiosce nad jeziorem w historycznym królestwie Galicji^[1], prowincji cesarstwa austro-węgierskiego, a w wieku piętnastu lat przyjechał do Wiednia, by uczyć się na tapicera, i potem osiadł w tym mieście. W roku, w którym skończył dwadzieścia jeden lat, powołano go wiosną do wojska, walczył w pierwszej wojnie światowej. Był dwukrotnie ranny i odznaczono go za odwagę, a pod koniec wojny wrócił do Wiednia i do swojego skromnego fachu, by po jakimś czasie zostać mistrzem tapicerstwa. Jeszcze w czasie wojny ożenił się ze swoją dziewczyną Tini i urodziło im się czworo wspaniałych, szczęśliwych dzieci. Właśnie tak wyglądało życie Gustava: był skromnym

człowiekiem, ciężko pracował i nawet jeśli nie był do końca zadowolony ze swojej sytuacji, to przynajmniej miał wesołe usposobienie.

Warkot samolotów wyrwał Gustava z zamyślenia. Przybierał na sile i cichł, jakby krążyły nad miastem. Zaciekawiony mężczyzna odłożył narzędzia i wyszedł na ulicę.

Im Werd była ruchliwą arterią rozbrzmiewającą warkotem ciężarówek oraz stukotem i klekotaniem wózków ciągniętych przez konie, powietrze gęstniało tam od zapachów ludzi, dymu i końskiego łajna. Przez chwilę zdezorientowany Gustav miał wrażenie, że pada śnieg – w marcu! – lecz były to tylko łopoczące kartki spadające z nieba, które lądowały na bruku i straganach Karmelitermarkt. Podniósł jedną z nich.

AUSTRIACY!

Pierwszy raz w historii naszej Ojczyzny przywództwo państwa wymaga od Was otwartego zaangażowania na rzecz naszego Kraju [...].

Propaganda przed niedzielnymi wyborami. Mówił o nich cały kraj, a cały świat się temu przyglądał. Dla każdego mężczyzny, każdej kobiety i każdego dziecka w Austrii było to wielkie wydarzenie, lecz dla Gustava, Żyda, miało ono szczególne znaczenie – w ogólnokrajowym głosowaniu mieli zdecydować, czy Austria pozostanie niezależna od niemieckiej tyranii.

Od pięciu lat nazistowskie Niemcy patrzyły łakomym wzrokiem na swojego austriackiego sąsiada. Adolf Hitler, który urodził się jako Austriak, miał obsesję na punkcie dołączenia swojej ojczyzny do niemieckiej Rzeszy. Mimo że w Austrii działali rodzimi naziści, spragnieni takiego zjednoczenia, większość Austriaków była mu przeciwna. Na kanclerza Kurta Schuschnigga wywierano naciski, by dał członkom partii nazistowskiej stanowiska w swoim rządzie. Hitler straszył poważnymi konsekwencjami, jeśli austriacki przywódca nie spełni tego żądania: Schuschnigg miał zostać zmuszony do przekazania władzy nazistowskiej marionetce, doszłoby do zjednoczenia obu krajów i Austria zostałaby wchłonięta przez Niemcy. Taka perspektywa budziła strach wśród stu osiemdziesięciu trzech tysięcy austriackich Żydów.

Świat niecierpliwie czekał na rozstrzygnięcie. W ostatnim rozpaczliwym geście Schuschnigg ogłosił plebiscyt – referendum – w którym naród austriacki miał sam zdecydować, czy chce zachować

niepodległość. Było to odważne posunięcie. Poprzednika Schuschnigga zabito podczas nieudanego nazistowskiego zamachu stanu, a teraz Hitler był gotów zrobić dosłownie wszystko, by nie dopuścić do głosowania. Jego termin ustalono na niedzielę 13 marca 1938 roku.

Nacjonalistyczne slogany („»Tak« dla niepodległości!”) poprzyklejano i wymalowano na każdej ścianie i na każdym chodniku. Dwa dni przed referendum samoloty zraszały Wiedeń propagandą Schuschnigga. Gustav jeszcze raz spojrzął na ulotkę.

[...] Za wolną i germańską, niezależną, społeczną i chrześcijańską zjednoczoną Austrią! Za pokojem, pracą i równymi prawami dla wszystkich wiernych Narodowi i Ojczyźnie.

[...] Niech świat zobaczy naszą wolę życia. Austriacy, powstańcie jak jeden mąż i zagłosujcie TAK!

Te poruszające słowa wywoływały wśród Żydów mieszane uczucia. Mieli oni własne wyobrażenie na temat germanizmu – Gustav, niezmiernie dumny ze swojej służby dla kraju w czasie pierwszej wojny światowej, uważał się przede wszystkim za Austriaka, a dopiero potem za Żyda. Został jednak wykluczony z propagowanego przez Schuschnigga ideału germańskiego chrześcijanina. Miał też zastrzeżenia do austrofaszystowskiego rządu Schuschnigga. Gustav był kiedyś działaczem partii socjaldemokratycznej. Po dojściu do władzy austrofaszystów w 1934 roku partię brutalnie rozwiązano i zdelegalizowano (podobnie jak partię nazistowską).

W tym momencie dla austriackich Żydów wszystko było jednak lepsze od jawnego prześladowania trwającego w Niemczech. Żydowska gazeta „Die Stimme” zamieściła tego dnia hasło: „Popieramy Austrię! Wszyscy do urn!”. Ortodoksyjna „Jüdische Presse” apelowała do czytelników w podobnym duchu: „Nie potrzeba szczególnej zachęty, by austriaccy Żydzi tłumnie wzięli udział w głosowaniu. Wiedzą, co ono oznacza. Każdy musi wypełnić swój obowiązek!”.

Korzystając z tajnych kanałów, Hitler zagroził Schuschniggowi, że jeśli nie odwoła plebiscytu, Niemcy podejmą działania mające mu zapobiec. W chwili gdy Gustav stał na ulicy i czytał ulotkę, przy granicy trwała już koncentracja niemieckich oddziałów.

XXX

Tini Kleinmann spojrzała w lustro i przyglądała płaszczy, po czym wzięła siatkę na zakupy i torebkę, wyszła z mieszkania i wywołała echo na klatce schodowej, energicznie stukając niskimi, zgrabnymi obcasami. Zobaczyła Gustava stojącego na ulicy przed warsztatem, który mieścił się na parterze budynku. Jej mąż trzymał w dłoni ulotkę. Cała ulica była nimi usłana – drzewa, dachy, wszystko. Tini spojrzała na nią i zadrżała. Miała w związku z tym wszystkim złe przeczucia, których Gustav, wieczny optymistą, nie podzielał. Zawsze uważał, że wszystko się ułoży – była to równocześnie jego słabość i siła.

Tini ruszyła żwawym krokiem po bruku, kierując się w stronę targowiska. Wielu straganiarzy przyjeżdżało codziennie rano ze wsi, by sprzedawać swoje płody rolne ramię w ramię z kupcami z Wiednia. Wśród tych drugich było dużo Żydów – należała do nich ponad połowa przedsiębiorstw w mieście, zwłaszcza w tej dzielnicy. Miejscowi naziści wykorzystywali ten fakt, by wywołać antysemityczne nastroje wśród robotników cierpiących wskutek kryzysu gospodarczego – jak gdyby Żydom nie dawał się we znaki.

Gustav i Tini byli nieszczególnie religijni, chodzili do synagogi ze dwa razy w roku z okazji rocznic i pogrzebów, i podobnie jak większość wiedeńskich Żydów dali dzieciom raczej germańskie niż hebrajskie imiona. Tak jak inni przestrzegali jednak jidyszowych zwyczajów. Tini kupowała u Herr Zeisela, rzeźnika, cienko pokrojoną cielecinę na wiedeńskie sznycle, z resztek kurczaka gotowała zupę, którą jedli wieczorem w szabat^[2], a u straganiarzy ze wsi zaopatrywała się w świeże ziemniaki i sałatę, chleb, mąkę, jaja, masło... Szła przez tętniący życiem Karmelitermarkt i jej siatka robiła się coraz cięższa. W miejscu, gdzie targowisko spotykało się z Leopoldsgasse, główną ulicą, zauważyła bezrobotne sprzątaczkę szukającą pracy. Stały przed pensjonatem Klabouch i przed kawiarnią. Jeśli dopisało im szczęście, były wybierane przez zamożne damy mieszkające w okolicy. Te, które miały własne wiadra z wodą mydlaną, dostawały pełną pensję w wysokości jednego szylinga^[3]. Tini i Gustav czasami musieli się natrudzić, by zapłacić rachunki, ale Tini przynajmniej nie musiała się uciekać do czegoś takiego.

Slogany niepodległościowe były wszędzie, wymalowane na chodnikach dużymi, grubymi literami niczym oznaczenia drogowe: wezwanie do udziału w referendum – „Głosujemy na tak!” – i wszechobecny austriacki

Krückenkreuz (dosłownie: „krzyż kul”)[4]. Przez otwarte okna wydobywały się dźwięki głośno nastawionych odbiorników radiowych, z których płynęła wesoła patriotyczna muzyka. Tini widziała, jak wśród burzy oklasków i warkotu silników przejeżdża ulicą konwój ciężarówek wypełnionych ubraną w mundury młodzieżą zrzeszoną w Österreichische Jungvolk, machając transparentami w czerwono-białych barwach narodowych i rozrzucając kolejne ulotki. Przechodnie witali młodzież, machając chusteczkami, uchylając kapelusze i wołając: „Austria! Austria!”.

Wyglądało na to, że niepodległość zwycięża... pod warunkiem że nie zauważało się w tłumie posępnych twarzy zwolenników nazizmu. Byli tego dnia wyjątkowo milczący – i o dziwo wyjątkowo nieliczni.

Nagle wesoła muzyka ucichła i trzaskające odbiorniki radiowe przekazały pilne ogłoszenie: wszyscy nieżonaci rezerwiści mieli bezzwłocznie stawić się na służbę. Spiker wyjaśniał, że będą pilnowali porządku podczas niedzielnego plebiscytu, lecz jego ton brzmiał złowrogo. Dlaczego potrzebowali do tego dodatkowych ludzi?

Tini zawróciła i ruszyła przez zatłoczony targ w stronę domu. Bez względu na to, co się działo na świecie, bez względu na to, jak blisko było niebezpieczeństwo, życie toczyło się dalej, więc cóż im pozostawało, jeśli nie dalej żyć?



Ulotki pływały po Kanale Dunajskim, leżały w parkach i na ulicach. Późnym popołudniem, gdy Fritz Kleinmann wyszedł ze szkoły zawodowej przy Hütteldorfer Strasse na zachodnim krańcu Wiednia, leżały na ziemi i wisiały na drzewach. Ulicą przejeżdżały z warkotem kolejne kolumny ciężarówek pełnych żołnierzy, zmierzające ku oddalonej o dwieście kilometrów granicy z Niemcami. Fritz i inni chłopcy przyglądali się podekscytowani, jak to chłopcy, rzędem mijających ich głów w hełmach i trzymanej w gotowości broni.

Już w wieku czternastu lat Fritz był podobny do ojca – takie same kości policzkowe, taki sam nos, takie same usta z pełnymi wargami zakrzywionymi jak skrzydła mewy. Jednak podczas gdy Gustav miał łagodny wyraz twarzy, duże ciemne oczy Fritza patrzyły przenikliwie jak

oczy jego matki. Chłopiec porzucił liceum i od pół roku szkolił się, by podobnie jak ojciec zostać tapicerem.

Gdy Fritz i jego koledzy wracali do domu przez centrum miasta, na ulicach wyczuwało się nowe nastroje. O trzeciej po południu rządowa kampania na rzecz referendum została zawieszona z powodu pogłębiającego się kryzysu. Nie było oficjalnych wiadomości, jedynie pogłoski: o walkach na austriacko-niemieckiej granicy, o nazistowskich powstaniach w miastach na prowincji i – to było najbardziej niepokojące – o tym, że w razie konfrontacji wiedeńska policja wesprze miejscowych nazistów. Grupy rozentuzjanzmowanych mężczyzn wyległy na ulice – niektórzy krzyczeli: „Heil Hitler!”, a inni odpowiadali im wyzywająco: „Heil Schuschnigg!”. Naziści zachowywali się głośniejszy, coraz śmielej, a większość z nich była jeszcze młoda, napompowana ideologią i brakowało jej doświadczenia życiowego.

Coś takiego zdarzało się sporadycznie od wielu dni. Czasami dochodziło do przemocy wobec Żydów, lecz tym razem było inaczej – gdy Fritz dotarł na Stephansplatz w samym sercu miasta, gdzie wiedeńscy naziści mieli swoje tajne siedziby, przestrzeń przed katedrą wypełniali rozwrzeszczani, tarasujący przejście ludzie: tutaj słyszało się jedynie „Heil Hitler!”, nie skandowano nic innego. Policjanci stali w pobliżu i tylko się przyglądali. Rozmawiali między sobą, lecz nic nie robili. Z boku obserwowali to także nieujawniający się na razie tajni członkowie austriackiego Sturmabteilung – SA, oddziału szturmowego partii nazistowskiej. Byli zdyscyplinowani i dostali rozkazy: ich pora jeszcze nie nadeszła.

Chcąc uniknąć grup demonstrantów, Fritz przeszedł nad Kanałem Dunajskim do Leopoldstadt i wkrótce znalazł się z powrotem w budynku, w którym mieszkał, a jego buty zastukały na schodach, gdy biegł pod numer szesnasty – do domu, ciepła i rodziny.

משפחה

Mały Kurt stał na taborecie w kuchni, patrząc, jak jego matka szykuje ciasto na kluski do rosółu, tradycyjnej zupy jedzonej w szabatowy piątek. Był to jeden z nielicznych zwyczajów podtrzymywanych przez jego rodzinę. Tini nie zapalała świec, nie odmawiała błogosławieństwa. Kurt

podchodził do tradycji inaczej – miał zaledwie osiem lat, lecz śpiewał w chórze w synagodze w centrum miasta i był coraz bardziej religijny. Zaprzyjaźnił się z ortodoksyjną żydowską rodziną mieszkającą po drugiej stronie korytarza i to on zapalał świece w szabatowe wieczory.

Był najmłodszym i najukochańszym dzieckiem. Wszyscy Kleinmannowie byli ze sobą zżyci, lecz to Kurt stał się oczkiem w głowie Tini. Uwielbiał jej pomagać w kuchni.

Gdy zupa gotowała się na wolnym ogniu, chłopiec patrzył z rozchyłonymi ustami, jak matka ubija masę jajeczną i smaży z niej cienkie placki. Był to jeden z jego ulubionych kuchennych obowiązków. Najbardziej lubił wiedeńskie sznycle: matka delikatnie rozbijała tłuczkiem plastry cielęciny, aż stawały się miękkie i cienkie jak aksamit. Nauczyła go obtaczać je w mące, zanurzać w roztrzepanym jajku z mlekiem, a na koniec pokrywać warstwą tartej bułki. Następnie układała sznycle parami na patelni pełnej skwierczącego oleju z masłem. Kotlety nadymały się, marszczyły i nabierały złotego koloru, a w małym mieszkaniu rozchodził się smakowity aromat. Tym razem pachniało jednak smażonymi kluskami i kurczakiem.

Z sąsiedniego pokoju, pełniącego funkcję sypialni i zarazem salonu, dobiegały dźwięki pianina. Edith, osiemnastoletnia siostra Kurta, grała dobrze. Nauczyła go ładnej melodii zatytułowanej *Kukułka*, która na zawsze zapisała się w jego pamięci. Herta, jego druga siostra, miała piętnaście lat i Kurt wprost ją uwielbiał: pod względem wieku była mu bliższa niż Edith, która stała się już dorosłą kobietą. W sercu Kurta Herta na zawsze pozostała uosobieniem piękna i miłości.

Tini uśmiechnęła się na widok powagi, z jaką jej skupiony syn pomagał rolować usmażone placki i kroić je na makaron, który dodawała do zupy.

Rodzina zasiadła do posiłku w ciepłym szabatowym świetle – Gustav i Tini, Edith i Herta, Fritz i mały Kurt. Ich mieszkanie było niewielkie, składało się tylko z tego pokoju i wspólnej sypialni (Gustav spał z Fritzem, Kurt z matką, Edith w osobnym łóżku, a Herta na kanapie), lecz stanowiło dla nich dom i byli w nim szczęśliwi.

Tymczasem nad ich światem zbierały się chmury. Tego dnia po południu z Niemiec przyszło pisemne ultimatum, w którym nalegano, by plebiscyt został odwołany oraz by kanclerz Schuschnigg ustąpił ze stanowiska na rzecz prawicowego polityka Arthura Seyssa-Inquarta (potajemnego członka partii nazistowskiej) i wspierającego go rządu. Hitler

uzasadniał swoje żądania tym, że rząd Schuschnigga represjonuje zwykłych Niemców w Austrii (dla Hitlera „Niemiec” był synonimem „nazisty”). Ponadto domagał się, by wydalony z kraju Legion Austriacki, organizacja złożona z trzydziestu tysięcy nazistów, został ponownie wpuszczony do Wiednia, by pilnować spokoju na ulicach. Rząd Austrii miał czas do 19.30, by podporządkować się ultimatum.

Po kolacji Kurt musiał pędzić na wieczorne nabożeństwo w synagodze. Za każde wystąpienie w chórze dostawał szylinga – w sobotnie poranki zamiast pieniędzy dawano chórzystom tabliczkę czekolady – więc śpiewał tam nie tylko z pobudek religijnych, lecz także ekonomicznych.

Fritz jak zwykle poszedł go odprowadzić. Był idealnym starszym bratem – przyjacielem, towarzyszem zabaw i opiekunem. Tego wieczoru na ulicach roіło się od ludzi, lecz hałas nieco ucichł, zostawiając po sobie wrażenie przyczajonej wrogości. Zazwyczaj Fritz odprowadzał Kurta do sali bilardowej po drugiej stronie Kanału Dunajskiego („Stąd już trafisz, prawda?”) i szedł grać w bilard z przyjaciółmi. Jednak tego wieczoru nie wchodziło to w rachubę i poszli razem aż do Stadttempel.

Gdy Fritz wrócił do domu, grało radio. Program został przerwany i ogłoszono odroczenie referendum. Przypominało to złowrogie klepięcie w ramię. Tuż po wpół do ósmej muzyka ucichła i zagrzmiął czyjś głos: „Uwaga! Za chwilę usłyszają państwo niezwykle ważne ogłoszenie”. Nastąpiła pauza – pusta, sycząca. Trwała trzy pełne minuty, a potem przemówił kanclerz Schuschnigg. Głos drżał mu z emocji: „Austriacy i Austriaczki, znaleźliśmy się dzisiaj w tragicznej i decydującej sytuacji”. Każda osoba w Austrii, która znajdowała się w pobliżu radioodbiornika, słuchała w skupieniu – wiele ze strachem, niektóre z podnieceniem – gdy kanclerz mówił o niemieckim ultimatum. Austria musi wykonać rozkazy Niemiec albo zostanie zniszczona. „Ulegliśmy sile – oznajmił – ponieważ nawet w tej okropnej sytuacji nie jesteśmy gotowi przelać germańskiej krwi. Postanowiliśmy rozkazać oddziałom, by nie stawiały żadnego poważnego... – zawahał się – ...by nie stawiały żadnego oporu”. Kanclerzowi załamał się głos, lecz Schuschnigg zmobilizował się, by wypowiedzieć ostatnie słowa. „Żegnam się zatem z narodem germańskimi słowami pochodzącymi z głębi mego serca: Boże, chroń Austrię”.

Gustav, Tini i ich córki siedzieli oszołomieni, słuchając hymnu państwowego. W studiu, niewidziany i niesłyszany przez naród, Schuschnigg załamał się i rozplakał.

Piękne, podniosłe słowa *Alleluja* intonowane tenorem kantora i dopełniane głosami chóru rozbrzmiały w wielkiej owalnej przestrzeni Stadttempel, otaczając harmonijnym dźwiękiem marmurowe kolumny i połączone zdobienia wielopoziomowych balkonów. Z wysokości chóru na najwyższej kondygnacji, za świętą arką^[5], Kurt mógł spoglądać prosto na bimę^[6] i wiernych. W synagodze było o wiele tłoczniej niż zwykle, wprost pękała w szwach. Niepewność przywiodła ludzi szukających pociechy w religii. Doktor Emil Lehmann, ich uczony rabiniczny, nie znając najnowszych wieści, mówił poruszająco o Schuschniggu, wychwalał referendum i zakończył swoje wystąpienie wezwaniem byłego już kanclerza: „Głosujmy na tak!”.

Po nabożeństwie Kurt zszedł z balkonu, odebrał szylinga i napotkał czekającego na niego Fritza. Na wąskiej brukowanej ulicy przed synagogą zaroiło się od wychodzących wiernych. Z zewnątrz synagoga wyglądała niepozornie, przypominała jedną ze stojących w rzędzie kamienic – główna część budynku znajdowała się za fasadą, wciśnięta między sąsiednie ulice. Żydowską dzielnicą Wiednia było Leopoldstadt, lecz ta mała enklawa w centrum starego miasta, gdzie Żydzi mieszkali od średniowiecza, była sercem żydowskiego życia kulturalnego w tym mieście. Uwidaczniało się to w nazwach budynków i ulic – Judengasse, Judenplatz – a żydowska krew, przelana w czasie prześladowań i średniowiecznego pogromu, który zmusił ich do osiedlenia się w Leopoldstadt, wsiąkła w tutejszy bruk i w szczeliny historii.

W ciągu dnia wąska Seitenstettengasse była w dużej mierze odgradzona od zgiełku miasta, lecz teraz, w wieczornych ciemnościach szabat, Wiedeń budził się do życia. Kawałek dalej, na Kärntnerstrasse, długiej arterii po przeciwnej stronie nazistowskiej enklawy na Stephansplatz, zbierał się tłum. Ubrani w brunatne koszule szturmowcy SA, mogąc już wydobyć schowaną dotąd broń i wsunąć na ramiona opaski ze swastyką, zaczęli maszerować. Policja kroczyła razem z nimi. Obok jechały ciężarówki wypełnione szturmowcami: mężczyźni i kobiety tańczyli i wznosili okrzyki w świetle pochodni.

W całym mieście rozbrzmiewało potężne wołanie: „Heil Hitler! Sieg Heil! Precz z Żydami! Precz z katolikami! Jeden naród, jedna Rzesza, jeden Führer, jedno zwycięstwo! Precz z Żydami!”. Wściekłe fanatyczne głosy zaczęły śpiewać *Deutschland über alles*: „Dziś mamy całe Niemcy – jutro

będziemy mieli świat!”. Dramatopisarz Carl Zuckmayer napisał, że „piekło otwarło swoje wrota i wypłuło najpodlejsze, najobrzydliwsze i najbrudniejsze duchy [...]. Rozpętała się rewolta zazdrości, wrogości, rozgoryczenia, ślepej, brutalnej zemsty”. Brytyjski dziennikarz, który był świadkiem tych wydarzeń, nazwał je procesją „nieopisanego sabatu czarownic”.

Echa tych wydarzeń dotarły do Seitenstettengasse, gdzie po wyjściu ze Stadttempel Żydzi rozchodzili się do domów. Fritz prowadził Kurta po Judengasse i przez most. W kilka minut wrócili do Leopoldstadt.

Nadciągali naziści razem z hordami nowo pozyskanych przyjaciół zmieniających poglądy jak rękawiczki. Płynęli dziesiątkami tysięcy przez centrum miasta w stronę żydowskiej dzielnicy. Ich fala przelała się po mostach ku Leopoldstadt, pochłaniając Taborstrasse, Leopoldgasse, Karmelitermarkt i Im Werd – sto tysięcy skandujących, krzyczących mężczyzn i kobiet przepełnionych zwycięstwem i nienawiścią. „Sieg Heil! Śmierć Żydom!” Kleinmannowie siedzieli w domu, słuchając wrzawy za oknem i czekając, aż wpadnie przez drzwi.

Nie dotarła do nich jednak. Tłum godzinami panoszył się na ulicach, hałaśliwie i z furją, lecz nie wyrządził większych szkód. Poniżano niektórych pechowców przyłapanych poza domem, pobito osoby „o żydowskim wyglądzie”, zaatakowano znanych zwolenników Schuschnigga, wtargnięto do kilku domów i firm, by je splądrować, lecz tej nocy nad Wiedniem nie rozpętała się burza zniszczenia. Niektórzy zastanawiali się ze zdumieniem, czy na zachowanie wiedeńskich nazistów nie wpłynęło łagodząco legendarne dystyngowane usposobienie wiedeńczyków.

Próżne nadzieje. Powód tej powściągliwości był prosty: dowodzenie objęli szturmowcy, którzy byli zdyscyplinowani i zamierzali siać zniszczenie wśród ofiar w sposób metodyczny, a nie wywoływać zamieszki. SA razem z policją (noszącą teraz na ramionach przepaski ze swastyką) przejęło budynki publiczne. Znanych członków partii rządzącej pojmano albo uciekli. Sam Schuschnigg został aresztowany. Było to jednak dopiero preludium.

Nazajutrz rano granicę przekroczyły pierwsze kolumny niemieckich oddziałów.

Europejskie mocarstwa – Wielka Brytania, Francja, Czechosłowacja – zaprotestowały przeciwko inwazji Niemiec na suwerenne terytorium, lecz Mussolini, rzekomy sojusznik Austrii, nie chciał rozważać żadnych działań

militarnych. Nawet nie potępił tego, co zrobiły Niemcy. Międzynarodowy opór upadł, jeszcze zanim się zrodził. Świat zostawił Austrię na pastwę Niemców.

A Austria powitała ich z radością.

אבא

Gustava obudził warkot silników. Ich niskie burczenie przeniknęło do jego czaszki ukradkiem, jak zapach, i stawało się coraz głośniejsze. Samoloty. Przez chwilę miał wrażenie, że jest na ulicy przed warszatem: wciąż trwał wczorajszy dzień, koszmar się nie wydarzył. Nie nadeszła jeszcze pora śniadania. Reszta rodziny, oprócz Tini krzątającej się cicho w kuchni, wciąż leżała w łózkach i powoli budziła się ze snu.

Gdy Gustav wstał i się ubrał, burczenie przybrało na sile. Przez okna nie było nic widać – jedynie dachy i skrawek nieba – więc włożył buty i poszedł na dół.

Na ulicy i Karmelitermarkt nie zauważył wielu śladów nocnego terroru – jedynie kilka zbłąkanych ulotek z napisem „Głosuj na tak!”, podeptanych i zmiecionych w kąt. Handlarze rozkładali swoje stragany i otwierali sklepy. Wszyscy spoglądali na niebo, a warkot silników stawał się coraz głośniejszy, telepał szybami w oknach i zagłuszał dźwięki ulicy. Zupełnie nie przypominał tego z poprzedniego dnia – raczej nadciągającą burzę z piorunami. Nad dachami ukazały się samoloty. Dziesiątki bombowców w zwartym szyku, a jeszcze wyżej śmigające swobodnie myśliwce. Leciały tak nisko, że nawet z ziemi można było zobaczyć niemieckie oznaczenia i otwierające się komory bombowe. Po targowisku przetoczyła się fala strachu.

Tym, co spadło na ziemię, nie były jednak bomby, lecz kolejny śnieg papieru, sunący z łopotem ku dachom i ulicom. Klimat polityczny kształtował pogodę. Gustav podniósł jedną z ulotek. Była krótsza i prostsza niż wczorajsza wiadomość. U góry umieszczono nazistowskiego orła, a poniżej widniało oświadczenie:

Narodowosocjalistyczne Niemcy pozdrawiają swoją narodowosocjalistyczną Austrię i nowy narodowosocjalistyczny rząd.

Połączeni silną, nierozzerwalną więzią!
Heil Hitler!

Grzmot silników był ogłuszający. Nad miastem znalazły się nie tylko bombowce, lecz także ponad sto samolotów transportowych. Podczas gdy te pierwsze przechylały się i krążyły, pozostałe zmierzały na południowy wschód. Wtedy nikt jeszcze nie wiedział, że w środku siedzą żołnierze transportowani na lotnisko w Aspern tuż za miastem – szpica niemieckich oddziałów skierowanych do stolicy Austrii. Gustav wypuścił ulotkę, jakby była trująca, i wrócił do mieszkania.

Tego dnia przy śniadaniu panowała ponura atmosfera. Odtąd nad każdym ruchem, słowem i każdą myślą każdego Żyda miał wisieć cień. Wszyscy wiedzieli, co się działo w Niemczech przez ostatnich pięć lat. Nie wiedzieli jeszcze jednak, że w Austrii ten proces nie będzie postępował stopniowo – mieli doświadczyć pięcioletniej dawki terroru pod postacią jednej gwałtownej lawiny.

Nadciągał Wehrmacht, nadciągały SS i Gestapo. Krążyły pogłoski, że sam Führer dotarł już do Linzu i wkrótce zjawi się w Wiedniu. Wiedeńscy naziści szaleli z radości i triumfowali. Większość ludności, pragnąca jedynie spokoju i bezpieczeństwa, zaczęła ulegać atmosferze czasów. Oddziały szturmowców SA regularnie plądrowały żydowskie sklepy w Leopoldstadt, napadano na domy zamożniejszych Żydów i okradano ich. Zazdrość i nienawiść do Żydów jako przedsiębiorców, wykwalifikowanych rzemieślników, prawników i lekarzy dojrzała w czasie kryzysu gospodarczego niczym wrzód, który teraz miał zostać brutalnie przekłuty.

Dotąd zwykło się uważać, że prowadzenie polityki metodą walk ulicznych i rozruchów nie leży w naturze wiedeńczyków. „Prawdziwy wiedeńczyk – mówiono z niesmakiem, gdy naziści wypełnili ulice hałasem i wściekłością – dyskutuje o różnicach przy kawie i idzie do urny wyborczej jak cywilizowana istota”. Po pewnym czasie jednak „prawdziwy wiedeńczyk” jak cywilizowana istota poddał się nieuchronności przeznaczenia. Teraz krajem rządziły dzikusy.

Gustav Kleinmann, człowiek z natury pełny nadziei, wierzył jednak, że jego rodzina będzie bezpieczna – byli przecież w większym stopniu Austriakami niż Żydami. Naziści z pewnością prześladują tylko religijnych, otwarcie hebrajskich, ortodoksyjnych Żydów... prawda?

תב

Idąc, Edith Kleinmann trzymała głowę wysoko. Podobnie jak jej ojciec uważała się bardziej za Austriaczkę niż za Żydówkę. Niewiele się nad tym wszystkim zastanawiała – miała osiemnaście lat, w ciągu dnia uczyła się wyrobu kapeluszy i ambitnie myślała o tym, by kiedyś je projektować. W wolnym czasie dobrze się bawiła, spotykała się z chłopcami, uwielbiała muzykę i taniec. Edith była przede wszystkim młodą kobietą, pełną młodzieńczej energii i młodzieńczych pragnień. Większość chłopców, z którymi się umawiała, nie była Żydami. Budziło to w Gustavie pewien niepokój: to wspaniale, że on i jego rodzina byli Austriakami, ale czuł, że powinni trzymać ze swoimi. Jeśli jedno przeczyło drugiemu, nie zauważał tego.

Odkąd zjawili się Niemcy, minęło kilka dni. Wmaszerowali w niedzielę, w dniu, w którym miał się odbyć odwołany plebiscyt. Większość Żydów została w domach, lecz Fritz, brat Edith, jak zwykle odważny, ośmielił się wyjść, żeby popatrzeć. Potem doniósł, że kilku odważnych wiedeńczyków rzucano kamieniami w niemieckie oddziały, ale szybko zagłuszył ich wiwatujący tłum krzyczący „Heil Hitler!”. Gdy wszystkie niemieckie siły, z samym Adolfem Hitlerem na czele, triumfalnie weszły do stolicy, kolumny ciągnęły się bez końca: floty lśniących limuzyn, motocykli, pojazdów opancerzonych, tysiące mundurów w kolorze *feldgrau*, hełmów i tupiących wojskowych butów. Szkarłatne flagi ze swastykami były wszędzie – trzymane wysoko przez żołnierzy, wiszące na budynkach, łopoczące na samochodach. Bez rozgłosu do miasta przyleciał także Heinrich Himmler, by rozpocząć proces przejmowania kontroli nad policją. Wciąż trwało plądrowanie domów zamożnych Żydów i codziennie donoszono o samobójstwach.

Edith szła żwawym krokiem. Na skrzyżowaniu Schiffamtsgasse i Leopoldsgasse zauważyła jakieś zbiorowisko: niedaleko posterunku policji zgromadził się tłum. Edith słyszała śmiech i wiwatowanie. Przeszła przez ulicę, ale zwolniła kroku, zauważając w ciżbie znajomą twarz. Był to Vickerl Ecker, jej dawny kolega ze szkoły. Jasne, rozochocone oczy młodego mężczyzny napotkały jej spojrzenie.

– Tam! Ona też!

Twarze odwróciły się w jej stronę, usłyszała słowo „Żydówka” i czyjeś ręce chwyciły ją za ramiona, popychając w stronę tłumu. Zobaczyła brunatną koszulę Vickerla, opaskę ze swastyką. Potem przepchnięto ją

przez ciżbę i znalazła się w kręgu nienawistnych, szydzących twarzy. Sześcioro mężczyzn i kobiet zaopatrzonych w szczotki i wiadra szorowało na czworakach chodnik. Wszyscy byli Żydami, wszyscy byli dobrze ubrani. Jakaś oszołomiona kobieta ścisnęła w jednej ręce kapelusz i rękawiczki, a w drugiej szczotkę do szorowania. Jej nieskazitelnie czysty płaszcz ciągnął się po mokrych kamieniach.

– Na kolana! – Ktoś wcisnął do ręki Edith szczotkę i popchnięto ją na ziemię.

Vickerl wskazał austriackie krzyże i slogany „Głosuj na tak!”.

– Usuwaj stąd tę swoją brudną propagandę, Żydówo.

Gdy zaczęła szorować, gapie piali z zachwytu. W tłumie były twarze ludzi, których znała – sąsiadów, znajomych, elegancko ubranych biznesmenów, zadbanych żon, prostych robotników i robotnic. Wszyscy należeli do jej świata, a teraz przeobrazili się w triumfujący motłoch. Szorowała, ale farba nie chciała zejść.

– Odpowiednia robota dla Żydów, no nie? – zawołał ktoś i ludzie wokół jeszcze głośniejsze się roześmiali. Jeden ze szturmowców podniósł wiadro któregoś z mężczyzn i wylał na niego całą zawartość, mocząc jego płaszcz z wielbłądziej wełny. Tłum wiwatował.

Mniej więcej godzinę później ofiary dostały pokwitowanie za „pracę” i pozwolono im odejść. Przepelniona wstydem i upodleniem, Edith poszła do domu w porwanych pończochach i brudnym ubraniu, usiłując zapanować nad emocjami.

W następnych tygodniach te „zabawy w szorowanie” stały się elementem codzienności na żydowskich ulicach. Patriotyczne slogany okazały się niemożliwe do usunięcia, więc SA często dodawało do wody kwasu, który parzył dłonie ofiar, pokrywając je pęcherzami. Na szczęście dla Edith więcej jej nie złapano, lecz jej piętnastoletnia siostra Herta znalazła się w grupie osób zmuszonych do usuwania austriackich krzyży z kolumny zegara na targowisku. Innym Żydom nakazywano malować jaskrawą czerwoną i żółtą farbą antysemityczne slogany na sklepach i siedzibach przedsiębiorstw należących do Żydów.

Gwałtowność zmian zachodzących w wytwornym Wiedniu zapierała dech w piersiach – jakby zerwano miękkie, wygodny materiał ze znajomej kanapy, odsłaniając ostre sprężyny i gwoździe. Gustav się mylił – Kleinmannowie nie byli bezpieczni. Nikt nie był bezpieczny.

משפחה

Przed wyjściem z domu wszyscy włożyli najlepsze ubrania – Gustav niedzielny garnitur, Fritz szkolne pumpy, Edith, Herta i Tini najelegantsze sukienki, a mały Kurt marynarski mundurek. W studiu fotograficznym Hansa Gemperlego spojrzeli w obiektyw aparatu, jakby patrzyli w swoją przyszłość. Edith uśmiechnęła się niepewnie, kładąc dłoń na ramieniu matki. Kurt wyglądał na zadowolonego – w wieku ośmiu lat jeszcze nie rozumiał, co mogą oznaczać zmiany zachodzące w jego świecie, Fritz emanował nonszalancką beztroską zawadiackiego nastolatka, a Herta – która właśnie kończyła szesnaście lat i stała się już młodą kobietą – promieniała. Gdy Herr Gemperle (fotograf nie był Żydem i w nadchodzących latach miało mu się świetnie powodzić) nacisnął spust migawki, uchwycił niepokój Gustava i stoicyzm w ciemnych oczach Tini. Już wiedzieli, dokąd zmierza świat – wiedział to nawet pełen optymizmu Gustav. Przyszli do fotografa za namową Tini. Miała przecucie, że rodzina wkrótce się rozdzieli i chciała utrwalić wizerunki swoich dzieci, póki jeszcze miała taką szansę.

Truczizna zalewająca ulice zaczęła płynąć z rządowych gabinetów i sądów. Na mocy ustaw norymberskich z 1935 roku austriackich Żydów pozbawiono obywatelstwa. Czwartego kwietnia Fritz i wszyscy jego żydowscy koledzy zostali wydalenii ze szkoły. Chłopiec stracił też zatrudnienie. Edith i Herta zostały zwolnione z pracy, a Gustav nie mógł już pracować w swoim fachu, gdyż jego warsztat zakrekwirowano i zamknięto. Ostrzegano ludzi, by nie kupowali u Żydów. Tym, których na tym przyłapano, kazano stać na ulicy z tabliczką: „Jestem Aryjczykiem, ale świnią – kupowałem w tym żydowskim sklepie”.

Cztery tygodnie po anszlusie^[7] Adolf Hitler znowu przyjechał do Wiednia. Wygłosił przemówienie na dworcu północno-zachodnim – zaledwie kilkaset metrów od Im Werd – przed tłumem dwudziestu tysięcy członków SA, SS i Hitlerjugend.

– Udowadniam całym swoim życiem – grzmiał – że potrafię zrobić więcej niż karły, które doprowadziły ten kraj do ruiny. Za sto lat będę pamiętany jako wielki syn tego kraju.

Tłum eksplodował, krzycząc „Sieg Heil!”. Powtarzano to bez końca, hałas rozrywał bębni w uszach, a echa tych słów niosły się po żydowskim Leopoldstadt.

Wiedeń obwieszono swastykami, wszystkie gazety wypełniły się zdjęciami gloryfikującymi Führera. Nazajutrz w Austrii miał się odbyć długo wyczekiwany plebiscyt w sprawie niepodległości. Żydzi, rzecz jasna, nie mieli prawa głosu. Referendum przeprowadzono pod ścisłą kontrolą SS, więc dla nikogo nie było zaskoczeniem, że 99,7 procent osób zagłosowało za anszlusem. Hitler ogłosił, że wynik przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Dzwony w protestanckich kościołach w całym mieście były przez długich piętnaście minut, a przywódca Kościoła ewangelickiego polecił odprawiać nabożeństwa dziękczynne. Katolicy milczeli, nie mając jeszcze pewności, czy Führer nie zgotuje im przypadkiem takiego samego losu jak Żydom.

Zakazano sprzedaży zagranicznych gazet. Wszędzie zaczęły się pojawiać przypinane do klapy odznaki ze swastyką, a na każdego, kto ich nie nosił, padało podejrzenie. W szkołach salutowanie z okrzykiem „Heil Hitler!” po porannej modlitwie stało się nieodzownym elementem codzienności. Rytualnie palono książki, a SS przejęło Israelitische Kultusgemeinde (IKG), żydowski ośrodek kulturalny i religijny niedaleko Stadttempel, upokarzając rabinów i innych pracujących tam ludzi oraz szczując ich psami. Odtąd IKG miała być organem państwowym, za którego pośrednictwem zamierzano rozwiązywać „problem żydowski”, i musiała wypłacać państwu „rekompensatę” za możliwość korzystania ze swojej siedziby. Reżim zagarnął żydowski majątek wart w sumie dwa i ćwierć miliarda reichsmarek (nie uwzględniając domów i mieszkań).

Gustav i Tini starali się, by ich rodzina była razem. Gustav miał wśród tapicerów kilku porządnych aryjskich przyjaciół, którzy zatrudniali go w swoich warsztatach, ale niezbyt często. Latem Fritz i jego matka dostali pracę u właściciela mleczarni Niederösterreichische Molkerei. Rozwozili mleko w sąsiedniej dzielnicy wczesnym rankiem, żeby klienci nie wiedzieli, że dostarczają im je Żydzi. Zarabiali dwa fenigi za każdy dostarczony litr, co w sumie dawało jedną markę dziennie – była to głodowa stawka. Rodzina utrzymywała się przy życiu dzięki posiłkom w działającej przy ich ulicy żydowskiej jadłodajni dla ubogich.

Nie było ucieczki przed nazizmem. Grupy szturmowców w brunatnych koszulach maszerowały ulicami razem z Hitlerjugend i śpiewały:

Gdy z noża kapie krew żydowska,
Śpiewamy i śmiejemy się.

W takich piosenkach wychwalano wieszanie Żydów i stawianie katolickich księży pod ścianą. Niektórzy ze śpiewających je chłopaków byli dawnymi kolegami Fritza – z szokującą szybkością zmienili się w nazistów. Niektórzy dołączyli nawet do miejscowej jednostki SS-*Standarte 89*. Esesmani byli wszędzie, żądali od przechodniów dokumentów tożsamości, dumni i zadowoleni w swoich odprasowanych mundurach, korzystali z pełni władzy. Wszystko zostało skażone. Wszędzie słyszało się słowo *Saujud*, żydowska świnia. Na ławkach w parku pojawiły się tabliczki z napisem „tylko dla Aryjczyków”. Fritzowi i tym kolegom, którzy mu pozostali, zakazano korzystania z boisk i basenów, co było dla chłopca dotkliwym ciosem, ponieważ uwielbiał pływać.

Latem antysemitka przemoc zmalała, lecz oficjalne sankcje trwały dalej, a pod powierzchnią rosło ciśnienie. Coraz częściej słyszało się straszliwą nazwę: „Nie podnoś głowy i zamknij usta – mówili między sobą Żydzi – bo inaczej trafisz do Dachau”. Ludzie zaczęli znikać: najpierw znane osoby – politycy i biznesmeni – potem pod byle pretekstem zabierano mężczyzn w sile wieku. Czasami wracali do rodzin pod postacią prochów. Później zaczęto szeptać inną nazwę: Buchenwald. Mnożyły się *Konzentrationslager* – obozy koncentracyjne – które od początku były elementem nazistowskich Niemiec.

Prześladowanie Żydów nabierało na wskroś biurokratycznego charakteru. Ich tożsamość była przedmiotem szczególnej uwagi. W sierpniu zarządzono, że jeśli jeszcze nie mają powszechnie rozpoznawanych hebrajskich imion, muszą przyjąć nowe drugie imiona – mężczyźni „Izrael”, kobiety „Sara”. Ich dowody tożsamości stemplowano literą J i nazywano *Juden-Kennkarten* albo *J-Karten*. Na Leopoldstadt wdrożono specjalną procedurę. Właściciela ostemplowanego dowodu tożsamości prowadzono do pomieszczenia z fotografem oraz kilkorgiem pomocników obojga płci. Po zrobieniu zdjęcia obejmującego głowę i ramiona osoba żydowskiego pochodzenia musiała rozebrać się do naga. „Mimo największych oporów – wspominał jeden ze świadków – ludzie musieli się całkiem rozebrać, [...] aby zrobiono im zdjęcia ze wszystkich stron”. Pobierano ich odciski palców i robiono pomiary, „podczas których mężczyźni, rzecz jasna, mierzyli kobiety. Mierzono też siłę włosów i pobierano próbki krwi, a wszystko zapisywano i numerowano”. Od każdego Żyda bez wyjątku wymagano poddania się tej upokarzającej

procedurze. Niektórzy uciekali, gdy tylko podstemplowano im dowód tożsamości, więc po jakimś czasie SS zaczynało od robienia zdjęć.

We wrześniu sytuacja w Wiedniu się uspokoiła i życie zaczęło odzyskiwać pozory normalności, nawet dla Żydów mieszkających w żydowskich społecznościach. Naziści byli jednak dalecy od zadowolenia z tego, co dotąd osiągnęli. Potrzebowali bodźca mogącego wepchnąć ludzi na kolejny poziom nienawiści do Żydów.

W październiku w Belgii doszło do incydentu, który zwiastował to, co miało niebawem nastąpić. W portowym mieście Antwerpia była bardzo duża i zamożna żydowska dzielnica. Dwudziestego szóstego października 1938 roku dwaj dziennikarze z nazistowskiej gazety propagandowej „Der Angriff” zeszli z pokładu parowca i zaczęli robić zdjęcia żydowskiej giełdzie diamentów. Zachowywali się natarczywie i obraźliwie, co rozzłościło kilku Żydów. Gdy ci próbowali przegonić dziennikarzy, doszło do szamotaniny, podczas której jeden z Niemców został ranny i odebrano mu aparat fotograficzny. Niemiecka prasa rozdmuchała ten incydent, robiąc z niego oburzającą napaść na niewinnych i bezbronnych obywateli niemieckich. Największa wiedeńska gazeta napisała, że na grupę niemieckich turystów napadła pięćdziesięciosobowa banda żydowskich zbirów, która pobiła ich do krwi i okradła, gdy już leżeli nieprzytomni. „Duża część belgijskiej prasy milczy” – oburzała się gazeta. „Taka postawa świadczy o braku kompetencji tamtejszych dziennikarzy, którzy nie boją się robić wielkiej afery z tego, że jeden Żyd zostaje pociągnięty do odpowiedzialności za swoje zbrodnie”. Nazistowska gazeta „Völkischer Beobachter” złowrogo ostrzegła, że wszelkie kolejne akty żydowskiej przemocy skierowanej przeciwko Niemcom „z łatwością mogą doprowadzić do skrajnie niepożądanych i nieprzyjemnych konsekwencji wykraczających poza żydowską sferę wpływów”.

Była to wyraźna pogrożka. Napięcie rosło.

Na początku listopada antysemityczne nastroje w całej Rzeszy szukały ujścia. Znalazły je, gdy w dalekim Paryżu polski Żyd Herszel Grynszpan, w napadzie wściekłości wywołanej wydaleniem z Niemiec przedstawicieli jego narodu – w tym jego rodziny – kupił rewolwer, poszedł do ambasady Niemiec i oddał pięć strzałów do Ernsta vom Ratha, przypadkowo wybranego urzędnika.

Wiedeńskie gazety nazwały zabójstwo „oburzającą prowokacją”. Należało dać Żydom nauczkę.

Vom Rath zginął w środę 9 listopada. Tej nocy naziści wylegli na ulice Berlina, Monachium, Hamburga, Wiednia oraz wszystkich innych miast i miasteczek. Funkcję mistrzów ceremonii pełnili lokalni działacze partyjni i Gestapo, a ich polecenia wykonywały SA i SS, uzbrojone w młoty dwuręczne, siekiery i materiały łatwopalne. Za cel obrano domy i przedsiębiorstwa wciąż pozostające w rękach Żydów. Jeśli właściciele stanęli bojówkarzom na drodze, natychmiast ich bito i mordowano. Oddziały szturmowe równały z ziemią i paliły wszystko, co tylko mogły, lecz świadkowie najlepiej zapamiętali tłuczenie szkła. Niemcy nazwali te wydarzenia *Kristallnacht*, „nocą kryształową”, nawiązując do połyskiwania odłamków, którymi usłane były ulice. W pamięci Żydów zapisały się one jako pogrom listopadowy.

W ogólnym rozkazie zabroniono plądrowania, szturmowcy mieli tylko niszczyć. W chaosie, który się rozpełtał, łamano go jednak wielokrotnie, okradając żydowskie domy i przedsiębiorstwa pod pozorem szukania broni i „nielegalnej literatury”. Wdzierano się do domów Żydów zadenuncjowanych przez sąsiadów, niszczone ich dobytek, mężczyźni w brudnych koszulkach cięli i rozrywali meble i ubrania. Matki osłaniały swoje wystraszone dzieci, a przerażone, zrozpaczone pary tuliły się do siebie, gdy plądrowano ich domy.

Żydów złapanych na Leopoldstadt wieziono na Karmelitermarkt i bito. Po północy podpalono synagogi. Dachy widoczne z mieszkania Kleinmannów jaśniały pomarańczowym blaskiem, oświetlone płomieniami Polnische Schul, synagogi przy Leopoldsgasse. Strażacy ruszyli do akcji, lecz szturmowcy nie pozwolili im gasić pożaru, dopóki ogień nie strawił wspaniałego budynku. Znajdująca się w centrum miasta Stadttempel, której nie można było podpalić ze względu na bliskie sąsiedztwo innych zabudowań, została splądrowana: roztrzaskano i zniszczono piękne rzeźby, zdobienia i wspaniałe złoto-białe powierzchnie, świętą arkę i bimę przewrócono i połamano.

Przed świtem zaczęły się aresztowania. Szturmowcy zabierali z ulicy albo wywlekali z domów tysiące Żydów – w większości sprawnych mężczyzn.

Wśród pierwszych pojmanych znaleźli się Gustav i Fritz Kleinmannowie.

[1] Obecnie część południowej Polski i zachodniej Ukrainy.

[2] Szabat zaczyna się tuż przed zachodem słońca w piątek i trwa do zapadnięcia zmroku w sobotę wieczorem.

- [3] Równowartość mniej więcej 10–15 złotych w 2019 roku.
- [4] Krzyż z ramionami w kształcie litery T.
- [5] Ozdobna skrzynia, w której przechowywane są zwoje Tory.
- [6] Podwyższenie, na którym znajduje się pulpit dla rabina, umieszczone naprzeciw świętej arki.
- [7] Anszlus, niem. *Anschluss* – dosł. „przyłączenie”; wymuszone zjednoczenie Austrii z Niemcami.

ZDRAJCY NARODU

אבא

Zabrano ich do lokalnego komisariatu policji, okazałego budynku z czerwonej cegły i ciosanego kamienia niedaleko parku Prater. Rodzina Kleinmannów spędzała w tym parku wiele świątecznych popołudni, spacerując wśród zieleni i zażywając relaksu w ogródku piwnym. Dzieci uwielbiały przejażdżki karuzelą i inne atrakcje w wesołym miasteczku. Teraz, w ponury zimowy poranek, brama była zamknięta, a stalowa pajęczyna diabelskiego młyna wisiała nad dachami niczym zagrożenie. Gustav i Fritz przejechali obok wejścia, nie zwracając na nie uwagi. Siedzieli w ciężarówce pełnej innych Żydów złapanych w Leopoldstadt.

Na ojca i syna donieśli szturmowcom sąsiedzi: ludzie, z którymi Gustav się przyjaźnił – *Du-Freunden*^[1] – mężczyźni, z którymi gawędził, do których się uśmiechał, znajomi i zaufani, znający jego dzieci i historię jego życia. A mimo to, nieprzymuszeni i niesprowokowani, zepchnęli go w przepaść.

Przed komisariatem kazano pojmanym wyjść z ciężarówki i zapędzono ich do nieużywanego budynku stajni. Były tam już setki mężczyzn i kobiet. Większość z nich, tak jak Gustava i Fritza, zabrano z domów, setki kolejnych pojmano nazajutrz rano, gdy stali w kolejkach do ambasad i konsulatów, próbując uciec za granicę, innych wyłapano na ulicach. Padało szorstkie pytanie: „Jude oder Nichtjude?”^[2], i jeśli odpowiedź brzmiała *Jude* albo jeśli przynajmniej wskazywał na to wygląd ofiary, kierowano ją do ciężarówki. Niektórzy musieli maszerować ulicami, lżeni i atakowani przez tłum. Naziści mówili na to *Volksstimme* – głos narodu.

Rozbrzmiewał on na ulicach razem z wyciem syren, nie cichnąc nawet w świetle poranka – koszmar, z którego nie można się było obudzić.

Do komisariatów w całym mieście trafiło sześć i pół tysiąca Żydów – w większości mężczyzn – ale żaden nie był tak przepełniony jak ten obok Prater. Już po pierwszych transportach w celach brakowało miejsca, a wkrótce w dawnej stajni zapanował taki ścisk, że ludzie musieli stać z podniesionymi rękami. Niektórych zmuszano do klękania, by nowi mogli się po nich przeczłgać.

Gustav i Fritz trzymali się w tym ścisku razem. Mijały godziny, a oni stali albo klęczeli, głodni, spragnieni, obolali, otoczeni mamrotaniem, jękami i modlitwami. Z podwórza dobiegały szyderstwa i odgłosy bicia. Co kilka minut wywoływano dwie albo trzy osoby na przesłuchanie. Nikt nie wracał.

Gdy Fritz i jego ojciec stracili już poczucie czasu, wreszcie wskazano ich palcem i z wysiłkiem przecisnęli się przez masę ciał w stronę drzwi. Zaprowadzono ich do innego budynku i postawiono przed rzędem urzędników. Przesłuchanie przeplatano zniewagami: „żydowska świnia”, „zdrajca narodu”, „żydowski kryminalista”. Każdego pojmanego zmuszano do identyfikowania się z tymi kalumniami, potwierdzania ich słuszności i powtarzania ich. Każdemu zadawano te same pytania: „Ile masz oszczędności?”, „Jesteś homoseksualistą?”, „Jesteś w związku z Aryjką?”, „Pomagałeś kiedyś w przeprowadzeniu aborcji?”, „Do jakich stowarzyszeń i partii należysz?”.

Po przesłuchaniu i zrewidowaniu przydzielano pojmanyh do różnych kategorii. Tych z kategorii *Zurück* („z powrotem”) zamykano ponownie i czekali na dalsze postępowanie. Tych z *Entlassung* („zwolnienie”) wypuszczano – przeważnie były to kobiety, starcy, nastolatki i omyłkowo aresztowani cudzoziemcy. Każdy bał się kategorii *Tauglich* („zdatny”), oznaczającej Dachau, Buchenwald lub też nowy obóz, o którym od niedawno szeptano: Mauthausen, budowany w samej Austrii.

Gustav i Fritz czekali na werdykt w pomieszczeniu na półpiętrze, z którego roztaczał się widok na podwórze. Widzieli stamtąd źródło hałasu docierającego do nich wcześniej w dawnej stajni. Mężczyzn wypędzonych na zewnątrz ustawiano w ciasne szeregi, każąc im podnieść ręce, a szturmowcy uzbrojeni w pałki i pejcze bili ich i znieważali. Kazali im się kłaść, wstawać, turlać się, chłostali ich, kopali i wyśmiewali. Płaszcz i porządne garnitury tych mężczyzn smarowali błotem, zrywali im

kapelusze i deptali po nich. Nad niektórymi znęcano się szczególnie okrutnie. Tym, którzy nie brali udziału w „gimnastyce”, kazano skandować: „Jesteśmy żydowskimi kryminalistami! Jesteśmy żydowskimi świniami!”.

Obok stali zwykli policjanci, pełniący służbę od lat, znający Żydów z Leopoldstadt, i wykonywali polecenia oprawców. Choć tylko nieliczni uczestniczyli w gnębieniu pojmanych, żaden z nich przeciwko niemu nie protestował. Co najmniej jeden policjant wyższej rangi dołączył do bicia na podwórzu.

Po długim oczekiwaniu Fritz i Gustav usłyszeli werdykt. Fritz, mający dopiero piętnaście lat, trafił do kategorii *Entlassung*. Mógł odejść. Gustava przydzielono do kategorii *Zurück* – z powrotem do celi. Fritz mógł jedynie patrzeć z przyprawiającym o mdłości przerażeniem, jak jego ojca dokądś prowadzą.

בן

Gdy chłopiec wyszedł z komisariatu, był już wieczór. Fritz wracał do domu sam, mijając znajomą bramę Prater. Przechodził tędy wiele razy – po pływaniu z przyjaciółmi w Dunaju, po dniach spędzonych w parku, czując w ustach błogą słodycz ciastek albo buzowanie adrenaliny w żyłach. Tym razem czuł jedynie pustkę.

Ulice były ponure i nabiegłe krwią, skacowane po ubiegłonocnej rozpuście. Leopoldstadt splądrowano, chodniki przy ulicach handlowych i na Karmelitermarkt były usłane odłamkami szkła i kawałkami połamanego drewna.

Fritz wrócił do domu, w ramiona matki i sióstr. „Gdzie tata?” – spytały. Powiedział, co się stało, i że tatę zatrzymano. Znów przemknęły im przez myśl straszliwe nazwy: Dachau, Buchenwald. Czekali całą noc, lecz na próżno. Ostrożnie rozpytywali, ale niczego się nie dowiedzieli.

Na świecie wieść o pogromie wywołała oburzenie. Stany Zjednoczone na znak protestu odwołały z Berlina swojego ambasadora, a prezydent oznajmił, że te wiadomości „głęboko poruszyły Amerykanów”, i dodał: „Trudno mi uwierzyć, że coś takiego może się wydarzyć w dwudziestym wieku”. W Londynie w magazynie „The Spectator” (wówczas liberalno-lewicowym) napisano, że „barbarzyństwo w Niemczech odbywa się na tak ogromną skalę, jest tak diabolicznie nieludzkie i nosi tak charakterystyczne

znamiona urzędowo inspirowanego działania, że [...] nie sposób przewidzieć jego konsekwencji”.

Naziści odrzucali jednak oskarżenia o okrucieństwo, nazywając je fałszywymi doniesieniami mającymi odwracać uwagę od sprawy rzeczywiście zasługującej na oburzenie – od tego, że Żyd zamordował niemieckiego dyplomatę. Gratulowali sobie nawzajem, że wymierzili Żydom zasłużoną karę, dając „wyraz słusznemu zniesmaczeniu powszechnemu wśród szerokich warstw niemieckiego społeczeństwa”. Głosy potępienia z zagranicy odrzucano jako „brud i plugastwo sfabrykowane w znanych ośrodkach imigracyjnych w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku, sterowane przez światową prasę pozostającą pod wpływem Żydów”. Zniszczenie synagog oznaczało, że Żydzi „nie mogą już knuć przeciwko Państwu pod pozorem uczestniczenia w nabożeństwach religijnych”.

Fritz, Tini, Herta, Edith i Kurt czekali przez cały piątek, lecz nie zdołali się niczego dowiedzieć o Gustavie. Gdy zapadł zmierzch i zaczął się szabat, rozległo się pukanie do drzwi. Wystraszona Tini poszła otworzyć. Na progu ujrzała swojego męża. Żył.

Gustav, wyczerpany, wygłodniały, odwodniony i bledszy niż kiedykolwiek dotąd, wszedł do domu, jakby wstał z martwych, i wywołał eksplozję ulgi oraz radości. Opowiedział, co go spotkało. Nazistowscy urzędnicy uwzględnili jego służbę w czasie pierwszej wojny światowej, a starzy przyjaciele w policji poręczyli, że odniósł wiele ran na polu walki i został odznaczony. Zgodnie ze stałym zaleceniem przywództwa SS weterani byli wyłączeni z łapanek, podobnie jak chorzy, starzy i niepełnoletni. Nawet naziści nie posunęli się jeszcze do tego, by wysłać bohatera wojennego do obozu koncentracyjnego. Gustav Kleinmann został zwolniony.

W ciągu kilku następnych dni zaczęły się transporty. Sprzed komisariatów w całym mieście raz po raz odjeżdżały floty policyjnych furgonetek zwanych *grüne Heinrichen*^[3], wypakowane żydowskimi mężczyznami – niektórzy z nich też byli weteranami wojennymi, lecz brakowało im odznaczeń i w przeciwieństwie do Gustava nie mieli znajomych w policji. Wszystkich wieziono w to samo miejsce: na rampę załadunkową Westbahnhofu. Na dworcu zaganiano więźniów do wagonów towarowych. Niektórzy jechali do Dachau, inni do Buchenwaldu. Wielu już nie wróciło.

אבא

Gustav w zamyśleniu okręcał pasek materiału wokół palców: ścinek, odpadek, skrawek jego środków do życia. Na ulicy rozbrzmiewało echo uderzeń młotka, gdy rzemieślnik pracujący naprzeciwko wbijał gwoździe w deski, zasłaniając wybite szyby w witrynie żydowskiego sklepu. Tyle że sklep już nie był żydowski.

Patrząc na Im Werd oraz dalej, w stronę targowiska i Leopoldsgasse, Gustav liczył przedsiębiorstwa, które kiedyś należały do jego żydowskich przyjaciół, a teraz albo stały puste, albo przeszły w ręce nie-Żydów. Podobnie jak sąsiedzi, którzy donieśli na niego i Fritza do SA, wielu nowych właścicieli jeszcze niedawno przyjaźniło się z ludźmi, których sklepy przejęli. Perfumeria Ochshorna w rogu targowiska należała teraz do Williego Pöschla mieszkającego w tym samym budynku co Gustav. Rzeźnicy, drobiarze i sprzedawcy owoców stracili swoje stragany. Inna przyjaciółka Gustava, Mitzi Steindl, gorliwie uczestniczyła w przeganianiu Żydów i zagarnianiu ich sklepów. Przedtem była ubogą kobietą i Gustav często zatrudniał ją jako szwaczkę, żeby pomóc jej związać koniec z końcem.

Gdy całą klasę społeczną napiętnowano jako wrogów narodu i pojawiła się szansa na błyskawiczny zysk, przyjaciel bez wahania i bez skrupułów zwracał się przeciw przyjacielowi. Wielu upajało się szczuciem, zastraszaniem, plądrowaniem, biciem i deportacjami. Niemal wszyscy uważali, że Żydzi nie mogą być dłużej ich przyjaciółmi – bo czy niebezpieczne, drapieżne zwierzę może być przyjacielem istoty ludzkiej? To było nie do pomyślenia.

Pewien angielski dziennikarz zauważył: „To prawda, Żydzi w Niemczech nie zostali oficjalnie skazani na śmierć – po prostu uniemożliwiono im życie”. W obliczu tej niemożliwości setki osób popełniały samobójstwo, godząc się z nieuniknionym i uwalniając się od beznadziejnego, nic niewartego życia. Wiele innych postanawiało wyjechać i osiąść gdzieś indziej. Austriaccy Żydzi zaczęli emigrować już po anszlusie, a teraz ich desperacja wzrosła.

משפחה

Gustav i Tini rozmawiali o wyjeździe. Tini miała krewnych i przyjaciół, którzy przed laty wyemigrowali do Ameryki. Opuszczenie Rzeszy w poszukiwaniu lepszego miejsca stało się jednak niezwykle trudne dla żydowskiej rodziny bez pieniędzy i wpływów. W ciągu pięciu i pół roku, odkąd naziści przejęli władzę w Niemczech, wyemigrowały dziesiątki tysięcy Żydów, lecz wszystkie narody świata stawiały coraz większy opór napływowi imigrantów i uchodźców.

W Austrii emigracja Żydów – oraz ogólnie rzecz biorąc, całe ich życie – znalazła się pod kontrolą Adolfa Eichmanna. Urodzony w Austrii Eichmann, były urzędnik zatrudniony niegdyś w organie wywiadu i służby bezpieczeństwa SS, został czołowym ekspertem tej organizacji od żydowskich spraw i kultury. Jego rozwiązaniem „problemu żydowskiego” polegało przede wszystkim na zachęcaniu Żydów do emigracji za pośrednictwem Zentralstelle für jüdische Auswanderung (Centralnego Biura do spraw Emigracji Żydów). Reaktywował Israelitische Kultusgemeinde, wiedeńską żydowską organizację do spraw kultury i pomocy socjalnej, zmuszając jej przywódców, by weszli w skład jego aparatu biurokracji. IKG gromadziła informacje o Żydach i koordynowała sprawy urzędowe związane z ich wyjazdem z Austrii.

Choć nazistom zależało na wyjeździe Żydów, nie mogli się powstrzymać od utrudniania im tego w najokrutniejszy możliwy sposób. Żydzi przechodzący przez ten system byli odzierani z majątku, nakładano na nich przeróżne niebotyczne podatki i opłaty, w tym podatek „od ucieczki z Rzeszy” w wysokości trzydziestu procent majątku oraz dwudziestoprocentowy podatek „pokutny” (karę za „potworne zbrodnie Żydów”). Musieli też dawać wysokie łapówki i godzić się na kurs wymiany walut będący zwykłym złodziejstwem. Ponadto rozliczenie się ze wspomnianych podatków było ważne jedynie przez kilka miesięcy, a zdobycie wizy często trwało dłużej. Niedoszli emigranci nierzadko wracali do punktu wyjścia i znowu musieli płacić. W rezultacie nazistowski rząd musiał pożyczać IKG pieniądze, by organizacja mogła zapłacić za zubożałych Żydów pragnących zdobyć bilety na podróż i obcą walutę. W ten sposób nienawiść nazistów utrudniała działanie maszyny, którą sami stworzyli.

Najtrudniej było znaleźć miejsce, do którego można było wyemigrować. Ludzie na całym świecie potępiali nazistów i krytykowali swoje rządy za to, że robią zbyt mało, by przyjąć uchodźców. Osoby

biorące udział w takich kampaniach ustępowały jednak liczebnie tym, którzy nie chcieli mieć wśród siebie imigrantów odbierających pracę i rozrzedzających społeczność. Niemiecka prasa szydziła z hipokryzji świata, który z takim oburzeniem głośno rozprawiał o rzekomym żalonym losie Żydów, lecz sam robił niewiele albo i nic, żeby im pomóc. „The Spectator” uznał, że to „oburzające, zwłaszcza dla chrześcijańskiego sumienia, iż współczesny świat z całym swym niezmiernym bogactwem i zasobami nie potrafi dać tym emigrantom domu”.

Cytując słowa brytyjskiego dziennikarza, dla rodziny Kleinmannów ich rodzinne miasto stało się:

[...] miastem prześladowania, miastem sadyzmu [...]. Żadna liczba przykładów okrucieństwa i bestialstwa nie jest w stanie uzmysłwić czytelnikowi, który sam tego nie poczuł, atmosfery Wiednia, powietrza, jakim muszą oddychać austriaccy Żydzi [...], strachu, jaki wywołuje każdy dźwięk dzwonka do drzwi, woni okrucieństwa w powietrzu [...]. Wystarczy poczuć tę atmosferę, by zrozumieć, dlaczego rodziny i przyjaciele się rozstają, by emigrować w najdalsze zakątki świata.

Nawet po „nocy kryształowej” rządy innych państw, konserwatywna prasa i dominująca wola demokratycznych społeczeństw wciąż były zdecydowanie przeciwne przyjmowaniu większej liczby żydowskich imigrantów. Gdy ludzie na Zachodzie patrzyli na Europę, widzieli nie tylko kilkaset tysięcy Żydów w Niemczech i Austrii, lecz także mające za nimi tysiące w innych krajach Europy Wschodniej oraz trzy miliony w Polsce. Wszystkie te państwa wprowadziły niewiele wcześniej antysemityczne przepisy.

„To żenujący spektakl – powiedział Adolf Hitler – patrzeć, jak cały demokratyczny świat trąbi o współczuciu dla biednych gnębionych Żydów, lecz pozostaje niewzruszony i uparty, gdy trzeba im pomóc”. Hitler szydził z „tak zwanego sumienia” Roosevelta, a w Westminsterze posłowie wszystkich partii mówili z powagą o potrzebie pomagania Żydom, lecz minister spraw wewnętrznych sir Samuel Hoare ostrzegał przed „drzemącą pod powierzchnią podejrzliwością i lękiem związanymi z napływem obcych” oraz opowiadał się przeciwko masowej imigracji. Posłowie, nakłonieni przez posłów Partii Pracy George’a Woodsa i Davida Grenfella, nalegali jednak na wdrożenie zorganizowanych działań, by pomóc

żydowskim dzieciom – by „uratować młode pokolenie wspaniałych ludzi”, którzy „zawsze [...] wnoszą wspaniały i hojny wkład” w życie narodów, które udzieliły im schronienia.

Tymczasem Żydzi w Rzeszy mogli jedynie żyć z dnia na dzień, stać w kolejkach do konsulatów zachodnich państw, czekać i mieć nadzieję, że ich wnioski zostaną pozytywnie rozpatrzone. Dla tysięcy osób w obozach koncentracyjnych wiza była jedynym ratunkiem. Setki ludzi w Wiedniu straciły dach nad głową, a wielu nie chciało się ubiegać o zezwolenie na emigrację, ponieważ bało się aresztowania.

Gustav nie miał pieniędzy ani nieruchomości, więc nie mógł zebrać środków, które ułatwiłyby mu przebrnięcie przez krwiożerczą biurokrację. Nie bardzo też wierzył w swoją zdolność do rozpoczęcia nowego życia w obcym kraju. Ostatnie słowo należało do Tini, która zwyczajnie nie mogła znieść myśli o wyjeździe. Zapuściła korzenie w Wiedniu, tu się urodziła i wychowała. Czy w tym wieku mogłaby zamieszkać gdzieś, gdzie nie czułaby się wydarta ze swojego naturalnego otoczenia? Dzieci to co innego. Szczególnie martwiła się o piętnastoletniego Fritza. Naziści już raz go zabrali, mogli zabrać ponownie. Wiedziała, że wkrótce jej syn straci ochronę przysługującą osobom niepełnoletnim.

W grudniu 1938 roku ponad tysiąc żydowskich dzieci wyjechało z Wiednia do Wielkiej Brytanii – pierwsza grupa z pięciu tysięcy, na które zgodził się brytyjski rząd, dla odmiany wcielając swoje piękne słowa w życie. Ostatecznie *Kindertransport* zapewnił schronienie w Wielkiej Brytanii ponad dziesięciu tysiącom dzieci. Jednak nawet to było tylko ułamkiem liczby osób potrzebujących pomocy. Brytyjczycy zaproponowali otwarcie Palestyny dla dziesięciu tysięcy kolejnych dzieci. Tini, usłyszawszy o tej propozycji, miała nadzieję, że zdoła umieścić Fritza w jednym z transportów. Był wystarczająco duży, by poradzić sobie bez rodziców i utrzymać się z pracy, co w wypadku ośmioletniego Kurta było niemożliwe. Rozmowy w Palestynie ciągnęły się miesiącami. Arabowie bali się, że stracą przewagę liczebną na własnym terenie i prawa większości, z których wówczas korzystali, oraz zaprzepaszczą wszystkie nadzieje na przyszłe niezależne państwo palestyńskie. Ostatecznie nie osiągnięto porozumienia.

Podczas gdy reszta rodziny denerwowała się i wahała, Edith Kleinmann była całkowicie zdeterminowana, by wyjechać. Miała żywe, towarzyskie usposobienie. Nawet gdyby oszczędzono jej upodlenia i zniewag, których

teraz doznawała, nie mogłaby znieść życia w zamknięciu równoznacznego z rodzajem uwięzienia. Za wszelką cenę musiała się wydostać z Wiednia.

Edith myślała o Ameryce. Zdobyła niezbędne dwa zaproszenia od mieszkających tam krewnych matki, chętnych, by zapewnić jej schronienie i utrzymanie. Przygotowawszy się w ten sposób, pod koniec sierpnia 1938 roku zarejestrowała się w amerykańskim konsulacie, by zacząć proces ubiegania się o wizę. System wizowy przeżywał wówczas szturm wnioskodawców i celowo ograniczano jego działanie z obu stron – robił to zarówno amerykański Departament Stanu, jak i nazistowski reżim. Zbliżał się koniec roku i nad Edith zawisła groźba, że utknie w Wiedniu na zawsze. Po „nocy kryształowej” straciła cierpliwość i uznała, że ma większe szanse na wyjazd do Anglii.

Od początku lata olbrzymia liczba Żydów – w większości kobiet, które łatwiej przechodziły procedurę weryfikacyjną – próbowała dostać się do Wielkiej Brytanii. W dziale ogłoszeń „The Times” ukazywały się pełne nadziei oferty. Ogłaszali się wszyscy, od pokojówek, kucharzy, szoferów i niań po złotników, doktorów prawa, nauczycieli gry na fortepianie, mechaników, lektorów języków obcych, ogrodników i księgowych. Wiele osób szukało pracy wymagającej niższych kwalifikacji, niż posiadały. Powtarzały się autorekomendacje: „dobry nauczyciel”, „doskonały kucharz”, „dobry konserwator”, „doświadczony”, „wspaniały charakter”. Z upływem czasu w treści tych ogłoszeń coraz wyraźniej pobrzmiwała desperacja: „przyjmę każdą pracę”, „pilnie poszukuję”, „z dziesięcioletnim synem (w razie konieczności w domu dziecka)”, „natychmiast”... Było to wołanie ludzi, wokół których wznoszą się ściany więzienia i zatraskują się drzwi.

Największe szanse na wizę mieli członkowie służby domowej mogący pochwalić się referencjami. Bliska sąsiadka Kleinmannów, Elka Jungmann, zamieściła ogłoszenie typowe dla setek innych:

KUCHARKA z wieloletnim poświadczonym stażem (Żydówka), a także gospoia wykonująca wszystkie prace domowe szuka posady. – Elka Jungmann, Wiedeń 2, Im Werd 11/19.

Szkołąca się na modystkę Edith nie mogła się pochwalić żadnymi umiejętnościami w zakresie prowadzenia domu i wcale nie była chętna, żeby je zdobywać. Dobrze się ubierała, żyła na poziomie i uważała się za damę. Miałaby u kogoś sprzątać? To było sprzeczne z jej charakterem. Tini

wzięła ją jednak w karby, nauczyła wszystkiego, co mogła, i wystarała się dla niej o posadę służącej u zamożnej miejscowej żydowskiej rodziny. Edith pracowała tam przez miesiąc, a potem chlebodawcy wspaniałomyślnie dali jej list polecający, zaświadczając, że przepracowała pół roku. Edith dopisało niezwykle szczęście i udało jej się podpisać umowę o pracę w Anglii. Teraz potrzebowała jedynie wizy i zezwolenia od nazistowskich władz.

Właśnie to było najtrudniejsze. Brytyjski rząd wydawał tylko garstkę wiz dziennie. Kolejka w konsulacie Wielkiej Brytanii była długa i posuwała się rozdzierająco powoli. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę wszyscy członkowie rodziny na zmianę trzymali Edith miejsce. Mimo dotkliwego zimna stali w kolejce dzień po dniu, mozolnie posuwając się naprzód. Na chodnikach przed różnymi konsulatami roiło się od wnioskodawców, regularnie rozganianych przez policję. Zdarzało się, że funkcjonariusze SA bili Żydów sznurami. Minął cały tydzień, nim Edith dotarła do wspaniałych drzwi Palais Caprara-Geymüller, w którym mieścił się konsulat Wielkiej Brytanii. Przyjęto ją i złożyła wniosek. Potem czekała. Wreszcie na początku stycznia 1939 roku dostała wizę.

Wyjazd Edith był bolesny dla wszystkich. Nikt z rodziny nie wiedział, jak ani kiedy znowu się spotkają. Edith wsiadła do pociągu i zniknęła z ich życia, zaczynając nowe, a w domu została po niej pustka.

Już kilka dni później Edith była na pokładzie promu i płynęła przez kanał La Manche, zostawiając za sobą terror, przemoc i niebezpieczeństwo, lecz także wszystko, co dotąd знаła, i wszystkich, których kochała. Bała się o nich. Po latach, rozmawiając o tym okresie ze swoimi dziećmi, milkła w tym momencie, jakby długo po tym, jak cała reszta straciła na intensywności, ten ból wciąż był zbyt ostry – wspomnienie rozstania budziło silniejsze emocje niż wszystko, co dotąd przeszła.

משפחה

W Wiedniu obłożona społeczność żydowska była już cieniem samej siebie. Człowiek, który przyjechał tam na początku lata 1939 roku, ocenił, że sytuacja w tym mieście wyglądała gorzej niż w Niemczech: całe ulice sklepów i domów w Leopoldstadt opustoszały po wypędzeniu Żydów,

ulice, które niegdyś tętniły życiem, teraz świeciły pustkami i „całość przypominała wymarłe miasto”.

Syjonistyczna organizacja Youth Aliyah, która oficjalnie miała przygotowywać młodych Żydów do życia w kibucu w Palestynie, wykonywała heroiczną pracę wśród dzieci, zapewniając im edukację, przyuczenie do wykonywania rzemiosła i zabiegów medycznych oraz innego rodzaju pomoc. Ponad dwie trzecie Żydów, którzy zostali w Wiedniu, żyło teraz dzięki organizacjom dobroczynnym działającym przede wszystkim w lokalnych społecznościach. Starano się jak najrzadziej wychodzić z domu. W większości dzielnic przebywanie na ulicy po zmroku było niebezpieczne, zwłaszcza gdy odbywały się zebrania partii nazistowskiej – słuchanie płomiennych przemówień przez członków SS i SA zawsze prowadziło do przemocy. W niektórych dzielnicach było niebezpiecznie także za dnia.

Rodzina Kleinmannów trzymała się razem w swoim mieszkaniu, skupiona wokół pustego miejsca, które zostało po Edith. Kurt chodził do jednej ze zorganizowanych naprędce szkół, a jego brat i siostra robili, co w ich mocy, by pomóc rodzicom. Tego lata Fritz skończył szesnaście lat i musiał wyrobić nowy dowód tożsamości. Spośród wszystkich *J-Karten* rodziny Kleinmannów przetrwała tylko ta jedna – na zdjęciu przystojny chłopiec w kamizelce spogląda w obiektyw ze złością i odrazą.

Od czasu do czasu przychodziły listy od Edith. Były krótkie i proste. Edith zaczęła pracę na stanowisku służącej i dobrze sobie radziła. Mieszkała na przedmieściach Leeds i pracowała dla pani Brostoff, rosyjskiej damy żydowskiego pochodzenia. O uczuciach nie wspominała.

Listy Edith przychodziły przez całe lato, lecz potem nagle ustały. Pierwszego września Niemcy napadły na Polskę. Wielka Brytania i Francja wypowiedziały im wojnę i między Edith a jej rodziną wyrosła nieprzenikniona bariera.

Dziewięć dni później na rodzinę spadł jeszcze gorszy cios. Dziesiątego września Gestapo aresztowało Fritza.

אבא

Przez Rzeszę przetaczała się nowa fala aresztowań. Odkąd Niemcy prowadziły wojnę z Polską, wszyscy Żydzi polskiego pochodzenia byli

uznawani za wrogów. Jako obywatel Austrii, urodzony i wychowany w tym kraju, Gustav powinien być bezpieczny. Ci, którzy dobrze go znali, wiedzieli jednak, że urodził się w dawnym Królestwie Galicji. W 1918 roku Galicja stała się częścią Polski. Z punktu widzenia Niemiec każdy urodzony tam Żyd był Polakiem i stwarzał zagrożenie.

Miażdżący cios spadł na Kleinmannów w niedzielę, gdy Tini była w domu razem z Hertą, Fritzem i Kurtem. Rozległo się głośne pukanie do drzwi, na którego dźwięk wszyscy wzdrygnęli się ze strachu.

Tini nieufnie otworzyła i wyjrzała na korytarz. Stali przed nią czterej mężczyźni, sami sąsiedzi. Rozpoznała ich wszystkich: każda zmarszczka pod ich oczami i każdy włos na policzku były dla niej znajomym widokiem. Wszyscy byli ludźmi pracującymi, tak jak Gustav – przyjaźnili się z jej mężem, znała ich żony, a ich dzieci bawiły się kiedyś z jej dziećmi. Był wśród nich Friedrich Novacek, zatrudniony w przemyśle maszynowym, a z przodu stał Ludwig Helmhacker, dostawca węgla. Byli to ci sami ludzie, którzy donieśli na Gustava w „noc kryształową”. Od tej pory Ludwig i jego mała banda nazistowskich kolaborantów wielokrotnie pukali do drzwi Kleinmannów.

– Czego znów od nas chcesz, Wickerl? – spytała poirytowana Tini, gdy precyzyjnie się obok niej, wchodząc do małego mieszkania. (Mimo wszystko wciąż zwracała się do Ludwiga poufałym zdrobnieniem). – Wiesz, że nic nie mamy, nawet jedzenia.

– Chcemy twojego męża – oznajmił Ludwig. – Mamy rozkazy. Jeśli Gustla^[4] nie ma, musimy zabrać chłopaka. – Skinął w stronę Fritza.

Tini poczuła się tak, jakby ktoś ją uderzył. Nie była w stanie zapobiec temu, co się działo. Wzięli jej ukochanego syna i wymaszerowali z nim na korytarz. Zanim wyszli, Ludwig przystanął.

– Rozumiesz, zaprowadzimy Fritzla na policję, a kiedy Gustl się zgłosi, wypuszczą chłopaka do domu.

Gdy Gustav wrócił do domu, zastał rodzinę pogrążoną w panicznym strachu i smutku. Usłyszawszy, co się stało, nie wahał się ani chwili. Obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi, zamierzając pójść prosto na policję. Tini chwyciła go za ramię.

– Nie idź – powiedziała. – Zabiorą cię.

– Nie zostawię Fritzla w ich rękach. – Znowu odwrócił się ku drzwiom.

– Nie! – błagała Tini. – Musisz uciekać, musisz się gdzieś schować.

Nic nie było w stanie go powstrzymać. Zostawiając Tini we łzach, szybko poszedł do komisariatu policji przy Leopoldsgasse. Zebrał się na odwagę, wszedł do środka i skierował się prosto do biurka. Dyżurny funkcjonariusz podniósł głowę.

– Nazywam się Gustav Kleinmann – oznajmił Gustav. – Przyszedłem się zgłosić. Macie mojego syna. Weźcie mnie, a jego wypuście.

Dyżurny się rozejrzył.

– Wynoś się stąd – mruknął. – Wynoś się, do cholery.

Zdumiony Gustav wyszedł z budynku. W domu czekała na niego Tini, która na widok męża odczuła ulgę, lecz jednocześnie wpadła w rozpacz, bo Fritza wciąż nie było.

– Jutro spróbuję jeszcze raz – powiedział Gustav.

– Wcześniej sami po ciebie przyjdą – odrzekła. Znowu prosiła, by uciekł i gdzieś się ukrył, ale odmówił. – Wyjdź stąd – nalegała – albo odkręcę gaz i się zabiję.

Kurt i Herta przyglądali się temu przerażeni. Siła ich rodziców była fundamentem ich rodziny. Okropnie było widzieć ich w rozpacz.

Wreszcie Tini zdołała przekonać Gustava. Wyszedł z domu, obiecując, że znajdzie jakąś kryjówkę. Jego żona przez cały dzień czekała jak na szpilkach, nasłuchując pukania do drzwi. Nie rozległo się. Późnym wieczorem Gustav wrócił. Nie miał dokąd pójść, a poza tym nie potrafił znieść myśli, że Tini i dzieci będą same przez całą noc. Nie wiadomo, kogo jeszcze zabraliby naziści, gdyby go nie zastali.

Zjawili się o drugiej w nocy – łomotanie do drzwi, grupa mężczyzn wlewająca się do mieszkania, wydawane warkliwym głosem polecenia, ręce chwytające Gustava, płacz, prośby, ostatnie rozpaczliwe słowa zamienione przez męża i żonę. Pozwolono mu zabrać małe zawiniątko z ubraniami – sweter, szalik, parę skarpet na zmianę. A potem było już po wszystkim. Drzwi się zatrzasnęły i Gustav zniknął.

[1] Przyjaciele mówiący sobie na ty, a nie na pan/pani.

[2] Żyd czy nie-Żyd?

[3] *Grüner Heinrich* (niem.) – „zielony Henryk”. W Anglii na takie pojazdy mówi się *black Maria*, czyli „czarna Maria”.

[4] Serdeczne zdrobnienie używane we wschodniej Austrii, np. Fritzl, Gustl.

CZĘŚĆ II
BUCHENWALD

KREW I KAMIENI: KONZENTRATIONSLAGER BUCHENWALD

אבא

Upewniwszy się, że jest sam, Gustav wyjął kieszonkowy notesik i ołówek. Napisał wyraźnymi, kanciastymi literami: „Przyjechaliśmy do Buchenwaldu 2 października 1939 roku po dwudniowej podróży pociągiem”.

Od straszego aresztowania minął ponad tydzień i dużo się wydarzyło. Nawet najzwięźlejsza relacja zapełniłaby wszystkie cenne strony w notesiku. Gustavowi udało się go ukryć, choć wiedział, że zginąłby, gdyby go u niego znaleźli. Nie sposób było powiedzieć, czy kiedykolwiek się stąd wydostanie. Cokolwiek miało się wydarzyć, ten dziennik był jego świadkiem.

Gustav przyglądał się stronie i pisał dalej: „Z dworca w Weimarze bieглиśmy do obozu...”.

בן

Drzwi wagonu otworzyły się zgrzytliwie, zalewając wnętrze światłem. Natychmiast zagrzmiął piekielny chór wykrzykiwanych rozkazów i warczenia psów stróżujących. Fritz zamrugał i rozejrzał się, oszołomiony tym zmasowanym atakiem na jego zmysły.

Miał wrażenie, że minęło sto lat, odkąd Wickerl Helmhacker z kumplami zabrali go matce. Pocięczał się myślą, że skoro go nie

wypuszczono, to jego ojcu udało się uciec.

Na początku Fritza zabrano do hotelu Metropole, w którym mieściła się główna siedziba wiedeńskiego Gestapo. Aresztowano ogromną liczbę żydowskich mężczyzn i SS z trudem udawało się ich wszystkich pomieścić. Po kilku dniach w gestapowskich celach Fritza wraz z tysiącami innych aresztowanych przeniesiono na stadion piłkarski niedaleko parku Prater. Tam w ciasnocie i niehigienicznych warunkach spędził niemal trzy tygodnie. W końcu zabrano ich na Westbahnhof i załadowano do bydłowych wagonów.

Podróż do Niemiec trwała dwa dni. Fritz jechał w ścisku, kołysząc się w takt gwałtownych ruchów pociągu, udręczony bliskością obcych – szesnastolatek w tłumie wystraszonych, spoconych mężczyzn. Byli to ludzie wszelkiej możliwej maści: ojciec z klasy średniej, przedsiębiorca, intelektualista w okularach, rumiany robotnik, brzydki, przystojny, tęgi, przerażony, ten, który przyjmował to wszystko ze spokojem, ten, w którym wrzało z oburzenia, mężczyzna owładnięty śmiertelnym przerażeniem. Jedni milczeli, inni mamrotali albo odmawiali modlitwy, jeszcze inni nieustannie rozmawiali. Każdy z nich miał matkę, żonę, dzieci, kuzynów, zawód, dom w Wiedniu. Ale dla mundurowych poza wagonem byli tylko bydlęmi.

– Wyłazić, żydowskie świnię! Już! Wyłazić, wyłazić!

Wyszli na oślepiające światło. Tysiąc trzydziestu pięciu Żydów – oszołomionych, kipiących z oburzenia, zdezorientowanych, wystraszonych, otępiących – wylało się z bydłowych wagonów na rampę załadunkową dworca w Weimarze, trafiając pod grad wyzwisk, ciosów i warczenia psów. Tłum miejscowych przybył, by obserwować przyjęcie transportu. Ludzie stali za strażnikami SS, szydząc, uśmiechając się z pogardą, miotając wyzwiska.

Więźniowie – wielu niosło torby, tobołki, a nawet walizki – byli popychani i bici, wrzeszczano na nich, żeby ustawili się w szeregu. Z rampy załadunkowej zapędzono ich do tunelu, a potem z powrotem na powietrze, zmuszając do biegu. Tłum przez jakiś czas szedł za nimi ulicą prowadzącą na północ.

– Biegiem, żydowskie świnię, biegiem!

Fritz zmusił zdrętwiałe nogi do biegu. Jeśli ktoś się potknął, odwrócił czy choćby wyglądał, jakby się ociągał, albo jeśli próbował z kimś rozmawiać, silny cios kolby karabinu spadał na jego ramiona, plecy, głowę.

Ci esesmani byli gorsi niż wszyscy, których Fritz widywał w Wiedniu. Należeli do Totenkopfverbände – Oddziałów Trupiej Głównki. Na czapkach i kołnierzykach nosili naszywki z czaszkami i skrzyżowanymi puszczelami, a ich brutalność przekraczała wszelkie wyobrażenia. Pijacy i sadyści o przytępionych albo wypaczonych umysłach i zdeformowanych duszach – wyposażeni w poczucie misji i niemal nieograniczoną władzę, wyszkoleni tak, by wierzyli, że są żołnierzami w wojnie przeciwko wewnętrznemu wrogowi.

Fritz biegł i biegł przez niekończące się piekło przemocy. Miejska ulica przeszła w kilometry wiejskiej drogi. Więźniowie byli wyszydzeni i opluwani. Tych, którzy się potykali, słabli z powodu podeszłego wieku, zmęczenia albo pod ciężarem bagażu, natychmiast zabijano strzałem z karabinu. Ktoś mógł się pochylić, by zawiązać sznurówkę, mógł się przewrócić albo poprosić o wodę – zabijano go bez wahania. Wspinająca się na długie wzniesienie droga prowadziła do gęstego lasu. Tam skierowano więźniów ku nowej betonce. Weterani nazywali ją Drogą Krwi. Zginęło na niej wielu więźniów i teraz ich krew mieszała się z krwią pędzonych po niej mężczyzn z nowego transportu.

Biegąc i czując, jak ból rozrywa mu płuca, Fritz odniósł wrażenie, że widzi przed sobą znajomą wysoką postać. Przyspieszył i zrównał się z nią. Miał rację – wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu okazało się, że to jego ojciec! Biegł z wysiłkiem, zlany potem, i trzymał pod pachą tobolek od Tini z ubraniem na zmianę.

Z perspektywy Gustava wyglądało to tak, jakby Fritz wyrósł spod ziemi. Nie było warunków, by okazać zdumienie czy czule się przywitać. Trzymając się razem, bez słowa przesunęli się w stronę środka tłumu, by uniknąć przypadkowych ciosów, i starając się nie zwracać uwagi na sporadyczne huk wystrzałów, biegli z resztą stada pod górę, coraz głębiej w las.

Wzgórze nazywało się Ettersberg, było szerokie i porośnięte gęstym bukowym lasem. Przez wieki polowali tu książęta Saksonii-Weimaru, a w ostatnim czasie chętnie urządzano tam pikniki. Było to ustronie artystów i intelektualistów, między innymi takich sław jak Schiller i Goethe. Weimar mieścił się w samym epicentrum niemieckiego klasycznego dziedzictwa kulturowego. Tworząc na Ettersbergu obóz koncentracyjny, nazistowski reżim odciskał na tej spuściźnie swój ślad.

Wreszcie po ośmiu kilometrach, których przebiegnięcie zajęło więźniom ponad godzinę, Droga Krwi skręcała na północ i stapiała się z rozległą otwartą przestrzenią, na której wycięto drzewa. Stały na niej rozrzucone budynki wszelkich kształtów i rozmiarów, niektóre ukończone, inne wciąż w budowie – wiele dopiero zaczęto wznosić. Były to baraki i budynki SS, infrastruktura maszyny, w której więźniowie pełnili funkcję zarówno paliwa, jak i materiału przeznaczonego do zmielenia. Buchenwald – nazwany tak na cześć malowniczego bukowego lasu, który sprawiał, że na górze było tak przyjemnie – był czymś więcej niż tylko obozem koncentracyjnym. Była to modelowa osada SS, która pod względem skali miała kiedyś rywalizować z samym miastem. To, co wydarzyło się wśród tych buków, pewnego dnia przyćmiło całe germańskie dziedzictwo Weimaru. Wiele uwięzionych tam osób nie nazywało tego miejsca Buchenwaldem, lecz Totenwaldem – lasem umarłych.

Drogę zagraadzał szeroki, niski budynek osadzony w masywnym ogrodzeniu. Było to wejście do obozu. Na bramie widniały dwa slogany. Wyżej, na nadprożu, napisano:

RECHT ODER UNRECHT – MEIN VATERLAND

„Słusznie czy nie, moja ojczyzna” – samo sedno nacjonalizmu i faszystów. W żelaznej bramie wykuto zaś napis:

JEDEM DAS SEINE

„Każdemu to, co jego”. Można to było rozumieć także w ten sposób, że każdy dostaje to, na co zasługuje.

Nowych więźniów – wyczerpanych, spoconych, zakrwawionych – pędzono przez tę bramę. Było ich już tysiąc dziesięciu. Dwudziestu pięciu spośród tych, którzy wyjechali z Wiednia, leżało bez życia na Drodze Krwi.

Żydów oddzielono kordonem nie do pokonania: olbrzymi obóz otaczało ogrodzenie z drutu kolczastego z rozmieszczonymi w regularnych odstępach dwudziestoma dwiema wieżyczkami wartowniczymi wyposażonymi w reflektory i karabiny maszynowe. Ogrodzenie miało trzy metry wysokości i było podłączone do prądu o śmiertelnym napięciu trzystu osiemdziesięciu woltów. Teren wokół patrolowano, a od wewnątrz wzdłuż ogrodzenia ciągnął się piaszczysty pas zwany „strefą neutralną”. Strzelano do każdego więźnia, który na niego nadepnął.

Zaraz za bramą znajdował się olbrzymi plac apelowy – *Appelplatz*. Dalej po jednej stronie ciągnęły się baraki tworzące na zboczu równe, rozchodzące się promieniście rzędy, a za nimi wznosiły się większe dwupiętrowe bloki. Gustawowi, Fritzowi i reszcie nowo przybyłych rozkazano ustawić się w szeregach na placu. Stali, trzymeni na celownikach, zakłopotani i rozchełstani, w przepoconych garniturach i robotniczych ubraniach, w swetrach i koszulach, w płaszczach przeciwdeszczowych, fedorach i urzędniczych butach, w czapkach i podkutych buciskach, brodaci, łysi, przylizani, rozczochrani. Po jakimś czasie do obozu wniesiono ciała mężczyzn zamordowanych po drodze i rzucono je między więźniów.

Pojawiła się grupa elegancko ubranych oficerów SS. Wyróżniał się wśród nich pucołowaty przygarbiony mężczyzna w średnim wieku. Wkrótce mieli się dowiedzieć, że to komendant obozu Karl Otto Koch.

– A więc, żydowskie świnie – powiedział – teraz jesteście tutaj. Z tego obozu nie można się wydostać. Zapamiętajcie to: żywi stąd nie wyjdziecie.

Wpisano mężczyzn do obozowego rejestru i każdemu przydzielono numer: Fritzowi Kleinmannowi 7290, Gustawowi Kleinmannowi 7291. Bombardowano ich dezorientującym gradem rozkazów, które wielu wiedeńczykom trudno było zrozumieć, ponieważ nie przywykli do niemieckich dialektów. Zmuszono ich, by rozebrali się do naga i pomaszerowali do obozowej łaźni, gdzie skierowano ich pod prysznic tak gorący, że z trudem to wytrzymali (niektórzy byli zbyt osłabieni i mdleli). Następnie musieli się zanurzyć w kadzi z piekącym środkiem dezynfekującym. Nadzy usiedli na podwórzu, by ogolono im głowy, po czym pod gradem ciosów zadawanych kolbami karabinów i pałkami pognano ich z powrotem na plac apelowy.

Tam wydano im obozowe ubranie: długie kalesony, skarpety, buty, koszulę oraz charakterystyczne spodnie i kurtkę w niebieskie pasy – wszystko w nieodpowiednim rozmiarze. Jeśli któryś z więźniów chciał, za dwanaście marek mógł kupić sweter i rękawice, lecz większość nie miała przy sobie ani feniga. Zabrano im wszystkie prywatne ubrania i rzeczy – w tym mały tobołek Gustava.

Po ogoleniu głów i włożeniu pasiaków nowo przybyli przestawali być odrębnymi jednostkami i stawali się jednorodną masą identyfikowaną wyłącznie po numerach. Mógł ich wyróżniać najwyżej wydatny brzuch albo głowa górująca nad innymi. Przemoc, której doświadczyli po

przyjeździe, miała im uzmysłwić, że odtąd są własnością SS i strażnicy mogą z nimi robić, co im się podoba. Każdemu mężczyźnie przydzielono pasek materiału z numerem obozowym, który należało przyszyć na piersi pasiaków obok symbolu. Przyjrząwszy się temu drugiemu, Fritz zobaczył, że to gwiazda Dawida złożona z zachodzących na siebie trójkątów: żółtego i czerwonego. Wszyscy pozostali mężczyźni mieli taki sam symbol. Czerwony trójkąt oznaczał, że aresztowano ich, ponieważ byli Żydami – jako obywatele wrogiego państwa, czyli Polski, znaleźli się w tak zwanym „areszcie ochronnym” (mającym chronić państwo przed ich „agresją”).

Następnie więźniowie zostali poddani inspekcji przez innego oficera SS, który miał twarz płaską jak tylna część łopaty. Niebawem dowiedzieli się, że to zastępca komendanta Hans Hüttig, zdeklarowany sadysta. Patrząc na nich z obrzydzeniem, pokręcił głową i powiedział: „Nie do wiary, że dotąd pozwalano takim ludziom chodzić wolno”.

Kazano im maszerować do „małego obozu”, wydzielonej strefy kwarantanny na zachodnim krańcu placu apelowego, otoczonej podwójnym kordonem z drutu kolczastego. W środku zamiast baraków stały cztery ogromne namioty, w których ustawiono drewniane czteropoziomowe prycze. W ciągu ostatnich tygodni do Buchenwaldu przywieziono ponad osiem tysięcy nowych więźniów, ponad dwadzieścia razy więcej niż zwykle, i namioty były skrajnie przepełnione.

Gustav i Fritz mieli dzielić miejsce do spania o szerokości zaledwie dwóch metrów z trzema innymi mężczyznami. Nie było materacy, jedynie gołe deski. Każdy miał koc, więc przynajmniej było im ciepło. Ściśnięci jak sardynki, z pustymi brzuchami, byli tak potwornie zmęczeni, że natychmiast zasnęli.

Następnego dnia nowi więźniowie zostali zarejestrowani przez obozowe Gestapo – zrobiono im zdjęcia, zdjęto odciski palców i poddano krótkim przesłuchaniom. Proces ten trwał cały ranek. Po południu dostali pierwszy ciepły posiłek: pół litra cienkiej potrawy zawierającej nieobraną rzepę i ziemniaki, w której pływała odrobina tłuszczu i mięsa. Wieczorny posiłek składał się z ćwiartki bochenka chleba i małego kawałka kiełbasy. Chleb wydawano całymi bochenkami, a ponieważ nie było noży, dzielenie go przebiegało chaotycznie, prowadząc zazwyczaj do sporów i gwałtownych wybuchów zazdrości.

Przez osiem dni przebywali w kwarantannie, a potem skierowano ich do pracy. Większość trafiła do ciężkich robót w pobliskim kamieniołomie, ale

Gustava i Fritza przydzielono do utrzymania kanalizacji w stołówce. Przez cały dzień znieważano robotników i pomiatano nimi. Gustav napisał w swoim dzienniku: „Widzę, jak esesmani biją więźniów, więc uważam na syna. Wszystko opiera się na kontakcie wzrokowym. Rozumiem sytuację i wiem, jak się zachowywać. Fritzl też ją rozumie”.

Tak kończył się pierwszy wpis. Gustav spojrzął na to, co dotąd napisał. Wystarczyły raptem dwie i pół strony, a zmieniło się tak wiele, doświadczyli tyle bólu i niebezpieczeństw. Minęło osiem dni. Ile ich jeszcze czekało?

אבא

Gustav wiedział, że aby pozostać bezpiecznym, musi przede wszystkim być niezauważalny. Jednak w ciągu dwóch miesięcy od przyjazdu do Buchenwaldu zarówno on, jak i Fritz zwrócili na siebie uwagę w najbardziej niebezpieczny sposób – Gustav niechcący, Fritz umyślnie.

Codziennie rano półtorej godziny przed świtem piskliwy gwizd wyrywał ich z zapomnienia snu. Potem zjawiali się kapo i blokowy, krzycząc, żeby się pospieszyli. Ci dwaj byli szokiem dla nowo przybyłych: okazało się, że to także więźniowie – przeważnie „zieloni”, czyli przestępcy noszący na pasiakach zielone trójkąty – wyznaczeni przez SS do gnębienia niewolników i nadzorowania baraków, dzięki czemu strażnicy SS mogli trzymać się z dala od masy więźniów.

Słyszając przenikliwe gwizdy, Fritz i Gustav wkładali buty i schodzili z pryczy, lądując po kostki w zimnym błocie na gołej ziemi. Teren obozu oświetlały lampy elektryczne rozmieszczone wzdłuż ogrodzenia, na wieżyczkach wartowniczych oraz w przejściach i na otwartej przestrzeni. Pędzono ich na plac apelowy i każdy dostawał kubek kawy z żołądźmi. Była słodka, lecz nie działała pobudzająco i gdy ją dostawali, zawsze była już zimna. Wydzielanie jej było długotrwałym procesem, w czasie którego musieli stać w milczeniu, bez ruchu, trzęsąc się w cienkim ubraniu przez dwie godziny. Gdy przychodziła pora, by iść do pracy, krajobraz zaczynało oświetlać słońce.

Gustav i Fritz krótko cieszyli się pracą w stołówce, szybko skierowano ich do kamieniołomu. Tworząc równe kolumny, maszerowali przez główną bramę i skręcali w prawo drogą prowadzącą w dół między głównym

obozem a kompleksem baraków SS – ogromnych dwupiętrowych budynków z cegły, częściowo wciąż w budowie, tworzących łuki podobne do łopat wiatraka. Naziści uwielbiali imponujące projekty architektoniczne, nawet w obozach koncentracyjnych – złudne pozory elegancji, porządku i sensu mające odgradzać od koszmaru.

Trochę niżej więźniowie przechodzili przez wewnętrzny łańcuch straży. Poza głównym obozem nie było ogrodzeń i tereny, na których odbywała się praca, otaczał łańcuch licznych wartowników SS. Stali w dwudziestometrowych odstępach, co drugi był uzbrojony w karabin albo pistolet maszynowy, a pozostali mieli pałki. Bez wahania i bez ostrzeżenia zabijali każdego więźnia, który ten łańcuch przekroczył. Desperaci często popełniali samobójstwo, biegnąc w stronę tej linii. Zmuszanie więźniów, by przekroczyli łańcuch, stanowiło ulubioną rozrywkę niektórych strażników SS. Prowadzono „rejestr ucieczek”, zapisując w nim nazwiska strzelców SS i przyznając punkty za zabitych, które sumowały się, dając nagrodę w postaci urlopu.

Kamieniołom był ogromny – blada, surowa wapienna blizna na zielonym lesistym stoku. Stamtąd, jeśli podniosło się głowę, a mżawka i deszcz na to pozwalały, można było ujrzeć szerokie, pofałdowane wiejskie tereny sięgające aż po zamglony zachodni horyzont. Tylko że nikt nie podnosił głowy – najwyżej na chwilę. Praca była ciężka, nieustanna, niebezpieczna. Mężczyźni w pasiakach wykopywali kamień, łupali kamień, przynosili kamień, a jeśli się ociągali, byli bici przez kapo. Od kapo oczekiwano się bezwzględności. Motywowała go świadomość, że jeśli SS będzie z niego niezadowolone, odbiorą mu wyższy status i umieszczą z powrotem wśród więźniów, którzy się na nim zemszczą.

Do kamieniołomu prowadziły wąskie tory, po których kursowały olbrzymie stalowe wagony towarowe, każdej wielkości wiejskiego wozu, wożące kamień z kamieniołomu na place budowy wokół Buchenwaldu. Gustav i Fritz pracowali właśnie przy tych wagonach: całymi dniami wraz z czternastoma innymi mężczyznami musieli wciągać i wpychać na wzgórze wyładowany wagon ważący około czterech i pół tony, pokonując pół kilometra, chłostani i wyzywani przez kapo. Tory położono na podsypce z tłuczonego kamienia, która osuwała się i chrzęściła pod lichymi butami albo drewniakami. Najważniejsza była szybkość, więc po opróżnieniu wagon natychmiast musiał wrócić do kamieniołomu, zjeżdżając z powrotem, napędzany własnym ciężarem i przytrzymywany przez

szesnastu mężczyzn, którzy pilnowali, by nie wymknął się spod kontroli. Często dochodziło do upadków kończących się złamaniem kończyn i roztrzaskaniem głów. Wagony nierzadko wyskakiwały z torów, czasami prosto na następne wagony, zostawiając za sobą zmiażdżonych i poćwiartowanych mężczyzn.

Rannych zabierano do izby chorych, a jeśli byli Żydami, na Blok Śmierci – do baraku przeznaczonego dla śmiertelnie chorych. Jeśli wskutek wypadku ktoś zostawał kaleką, lekarz SS dawał mu uśmiercający zastrzyk. Nawet drobne rany mogły zagrażać życiu w niehigienicznych warunkach, w których mieszkali i pracowali więźniowie. Dla człowieka o słabym wzroku utrata okularów w zasadzie oznaczała wyrok śmierci.

Gustav i Fritz harowali dzień po dniu i udawało im się uniknąć zarówno kar, jak i obrażeń. „Dajemy radę”, napisał Gustav w dzienniku.

Trwało to dwa tygodnie. Jednak 25 października w obozie kwarantanny wybuchła czerwonka i gorączka. Brakowało wody i robotnicy w kamieniołomie pili tę z kałuż – niektórzy uważali, że to ona stała się przyczyną problemu. Obóz kwarantanny z trzema i pół tysiącem osłabionych mężczyzn ściśniętych w namiotach oraz z sanitariatami mającymi postać dołu kloaczego był dla choroby żyznym gruntem. Populacja więźniów codziennie malała o dziesiątki zmarłych.

Mimo to wyniszczające życie obozowe toczyło się dalej. Codziennie skąpe racje żywnościowe, codziennie wielogodzinne stanie na placu apelowym w zimnie i deszczu, codziennie bicie i rany. Esesmani prowadzili szczególną wojnę przeciwko naczelnemu rabinowi o nazwisku Merkl, którego regularnie bito do krwi, aż w końcu zmuszono go do przebiegnięcia przez łańcuch straży. Tymczasem nikt nie leczył chorych na czerwonkę i liczba zgonów rosła.

Pewni Polacy, powodowani głodem, wydostali się z małego obozu i włamali do obozowej kuchni. Przynieśli stamtąd dwanaście kilogramów syropu – rarytasu, który odrobinę urozmaicał dietę więźniów. Przyjemność trwała jednak krótko. Kradzież odkryto i cały mały obóz ukarano dwudniowym cofnięciem racji żywnościowych. Kilka dni później z magazynu ukradziono skrzynkę mięsa w galarecie. Więźniowie znowu głodowali przez dwa dni i od rana do wieczora musieli stać na baczność na placu apelowym. Podczas wymierzania tej kary doszło do włamania do chlewu w gospodarstwie przy północnym krańcu obozu, skąd ukradziono świnię. Komendant obozu Koch (który mieszkał w ładnym domu

w buchenwaldzkim kompleksie i chodził na niedzielne spacery do buchenwaldzkiego zoo razem z żoną i małymi dziećmi) osobiście wydał rozkaz głodzenia wszystkich więźniów do czasu ujęcia złodziei. Obejrzano ubrania więźniów w poszukiwaniu śladów krwi albo trocin z chlewu. Kary i przesłuchania trwały trzy dni, aż w końcu odkryto, że kradzieży dokonali sami esesmani.

Osłabieni głodem i skazani na wyniszczającą harówkę, żywi szli w milczeniu, zgarbieni niczym duchy tych, którzy już umarli.

I nagle zrobiło się jeszcze gorzej.

ן

W środę 8 listopada 1939 roku Adolf Hitler poleciał do Monachium, by poprowadzić doroczną uroczystość partii nazistowskiej upamiętniającą nieudany pucz piwiarniany, podczas którego wraz ze swoimi zwolennikami dokonał pierwszej próby przejęcia władzy w Bawarii. Hitler zainaugurował obchody, wygłaszając przemówienie w okazałej piwiarni Bürgerbräukeller. Wojna dopiero się zaczęła i jego planowanej inwazji na Francję groziło odroczenie z powodu złej pogody, więc Führer zamierzał jak najszybciej wrócić do Berlina i dlatego wygłosił mowę godzinę wcześniej, niż początkowo planowano. Osiemnaście minut po jego wyjściu – gdy miał być w samym środku swojej perory – bomba ukryta w kolumnie eksplodowała z olbrzymią siłą, uśmiercając garstkę stojących w pobliżu osób i raniąc dziesiątki innych.

Niemcy były przerażone. Choć sprawca, Georg Elser, był niemieckim komunistą pozbawionym jakichkolwiek związków z Żydami, w oczach nazistów za każdy zły uczynek odpowiadali Żydzi. Następnego dnia – akurat w rocznicę „nocy kryształowej” – w obozach koncentracyjnych dokonano brutalnej zemsty. W Sachsenhausen SS zastraszalo i torturowało osadzonych, a w Ravensbrück zamknięto Żydówki w barakach prawie na miesiąc. Okrucieństwa te bledły jednak w porównaniu z tym, co działo się w Buchenwaldzie.

Dziewiątego listopada wczesnym rankiem wszystkich żydowskich więźniów, w tym Gustava i Fritza, zabrano z miejsc pracy i kazano im maszerować z powrotem do obozu. Potem dostali rozkaz powrotu do

baraków, a gdy wszyscy potwierdzili obecność, sierżant SS Johann Blank przystąpił do wymierzania rytualnej kary.

Blank był urodzonym sadystą. Ten kształcący się kiedyś na leśnika kłusownik z Bawarii ochoczo brał udział w grze polegającej na zmuszaniu więźniów do przekraczania łańcucha straży i wielu z nich mordował osobiście. Razem z innymi esesmanami, skacowanymi po niedawnym świętowaniu rocznicy puczu, Blank chodził od bloku do bloku, wybierając dwudziestu jeden Żydów – między innymi siedemnastolatka, który miał pecha, bo akurat wyszedł załatwić jakąś sprawę. Kazano im maszerować do głównej bramy, gdzie musieli stać, podczas gdy esesmani zaimprovizowali małą paradę mającą być odpowiednikiem uroczystego marszu odbywającego się wtedy w Monachium. Gdy skończyli maszerować, otworzyli bramę i popędzili dwudziestu jeden Żydów w dół wzgórza, w stronę kamieniołomu.

Siedzący w namiocie Gustav i Fritz nie mieli pojęcia, co się dzieje, słyszeli jedynie dobiegające z oddali dźwięki. Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Potem nagle rozległ się trzask wystrzałów, wkrótce następnym razem dały się słyszeć pojedyncze huk. Znowu zapadła cisza.

Obóz szybko obieżyły doniesienia o tym, co się wydarzyło. Dwudziestu jeden Żydom kazano maszerować do bramy kamieniołomu i tam ich wszystkich zastrzelono. Kilku udało się uciec, lecz wytropiono ich i zamordowano wśród drzew.

Dzień jeszcze się nie skończył. Uwaga sierżantów SS Blanka i Eduarda Hinkelmana skupiła się na małym obozie. Przeprowadzili inspekcję namiotów i znaleźli mnóstwo nieprawidłowości, które doprowadziły ich do furii. Rozkazali więźniom zebrać się na placu apelowym. Gdy utworzyły się szeregi, kapo chodzili wzdłuż nich, chwytając co dwudziestego mężczyznę i wypychając go do przodu. Ruszyli wzdłuż szeregu, w którym stali Gustav i Fritz: „Jeden, dwa, trzy... – odliczający palec miarowo podskakiwał – ...siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście... – przesunął się obok Gustava – ...dwadzieścia”. – Palec szturchnął Fritza.

Pochwycono chłopca i popchnięto w stronę reszty ofiar.

Na plac przyciągnięto ciężki drewniany stół, z którego zwisały pasy. Każdy więzień, który spędził w obozie więcej niż parę tygodni, rozpoznał kozła – ławę do wymierzania chłosty. Jej pomysłodawcą był zastępca komendanta Hüttig: miała służyć do wymierzania kar więźniom i dostarczania rozrywki jego podwładnym. Każdy więzień był świadkiem

jej wykorzystania i czuł na jej widok przerażenie. Sierzanci Blank i Hinkelmann bardzo lubili jej używać.

Złapano Fritza za ręce i obezwładnionego strachem, popchnięto w stronę kozła. Zdjęto mu kurtkę i koszulę, ściągnięto spodnie. Czyjeś ręce pchnęły go twarzą w dół na pochyły blat, siłą włożyły jego stopy do pętli i zacisnęły mu na plecach skórzany pas.

Gustav patrzył z bezradnym przerażeniem, jak Blank i Hinkelmann szykują się do wymierzania kary. Delektowali się tą chwilą, gładząc batogi – okrutne skórzane narzędzia ze stalowym rdzeniem. Obozowy regulamin zezwalał na co najmniej pięć i nie więcej niż dwadzieścia pięć razów. Tym razem złość SS mogła zaspokoić wyłącznie maksymalna liczba.

Pierwszy cios spadł na pośladki Fritza niczym ostrze brzytwy.

– Licz! – wrzasnęli na niego.

Fritz był już świadkiem tego rytuału. Wiedział, czego od niego oczekują.

– Jeden – powiedział. Batog znów przeciął jego ciało. – Dwa – wykrztusił.

Esesmani działali metodycznie. Uderzenia były odmierzane w taki sposób, by przedłużyć karę oraz spotęgować ból i przerażenie związane z każdym ciosem. Fritz usiłował się skupić, wiedząc, że jeśli straci rachubę, chłosta zacznie się od początku. Trzy... cztery... cała wieczność, całe piekło bólu... dziesięć... jedenaście... walka, żeby się skupić, żeby dobrze liczyć, żeby nie poddać się rozpaczycy albo nie stracić przytomności.

W końcu doliczył do dwudziestu pięciu. Pas poluzowano i zmuszono Fritza do stanięcia na nogach. Na oczach ojca odprowadzono go na bok, zakrwawionego, rozdzieranego bólem i oszołomionego, by można było zawlec na ławę następnego nieszczęśnika.

Ten ohydny rytuał ciągnął się godzinami: dziesiątki mężczyzn, setki powoli wymierzanych razów. Niektórzy mężczyźni poddawali się cierpieniu, mylili się w odliczaniu i musieli zaczynać od nowa. Żaden nie wyszedł z tego bez szwanku.

Żydzi nie mieli prawa do leczenia, do czasu wolnego, do przerwy, w czasie której mogliby dojsć do siebie. Ofiary chłosty, pocięte i potwornie obolałe, natychmiast rzucono z powrotem w wir codziennej pracy w obozie. Musiały zacisnąć zęby i starać się przetrwać, bo poddanie się bólowi albo chorobie było tu równoznaczne z poddaniem się śmierci. Bez względu na to, jak źle było w Buchenwaldzie, zawsze mogło być gorzej, o czym regularnie się przekonywali.

Minęły dwa dni. Na porannym apelu Fritz z wielkim wysiłkiem stał na baczność. Mimo bólu bardziej martwił się o ojca niż o siebie. Gustav nie czuł się dobrze. Znowu głodzono więźniów, w obozie wciąż szalały czerwotka i gorączka i Gustav zachorował. Był blady, miał wysoką temperaturę i rozwolnienie. Fritz obserwował go kątem oka, a czas powoli płynął. W takim stanie jego ojciec nie mógł pracować – ledwie trzymał się na nogach podczas apelu.

Gustav chwiał się, drżał, popadał w coraz większe odrętwienie. Dobiegające go dźwięki były ciche i niewyraźne, ciemniało mu przed oczami, jego członki gwałtownie drętwiały i czuł, że wpada coraz głębiej w czarną dziurę. Stracił przytomność, zanim uderzył w ziemię.

Gdy się obudził, leżał na plecach. W jakimś pomieszczeniu. Nie w namiocie. Unosiła się nad nim twarz Fritza. I druga, jakiegoś mężczyzny. Czy trafił do izby chorych? To było niemożliwe, do izby chorych nie przyjmowano Żydów. Oszłomiony, trawiony gorączką Gustav uświadomił sobie mgliście, że to musi być blok przeznaczony dla beznadziejnych przypadków, z którego mało kto wychodził żywy. Blok Śmierci.

Przyniósł go tutaj Fritz z tym drugim człowiekiem – obolałego chłopca na pewno kosztowało to dużo wysiłku. Powietrze było gęste, duszne, wypełnione jękami i atmosferą beznadziejnej, nieuniknionej śmierci.

Pracowali tam dwaj lekarze. Jeden z nich, Niemiec o nazwisku Haas, był bezduszny i okradał chorych, skazując ich na śmierć głodową. Drugim był więzień, doktor Paul Heller, młody żydowski lekarz z Pragi. Heller robił, co w jego mocy, by pomóc pacjentom, dysponując marnymi środkami zapewnianymi przez SS. Gustav leżał bezradnie całymi dniami z temperaturą 38,8°C, chwilami przytomny, innym razem pogrążony w gorączkowym śnie.

Tymczasem Fritza coraz bardziej niepokoiły warunki w małym obozie. Znowu ich głodzono. Słyszał ogłoszenie przekazywane przez megafony już tyle razy, że zaczęło przypominać mantrę: „W ramach środka

dyscyplinarnego cofnięto racje żywnościowe”. Tylko w tym miesiącu zdarzyło się jedenaście takich dni. Część młodszych więźniów proponowała, by błagać SS o jedzenie. Fritz, który nie zaczął jeszcze dochodzić do siebie po chłoscie, znalazł się wśród nich. Starsi, mądrzejsi więźniowie, z których wielu było weteranami pierwszej wojny światowej, przestrzegali jednak przed tym. Podjęcie działania oznaczało zwrócenie na siebie uwagi, a zwrócenie na siebie uwagi oznaczało karę albo śmierć.

Fritz omówił to z Jakobem Ihrem, przyjacielem z Wiednia noszącym przezwisko Itschkerl, chłopakiem z Prater.

– Nie obchodzi mnie, czy będziemy musieli umrzeć – powiedział Itschkerl. – Kiedy przyjdzie doktor Blies, porozmawiam z nim.

Ludwig Blies był lekarzem obozowym. Choć trudno byłoby go uznać za życzliwego człowieka, był bardziej ludzki – albo przynajmniej mniej bezduszny – niż niektórzy lekarze SS. W rzadkich przypadkach interweniował przeciwko zbyt surowym karom. Poza tym Blies wydawał się przystępny: był mężczyzną w średnim wieku i o rozbijającym komicznym wyglądzie.

– Dobrze – zgodził się Fritz. – Ale pójdę z tobą. I to ja będę mówił, ty mi tylko pomagaj.

Podczas następnego obchodu doktora Bliesa Fritz i Itschkerl nieśmiało zwrócili na siebie jego uwagę. Fritz, starając się, by nie zabrzmiało to jak żądanie, powiedział drżącym głosem, w którym pobrzmiwała płaczliwa rozpacz:

– Nie mamy siły pracować. Prosimy, dajcie nam coś do jedzenia.

Ostrożnie ważył słowa. Zamiast próbować wzbudzić litość, zaapelował do praktycznego podejścia esesmanów, którzy traktowali więźniów jak siłę roboczą. Niezdolność do pracy była jednak niezwykle niebezpieczna, ponieważ nieprzydatność oznaczała śmierć.

Blies wpatrywał się w niego ze zdumieniem. Fritz był niski jak na swój wiek, wyglądał prawie jak dziecko. Poturbowany i wygłodniały, przedstawiał żałosny widok. Blies zawahał się, ludzkie odruchy walczyły w nim z nazistowskimi zasadami.

– Za mną – powiedział nagle.

Fritz i Itschkerl poszli za lekarzem przez plac do obozowej kuchni. Blies rozkazał, żeby poczekać, a sam wszedł do magazynu żywności, by po kilku minutach wyjść z olbrzymim bochnem żytniego chleba i dwulitrową miską zupy.

– A teraz – powiedział, dając chłopcom ten zaskakujący dar – wracać do obozu. I to już!

Podzielili się jedzeniem – równowartością racji żywnościowej dla sześciu mężczyzn – z najbliższymi kolegami z namiotu. Nazajutrz przywrócono racje w całym obozie, najprawdopodobniej na rozkaz Bliesa. O dwóch chłopakach mówił cały obóz i od tego dnia Itschkerl był jednym z najlepszych przyjaciół Fritza.

Dni mijały, a Fritz w każdej wolnej chwili odwiedzał ojca w Bloku Śmierci. Dyżentaria go nie zabiła i najgorsze minęło. Dla Gustava było jednak oczywiste, że nigdy nie wróci do zdrowia w tych niehigienicznych, przesyconych chorobą warunkach. Po dwóch tygodniach zaczął prosić, by go wypuszczono, ale doktor Heller odmówił. Pacjent był stanowczo zbyt słaby, żeby przetrwać.

Gustav nie poddawał się jednak. Łamiąc rozkazy lekarza, poprosił Fritza, by pomógł mu wstać. Ojciec i syn wymknęli się z Bloku Śmierci. Gdy tylko Gustav znalazł się na świeżym powietrzu, poczuł się lepiej. Opierając się na synu, niepewnym krokiem wrócił do małego obozu.

Nawet w błotnistym, przeludnionym namiocie atmosfera wydawała się świeższa niż na oddziale i Gustav zaczął wracać do zdrowia. Nazajutrz przydzielono mu lekką pracę przy czyszczeniu latryn i dokładaniu do pieca. Lepiej się odżywił i jego stan trochę się poprawił.

Fritz także dochodził do siebie po chłości. W Buchenwaldzie jednak nie dało się być zupełnie zdrowym. Obaj byli chudzi. Gustav, dawniej zawsze szczupły, schudł w czasie choroby do czterdziestu pięciu kilogramów. Fritz, który zabłysnął sprytem, stał się znany nie tylko wśród zwykłych więźniów, lecz także wśród niektórych starszych obozu – więźniów najwyższej rangi. Warunki jednak wcale nie uległy poprawie: wszelkie korzyści były znikome, a drobne pociechy znaczyły najwyżej tyle, co odroczenie śmierci. „Pracuję, żeby zapomnieć, gdzie się znalazłem” – napisał Gustav.

Gdy zaczynała się ich pierwsza zima w obozie, ojciec i syn cieszyli się, że z domu przyszła paczka z czystą bielizną. Pozwalano im przyjmować takie rzeczy, lecz nie mogli niczego wysłać. W paczce był list. Tini próbowała zorganizować wyjazd dzieci – także Fritza – do Ameryki, ale z trudem przedzierała się przez gąszcz biurokracji. Nie było żadnych wieści od Edith. Nie wiedzieli, gdzie mieszkała ani co robiła.

KRUSZENIE KAMIENIA

בת

Niebo nad północną Anglią miało głęboki czarny kolor, było usiane gwiazdami i spowite mgiełką Drogi Mlecznej, a wśród tego wszystkiego unosił się jasny skrawek księżyca w pierwszej kwadrze. Naród był w stanie wojny, spowity czernią zaciemnienia, więc niebiosy miały całe to światło dla siebie.

Edith Kleinmann patrzyła na te same gwiazdy, które były rozsypane na niebie nad Wiedniem, gdzie cała jej rodzina, z bożą pomocą, była bezpieczna. Kobieta nie miała żadnych wieści od najbliższych, czuła jedynie strach. Pragnęła się dowiedzieć, jak się miewają jej rodzice, siostra i bracia, a także przyjaciele i krewni. Nie mogła się doczekać, kiedy sama przekaże im wieści. Poznała mężczyznę. Nie jakiegoś tam mężczyznę, lecz tego jedyne. Nazywał się Richard Paltenhoffer i podobnie jak ona był emigrantem.

Przez pierwsze miesiące jej pobytu w Anglii nie działo się nic szczególnego. Dzięki pośrednictwu Komitetu do spraw Żydowskich Uchodźców (Jewish Refugees Committee, JRC) dostała posadę służącej u pani Rebekki Brostoff, żydowskiej damy po sześćdziesiątce, która miała brodawkę na nosie i mieszkała na spokojnych przedmieściach. Jej mąż Morris handlował włosiem i małżonkowie byli stosunkowo zamożni. Obydwoje urodzili się w Rosji i w młodości sami byli uchodźcami.

Leeds w niczym nie przypominało Wiednia. Było rozległym miastem przemysłowym z przyczernionej sadzą cegły, z wiktoriańską architekturą, długimi ulicami pełnymi małych, usmolonych domów robotniczych,

wielkimi budynkami użyteczności publicznej i szarym, zadymionym niebem. Nie było tu jednak nazistów i choć istniał antysemityzm, nikt nie robił nagonek na Żydów, nie izolowano ich, nie zmuszano do szorowania chodników, nie było Dachau ani Buchenwaldu.

Wielu Brytyjczyków chętnie przyjmowało żydowskich uchodźców z Niemiec, lecz nie wszyscy patrzyli na to przychylnie i rząd utknął między tymi dwoma stanowiskami. W prasie wypowiedano się zarówno za przyjmowaniem emigrantów – podkreślając wkład uchodźców w gospodarkę oraz ich trudną sytuację w ojczyźnie – jak i przeciwko niemu. Brytyjscy robotnicy martwili się o pracę, a prawicowe gazety wykorzystywały ich obawy. Żydom zarzucano skłonności przestępcze i gnuśność, upatrywano w nich zagrożenia dla brytyjskiego stylu życia. Mimo to w Wielkiej Brytanii nie było nazistów, nie działały SA ani SS. Po wybuchu wojny rząd zaczął sprawdzać cudzoziemców i internować obywateli wrogich państw. Edith jako uchodźczyni, która uciekła przed nazizmem, oczywiście nie została objęta tą procedurą. I wyglądało na to, że na tym sprawa się skończyła.

Pani Brostoff dobrze traktowała Edith – którą trudno było uznać za idealną służącą – a Edith była zadowolona z przyzwoitej tygodniówki wynoszącej trzy funty.

Choć kraj pogrążył się w dziwnej wojnie (nazywanej przez Brytyjczyków nudną wojną), pierwsza zima w Anglii upływała Edith nie w atmosferze konfliktu, lecz pod znakiem romansu. Richarda Paltenhoffera znała trochę już w Wiedniu. Byli w tym samym wieku i obracali się w podobnych kręgach. W Anglii znów się spotkali i zakochali się w sobie.

Odkąd Edith widziała go ostatni raz, Richard przeżył piekło. W lipcu 1938 roku aresztowało go wiedeńskie SS w ramach tak zwanej akcji „Uchylająca się od pracy Rzesza”. Program ten stworzono w celu usunięcia z ulic i umieszczenia w obozach koncentracyjnych „aspołecznego” elementu niemieckiego społeczeństwa – „darmozjadów”, bezrobotnych, żebraków, pijaków, narkomanów, alfonsów i drobnych oszustów. Wyłapano w ten sposób prawie dziesięć tysięcy osób – wiele z nich, tak jak Richard Paltenhoffer, było po prostu Żydami, którzy znaleźli się w niewłaściwym czasie i niewłaściwym miejscu. Richard trafił do Dachau, następnie przewieziono go do Buchenwaldu, gdzie w tamtym okresie było jeszcze gorzej niż rok później, kiedy dotarli tam Fritz i Gustav Kleinmannowie: panowały jeszcze bardziej prymitywne warunki i większy tłok. Podczas

jednego z regularnie organizowanych karnych apeli, odbywających się zazwyczaj wieczorem, strażnik z SS zadźgał bagnietem mężczyznę stojącego przed Richardem. Ostrze przeszło przez ofiarę na wylot, a gdy runęła na Richarda, zraniło go w nogę. Później mężczyzna przez wiele miesięcy miał problemy z raną, ale na szczęście nie wdała się infekcja. Ostatecznie ocalał dzięki niezwykłemu szczęściu. W kwietniu 1939 roku, by uczcić pięćdziesiąte urodziny Hitlera, Himmler zgodził się na masową amnestię blisko dziesięciu tysięcy więźniów obozów koncentracyjnych. Richard Paltenhoffer znalazł się wśród nich.

Zamiast wracać do Wiednia, przekroczył granicę ze Szwajcarią. Organizacja austriackich skautów pomogła mu zdobyć niezbędne pozwolenie na podróż, by mógł wyjechać do Anglii. Pod koniec maja był w drodze do Leeds, gdzie znaleziono dla niego pracę w fabryce koszernych herbatników.

Zarówno Edith, jak i Richard zostali ciepło przyjęci w ogromnej i dobrze prosperującej żydowskiej społeczności w tym mieście, w którym aktywnie działała filia JRC. Rozporządzając małym budżetem w wysokości dwustu pięćdziesięciu funtów rocznie, miejscowi wolontariusze pomagali setkom osób znaleźć dom i mieszkanie w Leeds.

Edith i Richard odnaleźli się dzięki klubowi towarzyskiemu dla młodych Żydów. Richard Paltenhoffer przypominał Edith o domu i życiu, które straciła – o energicznym społeczeństwie i pracy związanej z modą, a nie z odkurzaniem dywanów. Richard był sympatycznym, atrakcyjnym mężczyzną. Miał promienny uśmiech i lubił się śmiać, a do tego elegancko się ubierał – nosił dobrze skrojone garnitury w jasne prążki i fedorę, a z kieszonki na jego piersi zawsze wystawał odpowiedni kawałeczek poszetki. Wśród robotników z Yorkshire, chodzących w szerzy, wełnianych szalikach i czapkach z daszkiem, wyróżniał się jak egzotyczny kwiat na kartoflisku.

Wojna – nawet dziwna wojna – była dla młodych ludzi czasem szansy i gdy dwie pełne energii młode osoby spotykały się z dala od domu, czerpały z życia pełnymi garściami. Ledwie skończył się styczeń, Edith odkryła, że jest w ciąży. Zaczęły się przygotowania do ślubu.

Każdą zmianę statusu uchodźców należało zgłosić w urzędzie. W lutym punktualnie o wpół do dziesiątej w poniedziałek rano para stawiała się w biurze rabina Arthura Supera w nowej synagodze w Leeds, a stamtąd wszyscy poszli na komisariat, by wypełnić odpowiednie formularze. Następnie z pomocą Kongregacji Zjednoczonych Żydów (United Hebrew

Congregation), Komisji Kontroli JRC i niejakiego rabina Fishera, do niedawna działającego w Stadttempel w Wiedniu, zorganizowano ceremonię zaślubin.

Po dopełnieniu formalności Edith Kleinmann poślubiła w niedzielę 17 marca 1940 roku Richarda Paltenhofferera w nowej synagodze przy Chapeltown Road, w niezwykle nowoczesnym budynku z ceglanyimi łukami i pozieleniałą miedzią na kopułach stojącym w samym sercu odpowiednika Leopoldstadt w Leeds.

Dwa dni później Adolf Hitler rozpoczął inwazję na Belgię, Holandię i Francję. W ciągu miesiąca trzeba było ewakuować z plaży w Dunkierce resztki Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego. Dziwna wojna dobiegła końca. Nadciągali Niemcy i wydawało się, że nikt ich nie powstrzyma.

אבא

– Lewa, dwa, trzy! Lewa, dwa, trzy!

Kapo wykrzykiwał rytm, a grupa mężczyzn wciągała wagon po torach.

– Lewa, dwa, trzy! Lewa, dwa, trzy!

Buty Fritza ślizgały się na lodzie i luźnych kamieniach, napinały się jego wyczerpane mięśnie, a sznur zdierał skórę z rąk i ramion. Wokół niego stękali inni pracujący mężczyźni. Za nim kolejni – wśród nich jego ojciec – pchali goły metal skostniałymi z zimna palcami.

Zima z furią zaatakowała Ettersberg, lecz można było mieć pewność, że kapo okażą się jeszcze okrutniejsi.

– Ciągnąć go, psy! Lewa, dwa, trzy! Dalej, świnię! Prawda, że fajnie?

Każdy, kto się zatrzymał, był kopany i bity. Koła piszczały i skrzypiały, stopy tupwały i ryły w kamieniach, gorące oddechy kłębiły się w zimnym powietrzu.

– Z życiem! Szybciej, bo inaczej będziecie mieli przesrane!

Codziennie trzeba było wciągnąć na wzgórze dwanaście potwornie ciężkich wagonów z kamieniami, a każdy kurs zajmował godzinę.

– Dalej, świnię! Lewa, dwa, trzy!

„Ludzkie zwierzęta wiszą w uprzęży” – napisał Gustav, zmieniając to codzienne piekło w serię surowych poetyckich obrazów. „Dyszą, jęczą, pocą się [...]. Niewolnicy, skazani na śmierć, jak w czasach faraonów”.

W nowym roku przyszła chwila wytchnienia. W połowie stycznia doktor Blies, zaniepokojony skrajnie wysoką śmiertelnością w małym obozie, uwzględniając obawy SS, że choroby rozprzestrzenia się także na jej członków, zarządził przeniesienie więźniów, którzy wciąż żyli, w bardziej higieniczne warunki w głównym obozie. Więźniów umyto i odwszono, a potem poddano kwarantannie w baraku niedaleko placu apelowego. Wydawał się niemal luksusem w porównaniu z namiotami: miał nawoskowaną drewnianą podłogę, porządne ściany, stoły, przy których można było jeść, latryny i umywalnię z zimną bieżącą wodą. Wszystko było nieskazitelnie czyste. Przed wejściem do baraku więźniowie musieli nawet zdejmować buty w przedsionku. Za brud i bałagan wymierzano surowe kary. W czasie tego pierwszego błogosławionego tygodnia kwarantanny więźniowie regularnie dostawali posiłki i nie musieli pracować. Gustav odzyskał siły.

Oczywiście nie trwało to długo. Dwudziestego czwartego stycznia 1940 roku kwarantanna dobiegła końca. Po raz pierwszy Gustav i Fritz zostali rozdzieleni. Fritz razem z mniej więcej czterdziestoma chłopakami trafił do bloku 3 (znanego jako blok młodzieży, mimo że zajmowali go głównie dorośli mężczyźni).

Lepiej poznali główny obóz, rozmieszczenie budynków i charakterystyczne punkty, z których najważniejszy był dąb Goethego. To otaczane wciąż drzewo rosło niedaleko kuchni i łaźni, rzekomo widywał je sam Goethe podczas spacerów z Weimaru na szczyt Ettersbergu. Skojarzenia z kulturą miały tak wielką moc, że SS postanowiło zachować drzewo, zbudować wokół niego obóz i wykorzystać je podczas wymierzania kar. Metoda stosowana w całym systemie obozów koncentracyjnych polegała na związaniu mężczyźni rąk za plecami i powieszeniu go za nadgarstki na gałęzi. Dąb Goethego doskonale nadawał się do tego okropnego rytuału. Powieszeni w ten sposób więźniowie wisieli godzinami – wystarczająco długo, by sparaliżować ich na wiele dni albo i tygodni – a często bito ich przy tym do krwi. Dwóch mężczyzn pracujących z Gustavem ukarano tak za to, że za słabo przykładali się do pracy.

Po zakończeniu kwarantanny Fritz i jego ojciec ze zdziwieniem odkryli, że Żydzi stanowią niespełna jedną piątą populacji więźniów Buchenwaldu. Byli tam przestępcy, Romowie, Polacy, katolicy oraz luterańscy księża i homoseksualiści, lecz zdecydowanie największą grupę tworzyli

więźniowie polityczni – głównie komuniści i socjaliści. Wielu przebywało tam od lat – niektórzy od samego początku nazistowskich rządów w 1933 roku. Jednak to dla Żydów i Romów SS rezerwowało najcięższe roboty i najgorsze traktowanie.

– Raz, dwa, lewa! Raz, dwa, lewa!

Dwanaście transportów dziennie na wzgórze, dwanaście niebezpiecznych szybkich zjazdów z powrotem do kamieniołomu. Z poprzecieranymi sznurami palcami, płonącymi w zetknięciu z zimnym metalem, z przytępienymi umysłami, ze stopami ślizgającymi się na lodzie wśród obelg kapo.

Trwało to bez końca, dzień po dniu, aż zima zaczęła ustępować miejsca wiosnie. W końcu Gustava i Fritza odsunięto od obsługi wagonu i skierowano do pracy w kamieniołomie, gdzie mieli prznosić głazy. Aż trudno było w to uwierzyć, ale tam było jeszcze gorzej.

Musieli zbierać kamienie i głazy odłupane od ściany skalnej i gołymi rękami nieść je – zawsze żwawo – do czekających wagonów. Dłonie i palce szybko pokrywały się pęcherzami i zaczynały krwawić. Zmiana trwała dziesięć godzin z krótką przerwą w południe. Do pracy dochodziło okrutne traktowanie, z którego słychać kamieniołom – znacznie wykraczające poza to, czego doświadczyli przy wagonach.

„Codziennie ktoś umiera” – napisał Gustav. „Trudno uwierzyć, ile człowiek jest w stanie znieść”. Nie znajdował zwykłych słów, by opisać to piekło na ziemi. Na ostatnich stronach notesu zaczął układać wiersz zatytułowany *Kalejdoskop kamieniołomu* – przekładając chaotyczny koszmar na precyzyjne, odmierzone, uporządkowane strofy.

Stuk-puk, młotka dźwięk,
Stuk-puk, męki dzień.
Nędzne kości, skute dusze,
Dalejże tu kamień kruszyć!

W tych wersach udało mu się nie tylko zawrzeć codzienne doznania więźniów, lecz także ukazać je z perspektywy kapo i esesmanów.

Stuk-puk, młotka dźwięk,
Stuk-puk, męki dzień.
Patrz, jak ci parszywcy jęczą,
Kiedy się stukaniem zmęczą.

Niewolnicza praca, niekończące się dni i brutalne traktowanie przemienione w poetycką metaforykę. „Brać się do łopat! Ładować! Myślicie, że możecie zrobić sobie przerwę? Wydaje wam się, że jesteście kimś ważnym?” Ślizgające się dłonie, skóra zdzierana na głazach, plamiąca jasny wapień rdzawoczerwoną krwią. Mozolne człapanie z ciężkim ładunkiem w stronę wagonów. „Dalej, wałkonie, wagon numer dwa! Jeśli niedługo nie będzie pełny, stłukę was na miazgę!” Kamienie wpadające ze stukotem i hukiem do płytkiego żelaznego brzucha wagonu. „Skończyliście? Myślicie, że teraz macie wolne? Nie rozśmieszajcie mnie! Wagon trzeci, migiem! Szybciej, bo inaczej będziecie mieli przesrane! Dalej, świnię!” Poganiano ich kopniakami i przekleństwami. Napęczniony wagon powoli toczył się po stromych torach: „Lewa, dwa, trzy! Lewa, dwa, trzy!”.

Kapo i strażnicy zabawiali się kosztem więźniów. Jednemu z mężczyzn przenoszących z Gustavem głazy kazali podnieść olbrzymi kamień i biegać z nim w kółko, pod górę i na dół. „I żeby to śmiesznie wyglądało, rozumiesz?” – rozkazał mu kapo. „Bo inaczej tak cię stłukę, że się nie podniesiesz”. Ofiara starała się biegać w zabawny sposób, a kapo śmiali się i bili brawo. Mężczyzna biegał i biegał, dysząc, sapiąc, posiniaczony i zakrwawiony. Wreszcie zwyczajnie opadł z sił i popis stał się mniej zabawny. Mimo to człowiek biegł dalej, robiąc z wysiłkiem jeszcze dwa kursy. Kapo był już jednak znudzony. Popchnął ofiarę na ziemię i wymierzył jej okrutnego, śmiertelnego kopniaka w głowę.

Ulubiona zabawa oprawców polegała na zerwaniu czapki z głowy przechodzącego więźnia i rzuceniu jej na drzewo albo do kałuży – byleby za łańcuch straży.

– Hej, twoja czapka! Idź po nią. Tam, obok czwartego strażnika. No idź, chłopie, idź po nią!

Często więzień był nowy i jeszcze nie znał zasad. „I ten głupiec biegnie” – napisał Gustav. Nieszczęśnik mijał strażników i – trach! – padał martwy. Kolejny punkt w rejestrze ucieczek prowadzonym przez strażników, kolejna zasługa składająca się na dodatkowy urlop jakiegoś esesmana: trzy dni za każdego zastrzelonego uciekiniera. Strażnik SS o nazwisku Zepp był w zмовie z kilkoma kapo, między innymi z Johannem Herzogiem, więźniem z zielonym trójkątem i byłym żołnierzem Legii Cudzoziemskiej, którego Gustav opisał jako „mordercę

najgorszego sortu”. Zepp nagradzał Herzoga oraz jego kolegów tytoniem, ilekroć posłali jakiegoś więźnia na linię ognia jego karabinu.

Mimo że regularnie zdarzały się samobójstwa, większość więźniów się nie poddawała i nie dawała się nabrać. Niektórzy sprawiali wrażenie niepokonanych, bez względu na to, jak bardzo nimi poniewierano.

Bach! – już na czworakach jest,
Ale nie chce zdechnąć pies!

Pewnego dnia Gustav był świadkiem sceny, którą zapamiętał na zawsze jako obraz oporu. Na środku kamieniołomu stała górująca nad wszystkim maszyna. Masywny ryczący silnik wprawiał w ruch szereg kół i pasów połączonych z ogromnym lejem, do którego ładowano łopatomi kamienie. W środku ciężkie stalowe płyty przesuwały się w górę i w dół, z boku na bok, przeżuwać je jak żelazne szczęki i krusząc je na żwir. Kapo stojący na pomoście kruszarki obsługiwał przepustnicę i biegi. Gdy robotnicy pracujący w kamieniołomie nie napełniali wagonów, karmili tę monstrualną maszynę. Dla Gustava kruszarka była symbolem nie tylko kamieniołomu, lecz także obozu i całego systemu, w którym Buchenwald był zaledwie jednym z elementów – olbrzymim silnikiem, w którym on, Fritz i ich współwięźniowie byli paliwem i jednocześnie materiałem do zmielenia.

Dzień w dzień kruszarki warczenie –
Warczy i warczy, krusząc kamienie,
Godzina za godziną przeżuwa je i zjada,
Szufla za szuflą do jej paszczy wpada.
A ci, co ją karmią sumiennie i w znoju,
Wiedzą, że choć je, nie zazna sytości.
Najpierw pożre kamień, a potem ich kości.

Pewien więzień skierowany do napełniania kruszarki, towarzysz męczyzny, którego zmuszono do biegania w kółko, trzymał głowę spuszczoną i machał łopata, starając się nie zwracać na siebie uwagi kapo. Był wysoki i potężnie zbudowany, pracował dobrze. Kapo na pomoście zwiertzył okazję do zabawy: przesunął wajchę przepustnicy, dwukrotnie zwiększając szybkość działania maszyny, która zaczęła diabolicznie klekotać i stukać. Więzień ładował szybciej. Człowiek i maszyna pracowali – mężczyzna dyszał, napinając mięśnie, a kruszarka mieliła

i brzęczała, jakby za chwilę miała eksplodować. Pracujący niedaleko Gustav przerwał robotę, żeby się temu przyjrzeć. Inni zrobili to samo, a kapo, także zafascynowani rozgrywającą się sceną, pozwolili im na to.

Rywalizacja trwała dalej, łopata po łopacie. Płytki klekotały, silnik warczał, mężczyzna spływał potem, kruszarka ryczała i wyrzucała z siebie kaskadę żwiru. Wyglądało na to, że mężczyzna znalazł w sobie niezrównane pokłady siły i woli. Wytrzymałość maszyny była jednak nieograniczona i człowiek powoli słabł, zwalniając tempo. Zebrał całą siłę woli, zmobilizował się do jeszcze jednego tytanicznego wysiłku i napiął mięśnie, by machać łopatą, jakby gra toczyła się o jego życie. Maszyna i tak miała wygrać – zawsze wygrywała – lecz mimo to próbował.

Nagle rozległ się huk i z wnętrza maszyny wydobył się przeciągły, zgrzytliwy jęk. Kruszarka zadrżała, zakrzuszyła się i znieruchomiła. Zaniepokojony kapo na pomoście zajrzał do maszyny i odkrył, że w przekładni zębatej utknął kamień.

Zapadła cisza nabrzmiała strachem. Więzień oparł się na łopacie, z trudem łapiąc oddech. Pokonał kruszarkę, więc zasłużył na śmierć. Starszy kapo, któremu na chwilę odebrało mowę, parsknął jednak śmiechem.

– Chodź no tu, dryblasie! – zawołał. – Kim jesteś? Pracujesz na roli? Założę się, że w kopalni.

– Nie – odrzekł więzień. – Jestem dziennikarzem.

Kapo się roześmiał.

– Dziennikarzem? Szkoda. Ci na nic mi się nie przydają. – Odwrócił się, ale po chwili przystanął. – Zaczekaj, jednak potrzebuję kogoś, kto umie pisać. Idź do tego baraku i zaczekaj tam na mnie. Mam dla ciebie inną robotę.

Gdy bohater odłożył łopatę, Gustav nagle poczuł ciężar kamienia w swoich rękach i zobaczył, że oczy jego kapo zmierzają w jego stronę. Szybko wrócił do pracy, rozmyślając o tym, co przed chwilą zobaczył. Człowiek przeciwko maszynie. Tym razem człowiek odniósł małe zwycięstwo. Wyglądało na to, że maszynę można pokonać, jeśli ma się odpowiednią siłę i wolę. Nie wiedział jeszcze tylko, czy w wypadku tej większej maszyny jest podobnie.

Mechanik wyjął kamień z przekładni zębatej i ponownie uruchomił silnik. Klekocząca i stukająca kruszarka znów zaczęła pracować, połykając

kamienie wrzucane do jej nienasyconej gardzieli przez więźniów, pożerając ich siłę, ich pot i krew, przemielając ich tak, jak przemielała kamienie.

DROGA DO ŻYCIA

✠✠✠

Tini z niepokojem patrzyła na dwie koperty. Były identyczne i przyszły z Buchenwaldu. Znała wiele żon i matek, których mężowie i synowie trafili do obozów. Czasami dostawali dokumenty emigracyjne i ich wypuszczano. Innym razem wracali do Wiednia pod postacią małych pojemników z prochami. O listach nikt nie słyszał.

Otworzyła jedną z kopert. W środku było coś, co bardziej przypominało oficjalne zawiadomienie niż list. Przebiegając po nim wzrokiem, uświadomiła sobie z ulgą, że wysłał je Gustav. Poznała jego silny charakter pisma w miejscach, gdzie wpisał swoje nazwisko i numer więźnia. Większość kartki zajmowała lista drukowanych restrykcji (czy więzień może otrzymywać pieniądze i paczki, czy może pisać albo dostawać listy, ostrzeżenie, że kierowanie pytań dotyczących więźnia do biura komendanta obozu będzie bezskuteczne, i tak dalej). Było tam też małe pole, w którym Gustav napisał krótką wiadomość podlegającą cenzurze SS. Tini zrozumiała z niej niewiele ponad to, że jej mąż żyje, ma się dobrze i pracuje w obozie. Otworzywszy drugą kopertę, znalazła prawie identyczną wiadomość od Fritza. Porównując oba dokumenty, zauważyła, że są na nich różne numery bloków. Rozdzielono ich zatem. Zmartwiła się. Jak jej syn miał sobie tam poradzić bez opieki?

Obawy Tini stale rosły. Od majowej inwazji na Francję Żydów w Wiedniu obowiązywała godzina policyjna. Ktoś mógłby pomyśleć, że nie było już więcej sposobów, w jakie naziści mogliby uprzykrzyć Żydom życie, lecz byłby w błędzie. Zawsze znajdował się kolejny kij do bicia.

W październiku poprzedniego roku, niedługo po tym, jak zabrali Gustava i Fritza, z Wiednia wyjechały dwa transporty Żydów do miasta Nisko w okupowanej Polsce. Mieli być tam przesiedleni i stworzyć jakiś rodzaj wiejskiej społeczności. Program się nie przyjął, ale pogłębił poczucie zagrożenia wśród Żydów, którzy zostali w Wiedniu. W kwietniu wrócili do domu ci, którzy przetrwali, przywożąc okropne relacje o przemocy i morderstwach.

Dla Tini misja umieszczenia dzieci w bezpiecznym miejscu stała się pilniejsza niż kiedykolwiek dotąd. Wielka Brytania znalazła się poza zasięgiem, więc jedyną nadzieję dawała Ameryka. Tini zależało przede wszystkim na tym, by wydostać Fritza z obozu, dopóki był jeszcze niepełnoletni i kwalifikował się do emigracji o wyższym priorytecie. Złożyła wnioski dotyczące jego, Herty i Kurta. Każde z dzieci potrzebowało dwóch zaproszeń od przyjaciół albo krewnych mieszkających w Ameryce i gotowych zapewnić im schronienie oraz utrzymanie. O zaproszenia nie było zbyt trudno, dlatego że Tini miała kuzynów w Nowym Jorku i New Jersey, a w Massachusetts mieszkała jej serdeczna przyjaciółka Alma Maurer, która wyemigrowała wiele lat wcześniej. Pod tym względem miała ogromne wsparcie – problemem była jednak biurokracja nazistowskiego reżimu i Stanów Zjednoczonych.

Prezydent Roosevelt wprawdzie chciał zwiększyć liczbę przyjmowanych uchodźców, lecz nie mógł zrobić niczego wbrew Kongresowi i prasie. W Stanach Zjednoczonych obowiązywał limit sześćdziesięciu tysięcy uchodźców rocznie, lecz postanowiono nie wykorzystywać go w całości. Zamiast tego Waszyngton zastosował wszystkie biurokratyczne triki, jakie zdołał wymyślić, by blokować i opóźniać rozpatrywanie wniosków. W czerwcu 1940 roku w wewnętrznej notatce Departamentu Stanu doradzano konsulom w Europie: „Możemy opóźnić i faktycznie powstrzymać [...] napływ imigrantów do Stanów Zjednoczonych [...], zwyczajnie doradzając naszym konsulom, by stosowali wszelkie możliwe utrudnienia [...] mogące odwlec wydawanie wiz”.

Tini Kleinmann chodziła od biura do biura, stała w kolejkach, wysyłała niezliczone pisma, wypełniała formularze, zносиła wyzwiska gestapowskich urzędników, zgłaszała zapytania oraz czekała, czekała i czekała, bojąc się każdej nowej wiadomości, która mogła być zawiadomieniem o deportacji. Każdy jej ruch blokowały przeszkody stworzone po to, by przypodobać się

kongresmenom i redaktorom gazet, biznesmenom, robotnikom, małomiasteczkowym gospodyniom oraz sklepikarzom w Wisconsin, Pensylwanii, Chicago i Nowym Jorku, którzy ostro sprzeciwiali się nowej fali imigrantów.

Fritz był już prawie mężczyzną. Herta miała osiemnaście lat i bardzo doskwierały jej ograniczenia związane z brakiem pracy i szans. Tini martwiła się też o dziesięcioletniego Kurta. Cały czas niepokoiło ją jego zachowanie – był dobrym chłopcem, ale rozsadzała go energia. Bała się, że przez jakąś banalną psotę narazi na niebezpieczeństwo całą rodzinę.

Zachowując te zmartwienia dla siebie, Tini odpisała na krótkie wiadomości od Fritza i Gustava, przekazując im wieści z domu. Uciułała dla nich trochę pieniędzy – dostała je od ludzi dobrej woli albo zarobiła, znajdując czasem nielegalne zatrudnienie. Napisała, że za nimi tęskni, i udawała, że wszystko jest w porządku.

□

Kurt zakradł się po schodach do przedsionka na parterze. Drzwi prowadzące na ulicę były otwarte. Wyjrzał przez nie. Jacyś chłopcy bawili się na skraju targowiska – jego dawni koledzy z czasów poprzedzających przyście nazistów. Obserwował ich z zazdrością, wiedząc, że nie może się do nich przyłączyć.

Dzieci z ulic wokół Karmelitermarkt tworzyły dawniej wesołą gromadę. W sobotę rano mama robiła Kurtowi kanapki, które pakowała do małego plecaka. Biegł do kolegów, a potem wędrowali po mieście jak zgraja pionierów, zapuszczając się do dalekich parków albo nad Dunaj, żeby popływać. Doskonała grupa przyjaciół, którym nigdy nie przyszłoby do głowy, że niektórzy z nich noszą piętno.

Świadomość, że część dzieci różni się od pozostałych, spadła na Kurta jak grom. Pewnego zimowego dnia jakiś chłopiec z Hitlerjugend nazwał go Żydem i popchnął na ziemię, a potem mocno wcisnął mu twarz w śnieg.

Niesprawiedliwość tej sytuacji utkwiała w sercu Kurta, gdy nienawiść okazał mu kolega. Kurt był wtedy z małą grupą rówieśników na targowisku – z tymi samymi chłopcami, których teraz obserwował – i jak zwykle się bawili. Najbardziej dominujący chłopak – jak to mają w zwyczaju dominujący chłopcy – nagle uznał jednak, że musi się na kimś

wyżyć, i upatrzył sobie Kurta. Obrzucił go antysemitkami wyzwiskami, które słyszał u dorosłych. Potem zaczął go ciągnąć za guziki płaszcza. Kurta niełatwo było jednak zastraszyć. Uderzył chłopaka. Ten, zszokowany, wyjął ze swojej małej hulajnogi metalowy pręt i sprzął nim Kurta tak mocno, że później matka musiała go zaprowadzić do szpitala. Pamiętała, jak na niego patrzyła, gdy opatrywano mu rany i guzy na głowie. Domyślała się, co niedługo nastąpi. Rodzice tamtego chłopaka poskarżyli się na policji. Kurt, Żyd, odważył się uderzyć Aryjczyka. To było przestępstwo. Kurta wypuszczono, ograniczając się do upomnienia – prawdopodobnie ze względu na jego młody wiek. Potem już wiedział, że w nowym świecie panują wrogość i niesprawiedliwość.

Było to zdumiewające miejsce i zostały mu po nim pojedyncze, wyraziste wspomnienia.

Jego matka nie ustawała w staraniach, by za niewielkie pieniądze, które udawało jej się zdobyć, zapewnić Kurtowi i Hercie ciepłe ubranie i coś do jedzenia. Korzystali z jadłodajni dla ubogich, a latem chodzili do gospodarstwa należącego do IKG, gdzie zbierali groch. W Wiedniu wciąż jeszcze było kilka zamożnych żydowskich rodzin, które oszczędnie gospodarowały pozostałymi im pieniędzmi, pomagając osobom pozbawionym środków do życia. Kurt był raz na kolacji u takiej rodziny. Matka solennie go przygotowała: „Siedź prosto, dobrze się zachowuj i rób, co ci każą”. Kurtowi smakował wspaniały posiłek. Oprócz brukselki. Nigdy wcześniej jej nie jadł i wydała mu się obrzydliwa, lecz był zbyt wystraszony, żeby zostawić ją na talerzu. Zaraz potem zwymiotował.

Jego życie towarzyskie skurczyło się do ciotek, wujów i kuzynów. Najbardziej lubił Jenni, starszą siostrę matki. Jenni nie wyszła za mąż. Była szwaczką i mieszkała z kotem. Mówiła dzieciom, że kot z nią rozmawia: ona zadawała mu jakieś pytanie, a on odpowiadał: „Mm-jaa”. Kurt nigdy nie był pewny, czy ciotka żartuje. Jenni miała dziecięce poczucie humoru i uwielbiała dzieci. Dawała mu pieniądze na kapiszony, żeby psuł szyki miejskiemu łapaczowi gołębi. Gdy mężczyzna próbował złapać ptaki w siatkę, Kurt strzelał z pistoletu, a one, trzepocząc skrzydłami, wzbijały się szarym obłokiem ku niebu, zostawiając łapacza z pustymi rękami.

Niektórzy krewni Kurta poślubili nie-Żydów i teraz żyli w niepewności. Zgodnie z prawem ich dzieci zostały sklasyfikowane jako *Mischlinge*, czyli mieszańcy. Jeden z kuzynów, Richard Wilczek, był jego najlepszym przyjacielem. Po anszlusie jego ojciec goj wysłał go razem z matką do

Holandii, gdzie mieli być bezpieczni. Teraz naziści też tam byli i Kurt nie wiedział, co się stało z Richardem. Patrząc na ulicę, czuł, że to już nie jest ten sam świat co kiedyś.

– O, tu jesteś! – powiedziała jego matka i Kurt odwrócił się skruszony, żeby na nią spojrzeć. – Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie wychodził sam na dwór? – Miała wychudłą, zalęknioną twarz i Kurt nie zwrócił jej uwagi, że tak właściwie to wcale nie wyszedł. – Musimy już iść. Biegnij po płaszcz.

Z Gestapo przyszedł jeden z regularnie wydawanych rozkazów, by wszyscy Żydzi z dzielnicy zgłosili się na jakąś kontrolę, rejestrację albo selekcję. Kurt wyczuwał strach matki i Herty. Jako jedyny mężczyzna pozostały w domu wymyślił plan, żeby je chronić. Miał nóż. Dostał go od innego kuzyna *Mischlinge*, Viktora Kapelarięgo, który mieszkał na w podmiejskiej dzielnicy Wiedeń-Döbling. Jego matka też była siostrą Tini, po ślubie przeszła na wiarę chrześcijańską. Obydwoje lubili Kurta i często zabierali go na ryby. Przyjemnym wspomnieniom Kurta z tych wypraw już zawsze miał towarzyszyć dręczący obraz ojca Viktora w chwili, gdy Kurt widział go po raz ostatni – ubranego w złowrogi szary mundur nazistowskiego oficera. Po jednej z wypraw na ryby Kurt wrócił do domu z należącym wcześniej do Viktora nożem myśliwskim z kościaną rączką.

Wkładając płaszcz, podczas gdy matka i Herta czekały, Kurt wsunął nóż do kieszeni. Naziści zabrali jego ojca i Fritza, gnębili jego siostry, wepchnęli mu twarz w śnieg, pobili go i powiedzieli, że to była jego wina. Wolno im było zrobić wszystko. Postanowił, że obroni przed nimi matkę i Hertę.

Wziął matkę za rękę i ruszyli w stronę komisariatu policji. Idąc, dotykał ostrza noża w kieszeni. Czuł niepokój matki. Wiedziała, że czasami wzywa się Żydów po to, żeby ich gdzieś wywieźć. Domyślał się, że właśnie tego się obawia, i czuł, jak w miarę zbliżania się do komisariatu jej obawy rosą. Chcąc ją uspokoić, pokazał jej nóż.

– Mamo, popatrz, obronię nas.

Tini była przerażona.

– Wyrzuć to! – syknęła.

– Ale... – bąknął zdumiony i wystraszony Kurt.

– Kurt, wyrzuć to, zanim ktoś zobaczy!

Nic nie mogło jej przekonać. Z ociąganiem wyrzucił nóż. Poszli dalej, a jemu z żalu prawie pękło serce.

Okazało się, że tego dnia Gestapo nie zrobiło im nic złego. Ale pewnego dnia mogło. Jak Kurt miał teraz chronić tych, których kochał? Co z nimi będzie?

□

Kolejny świt, kolejny apel, kolejny dzień. Więźniowie w pasiakach stali w szeregach na chłodnym letnim powietrzu, poruszając się, tylko gdy wydzielano im pożywienie, odzywając się, tylko by zareagować na swój numer. Każde złamanie apelowej dyscypliny, podobnie jak każde uchybienie nienagannemu porządkowi i czystości w baraku, oznaczało karę – pozory idealnego porządku skrywające bagno bestialskiego barbarzyństwa.

W końcu powolny rytuał dobiegł końca. Szeregi zaczęły się rozstępować, tworząc komanda robocze. Fritz rozglądał się w gęstniejącym tłumie i w końcu zobaczył ojca dołączającego do grupy pracującej w kamieniołomie.

Gustav miał chwilę wytchnienia w drugiej połowie zimy, gdy Gustav Herzog, jeden z młodszych żydowskich blokowych, zatrudnił go w charakterze sztubowego. Jako tapicer Gustav potrafił się obchodzić z materacami i miał smykałkę do dbania o porządek. Decyzja Herzoga była niezgodna z regulaminem i mogła ściągnąć karę na nich obu, lecz dzięki temu blok przechodził kontrole, a Gustav był bezpieczny przez dwa miesiące. Misja musiała jednak kiedyś dobiec końca i Gustava wysłano z powrotem do morderczego noszenia kamieni.

Fritz już z nim nie pracował, przeniesiono go do ogrodu warzywnego sąsiadującego z kompleksem farm – wciąż wykonywał ciężką pracę, lecz była nieskończenie lepsza i bezpieczniejsza niż w zabójczym kamieniołomie.

Teraz, gdy już razem nie mieszkali ani nie pracowali, Fritz rzadko widywał ojca, lecz spotykali się, gdy tylko mogli. Dzięki pieniądzom z domu mogli czasami kupić coś dobrego w więziennej kantynie, rozjaśniając swoją szarą codzienność.

Gdy Fritz szedł przez tłum w stronę swoich towarzyszy z grupy pracującej w ogrodzie warzywnym, starszy obozu ryknął:

– Więzień 7290 do głównej bramy, migiem!

Serce Fritza zamarło, jakby ktoś je ścisnął. Były tylko dwa powody, dla których na apelu wzywano więźnia pod bramę: kara albo skierowanie do kamieniołomu, gdzie miał zostać zamordowany.

– Więzień 7290! Pokaż się! Migiem do głównej bramy!

Fritz przecisnął się przez masę więźniów i pobiegł do bramy. Gustav z sercem w gardle odprowadzał go wzrokiem. Fritz zameldował się u adiutanta, porucznika SS Hermanna Hackmanna, bystrego, szczupłego młodego mężczyzny o chłopięcym uśmiechu skrywającym cyniczne, brutalne usposobienie. Esesman zmierzył Fritza wzrokiem od stóp do głów, kołysząc grubym bambusowym kijem, który zawsze miał przy sobie.

– Zaczekaj tu – rozkazał. – Odwróć się do ściany.

Wyszedł. Fritz stał obok budki wartowniczej w przyjęty w obozie sposób, wpatrując się w pobielone cegły przed swoim nosem, a komanda szły do pracy. W końcu, gdy wszyscy już wyszli, po Fritza przyszedł sierżant SS Schramm, jego Blockführer^[1].

– Chodź ze mną.

Schramm poprowadził chłopca do kompleksu administracyjnego wzniesionego niedaleko końca Drogi Krwi. Zostawił Fritza w budynku Gestapo, gdzie ten musiał długo stać na korytarzu, zanim wezwano go do pokoju.

– Zdejmij czapkę – polecił gestapowski urzędnik. – Kurtkę też. – Fritz wykonał polecenie. – Włóż to.

Urzędnik podał mu cywilną koszulę, krawat i marynarkę. Wszystko było za duże, zwłaszcza że Fritz bardzo schudł, lecz chłopiec ubrał się i starannie zawiązał krawat pod pogniecionym kołnierzykiem. Postawiono go przed aparatem fotograficznym i zrobiono mu zdjęcia ze wszystkich stron. Nie mając pojęcia, czemu służy ta dziwna procedura, Fritz patrzył w obiektyw z głęboką, wrogą podejrzliwością, a jego duże, piękne oczy płonęły gniewem.

Gdy było po wszystkim, rozkazano mu ponownie włożyć więzienne ubranie i biec do obozu. Usłuchał, ciesząc się, że pozostał w jednym kawałku, lecz nadal nie miał pojęcia, w jakim celu się to wszystko odbyło. Jego zdziwienie wzrosło, gdy został poinformowany, że przez resztę dnia nie musi pracować.

Siedział sam w pustym baraku i zastanawiał się. Ubranie prawdopodobnie miało stworzyć wrażenie, że mieszka w obozie jak

zwyczajny cywil, a nie jak więzień. Wszystko poza tym było dla niego zagadką.

Wieczorem, gdy do baraków wrócili zmęczeni i wymizerowani więźniowie, Gustav, który przez cały dzień odchodził od zmysłów ze strachu, chyłkiem przedostał się do bloku Fritza. Kiedy zajrzał przez drzwi i zobaczył syna, całego i zdrowego, poczuł olbrzymią ulgę. Fritz opowiedział mu, co się stało, ale ani oni dwaj, ani nikt z ich przyjaciół nie wiedzieli, co to może oznaczać. Szczególne traktowanie ze strony Gestapo na pewno nie wróżyło nic dobrego.

Kilka dni później sytuacja się powtórzyła. Fritza wywołano na apelu i zaprowadzono do biura Gestapo. Położono przed nim odbitkę jego zdjęcia. Wyglądało dziwnie: jego twarz z ogoloną głową, za duży garnitur i krawat. Jeśli miało to stwarzać wrażenie, że wiecie tu normalne życie, efekt był groteskowy. Rozkazano mu złożyć podpis: „Fritz Izrael Kleinmann”.

W końcu wyjawiono mu cel tej procedury. Jego matka zdobyła wymagane zaproszenie z Ameryki i złożyła wniosek o wypuszczenie Fritza z obozu, by mógł wyemigrować. Zdjęcie było potrzebne do dokumentów aplikacyjnych.

Wracał do obozu cały w skowronkach, po raz pierwszy od ośmiu miesięcy miał nadzieję.

□

„Przeszliśmy na nową kolonię w piękny, ciepły, prawie lipcowy dzień. Jeszcze nie zdążyły zblaknąć liście na drzewach, jeszcze zieleniły się trawy jakby w rozkwicie swojej drugiej młodości”.

Głos Stefana wypełniał pomieszczenie. Poza tym było słycać tylko szelest, gdy przewracał kartkę książki, którą czytał.

Fritz i inni chłopcy słuchali urzeczeni historii miejsca, które wydawało się tak podobne do tego, w którym żyli, i zarazem tak od niego inne. Słuchanie czytającego Stefana było jedną z ich nielicznych rozrywek. Nadzieja nadal tliła się w głębi umysłu Fritza, choć chłopak martwił się, że wniosek nie obejmował także jego taty. Drogi ich życia zaczynały się rozchodzić. Fritz odkrywał szerszy świat dzięki starszym więźniom, którzy mu pomagali i zostali jego przyjaciółmi.

Należał do nich przede wszystkim Leopold Moses, który pomógł Fritzowi przetrwać w pierwszych miesiącach pobytu w obozie i odtąd się z nim przyjaźnił. Fritz poznał go w kamieniołomie w czasie epidemii czerwonki. Leo zaproponował Fritzowi małe czarne tabletki: „Połknij je” – powiedział. „Zapobiegają sracze”. Fritz pokazał tabletki ojcu, który rozpoznał je z okresu spędzonego w okopach podczas wojny. Był to weterynaryjny węgiel i rzeczywiście pomagał. Leo Moses wziął Fritza pod swoje skrzydła, gdy chłopaka przeniesiono na blok młodzieży. Tam Fritz poznał historię jego życia. Leo był w obozach koncentracyjnych od samego początku. Ten robotnik z Drezna należał kiedyś do niemieckiej partii komunistycznej i został aresztowany, gdy tylko naziści przejęli władzę – na długo zanim żydowskie pochodzenie stało się wykroczeniem, za które aresztowano ludzi. Przez krótki czas był kapo w kolumnie przewozowej – jednym z pierwszych żydowskich kapo w Buchenwaldzie – ale brakowało mu tego, co jest niezbędne, by być poganiaczem niewolników. SS szybko go zdegradowało, wymierzając na pożegnanie dwadzieścia pięć uderzeń na „koźle”.

Za pośrednictwem Leo Fritz zaprzyjaźnił się z innymi weteranami wśród żydowskich więźniów. Na tym polegała sztuka przetrwania: „Nie na farcie ani na bożym błogosławieństwie” – wspominał później. Chodziło raczej o życzliwość innych ludzi. „Widzieli tylko żydowską gwiazdę na moich pasiakach i to, że jestem dzieckiem”. Podobnie jak inne dzieci często dostawał dodatkowe kąski jedzenia, a w razie potrzeby także leki. Wśród ich patriarchów był Gustav Herzog, ten, który zatrudnił ojca Fritza do utrzymywania porządku w baraku. Trzydziestodwuletni Gustl był młody jak na blokowego. Urodził się w zamożnej wiedeńskiej rodzinie, do której należała międzynarodowa agencja prasowa, i trafił do Buchenwaldu po „nocy kryształowej”. Największy szacunek Fritz miał jednak do Stefana Heymanna, zastępcy Gustla. Stefan miał twarz intelektualisty: wysokie czoło, okulary, wąską zuchwę i delikatne usta. W ostatniej wojnie był oficerem w niemieckiej armii, lecz jako aktywny komunista i Żyd znalazł się wśród pierwszych aresztowanych w 1933 roku i spędził w Dachau całe lata.

W te wieczory, gdy nie musieli pracować, Stefan opowiadał różne historie, by oderwać ich myśli od trudnej sytuacji. Tym razem czytał na głos cenną, zakazaną książkę *Poemat pedagogiczny* Antona Makarenki. Była to historia pracy Makarenki w sowieckich koloniach resocjalizacyjnych dla

młodocianych przestępców. Gdy Stefan czytał, a jego ściszony głos rozbrzmiewał w półmroku baraku, obozy dla chłopców budziły się do życia niczym magiczne idylle, wszechświat daleki od smutnej codzienności Buchenwaldu.

Niby wspaniała zasłona, nawisły nad Kołomakiem bujne, rozedrgane, szumiące korony drzew naszego parku. Wiele było tutaj cienistych, tajemniczych zakątków, gdzie można było kąpać się, marzyć o rusałkach, łowić ryby, a w ostateczności pograć się w tajemniczych szeptach z przyjacielem. Nasze główne budynki stały tuż nad wysokim brzegiem, a przedsiębiorcze i bezwstydnne skrzaty pędziły prosto z okien do rzeki, pozostawiając na parapecie swoje niewymyślne stroje.

Większość słuchających chłopców była sama, ich ojców już zabito, i wielu popadało w coraz większą apatię i otepienie. Słuchając jednak historii o innym, lepszym świecie, wracali do życia, emocjonowali się i cieszyli.

W Buchenwaldzie były też inne zakazane atrakcje kulturalne. Pewnego wieczoru Stefan i Gustl przyszli do baraku z tajemniczymi minami spiskowców. Kazali Fritzowi i innym chłopcom być cicho i poprowadzili ich przez obóz do magazynu odzieży, długiego budynku sąsiadującego z łaźnią.

Było tam cicho i spokojnie, na wieszakach i półkach roilo się od mundurów i ubrań skonfiskowanych nowym więźniom, tłumiących echo kroków. W środku zebrało się kilku starszych więźniów. Dali każdemu chłopcu kawałek chleba i trochę kawy z żołądździ, a potem zjawili się czterej inni więźniowie ze skrzypcami i drewnianymi instrumentami dętymi. W tym zatęchłym, wypełnionym ubraniami pomieszczeniu grali muzykę kameralną. Fritz po raz pierwszy usłyszał żwawą, zawadiacką melodię *Eine kleine Nachtmusik*. Wesoło podskakujące smyczki wniosły do magazynu życie i wywołały uśmiech na twarzach zebranych tam więźniów. Fritz pielęgnował wspomnienie tego wieczoru: „Przez bardzo krótki czas znowu byliśmy w stanie się śmiać”.

Pomijając tych kilka pożyczonych godzin, nie było okazji do śmiechu.

Praca przy uprawie warzyw, które sprzedawano na rynku w Weimarze albo więźniom w stołówce, była lepsza niż harówka w kamieniołomie, ale cięższa, niż chłopcy przypuszczali. Myśleli, że uda im się zwędzić kilka

marchewek, pomidorów i papryk, lecz nigdy nie dopuszczano ich do dojrzałych warzyw.

Uprawy były kontrolowane przez austriackiego oficera, porucznika SS o nazwisku Dumböck. Po zdelegalizowaniu partii nazistowskiej przebywał on na emigracji razem z Legionem Austriackim i teraz poświęcił się zemście polegającej na prześladowaniu austriackich Żydów. „Powinno się was powybić, świnie” – powtarzał im i z zapalem wcielał swoje przekonania w życie. Ponoć własnoręcznie zamordował czterdziestu więźniów.

Fritza skierowano do *Scheissetragen* – noszenia gówna. Musiał wybierać płynne fekalia z latryn dla więźniów i szamba, a potem zanosić je wiadrami na warzywne grządki. Trasę w obie strony należało pokonywać jak najszybciej, biegnąc z chlupoczącymi wiadrami pełnymi brejowatych odchodów. Jedynym zajęciem gorszym od noszenia gówna była praca w tak zwanej jednostce 4711, noszącej nazwę inspirowaną popularną w Niemczech wodą kolońską. Zadanie polegało na wydobywaniu odchodów z latryn – często gołymi rękami – i napełnianiu nimi wiader nosicieli gówna. Zwykle esesmani przydzielali je żydowskim intelektualistom i artystom.

Na szczęście chłopcy byli przyzwoicie traktowani przez swojego kapo Williego Kurza. Ten był bokser amator, mistrz wagi ciężkiej, był człowiekiem rozczarowanym – zasiadał kiedyś w radzie aryjskiego klubu sportowego w Wiedniu i poczuł się głęboko urażony, gdy władze przyjrzały się jego pochodzeniu i uznały go za Żyda.

Był dobry dla chłopców z podlegającej mu grupy. Pozwalał im pracować powoli i odpoczywać, gdy w pobliżu nie było esesmanów. Ilekroć zjawiał się jakiś strażnik, Willi ostentacyjnie demonstrował, jak popędza chłopców, wrzeszcząc na nich okrutnie i wymachując pałką, której jednak nigdy nie używał do bicia. Robił to w tak przekonujący sposób, że gdy Willi pilnował więźniów, strażnicy nie zawracali sobie głowy biciem ich.

Fritz cały czas myślał o zdjęciu i miał nadzieję.

אבא

– Lewa, dwa, trzy! Lewa, dwa, trzy!

Gustav ciągnął za sznur przełożony przez ramię. Nie było chwili przerwy, momentu wytchnienia – tylko ciągnięcie i krok, ciągnięcie i krok, przez całą wieczność. Po obu stronach inne bydłeta ciągnęły i szły, pocąc się w słońcu przenikającym przez gałęzie drzew. Dwadzieścia sześć żydowskich gwiazd, dwadzieścia sześć zagłodzonych prawie na śmierć ciał wlekło wyładowany kłodami wóz przez las, na wzgórze, po drodze gruntowej, a koła zgrzytały pod ciężarem.

Praca była żmudna, ale dla Gustava przeniesienie z zabójczego kamieniołomu do kolumny przewozowej było wybawieniem i zawdzięczał je Leo Mosesowi. Sytuacja w kamieniołomie jeszcze nigdy nie była tak zła. Więźniów codziennie pędzono na łańcuch straży, a sierżant Hinkelmann wymyślił nową torturę: jeśli ktoś padał z wyczerpania, Hinkelmann wlewał mu wodę do ust, aż człowiek się dławił. Tymczasem sierżant Blank zabawiał się rzucaniem kamieniami w więźniów wychodzących z kamieniołomu. Wielu obrywało i odnosiło rany, a niektórzy ginęli. Poza tym esesmani zaczęli wyłudzać pieniądze od pracujących w kamieniołomie Żydów, którzy dostawali je z domu. Co kilka dni każdy z mężczyzn musiał im płacić pięć marek i sześć papierosów, bo w przeciwnym razie obrywał. Mając do dyspozycji dwustu więźniów, strażnicy czerpali spory dochód w takich „dniach wypłaty”, choć kwota topniała z każdym mijającym tygodniem, ponieważ więźniów mordowano.

Dzięki wstawiennictwu Leo w lipcu przeniesiono Gustava z pola śmierci, którym był kamieniołom, do kolumny przewozowej. Całymi dniami transportowała ona materiały budowlane na terenie kompleksu obozowego – kłody z lasu, żwir z kamieniołomu, cement z magazynów. Kapo zmuszali pracujących do śpiewania, więc inni więźniowie nazywali ich *singende Pferde* – śpiewającymi końmi.

– Lewa, dwa, trzy! Lewa, dwa, trzy! Lewa, dwa, trzy! Śpiewać, świnie!

Ilekroć mijali któregoś ze strażników SS, wrzeszczał na nich:

– Dlaczego nie biegniecie, psy? Szybciej!

Mimo wszystko i tak było to lepsze niż kamieniołom. „To ciężka praca – napisał Gustav – ale człowiek ma więcej spokoju i nie jest zaszczuwany [...]. Każdy jest niewolnikiem własnych przyzwyczajęń i potrafi przywyknąć do wszystkiego. I tak to trwa, dzień po dniu”.

Koła się toczyły, „mężczyźni konie” śpiewali i dźwigali, kapo krzyczeli, nadając tempo, a dni mijały.

– Szybciej, żydowscy gówniarze! – krzyknął sierżant SS Schmidt na grupę mężczyzn biegających wokół placu apelowego.

Fritz i inni chłopcy, którzy biegli z przodu, przyspieszyli, by uniknąć ciosów, które Schmidt wymierzał każdemu, kto się ociągał. Niektórzy z biegnących zmagali się z bólem brzucha albo jąder, po tym jak Schmidt skopał ich na apelu za zbyt powolne udzielanie odpowiedzi.

– Biegiem! Biegiem, świnie, biegiem! Szybciej, zasrańcy!

Inni więźniowie wrócili do baraków, lecz tym z bloku trzeciego kazano zostać. Schmidt, ich Blockführer, znowu doszukał się uchybień podczas kontroli – niewłaściwie zaścielone posłanie, niedostatecznie czysta podłoga, niepochowane rzeczy – i znów spotkała ich kara: *Strafsport*. Przysadzisty i kluchowaty Schmidt był znanym krętaczem i sadystą. Miał stanowisko w więziennej stołówce i podprowadzał stamtąd ogromne ilości tytoniu i papierosów. Chłopcy z bloku trzeciego nazywali go „Gównianym Schmidtem”, nawiązując do jego ulubionego słowa.

– Biegiem! Marsz! Padnij... Powstań... Co za gówno, padnij jeszcze raz! A teraz biegiem! – Chlast! Jego batog spadał na plecy jakiegoś nieszczęśnika, który nie nadażał. – Biegiem!

Minęły dwie godziny, gorące słońce zachodziło i na placu robiło się chłodniej. Mężczyźni i chłopcy pocili się i dyszeli. Wreszcie Schmidt odprawił ich, przeklinając, i wrócili na swój blok.

Wygłodniali, usiedli do jedyne go ciepłego posiłku tego dnia: zupy z brukwi. Jeśli im się poszczęściło, mogli w niej znaleźć jakiś skrawek mięsa.

Fritz skończył jeść i już miał wstać, lecz Gustl Herzog kazał chłopcom zostać.

– Muszę z wami porozmawiać – powiedział. – Nie możecie tak szybko biegać w czasie *Strafsportu*. Kiedy szybko biegniecie, wasi ojcowie nie nadażą i obrywają od Schmidta za ociąganie się.

Chłopcom zrobiło się wstyd, ale co mogli poradzić? Ktoś zawsze musiał oberwać za to, że biegł najwolniej. Gustl i Stefan podsunęli im rozwiązanie.

– Biegnijcie tak: podnoście kolana wyżej, róbcie mniejsze kroki. Dzięki temu wyglądacie, jakbyście biegli najszybciej, jak umiecie, ale tak naprawdę przemieszczacie się powoli.

Pomysł okazał się wystarczająco dobry, by oszukać Gównianego Schmidta. Fritz uczył się, że drobne sztuczki weteranów – czasami

absurdalne – mogą przesądzać o różnicy między bezpieczeństwem a bólem albo między życiem a śmiercią.

Tymczasem, gdy Fritz pracował przy uprawie warzyw, a Gustav ciągnął wyładowany wóz, na świecie trwała wojna, powoli upływały kolejne miesiące i nadzieja na uwolnienie słabła. Złożony przez matkę Fritza wniosek o wypuszczenie syna, przez jakiś czas podtrzymujący go na duchu, zaczął rozpływać się w krainie beznadziei.

[1] Strażnik SS dowodzący blokiem.

PRZYCHYLNA DECYZJA

בת

W życiu Edith i Richarda wszystko się zmieniało. Zauważyli, że w kraju, który miał być ich schronieniem, rodzi się coś, co – jak im się wydawało – zostawili za sobą w Wiedniu.

W czerwcu 1940 roku spokojne zaplecze wojny zmieniło się w miejsce pełne bomb, krwi i śmierci – dziwna wojna ustąpiła miejsca bitwie o Anglię. Bombowce Luftwaffe codziennie atakowały lotniska i fabryki, a spitfire’y i hurricane’y usiłowały stawić im opór. RAF stał się siłami koalicji: do pilotów z Wielkiej Brytanii i Wspólnoty Narodów dołączyli emigranci z Polski, Francji, Belgii i Czechosłowacji. Wielka Brytania nadal lubiła uważać się za jednorodny naród, lecz rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej.

Prasa skupiła się na dwóch sprawach: postępach w wojnie i rosnących obawach związanych z infiltracją Wielkiej Brytanii przez niemieckich szpiegów i sabotażystów przygotowujących grunt pod inwazję. Plotki zaczęły krążyć w kwietniu. Gazety – z „Daily Mail” na czele – pomagały szerzyć paranoiczny strach przed piątą kolumną. Paranoja zmieniła się w histerię i wrogie oczy zwróciły się w stronę pięćdziesięciu pięciu tysięcy żydowskich uchodźców z Austrii i Niemiec. Było mało prawdopodobne, by ci mężczyźni, kobiety i dzieci szpiegowali na rzecz Hitlera, więc oszczędzono im internowania, lecz kiedy krajowi groziła inwazja, „Mail” i część polityków ostro domagali się, by w imię bezpieczeństwa narodowego rząd internował wszystkich obywateli Niemiec, bez względu na ich status.

Gdy w maju Churchill został premierem, rozszerzył kategorie osób podlegających internowaniu o członków Brytyjskiej Unii Faszystów, Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii oraz o irlandzkich i walijskich nacjonalistów. W czerwcu stracił cierpliwość i wydał rozkaz: „Zamknąć wszystkich!”. By uniknąć nadmiernego obciążenia infrastruktury, aresztowania miały się odbywać etapami. Etap pierwszy: Niemcy i Austriacy – zarówno Żydzi, jak i nie-Żydzi oraz antynaziści – którzy nie mieli statusu uchodźcy lub byli bezrobotni. W drugiej kolejności zamierzano zgarnąć wszystkich pozostałych Niemców i Austriaków mieszkających poza Londynem, a w trzeciej tych mieszkających w Londynie.

Churchill powiedział w parlamencie: „Wiem, że te rozkazy dotyczą bardzo wielu ludzi [...] będących zaciekłymi wrogami nazistowskich Niemiec. Bardzo mi przykro z ich powodu, ale nie możemy [...] poczynić wszystkich rozróżnień, których powinniśmy dokonać”. Pierwszy etap aresztowań zaczął się 24 czerwca.

Ludzie powtarzali antysemityczne oszczerstwa, które zawsze zaczynają krążyć w niespokojnych czasach: że Żydzi handlują na czarnym rynku, uchylają się od służby wojskowej, korzystają ze specjalnych przywilejów, mają więcej pieniędzy, lepsze jedzenie, lepsze ubrania. Rozpaczliwie pragnąc powstrzymać wzrost antysemityzmu, społeczność anglożydowska dostosowała się do nastrojów panujących w kraju. „Jewish Chronicle” z zapałem zalecała podjęcie „najsurowszych działań” przeciwko uchodźcom, w tym przeciw Żydom, i popierała rozszerzenie zakresu internowania. W brytyjskich synagogach przestano zezwalać na głoszenie kazań po niemiecku, a Rada Przedstawicieli Brytyjskich Żydów zaczęła ograniczać zebrania niemiecko-żydowskich uchodźców.

W Leeds obawy Edith rosły od miesięcy. Stworzyli z Richardem dom w mieszkaniu w dość zaniedbanym wiktoriańskim budynku niedaleko synagogi. Edith zrezygnowała z pracy u pani Brostoff i zatrudniła się jako sprzątaczką u mieszkającej nieopodal kobiety. Nie było to łatwe przedsięwzięcie, ponieważ zmiany w zatrudnieniu uchodźców należało zgłaszać w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, które miało je zatwierdzać. Richard dalej piekł koszerne herbatniki. Spodziewali się dziecka i powinni być szczęśliwi, lecz Edith dręczył głęboki niepokój. W Wielkiej Brytanii nie żyło się teraz przyjemnie osobom mówiącym z niemieckim akcentem. A ponieważ niemiecka inwazja wydawała się przesądzona, małżonków

nękał strach. Widzieli, jak szybko Austria uległa nazistom, i bardzo łatwo było sobie wyobrazić szturmowców na Chapeltown Road oraz Eichmanna lub jakiegoś innego potwora z SS wydającego rozkazy w ratuszu w Leeds.

Czując, że przyszła pora, by na dobre opuścić Europę, Edith wydobyla schowane zaproszenia od krewnych z Ameryki. Spytała w JRC, czy wciąż są ważne, skoro wyszła za mąż. Odpowiedź z Londynu przyszła dopiero po niemal dwóch tygodniach: nie, zaproszenia straciły ważność. Edith musiała napisać do swoich poręczycieli i poprosić o nowe. Co więcej, poręczyciele musieli rozszerzyć zaproszenia, uwzględniając także jej męża. Poza tym Edith i Richard musieli oczywiście postarać się o wizę w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Londynie. Podniebna wojna eskalowała nad ich głowami i groźba internowania rosła, więc małżonków czekał straszliwie długi proces.

Nie mieli jednak okazji się przekonać, ile dokładnie potrwa. Na początku lipca zaczął się drugi etap rządowego programu i policja z Leeds aresztowała Richarda.

Tylko łut szczęścia sprawił, że nie zabrano także Edith. Dla kobiet z dziećmi nie robiono wyjątku, ale dla ciężarnych owszem.

Richard miał dopiero dwadzieścia jeden lat, lecz nosił na ciele blizny z Dachau i Buchenwaldu. Uciekł do Wielkiej Brytanii, szukając tam schronienia. A teraz oderwano go od żony i nienarodzonego dziecka i został uwięziony przez ludzi, którzy powinni byli go chronić przed nazistami.

Edith natychmiast złożyła w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych wnioski o wypuszczenie męża. Nie był to łatwy proces, ponieważ internowani musieli udowodnić, że nie stanowią zagrożenia dla bezpieczeństwa i mogą wnieść pozytywny wkład w działania wojenne. Filie JRC, zarówno w Leeds, jak i w Londynie, lobbowały w ministerstwie w imieniu tysięcy uwięzionych. Wielu nie trafiło nawet do prawdziwych obozów z odpowiednią infrastrukturą – byli zbyt liczni, więc stworzono prowizoryczne ośrodki w opuszczonych przędzalniach bawełny, zamkniętych fabrykach, na torach wyścigowych i wszędzie, gdzie się dało. Wielu trafiło do głównego ośrodka internowania na wyspie Man. Niektórzy byli wystarczająco starzy, by pamiętać, że tak samo zaczynały się nazistowskie obozy koncentracyjne – Dachau stworzono w opuszczonej fabryce.

Mijały tygodnie lipca i sierpnia, ciąża Edith była coraz bardziej zaawansowana, lecz nie przychodziły żadne wieści. Napisała do JRC pod

koniec sierpnia, ale doradzono jej, by zaniechała wywierania dalszych nacisków. „Naszym zdaniem zrobiła Pani wszystko, co można zrobić w chwili obecnej, i uważamy, że interwencja ze strony naszego komitetu byłaby bardzo nierozsądna. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych poinformowało nas, że dodatkowe wnioski i zapytania [...] mogą opóźnić wydanie decyzji”.

Kilka dni później przesądzono jednak, że Richard pozostanie w areszcie.

Dla weterana obozów koncentracyjnych życie w obozie dla internowanych było stosunkowo łagodne. Nie musiał pracować, nie stosowano kar, nie było sadystycznych strażników. Internowani uprawiali sport, wydawali gazety, organizowali koncerty i tworzyli koła naukowe. Mimo wszystko byli jednak więźniami. I choć w obozach dla internowanych nie było strażników z SS, często zamykano Żydów razem z zatwardziałymi i mściwymi zwolennikami nazizmu. Dodatkową udręką dla Richarda była świadomość, że ciężarna Edith musi radzić sobie sama i bez jego pensji.

Na początku września Edith, będąca już w dziewiątym miesiącu ciąży, złożyła drugi wniosek o zwolnienie Richarda. W odpowiedzi przesłanej przez JRC przeczytała: „Szczерze wierzymy, że wniosek zostanie pozytywnie rozpatrzony”. Znow zaczęło się czekanie. Po dwóch tygodniach przyszło krótkie pismo z Departamentu do spraw Cudzoziemców w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, w którym zawiadamiano ją, że sprawa Richarda zostanie rozpatrzona „najszybciej, jak to możliwe”.

Dwa dni później zaczęły się skurcze porodowe. Edith trafiła do szpitala położniczego w Hyde Terrace w centrum Leeds, gdzie w środę 18 września urodziła zdrowego syna. Nadała mu imiona Peter John. Angielskie imiona dla urodzonego w Yorkshire angielskiego syna.

Gdy to najeżone trudnościami lato dobiegło końca i w społeczeństwie opadły emocje, opinia publiczna zwróciła się przeciwko internowaniu nieszkodliwych uchodźców. W lipcu płynący do Kanady statek z kilkoma tysiącami internowanych – między innymi Żydów – został zatopiony przez u-boota. Śmierć pasażerów sprawiła, że Wielka Brytania spojrzała na siebie krytycznie i uświadomiła sobie, w jaki sposób traktuje niewinnych ludzi tylko dlatego, że są obcokrajowcami. Polityka stopniowo zmieniła kierunek. W parlamencie politycy wyrazili ubolewanie w związku z tym, co zrobili w ataku paniki. Jeden z konserwatystów powiedział: „Pogłębiliśmy,

niechcący, wiem o tym, cierpienie wywołane przez tę wojnę, a robiąc to, w żaden sposób nie przyczyniliśmy się do poprawy skuteczności swoich działań wojennych”. Przedstawiciel Partii Pracy dodał: „Pamiętamy przerażenie, jakie wybuchło w tym kraju, kiedy Hitler umieścił Żydów, socjalistów i komunistów w obozach koncentracyjnych. Byliśmy tym zatrwożeni, ale z jakiegoś powodu uznaliśmy to za niemal oczywistość, kiedy robiliśmy to samo tym samym ludziom”.

Peter miał pięć dni, gdy do Edith przyszła wiadomość o wypuszczeniu Richarda.

אבא

Gustav otworzył swój notes i przerzucił kilka stron. Było ich tak niewiele – cały 1940 rok streszczony na zaledwie trzech stronach pokrytych ciasno jego wyraźnym pismem. „I tak mija czas” – napisał. „Wstaje się rano, wraca późno wieczorem, je, a potem od razu idzie spać. Tak mija rok pod znakiem pracy i kary”.

Nie zawsze od razu szło się spać. Major SS Arthur Rödl, zastępca komendanta, odpowiedzialny za główny obóz, wymyślił dla Żydów nową karę. Podczas gdy pozostali więźniowie szli do baraków, Żydzi co wieczór po powrocie z kopalni, ogrodów i placów budowy, wyczerpani i głodni, musieli stać na placu apelowym w świetle reflektorów i śpiewać.

Rödl, przemądrzały oszust, któremu niska inteligencja nie przeszkodziła w zdobyciu wysokiej pozycji w SS, uwielbiał słuchać występów swojego żydowskiego „chóru”. Orkiestra obozowa siedziała z boku i grała, a „chórmistrz” stał na górze żwiru na skraju placu i dyrygował.

– Jeszcze jeden kawałek! – wołał Rödl przez megafon, a zmęczeni więźniowie brali oddech i z wysiłkiem śpiewali kolejną piosenkę. Jeśli kiepsko im szło, major warczał przez megafon: – Otwierać gęby! Nie chce wam się śpiewać, świnię? Kłaść się, motłochu, i śpiewać!

Musieli się kłaść, bez względu na pogodę, w pyle, na piachu, w błotnistych kałużach albo w śniegu, i śpiewać. Blockführerzy chodzili między rzędami i kopali każdego, kto nie śpiewał wystarczająco głośno.

Ta męczarnia często trwała godzinami. Czasem Rödl się nudził i oznajmiał, że idzie na kolację, ale więźniowie musieli zostać i ćwiczyć.

– Jeśli nie zaśpiewacie, jak należy – zapowiedział im – zostaniecie tu i będziecie śpiewać całą noc.

Strażnicy SS, którzy nie byli zadowoleni, że muszą to nadzorować, wyładowywali złość na więźniach, kopiając ich i bijąc.

Najczęściej śpiewali *Buchenwaldzką piosenkę*. Był to poruszający utwór skomponowany przez wiedeńskiego kompozytora Hermanna Leopoldiego, ze słowami napisanymi przez uznanego tekściarza Fritza Löhnera-Bedę – obaj byli więźniami obozu. Tekst piosenki wysławiał odwagę w niedoli. Utwór powstał na specjalne zamówienie Rödl: „Wszystkie inne obozy mają swoje piosenki. W Buchenwaldzie też musimy mieć piosenkę”. Zaoferował, że temu, kto skomponuje utwór, wypłaci nagrodę w wysokości dziesięciu marek (nigdy nie wywiązał się z tej obietnicy), i był zachwycony rezultatem. Więźniowie śpiewali, idąc rano do pracy:

O, Buchenwaldzie, nie zapomnę o tobie,
Boś ty mi przeznaczony.
Tylko ten, kto cię poznał, wyobrazi sobie
Wolności cud upragniony!
O, Buchenwaldzie, skarżyć się nie chcemy,
I choć przyszłości nie znamy,
Wybieramy życie, bo mimo wszystko wiemy,
Że w końcu i my wolności doczekamy!

Rödl zupełnie nie zauważał pobrzmiwającego w tych słowach ducha oporu. „Przez słabość swego intelektu – wspominał Leopoldi – w ogóle nie widział, że w gruncie rzeczy była to piosenka rewolucyjna”. Rödl zlecił także napisanie „piosenki żydowskiej” z oszczerczym tekstem mówiącym o zbrodniach i nikczemności Żydów, lecz była „za głupia” nawet dla niego i zakazał jej śpiewania. Część oficerów wskrzesiła ją później i zmuszała więźniów, by śpiewali ją do późnego wieczora.

Mimo to najczęściej śpiewano właśnie *Buchenwaldzką piosenkę*. Żydzi wykonywali ją niezliczenie wiele razy na placu apelowym w świetle reflektorów. „Rödl lubił tańczyć w takt melodii – powiedział Leopoldi – gdy z jednej strony grała obozowa orkiestra, a z drugiej biczowano ludzi”. Śpiewając ją o świcie, w drodze do pracy, więźniowie wkładali w te słowa całą swoją odrazę i nienawiść do SS. Wielu umarło z *Buchenwaldzką piosenką* na ustach.

„Nie mogą nas zmiażdżyć” – napisał Gustav w swoim dzienniku. „Wojna nadal trwa”.

בן

Buchenwald rozrastał się miesiąc po miesiącu. Wśród resztek pochłanianego i wycinanego lasu budynki wyrastały jak jasny grzyb na zainfekowanych plecach Ettersbergu.

Baraki SS powoli utworzyły z dwupiętrowych bloków półokrąg, w którego centrum stało kasyno oficerskie. Były tam ładnie zaprojektowane wille z ogródkami dla oficerów, małe zoo, stajnie i obiekty przeznaczone do jazdy konnej, kompleksy garażowe oraz stacja benzynowa dla pojazdów SS. Stworzono nawet sokolarnię. Stała wśród drzew na stoku niedaleko kopalni, obejmując ptaszarnię, pawilon i teutoński dworek myśliwski z rzeźbieniami w dębowym drewnie oraz ogromnymi kominkami, wypełniony trofeami i ciężkimi meblami. Obiekt przeznaczono do osobistego użytku Hermanna Göringa, lecz ten nigdy się tam nie zjawił. SS było tak dumne z tego miejsca, że za opłatą w wysokości jednej marki miejscowi Niemcy mogli wejść do środka i pozwiedzać.

Wszystkie te budowle powstawały z okolicznych skał i drzew, zmieszanych z krwią więźniów, których ręce przносиły i układały kamienie, cegły i deski.

Gustav Kleinmann i inni niewolnicy ciągnęli na place budowy wyładowane wozy, a ręce jego syna i innych robotników wznosiły budynki. Niestrudzony opiekun Fritza Leo Moses znów wykorzystał swoje wpływy, by przenieść chłopca do grupy odpowiedzialnej za budowę garaży dla SS.

Kapo pierwszego komanda budowlanego realizującego ten projekt nazywał się Robert Siewert i był przyjacielem Leo Mosesa. Ten Niemiec polskiego pochodzenia nosił czerwony trójkąt oznaczający więźnia politycznego. W młodości był murarzem i w poprzedniej wojnie służył w armii niemieckiej. Jako zagorzały komunista był w latach dwudziestych członkiem saksońskiego parlamentu. W wieku pięćdziesięciu kilku lat emanował odpornością, siłą i energią: był krępy, miał szeroką twarz i wąskie oczy zwieńczone ciemnymi, gęstymi brwiami.

Początkowo praca polegała tylko na noszeniu – przynieś to, weź tamto i biegnij z tym gdzieś. Pięćdziesięciokilowy worek cementu ważył więcej

niż Fritz. Robotnicy na placu wkładali mu go na plecy, a on niósł cement chwiejnym krokiem, próbując biec tam, gdzie akurat był potrzebny. Nikt go jednak nie wyzywał ani nie bił. SS bardzo ceniło komando budowlane i Siewert mógł chronić swoich pracowników.

Mimo surowego wyglądu Robert Siewert miał dobre serce. Przydzielił Fritzowi lżejsze zadanie polegające na mieszaniu zaprawy murarskiej i nauczył go, jak zdobyć przychylność SS. „Musisz pracować oczami” – powiedział. „Jeśli widzisz, że zbliża się esesman, pracuj szybko. Ale jeśli żadnego z nich nie ma w pobliżu, nie spiesz się, oszczędzaj siły”. Fritz tak dobrze opanował sztukę wypatrywania strażników i demonstrowania wielkiego zapału do pracy, że zdobył reputację pracowitego chłopaka. Siewert pokazywał go kierownikowi budowy, sierżantowi SS Beckerowi, mówiąc: „Niech pan spojrzy, jak ten Żyd pilnie pracuje”.

Pewnego dnia Becker zjawił się na placu budowy ze swoim przełożonym porucznikiem SS Maxem Schobertem, zastępcą komendanta odpowiedzialnym za więźniów przebywających w areszcie ochronnym. Siewert kazał Fritzowi przerwać pracę i przedstawił go oficerowi, wychwalając jego wyniki. „Moglibyśmy szkolić żydowskich więźniów na murarzy” – zasugerował. Schobert, człowiek o twarzy brutala, wiecznie wykrzywionej w szyderczym uśmiechu, spojrzął na Fritza znad swojego wielkiego nosa. Propozycja Siewerta wcale mu się nie spodobała. Tyle zachodu, żeby wyszkolić Żydów! O nie, nie zamierzał na to pozwolić. Ziarno zostało jednak zasiane.

Gdy do Buchenwaldu przyjechały nowe oddziały SS, by wykorzystać pełen potencjał garnizonu, ziarno zaczęło kiełkować. Należało przyspieszyć prace, by dokończyć budowę baraków dla SS. Zadanie zdecydowanie przerastało możliwości obecnej siły roboczej. Siewert ponowił sugestię, tym razem kierując sprawę aż do komendanta Kocha. Ponarzekął, że brakuje mu murarzy. Jedynym rozwiązaniem było przyuczenie do murarki młodych Żydów. Koch zareagował tak samo jak Schobert. Siewert utrzymywał jednak, że bez pomocy zwyczajnie nie będzie w stanie wykonać pracy. Odpowiedź brzmiała jednak niezmiennie: „Żadnych Żydów”.

Siewert doszedł do wniosku, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko dowieść swojej racji. Fritz został jego uczniem. Na początek Siewert nauczył go budować łatwe ściany pod okiem aryjskich robotników. Rozciągnąwszy sznurek, który miał wyznaczać linię prostą, Fritz

rozsmarowywał zaprawę i kładł cegłę po cegle, starannie i równo. Fritz odziedziczył po ojcu smykałkę do rzemiosła i był pojętny. Opanował podstawy i nauczył się wznosić narożniki budynków, filary i przypory, a potem nadproża, kominki i kominy. Gdy padał deszcz, uczył się tynkowania. Siewert codziennie przychodził, by z nim porozmawiać i ocenić jego postępy. W ekspresowym tempie Fritz stał się całkiem niezłym kamieniarzem i budowląncem – pierwszym takim Żydem w Buchenwaldzie.

Jego postępy były tak imponujące, a potrzeba SS tak pilna, że komendant Koch ustąpił, pozwalając Siewertowi wdrożyć program szkoleniowy dla młodych Żydów, Polaków i Romów. Codziennie przez pół dnia pracowali na placu budowy, a drugą połowę spędzali w obozowym bloku, gdzie uczyli się teorii budownictwa. Nosili na rękawach zielone opaski z napisem „szkółka murarska” i korzystali z pewnych przywilejów. Szczególną radość sprawiał im przydział dodatkowej żywności dla robotników wykonujących ciężką pracę: dwa razy w tygodniu dostawali dodatkową rację chleba oraz pół kilo kaszanki albo pasztetu, które przynoszono im na plac budowy. Oprócz tego przysługiwał im standardowy przydział chleba, margaryny, łyżka twarogu albo dżemu z buraków, kawa z żołądźmi oraz zupa z kapusty albo brukwi.

Fritz uważał Roberta Siewerta za bohatera, ucieleśnienie ducha oporu i kwintesencję ludzkiej dobroci. Siewert najbardziej troszczył się o młodych i robił wszystko, co w jego mocy, by wyposażyć ich w umiejętności i wiedzę mogące ocalić im życie. „Mówił do nas jak ojciec – wspominał Fritz – cierpliwie i życzliwie”. Fritz zastanawiał się, skąd człowiek w tym wieku, po tylu latach w obozie, czerpie siłę.

Wraz z nadejściem zimy Siewert dostał pozwolenie, by rozstawić na placu budowy kosiaki zrobione z beczek po oleju. Potrzebę uzasadniał tym, że gips i zaprawa murarska mają tendencję do pęknięcia w niskiej temperaturze. Tak naprawdę zależało mu jednak na zdrowiu pracowników, którzy mieli na sobie jedynie cienkie więzienne pasiaki. Ten na wskroś ludzki i odważny człowiek nigdy nie zawodził, świadomie narażał się SS, interweniując w imieniu Żydów, Romów i Polaków.

Wpływy Siewerta nie sięgały jednak daleko poza plac budowy i szkołę murarską. Gdy tylko dzień pracy dobiegł końca, więźniowie wracali do obozu, gdzie zaczynało się maszerowanie ze śpiewem na ustach, bicie, głód i mordowanie dla kaprysu. Fritz patrzył na innych więźniów i cieszył się

w duchu, że przynajmniej jada lepiej niż oni i nie grozi mu wypchnięcie za łańcuch straży ani skopanie na śmierć. Rozpaczliwie tęsknił za ojcem, który codziennie harował w kolumnie przewozowej. Fritz odkładał, ile mógł, ze swoich dodatkowych racji żywnościowych, by przekazywać mu jedzenie podczas wieczornych spotkań.

Nowy status syna i związane z nim bezpieczeństwo uspokoiły Gustava. „Chłopiec jest lubiany przez wszystkich majstrów i kapo Roberta Siewerta” – napisał. „Bardzo nas wspiera Leo Moses, co daje nam jeszcze większe pokrzepienie”. Niezłomnie optymistyczny Gustav nabrał przekonania, że zdołają przetrwać tę męczarnię.

Na początku roku Fritza przeniesiono z bloku młodzieżowego do bloku 17, znajdującego się niedaleko bloku jego ojca. Trudno było się rozstać z przyjaciółmi, ale zmiana bardzo wpłynęła na osobowość chłopca – była kolejnym ważnym etapem na jego drodze do męskości. Więźniowie z bloku 17 byli austriackimi ważnymi i sławnymi osobistościami – *Prominenten*.

Większość z nich była politykami, lecz o wyższym statusie niż przeważająca część mężczyzn w obozie noszących czerwone trójkąty. Fritz kojarzył nazwiska niektórych z nich, były znane jego ojcu, w czasie gdy działał w partii socjaldemokratów. Wśród osadzonych był Robert Danneberg, żydowski socjalista, dawny przewodniczący wiedeńskiego Landtagu i jedna z czołowych postaci „czerwonego Wiednia” – złotego okresu socjalistów, który trwał od zakończenia pierwszej wojny światowej do przejścia władzy przez prawicowców w 1934 roku. Z powagą Danneberga kontrastowała wesołość na okrągłej twarzy Fritza Grünbauma, gwiazdy berlińskiej i wiedeńskiej sceny kabaretowej, konferansjera, scenarzysty, aktora filmowego i librecisty Franza Léhara (jednego z ulubionych kompozytorów Hitlera). Jako znany Żyd i satyryk drwiący z polityków Grünbaum został aresztowany przez nazistów tuż po anslusie. Starzejący się, drobny, ogolony na łyso mężczyzna w okularach ze szklami grubymi jak denka butelek przypominał z wyglądu Mahatmę Gandhiego. Wytrzymał pracę zarówno w kopalni, jak i przy latrynach, lecz podupadłszy przez nią na zdrowiu i na duchu, podjął nieudaną próbę samobójczą. Mimo wszystko udało mu się zachować pozory swojego dawnego ja i czasami występował przed innymi więźniami. Jego komentarz dotyczący trudnego losu Żyda brzmiał krótko i dosadnie: „Jaką mam korzyść ze swojego umysłu, skoro niszczy mnie moje własne nazwisko? Poeta o nazwisku Grünbaum jest przegrany”. Miał rację. Zginął kilka miesięcy później.

Fritz poznał także noszącego okulary, poważnego Fritza Löhnera-Bedę, autora przejmujących, prowokujących słów *Buchenwaldzkiej piosenki*. Löhner-Beda, podobnie jak Grünbaum, pisał libretta do operetek Léhara. Zawsze miał nadzieję, że Léhar, cieszący się wpływami zarówno u Hitlera, jak i u Goebbelsa, zdoła go uwolnić, lecz jego nadzieje okazały się płonne. Jego mękę pogłębiało to, że piosenki z operetek Léhara *Giuditta* i *Kraina uśmiechu* często puszczano przez obozowe megafony. Najwyraźniej SS nie miało pojęcia, że Löhner-Beda uczestniczył w ich powstawaniu. Co gorsza, puszczała także popularną piosenkę *Ich hab' mein Herz in Heidelberg verloren*, do której napisał słowa.

Jedną z najjaśniejszych postaci wśród *Prominenten* z bloku 17 był Ernst Federn, młody wiedeński psychoanalityk i trockista, który nosił czerwono-żółtą gwiazdę żydowskiego więźnia politycznego. Mimo złowrogiego wyglądu – ciężkie rysy i ogolona głowa upodobiły go wręcz do zbira – Ernst był niezwykle życzliwym człowiekiem. Każdy mógł z nim porozmawiać o swoich problemach. Nieuleczalny optymizm wyrobił mu reputację człowieka lekko szalonego, lecz jego postawa niesamowicie podnosiła na duchu innych więźniów.

W bloku 17 było wielu socjaldemokratów, chrześcijańskich socjalistów, trockistów i komunistów. Wieczorami w wolnym czasie młody Fritz słuchał ich rozmów o polityce, filozofii, wojnie... Były to wyrafinowane dyskusje intelektualistów i chłopak starał się zrozumieć ich treść. Wyzierała z nich przede wszystkim siła wiary w ideę Austrii. Mimo ich beznadziejnej sytuacji i utraty niezależności przez ich ojczyznę ludzi tych łączyła wspólna wizja przyszłej Austrii – wolnej od nazistowskiego panowania, odrodzonej i pięknej. Mężczyźni z bloku 17 byli przekonani, że Niemcy w końcu przegrają wojnę, mimo że strzępy informacji docierające do obozu wskazywały raczej, że naziści wygrywają na wszystkich frontach.

Wiara i odwaga Fritza rosły w świetle wizji lepszej przyszłości roztaczanej przez tych mężczyzn, choć przypuszczali, że tylko nieliczni z nich dożyją chwili, w której ta przyszłość się ziści. „Poczucie koleżeństwa, którego doświadczyłem na bloku 17, gruntownie zmieniło moje życie” – wspominał. „Poznałem formę solidarności niewyobrażalną w życiu poza obozami koncentracyjnymi”.

Ukoronowaniem czasu spędzonego przez Fritza na tym bloku była impreza urodzinowa Fritza Grünbauma, który przyszedł na świat tego samego dnia co Herta Kleinmann (kończyła właśnie osiemnaście lat).

Mężczyźni z bloku 17 odkładali część swoich racji żywnościowych, by zorganizować staremu towarzyszowi porządną kolację. Skradziono też trochę jedzenia z obozowych kuchni. Po posiłku Löhner-Beda wygłosił mowę, a Grünbaum zaśpiewał kilka zwrotek. Jako najmłodszy z obecnych Fritz mógł złożyć życzenia uwięzionej gwiazdce.

Co niedoszły tapicer z Leopoldstadt, który został murarzem, chłopak bawiący się kiedyś na Karmelitermarkt mógł mieć wspólnego z tymi politykami, intelektualistami i artystami? To, że wszyscy byli Austriakami z urodzenia albo z wyboru, oraz to, że byli Żydami. Tyle wystarczyło. W Buchenwaldzie tworzyli maleńki naród tych, którzy przetrwali, otoczeni zatrutym morzem.

I ciągle ktoś umierał.

Coraz częściej dochodziło do morderstw w kamieniołomie. Ginęło wielu przyjaciół Fritza albo jego ojca, niektórych znali jeszcze z Wiednia. W tym roku we wszystkich obozach koncentracyjnych liczba zgonów wśród więźniów wzrosła w zawrotnym tempie z tysiąca trzystu do czternastu tysięcy. Przyczyną była atmosfera wojny: podczas gdy Waffen-SS i Wehrmacht walczyły z wrogami Niemiec od Polski po kanał La Manche, Totenkopf SS w obozach czuło krew wrzącą w żyłach i toczyło zacieklą walkę przeciwko wewnętrznemu wrogowi. Wieści o zwycięstwach wojskowych doprowadzały do triumfalnych wybuchów agresji, a porażki – na przykład niemożność pokonania Wielkiej Brytanii, jedyne go wroga, który wciąż walczył – skłaniały do odwetu.

Pozbywanie się rosnącej liczby zwłok zaczęło być problemem i w 1940 roku SS przystąpiło do wyposażania obozów w krematoria. Krematorium w Buchenwaldzie było małym kwadratowym budynkiem z podwórkiem otoczonym wysokim murem. Z placu apelowego widać było komin w budowie, wznoszony cegła po cegle. Gdy był już gotowy, zaczął się z niego wydobywać gryzący dym. Od tego dnia dym ulatywał niemal bez przerwy. Czasami wiatr kierował go ku czubkom drzew, niejednokrotnie w stronę obozu. Jego zapach wyczuwało się nieustannie: gorzki odór śmierci.

W nowym roku po wielu frustrujących miesiącach Tini w końcu dostała odpowiedź z konsulatu Stanów Zjednoczonych w Wiedniu.

Od marca 1940 roku stale wzywano ludzi na rozmowy w sprawie emigracji, lecz jej poradzono, by zaczekała na wypuszczenie Gustava i Fritza, jeśli chce, by rodzina wyjechała razem. Ponieważ jednak SS nie wypuszczało więźniów, dopóki nie zebrali wszystkich niezbędnych dokumentów, by wyemigrować, było to beznadziejne błędne koło.

Nadesłano komplet zaproszeń. Problem polegał na zdobyciu amerykańskich wiz i ważnych biletów na podróż (za które oczywiście należało zapłacić). Poza tym trudno było to wszystko skoordynować. Dopóki Francja pozostawała wolna, można było wypłynąć z niej do Ameryki, lecz po niemieckiej inwazji francuskie porty zamknięto. Jesienią Lizbona stała się dostępna dla emigrantów, lecz jednocześnie konsul Stanów Zjednoczonych w Wiedniu zamroził wydawanie wiz. Stanowisko Roosevelta, który chciał zapewnić schronienie uchodźcom, osłabło w obliczu nasilającego się w Stanach Zjednoczonych antysemityzmu. Kapitulując pod naciskiem opinii publicznej, prezydent polecił Departamentowi Stanu zmniejszyć liczbę wiz prawie do zera. „Koniec z cudzoziemcami”. Konsulat nadal wzywał wnioskodawców na rozmowy, co samo w sobie było męczarnią, ponieważ wymagało poniesienia kosztu dokumentów poświadczonych notarialnie, policyjnych zaświadczeń, biletów na parowiec, miejscowych podatków antyżydowskich. Podczas ostatniej rozmowy, gdy niemożącemu się doczekać wyjazdu wnioskodawcy jakimś cudem udało się zebrać wszystkie dokumenty, dowiadywał się, że nie zdołał wykazać, iż jest w stanie wnieść jakiś wkład w funkcjonowanie Stanów Zjednoczonych i w związku z tym prawdopodobnie stanie się „ciężarem dla społeczeństwa”. Odmawiano przyznania wizy.

Od października 1940 roku właściwie wszyscy, którzy złożyli wniosek o wizę – ludzie żyjący w ciągłym strachu, doprowadziwszy się do ruiny, by spełnić wymogi biurokracji – odchodzili z kwitkiem. Tini była bliska rozpacz. „Mamy wszystko – napisała do German Jewish Children’s Aid (Organizacja Pomocy Dzieciom Niemieckich Żydów) w Nowym Jorku – lecz żadne z nas nie wyemigrowało [...]. Nasz miejscowy konsul nie udziela należytych odpowiedzi na pytania”. Nie potrafiła zrozumieć niekończącej się frustracji. Jej mąż był wykwalifikowanym, ciężko pracującym człowiekiem i dostali z Ameryki mnóstwo zaproszeń.

Miała jedynie nadzieję, że uda się wyjechać dzieciom. Na początku 1941 roku w życiu Tini nastąpił przełom. Jej dawna przyjaciółka Alma Maurer, która była na jej ślubie z Gustavem, a teraz mieszkała w Massachusetts, zdobyła zaproszenie dla Kurta od wysoko postawionego żydowskiego dżentelmena z miasteczka, w którym mieszkała – był to ni mniej, ni więcej, tylko pan sędzia. Potem zdarzył się cud: Stany Zjednoczone wyraziły chęć zrobienia wyjątku dla niewielkiej grupy żydowskich dzieci. We współpracy z GJCA zamierzano umieścić ograniczoną liczbę niepełnoletnich bez rodziców w domach odpowiednich żydowskich rodzin w Stanach Zjednoczonych. Kurt został przyjęty.

Zarówno Tini, jak i Herta cierpiały, żegnając się z chłopcem, lecz był to jedyny sposób, by zapewnić mu bezpieczeństwo. Przyszła jeszcze jedna dobra wiadomość: choć Herta nie kwalifikowała się do wyjazdu w grupie dzieci, uprzejmy dżentelmen z Massachusetts był gotów zasponsorować jej podróż, gdyby udało jej się zdobyć niezbędną wizę.

NOWY ŚWIAT

אבא

Ettersberg tkwił pod zachmurzonym szarym niebem, przykryty grubą warstwą śniegu, który złagodził zarys baraków i ogrodzenia najeżonego wieżyczkami wartowniczymi, lecz nie zakrył go całkowicie.

Gustav oparł się na łopacie. Kapo był akurat odwrócony plecami i Gustav wykorzystał tę chwilę, by odetchnąć. Jego gołe dłonie posiniały, a kiedy w nie chuchał, nie czuł ciepła – w ogóle nic nie czuł. Wiedział, że gdy wieczorem wróci do baraku i przenikliwe zimno wypłynie z jego kości, ręce będą go rwały potwornym bólem.

Nastał nowy rok, lecz w jego świecie nie zmieniało się nic z wyjątkiem pór roku i tego, że codziennie ktoś inny tracił życie. Dym z krematorium unosił się w mroźnym powietrzu, wypełniając nosy więźniów wonią ich własnej przeszłości.

Gustav poczuł, że kapo się do niego odwraca, i zanim dosięgnął go wzrok mężczyzny, już machał łopatą. Śnieg zakłócał pracę kolumny przewozowej: grupa więźniów codziennie odśnieżała obozowe ulice i wywoziła śnieg, lecz nocą natura znów je zasypywała.

Światło powoli gasło. Nikt nie patrzył, więc Gustav znów odpoczął. Spojrzał na niebo na południowym wschodzie, poprzecinane marmurowymi żyłkami szarości i nakrapiane spadającymi płatkami śniegu, wysmarowane dymem. Gdzieś tam, daleko za tymi płotami i lasami, był jego dom z jego żoną, Hertą i małym Kurtem. Co teraz robili? Czy byli bezpieczni? Było im ciepło czy zimno? Bali się czy mieli nadzieję? Rozpaczali? Wciąż dostawali z Fritzem listy od Tini, ale nie mogło to zastąpić bycia w domu.

Gustav oderwał wzrok od nieba, schylił się i wbił łopatę w śnieg.

ן

Niebo nad głową Kurta było ciepłe i błękitne, połyskiwało nakrapianymi słońcem liśćmi kasztanowców upstrzonych śnieżnobiałymi kwiatami. Szedł noga za nogą, popatrując w górę i przyprawiając się o przyjemny zawrót głowy.

Spojrzał przed siebie i uświadomił sobie, że został w tyle za resztą rodziny. Rodzice szli pod rękę, Fritz kroczył niespiesznie, trzymając ręce w kieszeniach, Herta poruszała się z gracją, wyprostowana Edith wyglądała elegancko.

Spędzili ranek w Prater i Kurta przepełniała radość. Tyle razy zjechał pędem z dużej zjeżdżalni, że stracił rachubę – jeśli pomogło się mężczyźnie z obsługi wnieść sterty mat z powrotem na górę, można było zjechać za darmo, więc Kurt, Fritz i inne dzieci z mniej zamożnych domów zawsze zaliczali w ten sposób kilka kursów. Teraz, idąc po Hauptallee, szerokiej alei biegnącej przez park Prater, Kurt dostarczał sobie rozrywki, stąpając jedną nogą po ścieżce, a drugą po trawiastym pasie oddzielającym ją od drogi. Był tak zaabsorbowany, że nie zauważył, jak reszta rodziny coraz bardziej się oddala. Nucił pod nosem, rozkoszując się podskakiwaniem przy każdym kroku. Zupełnie stracił poczucie czasu i gdy znów spojrzał przed siebie, był już sam.

Natychmiast poczuł w piersi dreszcz przerażenia. Miał przed sobą rzędy drzew ciągnące się w siną dal, las po obu stronach, inne rodziny, pary, rowery, powozy i samochody przejeżdżające ze świstem drogą. Między drzewami widział kolory wesołego miasteczka i jeszcze więcej ludzi, lecz nigdzie nie było znajomych postaci jego rodziców, sióstr ani Fritza. Zwyczajnie zniknęli, jakby ktoś ich zabrał.

Chwilowe przerażenie minęło. Nie było powodu do paniki. Kurt znał Prater jak twarz przyjaciela. Od domu dzielił go niespełna kilometr. Wiedział, że trafi. Hauptallee wychodziła na Praterstern, olbrzymie gwiazdziste rondo, przy którym spotykało się siedem bulwarów i alei. W porównaniu ze spokojnym parkiem był to hałaśliwy wir: ciężarówki, samochody i tramwaje sunęły z warkotem z lewej na prawą, wylewając się na rondo z pobliskich bulwarów. Na chodnikach roiło się od ludzi.

Kurt uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, co robić. Przechodził tędy niezliczenie wiele razy, lecz zawsze z kimś dorosłym albo ze starszym rodzeństwem. Nigdy nie musiał zwracać uwagi na to, jak się przedostać przez ten strumień.

Po chwili dobiegł go kobiecy głos. Spojrzał w górę i zobaczył jakąś panią, która przyglądała mu się z z troskaniem. „Zabłądziłeś?” – spytała. Cóż, właściwie to nie zabłądził. Znał drogę, ale nie wiedział, jak ją przebyć. Nie był też pewny, jak wytłumaczyć tę skomplikowaną sytuację. Zaniepokojona kobieta zmarszczyła brwi.

Zjawił się policjant, który szybko przejął kontrolę nad sytuacją. Wziął Kurta za rękę i poprowadził go z powrotem w stronę Prater, kierując się w lewo wzdłuż Ausstellungsstrasse. W końcu dotarli do komisariatu, olbrzymiego i bardzo poważnego budynku z czerwonej cegły i ciosanego kamienia. Wprowadzono Kurta w świat ciemnych mundurów i cichej, kompetentnej krzątaniny wypełnionej dziwnymi zapachami i dźwiękami. Kazano mu usiąść w biurze. Pracujący tam policjant uśmiechnął się do niego, porozmawiał z nim i chwilę się pobawili. Kurt miał pasek z kapiszonami i ku jego wielkiej radości policjant użył sprzączki swojego paska, by wystrzeliły wszystkie naraz. Echo wystrzałów wypełniło biuro jak dźwięk ognia z karabinu. Pochłonięty zabawą Kurt, zadowolony z towarzystwa policjanta, prawie nie zauważał upływu czasu.

– Kurt!

Odwrócił się gwałtownie, słysząc znajomy głos.

– Tu jesteś!

W drzwiach stała jego mama, a za nią zobaczył tatę. Poczował radość w sercu. Zerwał się z miejsca i z otwartymi ramionami pobiegł do matki.

□

Kurt obudził się roztrzęsiony, waliło mu serce. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. Jego uszy wypełniły się falą dźwięku, łomotem i klekotaniem. Pod sobą miał twardą drewnianą ławkę, a wokół obcych ludzi. Czuł rytmiczne kołysanie. Zauważył cienki portfel leżący na jego klatce piersiowej i wszystko sobie przypomniał.

Był w pociągu wiozącym go ku nowemu życiu.

Na zbitej z desek ławce zdrętwiały mu plecy, ale był tak zmęczony, że ogarnęła go senność i osunął się na siedzącego obok pasażera. Wyprostował się i dotknął portfela. Pamiętał, jak matka zawieszała mu go na szyi.

Obraz był wyraźny: znajdowali się w kuchni. Matka posadziła go na stole – na tej samej zniszczonej powierzchni, przy której kiedyś pomagał jej wałkować ciasto na kluski do rosółu. Widział ją, jej twarz zapadniętą z głodu, naznaczoną zmartwieniem. Mówiła mu, jakie to ważne, żeby pilnował tego portfela. W środku były jego dokumenty. Teraz, w tym świecie, znaczyło to tyle, jakby w portfelu ukryto jego duszę – to zezwolenie na jego istnienie. Matka uśmiechnęła się i pocałowała go. „Dobrze się zachowuj, Kurt!” – powiedziała. „Kiedy już dotrzesz na miejsce, bądź grzecznym dzieckiem: nie psuć i bądź posłuszny, żeby pozwolili ci tam zostać”. Dała mu prezent, nowe organki, lśniąca i cudowne, a on przycisnął je do piersi...

...a potem już jej nie było. Zgasła w jego pamięci jak wyłączone światło.

Kurt spojrzał na ludzi w pociągu, na obcy wiejski krajobraz przepływający obok pod warstwą lutowego mrozu. Wiedział, że jest w pociągu z Berlina, gdzie odebrał w siedzibie GJCA resztę dokumentów i otrzymał niezbędne pieniądze na podróż – pięćdziesiąt nowiuteńkich dolarów amerykańskich spoczywało bezpiecznie w jego bagażu. Wiedział też, że przyjechał do Berlina z Wiednia innym pociągiem... ale wspomnienia z tej podróży blakły. Za jakiś czas – będzie tego żałował do końca życia – zupełnie zapomni, jak zegnał się z matką i z Hertą.

Dawne, znajome, ukochane życie stawało się już przeszłością, nieubłagane odchodziło do innego wymiaru. Albo może odwrotnie – to Wiedeń był prawdziwy i należał do przeszłości, a on, Kurt, został wepchnięty w to nierzeczywiste życie.

Pociągiem jechali przede wszystkim uchodźcy i większość z nich wydawała się Kurtowi stara. Było kilka rodzin z małymi dziećmi. Niemcy, Austriacy, węgierscy Żydzi, kilkoro Polaków. Matki szeptały do dzieci, a ich mężowie czytali, rozmawiali albo drzemali. Starszankowie w kapeluszach nasuniętych na czoło przechylali się we śnie, chrapiąc i wzdychając w swoje brody, a dzieci patrzyły na to wszystko z wytrzeszczonymi oczami albo przysypiały obok rodziców.

Co kilka stacji wszyscy musieli się przesiadać do innego pociągu, zaganiani przez policję albo żołnierzy do dostępnych wagonów. Czasami

Kurt trafiał do luksusowych przedziałów pierwszej klasy, innym razem do drugiej, lecz najczęściej lądował na twardych drewnianych ławkach w trzeciej. Kurt wolał ławki, bo przynajmniej siedziało się na nich, jak należy. Miejsca w pierwszej klasie miały po bokach podłokietniki i dzieci musiały siedzieć właśnie na nich, wciśnięte między dorosłych. Kilka razy Kurt tak rozpaczliwie pragnął wygody, że wspiał się na półkę na bagaż i rozciągnął na walizkach.

Oprócz niego w pociągu było jeszcze tylko dwoje dzieci bez opiekunów: chłopiec i dziewczynka. Kurt powoli ich poznawał. Chłopiec też pochodził z Wiednia i nazywał się Karl Kohn. Miał czternaście lat i wychował się w tej samej części Leopoldstadt co Kurt. Nosił okulary, wydawał się dość chorowity i był trochę mały jak na nastolatka. Dziewczynka nie mogłaby bardziej się od niego różnić. Rodzina Irmgard Salomon ze Stuttgartu należała do klasy średniej. Mimo że dziewczynka miała zaledwie jedenaście lat, przewyższała obu chłopców o całe pięć centymetrów. Połączona samotnością trójka zaprzyjaźniła się, gdy pociąg unosił ich wszystkich coraz dalej od domu.

XXX

Mieszkanie zmieniło się w pustą skorupę. Tam, gdzie niedawno była rodzina, zostały tylko dwie kobiety: jedna zaczynała się starzeć, druga dopiero rozkwitała. Tini miała czterdzieści siedem lat – w tym wieku powinna wyczekiwać przyszłości pełnej wnuków. Herta, której brakowało dwóch miesięcy do dziewiętnastych urodzin, powinna znaleźć pracę i zastanawiać się, za którego ze swoich wielbicieli mogłaby wyjść za mąż. Nie powinny siedzieć same w opuszczonym mieszkaniu, z którego ukradziono im nieliczny dobytek i ukochane osoby – męża, synów, córkę, ojca, braci, siostrę; wszyscy zostali stamtąd zabrani albo uciekli.

Wiedeń stał się miastem stref zakazanych, a mieszkanie – i tak miały szczęście, że pozwolono im je zatrzymać – zmieniło się w więzienie.

Pożegnanie z Kurtem było niewyobrażalnie bolesne. Był taki mały, taki drobny, zaledwie okruszek człowieka, który miał zostać wysłany w świat. Tini nie była w stanie towarzyszyć mu w drodze na pociąg – na peron wpuszczano wyłącznie osoby z dokumentami podróży – więc podobnie jak

Herta musiała pożegnać Kurta przed dworcem, a potem patrzeć z daleka, jak unosi go tłum uchodźców.

Zabrano jej krew z jej krwi, kość z jej kości, duszę z jej duszy. Kurt był jej nadzieją, czekał go jednak nowy początek w zupełnie nowym świecie. Może pewnego dnia wróci i Tini zobaczy zamiast niego nowego człowieka, ukształtowanego przez życie, które było jej zupełnie obce.



Kurt leżał na plecach i patrzył na gwiazdy. Nigdy w życiu nie widział takiego nieba – było głębsze, ciemniejsze, bardziej rozświetlone niż każde inne na ziemi: sklepienie niezmienione światłem stworzonym przez człowieka. Statek, sunący miarowo pod nim, spowijała czerń, był sam na przepastnej tafli oświetlonego jedynie gwiazdami czarnego oceanu.

Chłopiec czuł się jak ostatni ocalały z wielkiego exodusu. Po tym, jak pociąg dotarł do Lizbony, Kurt, Karl i Irmgard musieli tam czekać wiele tygodni. Miały do nich dołączyć dziesiątki innych dzieci, lecz gdy przyszła pora wyruszyć w rejs do Ameryki, stało się jasne, że reszta małych pasażerów nie dotrze. Prawdopodobnie utknęła w biurokratycznym gąszczu emigracji. Kurta, Karla i Irmgard zaprowadzono do doku, gdzie czekał na nich statek, wysoki niczym biurowiec, szczepiony z nabrzeżem grubymi cumami i trapami. SS Siboney nie był największym liniowcem pasażerskim, lecz cechował się pewną elegancją: miał dwa smukłe kominy i górne pokłady promenadowe ozdobione arkadami. Wzdłuż kadłuba widniały oznaczenia identyfikacyjne mające chronić statek przed niemieckimi u-bootami: olbrzymimi białymi literami napisano na nim: AMERICAN – EXPORT – LINES, dodając po obu stronach flagi Stanów Zjednoczonych.

Większość ludzi na pokładzie wyglądała na uchodźców – przewijało się wśród nich wiele znajomych twarzy z pociągu – byli tam też nieliczni turyści wracający z Europy oraz osoby podróżujące w interesach. Kurt i Karl poszli poszukać swojej kabiny i w końcu znaleźli ją w głębi statku, gdzie panowała nieprzyjemna duchota i głośno warczały silniki. Wracając na górę, by zaczerpnąć świeżego powietrza, patrzyli, jak Siboney odpływa od doku i młócąc wodę na pianę, zwraca dziób w stronę zachodu.

Kurt przez trzy godziny stał przy relingu, patrząc na przepastny ocean. Lizbona skurczyła się do plamki, potem Portugalia do okrucha, a jeszcze później cała Europa zmaląła i znikła za horyzontem. Poza zasięgiem wzroku, za Morzem Północnym, konwoje statków handlowych sunęły powoli na wschód ku Wielkiej Brytanii, eskortowane przez Królewską Marynarkę Wojenną krążącą niczym nerwowi pasterze. Na wschodzie u-booty wyslizgnęły się ze swoich bunkrów i przemierzały olbrzymi ocean z torpedami ulokowanymi w wyrzutniach. Siboney miała do ochrony jedynie namalowane oznaczenia.

Mimo zmęczenia Kurt nie mógł spać tej pierwszej nocy w hałaśliwej, przegrzanej kabinie, a następny dzień popsuła mu choroba morska. Zwracał wszystko oprócz owoców. Nie chcąc spędzać kolejnej nocy w kajucie, Kurt i Karl wzięli koce i wymknęli się na pokład. Nikt ich nie zatrzymał. Dziećmi miała się opiekować siostra Sneble, krępa nowojorczanka w średnim wieku, lecz była zajęta starszymi pasażerami.

W nocy zrobiło się chłodno, lecz owiniętym kocami chłopcom rozłożonym na leżakach było całkiem ciepło. Rozkoszowali się ciszą i świeżym powietrzem. Kurt patrzył na gwiazdy, rozmyślając o tej nowej sytuacji i o miejscu, do którego płynął. Znał ze szkoły kilka słów po angielsku: umiał powiedzieć *hello*, *yes* i *no*, a także *OK*, ale na tym jego umiejętności się kończyły. Jego klasa uczyła się kiedyś na pamięć wierszyka *Pat-a-cake, pat-a-cake, baker's man*, ale dla Kurta te słowa znaczyły niewiele. Jak na jego gust podróżujący statkiem Amerykanie po prostu niezrozumiale bełkotali.

Gdzieś z tyłu, za miejscem, w którym rozgwieżdżone niebo na wschodzie stykało się z czarną linią oceanu, był jego dom i jego rodzina. Nowiuteńkie organki, jego ostatnia namacalna więź z matką, przepadły. Gdy razem z innymi dziećmi czekał na przesiadkę gdzieś we Francji, rozmawiali z nimi i bawili się jacyś niemieccy żołnierze. Kurt pokazał im organki, a oni je wzięli i nie chcieli oddać. Może myśleli, że Żyd nie powinien mieć takiej ładnej rzeczy.



Nad Europą wisała chmura, kłębiąca się i rozbłyaskująca piorunami. Gdzieś na środku Atlantyku Siboney wypłynęła spod niej ku jasnemu

amerykańskiemu świtowi.

Kurta i Karla, wciąż śpiących na leżakach, obudziły kropelki zimnej wody – nie z oceanu, lecz z mopa marynarza szorującego pokład. Zabrali koce i wycofali się do kajuty.

Siostra Sneble jakimś cudem dowiedziała się o ich nocy pod gołym niebem. Udzieliła im reprimendy i nakazała spać odtąd w kabinie. Potem przez cały dzień biegali po statku, rozglądając się, bawiąc, zaprzyjaźniając z marynarzami, zapominając na chwilę o tym, co za sobą zostawili, i o niepewności związanej z tym, dokąd zmierzali.

Z Bermudów statek ruszył na północny zachód, zostawiając za sobą tropiki. Kurt wyczuł zmianę atmosfery na pokładzie. Ludzie szykowali się do najbardziej doniosłego w swoim życiu zejścia na ląd. W czwartek 27 marca 1941 roku koło południa, gdy Siboney przepływała między Staten Island a Long Island, każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko stali przy relingu.

Kurt wcisnął się między innych, by patrzeć na prześlizgujące się obok szare wody i odległy brzeg. Z dziobu statku widać było połyskliwy zarys Statuy Wolności, która rosła, przypominając początkowo mały szpikulec, aż w końcu zaczęła górować nad statkiem, jasnozielona i wspaniała. Statek wpłynął na rzekę Hudson, mijając wieżowcowy krajobraz Manhattanu. Dzieci i dorośli rozmawiali i z uśmiechem pokazywali sobie coś palcami. Wielu dostało małe flagi amerykańskie i podniosło je, łopoczące na wietrze, niczym malutkie, wątłe ofiary na rzecz nadziei.



Zmysły Kurta omal nie utonęły w ogromie Nowego Jorku. Kanarkowe taksówki z szerokimi czarnymi błotnikami terkotały przy krawężnikach, by potem z warkotem i złością dołączyć do nieustannego, hałaśliwego strumienia pojazdów, spierając się z podzwaniającymi tramwajami o skrzyżowanie z 42 Ulicą. Broadway i Times Square przypominały wnętrze pracującego na pełnych obrotach silnika z szeroko otwartą przepustnicą. Kurt ścisnął rękę pani z Children's Aid Society, jakby była kołem ratunkowym, gdy brnęli chodnikiem przez tłum spódnic i płaszczy, rozkołysanych parasolek i lasek, łopoczących gazet i fruującego popiołu z papierosów.

Było tu zupełnie inaczej niż w Wiedniu. Nowy Jork był nowoczesnością od fundamentów aż po niebo, miastem zbudowanym z samochodów, szkła, betonu oraz ludzi, ludzi, ludzi i jeszcze raz ludzi, którzy też wydawali się nowocześniejsi niż ci w Europie. Kurt i jego przyjaciele byli tu obcy w każdym sensie.

Gdy Siboney zacumowała przy nabrzeżu i przeprowadzono kontrolę lekarską, dzieci zeszyły na ląd, gdzie powitała ich pani z Hebrajskiego Stowarzyszenia Pomocy Imigrantom (HIAS) współpracującego z GJCA w zakresie pomagania uchodźcom. Tylko sytuacja Kurta była jasna. Karl i Irmgard nie mieli tu przyjaciół ani krewnych. Organizacja dobroczynna znalazła miejsce dla Irmgard w Nowym Jorku, a dla Karla w dalekim Chicago. Po nocy spędzonej w hotelu przyszła pora się rozstać. Kurt nigdy więcej nie zobaczył żadnego z dwojga przyjaciół.

717

Obok przemykały obce nazwy, pozbawione znaczenia dla austriackich oczu Kurta. Każda z nich była wspomnieniem po wcześniejszej fali pobożnych imigrantów tęskniących za rodzinnymi miastami: Greenwich, Stamford, Stratford, Old Lyme, New London, Warwick. Tory kolejowe ciągnęły się wzdłuż wybrzeża przez Connecticut do Providence i Rhode Island. Tam główna linia się kończyła.

Gdy Kurt wysiadł z pociągu, taszcząc walizkę, która towarzyszyła mu aż z Im Werd, powitała go kobieta mniej więcej w wieku jego matki, lecz w droższym ubraniu. Ku jego zaskoczeniu zwróciła się do niego po niemiecku, przedstawiając się jako pani Maurer, dawna przyjaciółka jego mamy. Razem z nią czekał na peronie mężczyzna w średnim wieku, któremu towarzyszyła inna kobieta. Obydwoje przyglądali mu się z powściągliwą życzliwością. Pani Maurer z szacunkiem przedstawiła dzentelmena jako sędziego Samuela Barneta, dobroczyńcę Kurta.

Sędzia Barnet miał około pięćdziesięciu lat, był dość niski i krępy, miał siwe, rzędzące włosy, olbrzymi, mięsisty nos, krzaczaste brwi i zwodniczo zaspane oczy. Wydawał się dość ponury, wręcz nieco oschły. Towarzysząca mu dama, niewiele wyższa od Kurta, była siostrą sędziego i miała na imię Kate. Podobnie jak brat odznaczała się schludnym wyglądem i tęgą

budową. Pani Maurer wyjaśniła, że Kurt u niej nie zamieszka – przyjął go do siebie sam sędzia Barnet.

Z Providence pojechali do Massachusetts, mijając niezliczone rzeki, ich zatoki i odnogi. W końcu dotarli do celu: do położonego u ujścia rzeki sporego miasteczka New Bedford. Ten południowo-wschodni kraniec stanu był niewielkim terenem gęsto zaludnionym imigrantami z Anglii, których ślady widniały prawie na każdym znaku z nazwą miejscowości w promieniu wielu mil, stąd do Bostonu przez Rochester, Taunton, Norfolk i Braintree. Kurt wiedział tylko tyle, że New Bedford było jeszcze mniej podobne do Wiednia niż Nowy Jork – miasteczko promów rzecznych i małych, eleganckich budynków użyteczności publicznej, przedziałni bawełny i długich alejek, wzdłuż których stały podmiejskie domy z szarego kamienia i białych desek, gdzie cicho warczały samochody, bawiły się dzieci, a stateczni mieszkańcy z godnością zajmowali się swoimi sprawami.

Można było się spodziewać, że Samuel Barnet, jako filar i podpora miasteczka – zwłaszcza jego żydowskiej społeczności – będzie onieśmielającą osobą mieszkającą w okazałej rezydencji na skraju New Bedford. Samochód skręcił jednak na podjazd zwyczajnego podmiejskiego domu przedstawicieli klasy średniej stojącego wśród innych, prawie takich samych, lecz nie identycznych budynków.

Kurt został przyjęty serdecznie, ale powściągliwie. Po pożegnaniu pani Maurer komunikacja stała się prawie niemożliwa. W takiej sytuacji wierszyk *Pat-a-cake, baker's man* był zupełnie nieprzydatny. Na szczęście gościa powitał nie tylko sędzia. Samuel Barnet od ponad dwudziestu lat był wdowcem. Mieszkały z nim trzy siostry w średnim wieku, zdeklarowane przeciwniczki małżeństwa. Kate, Esther i Sarah obwołały się ciotkami Kurta, przyjęły oszołomionego chłopca i pokazały mu jego pokój. Nigdy dotąd nie miał własnego pokoju.

Nazajutrz rano obudził się i ujrzał obok łóżka dziwną postać. Drobnutki chłopiec, mniej więcej trzyletni, ubrany w płaszczyk z wielbłądziej wełny, przyglądał mu się ze zdumieniem. Zjawa otworzyła usta, żeby coś powiedzieć... i trysnął z nich strumień niezrozumiałego angielskiego bełkotu. Dziecko najwidoczniej coś chciało albo czegoś oczekiwało, ale Kurt nie miał pojęcia, co by to mogło być. Zawiedziony chłopczyk posmutniał i wybuchnął płaczem. Odwrócił się do stojącej za nim dorosłej osoby i poskarżył się z płaczem, że Kurt nie chce z nim rozmawiać.

Kurt dowiedział się, że ten malec ma na imię David i jest synem Philipa, mieszkającego po sąsiedzku młodszego brata sędziego Barneta. Wszyscy razem tworzyli jeden wielki dom. W ciągu najbliższych kilku tygodni Kurt szybko i gładko się z nimi zasymilował. Wbrew ponurej aparycji wuj Sam – bo tak zaczął nazywać sędziego Barneta – okazał się najserdeczniejszym gospodarzem, jakiego mógłby sobie wymarzyć. Nigdy nie dopuszczał do tego, by Kurt poczuł się u niego obco. Po latach Kurt odkrył, że nie wszystkie dzieci miały tyle szczęścia co on. Wiele trafiło do nieprzyjaźnie nastawionych ludzi albo cierpiało z powodu antysemityzmu i antyniemieckich nastrojów w sąsiedztwie. Poznając New Bedford, Kurt zauważył, że Barnetowie są ważnymi postaciami w tamtejszej żydowskiej społeczności, w której wszyscy serdecznie go powitali.

Barnetowie byli konserwatywnymi Żydami^[1]. Kurt wychował się jednak w niezbyt religijnej rodzinie, dla której synagoga i Tora nie miały większego znaczenia, i oprócz tego znał jedynie ortodoksyjnych Żydów licznych w Leopoldstadt. Konserwatywni Żydzi – niekoniecznie konserwatywni w sensie politycznym – plasowali się gdzieś pośrodku: wierzyli w kultywowanie starych żydowskich tradycji, rytuałów i praw, lecz różnili się od ortodoksyjnych Żydów, ponieważ uznawali, że Tora została napisana ludzkimi rękoma i że prawo żydowskie wyewoluowało, by zaspokajać potrzeby ludzi.

W New Bedford zaczynała się wiosna i zazieleniły się drzewa rosnące wzdłuż ulic. Jeśli zmrużyło się oczy, można było sobie wyobrazić, że jest się na Hauptallee w parku Prater i że nic się nie zmieniło – że nie przyszli naziści, a rodzina wciąż jest razem. Kurt już czuł – mimo braku matki i ojca oraz Fritza, Herty i Edith, mimo olbrzymiej dzielącej go od nich odległości – że znalazł miejsce, które przypomina dom.

[1] Poza Stanami Zjednoczonymi konserwatywny judaizm jest znany pod nazwą Masorti.

NIEGODNI ŻYCIA

ΠΣ

Nikt nie wiedział, dlaczego zamordowano Philippa Hambera, lecz wszyscy słyszeli, jak do tego doszło. SS nie potrzebowało uzasadnienia dla swojej brutalności: wystarczyły kiepski humor, kac, pytające spojrzenie więźnia czy nawet sadystyczny impuls. Gdy sierżant SS Abraham powalił Philippa Hambera na ziemię i go zabił, świadkowie zapamiętali potworność tej sytuacji i okropne reperkusje, które ich potem dotknęły.

„W obozie znowu jest niespokojnie” – napisał Gustav. Ostatnio rzadko wyjmował swój dziennik z kryjówki. Ostatni wpis pochodził ze stycznia 1941 roku, gdy zajmowali się odśnieżaniem. Teraz była już wiosna. W ciągu tych kilku miesięcy więźniowie stali się mniej ulegli wobec przemocy SS.

Pod koniec lutego do obozu przyszedł transport kilkuset holenderskich Żydów. W Holandii dochodziło do gwałtownych starć między domorosłymi nazistami a żydowską społecznością. W Amsterdamie naziści mocno obrywali od młodych Żydów. SS aresztowało czterysta osób i wzięło je jako zakładników, co doprowadziło do fali strajków, paraliżując funkcjonowanie doków i rozpętując otwartą wojnę między strajkującymi a SS. Pod koniec miesiąca trzystu osiemdziesięciu dziewięciu żydowskich zakładników przewieziono do Buchenwaldu. Część zakwaterowano na bloku 17 i Fritz spędzał z nimi dużo czasu. Razem z przyjaciółmi starał się nauczyć Holendrów zasad obowiązujących w obozie, lecz na niewiele się to zdało. Byli to silni, odważni mężczyźni, których niełatwo było zastraszyć, i esesmani traktowali ich z bezprecedensową brutalnością. Wszystkich

skierowano do pracy w kamieniołomie i w ciągu pierwszych dwóch miesięcy zamordowano około pięćdziesięciu. Uznawszy wreszcie, że Holendrów nie da się szybko złamać, SS wysłało resztę z nich do słynącego z brutalności Mauthausen. Żaden stamtąd nie wrócił.

Po Holendrach został w obozie kiełkujący duch oporu zainspirowany ich wytrzymałością. Gdy zamordowano Philippa Hambera, wśród więźniów zapanowało niebezpieczne wrzenie.

Podobnie jak Gustav, Philipp był wiedeńczykiem i pracował w kolumnie przewozowej, lecz w innej grupie, pod rozkazami kapo o nazwisku Schwarz. Był tam też jego brat Eduard. Przed anszlusem Philipp i Eduard byli producentami telewizyjnymi. Mimo że nie przywykli do pracy fizycznej, przetrwali w Buchenwaldzie trzy lata. Tego wiosennego dnia ich komando dostarczało materiały na plac budowy. Tak się złożyło, że był tam akurat sierżant SS Abraham, jeden z najokrutniejszych i budzących największy strach Blockführerów w Buchenwaldzie. Coś zwróciło uwagę esesmana – niebaczne spojrzenie Philippa, jakiś błąd, być może upuszczony worek z cementem albo po prostu sposób, w jaki mężczyzna wyglądał lub się poruszał.

Rozwścieczony sierżant pchnął Philippa na ziemię i zaczął go kopać. Potem złapał bezradnego mężczyznę za kołnierz, przeciągnął go po błotnistym placu budowy i wrzucił do pełnego deszczówki dołu wykopanego pod fundament. Philipp miotał się i krztusił, a wtedy Abraham postawił nogę na jego głowie i wepchnął ją pod powierzchnię. Eduard razem z innymi więźniami patrzył z niemym przerażeniem, jak jego brat walczy o życie. Gwałtowne ruchy Philippa powoli słabły i w końcu jego ciało znieruchomiało.

Buchenwald przywykł do tego, że mordowanie jest stałym elementem codzienności. Więźniowie uczyli się z tym żyć i unikali zagrożenia najlepiej, jak umieli. Teraz jednak zaczynało w nich wzbierać oburzenie. Wieść o zabiciu Philippa Hambera rozprzestrzeniła się niczym ogień.

Gustav wydobył z ukrycia nieotwierany od dawna dziennik i napisał w nim, że Philippa „utopiono jak kota” i że więźniowie nie przyjęli tego spokojnie. Niepokoje i złość podsycił Eduard. Chciał sprawiedliwości dla swojego brata.

Sprzyjało mu to, że świadkiem morderstwa, do którego doszło na placu budowy w kompleksie SS, był cywil. Komendant Koch nie miał zatem innego wyjścia, jak tylko wpisać zgon do obozowego rejestru

i przeprowadzić dochodzenie. Jednocześnie Eduard złożył oficjalną skargę. Miał świadomość, że naraża się na niebezpieczeństwo. „Wiem, że zginę za to zeznanie – powiedział innemu więźniowi – ale może ci kryminaliści zaczną się trochę hamować, jeśli będą musieli obawiać się konsekwencji. Wtedy moja śmierć nie pójdzie na marne”.

Nie docenił SS. Na najbliższym apelu wszystkich towarzyszy Philippa z kolumny przewozowej podlegającej kapo Schwarzowi, w tym Eduarda, wezwano do bramy. Zapisano ich nazwiska i spytano, co się wydarzyło. Przerażeni, zaprzeczyli, że cokolwiek widzieli. Tylko Eduard uparcie podtrzymywał oskarżenie. Pozostałych odesłano do baraków, a jego jeszcze raz przesłuchali komendant Koch i obozowy lekarz. Koch zapewnił więźnia: „Chcemy poznać całą prawdę. Daję ci słowo honoru, że nic ci się nie stanie”. Eduard jeszcze raz opowiedział, jak Abraham zaatakował jego brata i brutalnie go utopił.

Pozwolili mu wrócić do bloku, lecz późnym wieczorem wezwano go ponownie i zaprowadzono do Bunkra – bloku więziennego zajmującego jedno skrzydło budynku przy bramie. Bunkier miał złą reputację. Dokonywały się tam tortury i morderstwa, a żaden Żyd, który tam trafił, nie wyszedł stamtąd żywy. Naczelnym strażnikiem i oprawcą w Bunkrze był sierżant SS Martin Sommer, którego chłopięcy wygląd zadawał kłam wieloletniej karierze w obozach koncentracyjnych. Wszyscy dobrze znali Sommera, ponieważ regularnie chłostał batogiem ofiary przywiązane do „kozła”.

Cztery dni później z Bunkra wyniesiono zwłoki Eduarda Hambera.

SS twierdziło, że popełnił samobójstwo, lecz powszechnie było wiadomo, że Sommer zamęczył go na śmierć.

Nie zdołało to jednak zadowolić SS. W ciągu następnych tygodni regularnie wywoływano na apelu trzech–czterech świadków z kolumny Schwarza i prowadzono ich do Bunkra. Tam przesłuchiwał ich zastępca komendanta Rödl (wspomniany wcześniej meloman) i nowy lekarz obozowy doktor SS Hans Eisele. Zapewniali więźniów, że jeśli będą mówili prawdę, nie mają się czego obawiać. Doskonale wiedząc, że to kłamstwo, przesłuchiwani uparcie zaprzeczali, że cokolwiek widzieli. Milczenie ich jednak nie ocaliło. Zamordowano wszystkich, co do jednego.

Gustav opisywał w dzienniku zniknięcia kolejnych mężczyzn: prowadzono ich do Bunkra „i zajmował się nimi sierżant Sommer: nawet

Lulu, vorarbeiterem^[1] z Berlina, oraz (jak twierdzi kapo Schwarz) Klugerem i Trommelschlägerem z Wiednia. I tak nasz bunt dogasa”.

Eduard Hamber poniósł bohaterską ofiarę, zakładając, że można pociągnąć SS do odpowiedzialności za popełnione zbrodnie albo że przynajmniej esesmani zaczną się tego obawiać. Dowiódł jednak tylko tego, że byli nietykalni i mieli nieograniczoną władzę.

XXX

Tini siedziała przy stole, przy którym kiedyś jadała cała jej rodzina. „Kochany Synku – napisała – bardzo się cieszę, że dobrze sobie radzisz i jesteś zdrowy. Naprawdę chciałabym usłyszeć, jak Ci minęły wakacje. Właściwie to trochę Ci zazdroszczę: tutaj nikt już nie może nigdzie wyjechać [...]. Bardzo bym się cieszyła, gdybym mogła teraz z Tobą być. Tutaj nie ma już żadnych przyjemności [...]”.

W maju jeszcze bardziej zaostrzono restrykcje nałożone na Żydów: na mocy rozporządzenia wzmacniającego i rozszerzającego obowiązujące przepisy zakazano Żydom chodzić do teatru, na koncerty, do muzeów i bibliotek, korzystać z obiektów sportowych i restauracji. Poza wyznaczoną porą nie mogli wchodzić do sklepów ani robić zakupów. Już wcześniej zabroniono im siadać na ławkach w miejscach publicznych, lecz teraz w ogóle stracili wstęp do parków. Rozporządzenie wprowadzało też nowe przepisy: Żydzi nie mogli wyjeżdżać z Wiednia bez specjalnego zezwolenia i zakazano im kierowania pytań do rządu. Surowo wzbroniono rozsiewania pogłosek o przesiedleniach i emigracji.

Tini wciąż nie ustawała w wysiłkach, by Herta i Fritz mogli wyjechać do Ameryki. Sytuacja była jednak trudniejsza niż kiedykolwiek dotąd. Tuż po wyjeździe Kurta Portugalia zawiesiła transmigrację przez wąskie gardło w Lizbonie i w czerwcu prezydent Roosevelt wstrzymał transfer funduszy ze Stanów Zjednoczonych do krajów Europy, paraliżując działalność agencji pomagających uchodźcom. W pierwszej połowie 1941 roku zaledwie czterystu dwudziestu dziewięciu wiedeńskim Żydom udało się wyemigrować do Stanów Zjednoczonych, a czterdzieści cztery tysiące zostały, rozpaczliwie usiłując uciec z tego miasta. W lipcu amerykańskie przepisy imigracyjne unieważniły jednak wszystkie przesłane zaproszenia.

Plany Tini wzięły w łeb. Mimo to wciąż próbowała. Wyniszczało ją to. W niektóre dni przygnębienie tak ją przytłaczało, że nie była w stanie zwlec się z łóżka. Niedawno do kilku rodzin z sąsiedztwa dotarły wiadomości, że ich najbliżsi zginęli w Buchenwaldzie – wszyscy byli tak prześladowani, że popełnili samobójstwo, przebiegając przez łańcuch straży. Tini codziennie spodziewała się podobnych wieści o Gustavie i Fritzu. Zadręczała się, wiedząc, do jak wyczerpującej pracy jest zmuszany jej mąż. „Nie jest już młody” – napisała. „Jak zdoła to wytrzymać?” Ilekroć list od męża lub syna się spóźniał, wpadała w panikę. Nie poddawała się zatem i walczyła dalej, nie chcąc porzucić nadziei, że przynajmniej Hertę zdoła wysłać w bezpieczne miejsce. Udawało jej się uciuć tak małe kwoty, że pokrycie niezbędnych opłat, zapłacenie podatków i łapówek były w zasadzie niemożliwe. Pracowała w sklepie spożywczym, ale szybko ją stamtąd zwolniono, ponieważ Żydówka nie była pełnoprawną obywatelką.

„Z każdym dniem życie robi się smutniejsze – napisała do Kurta – ale Ty jesteś naszym słońcem i naszym dzieckiem szczęścia, więc proszę, pisz często i szczegółowo [...]. Miliony całusów od Twojej siostry Hertę, która nieustannie o Tobie myśli”.

בן דוד

Sędzia Barnet nie zwlekał z wysłaniem podopiecznego do szkoły, mimo że Kurt nie znał angielskiego. Chłopiec szybko nauczył się języka, w dużej mierze dzięki korepetycjom u Ruthie, bratanicy Barnetów, która mieszkała u sędziego latem.

Ruthie skończyła college i zatrudniła się jako nauczycielka w Fairhaven po drugiej stronie ujścia rzeki. Codziennie po powrocie Kurta ze szkoły uczyła go angielskiego. Była dobrą nauczycielką, miłą i życzliwą, i z czasem Kurt zaczął ją uwielbiać. Stała się dla niego siostrą, która zastąpiła Edith i Hertę. Z kolei mieszkający po sąsiedzku kuzyn David stał się młodszym bratem, a w ich relacjach pobrzmiewały echa więzi Kurta z Fritzem.

W pierwszych miesiącach pobytu Kurta w miasteczku jego zdjęcie ukazało się w lokalnej gazecie, przeprowadzono z nim wywiad w radiu, a gdy w czerwcu skończył czwartą klasę, nauczyciel ustawił go na środku w pierwszym rzędzie do klasowej fotografii. Pierwszego lata w Ameryce,

gdy wciąż jeszcze próbował się odnaleźć w nowym otoczeniu, wysłano go na Camp Avoda, letni obóz ufundowany przez Sama i Phila Barnetów dla żydowskich chłopców z ubogich miast, na którym przekazywano im tradycyjne wartości.

Obóz zorganizowano wśród drzew nad Tispaquin Pond między New Bedford a Bostonem. Prosto urządzone domki otaczały boisko do bejsbolu. Kurt bawił się doskonale: uprawiał sport, pływał w ciepłych, płytkich wodach jeziora. W Wiedniu tylko pluskał się w Kanale Dunajskim, obwiązany w pasie sznurem, którego drugi koniec trzymał jeden z kolegów – tu nauczył się porządnie pływać. Gdyby Fritz mógł zobaczyć Camp Avoda, być może skojarzyłby mu się z rajem opisanym przez Makarenkę w *Poemacie pedagogicznym*.

Zwykle Kurt nie lubił pisać listów, lecz teraz bardzo dużo pisał do matki, przedstawiając jej ten cudowny nowy świat, który znalazł.

Tini chłoneła każdy szczegół wieści od syna, pokrzepiając się świadomością, że dwójka jej dzieci jest już bezpieczna. (Zakładała, że u Edith wszystko jest w porządku, mimo że od blisko dwóch lat nie miała z nią kontaktu). Nie mogła jednak pozbyć się obawy, że coś pójdzie nie tak, że z jakiegoś powodu idylla Kurta zostanie przerwana. „Proszę, bądź posłuszny – błagała – bądź radością wuja, niech opiekunowie Cię chwala [...]. Kochanie, proszę, bądź grzeczny”. Zdjęcie wśród dzieci Barnetów, które dostała od Kurta, sprawiło jej ogromną przyjemność. „Tak ładnie wyglądasz [...], jesteś taki przystojny i promieniejesz. Ledwie cię poznałam”.

Kurt tracił dawne życie w blasku nowego.

אבא

Na Ettersberg wróciło lato. „Teraz regularnie dostajemy z Fritzlem pieniądze z domu” – napisał Gustav. Było ich niewiele, lecz dzięki nim życie stawało się łatwiejsze do zniesienia. Od czasu do czasu Tini przysyłała też paczki z bezcennymi ubraniami – koszulami, bielizną, swetrem. Ilekroć przychodziła przesyłka, Gustava albo Fritza wzywano do biura, by pokwitowali jej odbiór, a zawartość wpisywano do ich kartotek.

W czasie pobytu w Buchenwaldzie miłość do syna wypełniła całe serce Gustava, podobnie jak duma z mężczyzny, którym się stawał – w czerwcu

miał skończyć osiemnaście lat. „Syn jest moją największą radością” – napisał. „Wzajemnie dodajemy sobie sił. Jesteśmy jednością, jesteśmy nierozłączni”.

W niedzielę 22 czerwca przekazano przez obozowe megafony doniosłe wieści. Rano Führer zaczął inwazję na Związek Radziecki. Była to największa akcja wojskowa w historii: trzy miliony żołnierzy na froncie ciągnącym się przez całą Rosję zamierzało pochłonąć ten kraj jak jedna olbrzymia fala.

„Codziennie ryczy radio” – napisał Gustav. Przez obozowy megafon, od początku źródło sporadycznych nieprzyjemnych hałasów – nazistowskiej propagandy, niemieckiej muzyki wojskowej, przerażających rozkazów i miażdżących morale ogłoszeń – teraz prawie bez ustanku słychać było berlińskie radio, chełpiące się zwycięskimi wieściami z frontu wschodniego. Triumfalne rozgromienie bolszewickich sił obrony przez potężną niemiecką armię, otoczenie rosyjskich oddziałów, zajmowanie kolejnych miast, przekraczanie rzek, zwycięstwo jakichś oddziałów Waffen-SS albo całego Wehrmachtu, poddanie się setek tysięcy sowieckich żołnierzy. Niemcy pożerały ospałego rosyjskiego niedźwiedzia jak wilk rozpruwający brzuch owcy.

Wśród Żydów pod nazistowskim panowaniem – zwłaszcza tych w gettach w Polsce – inwazja na Związek Radziecki wywołała promyk nadziei. Rosja mogła przecież zwyciężyć i uwolnić ich od tej żalosnej egzystencji. Na więźniów politycznych w obozach koncentracyjnych, w większości komunistów, wieści o sowieckich klęskach działały jednak przygnębiająco. „Polityczni chodzą ze zwieszonymi głowami” – zanotował Gustav.

Wśród więźniów znowu zrobiło się niespokojnie. Dochodziło do zakłóceń w czasie pracy, zdarzały się przypadki nieposłuszeństwa, drobne akty oporu. SS rozprawiało się z nimi tak jak dotąd. „Codziennie do obozu przynoszą zastrzelonych i zabitych” – napisał Gustav. Codziennie w krematorium przybywało pracy, a z komina wciąż wydobywał się dym.

W lipcu do Buchenwaldu dotarł nowy horror zwiastujący przyszłość. Miał być spowity zasłoną tajemnicy, lecz zasłona ta była cienka.

We wrześniu poprzedniego roku jakiś amerykański dziennikarz w Niemczech opisał „dziwną historię”, którą usłyszał z anonimowego źródła: „Gestapo przystąpiło w Rzeszy do systematycznej eliminacji ludzi z deficytami umysłowymi. Naziści nazywają to »śmiercią z litości«”.

Program pod kryptonimem „T4” obejmował specjalistyczne zakłady dla obłąkanych, wyposażone w komory gazowe, oraz ciężarówki z gazem jeżdżące od szpitala do szpitala i zbierające ludzi, których reżim uznał za „niegodnych życia”. Negatywny oddźwięk społeczny, zwłaszcza ze strony Kościoła, doprowadził do zawieszenia programu „T4”. Naziści zaczęli go zatem stosować wobec więźniów obozów koncentracyjnych. Nowy program, pod kryptonimem „Akcja 14f13”, miał się skupiać przede wszystkim na niepełnosprawnych więźniach żydowskiego pochodzenia. W Buchenwaldzie komendant Koch otrzymał tajny rozkaz od Himmlera: wszystkich „imbecylów i kalekich”, zwłaszcza Żydów, należało poddać eksterminacji.

Więźniowie w Buchenwaldzie po raz pierwszy usłyszeli o „Akcji 14f13”, gdy do obozu przyjechała mała grupa lekarzy, by zbadać więźniów. „Rozkazali nam stawić się w izbie chorych” – napisał Gustav. „Czuję, że dzieje się coś niedobrego. Jestem zdolny do pracy”.

Wybrano stu osiemdziesięciu siedmiu więźniów, sklasyfikowanych jako upośledzonych umysłowo, ślepych, głuchoniemych albo niepełnosprawnych. Wśród tych ostatnich znaleźli się ranni w wypadkach lub wskutek pobicia. Powiedziano im, że jadą do specjalnego obozu rehabilitacyjnego, gdzie odpowiednio się nimi zaopiekują i przydzielą lekką pracę w fabrykach tekstylnych. Więźniowie byli podejrzliwi, lecz wielu z nich – zwłaszcza ci najbardziej wymagający opieki – wolało wierzyć w dające nadzieję kłamstwa. Przyjechał transport i stu osiemdziesięciu siedmiu mężczyzn zabrano. „Pewnego ranka wróciły ich rzeczy” – napisał Gustav. Ponura przesyłka zawierała ubrania, protezy kończyn i okulary. „Teraz już wiemy, na czym polega ta gra: wszystkich zagazowali”. Był to pierwszy z sześciu transportów więźniów zamordowanych w ramach „Akcji 14f13”.

Jednocześnie komendant Koch wdrożył program dodatkowy: eliminację więźniów chorych na gruźlicę. Odpowiadał za to lekarz SS Hans Eisele. Więźniowie nazywali tego zajadłego antysemitę Spritzendoktorem – lekarzem od zastrzyków – dlatego że chętnie dawał śmiertelne zastrzyki chorym albo sprawiającym kłopoty Żydom. Nazywano go też Białą Śmiercią, ponieważ wykorzystywał więźniów do przeprowadzania wiwisekcji dla swojego osobistego oświecenia, zlecając eksperymentalne zastrzyki i zbędne operacje – nawet amputacje – a następnie mordował

ofiary. Miał zostać zapamiętany jako bodaj najokrutniejszy lekarz, jaki kiedykolwiek praktykował w Buchenwaldzie.

Plan narodził się, gdy z Dachau przyjechały dwa olbrzymie transporty więźniów. U pięciuset z nich zdiagnozowano gruźlicę – raczej na podstawie ogólnego wyglądu niż porządnego badania – i skierowano ich do izby chorych. Tam doktor Eisele natychmiast zabił ich zastrzykami z heksobarbitalem.

W kilka miesięcy w Buchenwaldzie zaszły nieodwracalne zmiany. Odtąd wszystko, co człowieka osłabiało – rana, choroba, niepełnosprawność – było równoznaczne z wyrokiem śmierci. Takie stany zawsze niosły ze sobą wielkie ryzyko, lecz teraz uznanie kogoś za niezdolnego do pracy albo „niegodnego życia” automatycznie powodowało wpisanie jego nazwiska na listę więźniów do eksterminacji.

Wtedy pojawili się pierwsi sowieccy jeńcy i otworzyły się wrota do kolejnego kręgu piekła.

Dla nazistów Żydzi i bolszewicy byli jednym i tym samym – Niemcy twierdzili, że Żydzi stworzyli i rozpowszechnili komunizm, a teraz krzewią go w ramach światowego kapitalistycznego spisku, w którym, choć można tu dostrzec sprzeczność, rzekomo również biorą udział. Takie wymysły zainspirowały inwazję na Związek Radziecki i morderczą kampanię, w której ramach za armią szły szwadrony, by zabijać dziesiątki tysięcy Żydów. Pojmany czerwonoarmistów, z których setki tysięcy wzięto do niewoli w pierwszych tygodniach inwazji, traktowano jak podludzi – jeśli nie Żydów, to żydowskich pachołków, zdegenerowanych i niebezpiecznych. Komisarzy politycznych, fanatycznych komunistów, intelektualistów i Żydów natychmiast zabijano. Zadanie to nie mogło przypaść obozom jenieckim, ponieważ istniało ryzyko, że wśród reszty jeńców wybuchnie panika. Dlatego SS postanowiło wykorzystać obozy koncentracyjne. Programowi dano kryptonim „Akcja 14f14”.

□

Pewnego dnia we wrześniu Fritz stał na apelu obok pozostałych mężczyzn z bloku 17. Jego ojciec stał w innej części placu z ludźmi ze swojego baraku. Przypominało to setki innych apelów, w których brali udział.

Żmudne wywoływanie numerów, odpowiedzi więźniów, ogłoszenia, rutynowe kary... aż nagle stało się coś zupełnie bezprecedensowego.

Tego dnia do Buchenwaldu przyjechał pierwszy transport sowieckich jeńców wojennych. Była to niewielka grupa: zaledwie piętnastu zagubionych, wystraszonych mężczyzn w zniszczonych mundurach Armii Czerwonej. Fritz przyglądał się z zaciekawieniem, jak sierżant Abraham (ten, który zamordował Philippa Hambera) i czterej inni strażnicy otaczają Rosjan i każą im wymaszerować z placu. Odprowadzało ich kilka tysięcy par oczu. Jednocześnie obozowa orkiestra stroiła instrumenty. Na rozkaz z podium muzycy zaczęli grać *Buchenwaldzką piosenkę*.

Śpiewanie na apelach tak bardzo weszło wszystkim w krew, że Fritz i jego towarzysze bez zastanowienia otworzyli usta, z których popłynęły słowa:

Gdy dzień się budzi, tu uśmiecha się słońce,
Maszerują kolumny na codzienny znój...

Wyteżając wzrok, Fritz patrzył, jak esesmani prowadzą Rosjan obok krematoriów w stronę tej części obozu, w której działała mała fabryka – Deutsche Ausrüstungswerke (DAW), gdzie więźniowie produkowali wojskowe wyposażenie dla niemieckiej armii. Za nią znajdowała się strzelnica SS. Jeńcy wojenni i strażnicy zniknęli z pola widzenia więźniów zgromadzonych na placu.

I las jest czarny, i czerwone są nieba,
W torbie niesiemy kawałeczek chleba,
A w sercach – w sercach tylko troski.

Tysiące głosów grzmiało nad obozem, prawie tłumiąc huk strzałów dobiegający zza fabryki.

Nikt więcej nie widział tych radzieckich żołnierzy. Dwa dni później do obozu przywieziono trzydziestu sześciu sowieckich jeńców. Więźniowie znowu musieli śpiewać, żeby zagłuszyć strzały.

„Mówią, że to byli komisarze – napisał Gustav – ale my wiemy swoje [...]. Nie sposób opisać, co czujemy: okropieństwu nie ma końca”.

Ta metoda egzekucji okazała się jednak zbyt mało wydajna, by podołać olbrzymiej liczbie Rosjan, których SS chciało się pozbyć. Dlatego podczas gdy małe grupy zabijano na strzelnicy, jednocześnie szykowano nowy obiekt. W lesie niedaleko drogi do kamieniołomu SS miało do dyspozycji

nieużywaną stajnię, w której ciężko pracowała grupa cieśli z komanda budowlanego. Działo tam Komando 99, a przeznaczenie obiektu, choć utrzymywane w tajemnicy, wkrótce wyszło na jaw. Odgrodzono też wtedy trzy bloki baraków w rogu głównego obozu, tworząc specjalne miejsce odosobnienia dla sowieckich jeńców, których zaczęto przywozić tysiącami.

Codziennie Rosjan wybranych do zlikwidowania prowadzono grupami do Komanda 99, gdzie dowiadywali się, że zostaną poddani badaniu lekarskiemu. Przechodzili pojedynczo przez pomieszczenia wypełnione akcesoriami medycznymi i ludźmi w białych fartuchach. Oglądano ich zęby, osłuchiwano serce i płuca, sprawdzano wzrok. Wreszcie prowadzono do pomieszczenia z zaznaczoną na ścianie skalą pomiarową. Skala zasłaniała wąską szparę na wysokości karku. Ukryto za nią pomieszczenie, w którym stał esesman uzbrojony w pistolet. Gdy mierzono wzrost więźnia, asystent stukał w przepierzenie, a schowany strażnik strzelał więźniowi w kark. Głośna muzyka w całym budynku tłumiła odgłos wystrzałów, a gdy prowadzono kolejną ofiarę, krew poprzedniej splukiwano z podłogi wodą ze szlauchu.

Fritz, Gustav i wszyscy pozostali więźniowie doskonale wiedzieli, jakiego rodzaju „korekty” (bo tak SS oficjalnie nazywało te egzekucje) przeprowadza się w dawnej stajni. Cieśle, którzy brali udział w dostosowaniu budynku do nowej funkcji, pracowali razem z Fritzem. Rosjanie przyjeżdżali codziennie całymi ciężarówkami i znikali. Wszyscy więźniowie widzieli, jak zamknięta ciężarówka jedzie z budynku Komanda 99 na wzgórze, zostawiając na drodze ślady krwi, i przecina plac, zmierzając ku krematorium. Po jakimś czasie ciężarówkę wyposażono w metalowy zbiornik, by zapobiegać wyciekom. Krematorium nie było w stanie sprostać takiej liczbie zwłok, więc musiano sprowadzić z Weimaru przenośne piece. Ustawiono je na skraju placu apelowego i palono ciała na oczach innych więźniów.

„Tymczasem nadal trwa rozstrzeliwanie” – napisał Gustav.

אִתָּם

Można by pomyśleć, że w takich warunkach człowiek w końcu tracił zdolność doświadczenia przerażenia. Na pewno używała się ona niczym ścierany kamień, stępała jak narzędzie, drętwiała jak kończyzna. Pod

niekończącymi się ranami i sińcami poczucie moralności na pewno się zabliźniało i twardniało.

W niektórych przypadkach być może tak było – w innych działało się odwrotnie. Nawet część esesmanów nie była w stanie tego wytrzymać. Strażnicy obozowi musieli na zmianę zajmować się ofiarami Komanda 99 i strzelać do nich z ukrycia. Przekonali się, że nieprzerwana zorganizowana rzeź to nie to samo co sporadyczne mordowanie, do którego przywykli. Wielu czerpało z tego przyjemność. Uważali się za żołnierzy, a zabijanie było ich wkładem w wojnę przeciwko bolszewickiemu żydostwu. Inni jednak załamywali się i próbowali unikać służby w Komandzie 99. Niektórzy w obliczu tej jatki mdleli albo przechodzili załamanie nerwowe. Kilku obawiało się, że jeśli sprawa się wyda – a było to nieuniknione – doprowadzi to do odwetu na niemieckich żołnierzach pojmanyh przez NKWD, sowiecki odpowiednik Gestapo.

Na więźniów z Buchenwaldu, będących świadkami „Akcji 14f14” i nierzadko zmuszanych do sprzątania po niej, miało to destrukcyjny, traumatyczny wpływ. Koniec męki był jednak jeszcze daleko.

U schyłku 1941 roku więźniów zaczęto poddawać śmiertelnym eksperymentom prowadzonym w celu stworzenia szczepionek dla niemieckich żołnierzy.

Wszyscy wiedzieli, że dzieje się coś złego, gdy odgrodzono blok 46 – jeden z dwupiętrowych baraków z kamienia niedaleko ogrodów warzywnych. Pewnego zimowego dnia po apelu adiutant wyjął listę i zanim zaczął wywoływać numery, przyjrzał się masie więźniów stojących w szeregach. Serce każdego mężczyzny zabiło szybciej. Ilekroć SS tworzyło jakąś listę, nie wróżyło to nic dobrego. Każdy wybrany człowiek bladł, gdy wywoływano jego numer.

Niepokój potęgowała obecność lekarza SS Erwina Dinga[2]. Ten zadbany niski mężczyzna o nerwowym sposobie bycia, służący wcześniej w Waffen-SS, słynął z nieudolności, zresztą podobnie jak jego zastępca kapitan SS Waldemar Hoven. Ten drugi, wyjątkowo przystojny mężczyzna, pracował kiedyś w Hollywood jako statysta. Nie miał kwalifikacji medycznych i był jeszcze bardziej niekompetentny niż Ding. Bardzo się jednak przydawał, gdy trzeba było robić śmiertelne zastrzyki z fenolu.

Wywołani więźniowie – mieszanina Żydów, Romów, więźniów politycznych i tych noszących zielone trójkąty – pomaszerowali do bloku 46 i zniknęli w środku.

O tym, co ich tam spotkało, reszta dowiedziała się, dopiero gdy wypuszczono tych, którzy przeżyli. Ding i Hoven wstrzyknęli więźniom surowicę tyfusu. Więźniowie natychmiast się rozchorowali: spuchli, bolała ich głowa, dostawali krwawych wysypek, tracili słuch, krwawili z nosa, bolały ich mięśnie i brzuch, doznawali paraliżu, wymiotowali. Wielu zmarło, a reszta była w żalonym stanie.

Regularnie wysyłano do bloku 46 kolejne grupy więźniów, rujnując im zdrowie i zabijając ich w imię nauki. Wśród więźniów wybranych na tę mękę znalazło się kilku starych przyjaciół Gustava z Wiednia. Ocaleni jednak, gdy wysokie dowództwo SS uznało za niewłaściwe wykorzystywanie żydowskiej krwi do tworzenia szczepionki, którą mieli dostawać niemieccy żołnierze. Żydów wykluczono z programu i wrócili do zwykłego piekła obozu.

וכתאם

Tini i Herta siedziały przy stole w kuchni, skupione na igłach i niciach. Reperowanie ubrań zawsze było elementem małżeńskiego życia Tini: przy niskich dochodach i czwórce dzieci ciągle było coś do zszycia i zacerowania. Teraz, miesiąc po miesiącu, ubrania jej i Herty coraz bardziej się zużywały, a igły pracowały po godzinach, by utrzymać je w jednym kawałku.

Tym razem jednak Tini i Herta nie reperowały ubrań. Pierwszego września 1941 roku Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ogłosiło w Berlinie, że od dziewiętnastego dnia miesiąca wszyscy Żydzi mieszkający w Niemczech i Austrii mają nosić przyszytą żółtą gwiazdę Dawida – *Judenstern*.

Wcześniej naziści wskrzesili tę średniowieczną praktykę w Polsce i na innych okupowanych terenach. Teraz uznano, że wszystkich Żydów, także tych pozostałych w ojczyźnie, należy pozbawić możliwości ukrywania się w społeczeństwie.

Podobnie jak ich sąsiedzi i krewni, Tini i Herta musiały iść do miejscowego punktu IKG po swoje gwiazdy. Wyprodukowano je w fabryce, drukując na rolkach materiału słowo „Jude” wypisane czarnymi literami stylizowanymi tak, by przypominały hebrajski. Każdemu przydzielono cztery takie naszywki. Zniewagę dopełniało to, że Żydzi

musieli za nie zapłacić: dziesięć fenigów za sztukę. IKG kupiło je od rządu w olbrzymich zwojach za pięć fenigów sztuka, a zysk przeznaczono na pokrycie kosztów administracyjnych.

Tini wciąż się nie poddawała i usiłowała wydostać Hertę z tego koszmaru. Do obozów wysyłano już dziewczęta w jej wieku, a nawet młodsze. Zdesperowana Tini napisała do sędziego Barneta w Ameryce, błagając o pomoc. Mimo że zaoferował wsparcie finansowe, te same przeszkody co zwykle uniemożliwiały Hercie zdobycie wizy. „Jestem zrozpaczona, że córka musi tu być. Wiem z nieoficjalnego źródła, że krewni w Stanach Zjednoczonych mogą słać do Waszyngtonu petycje, prosząc o wydanie wizy. Czy wolno mi prosić, by zrobił Pan coś takiego dla Herty? Nie chcę potem robić sobie wyrzutów, tak jak to było w przypadku Fritza”. Sam Barnet zareagował natychmiast, wypełniając niezbędne dokumenty i przeznaczając czterysta pięćdziesiąt dolarów na pokrycie wszystkich wydatków związanych z wyjazdem Herty. Biurokratyczny labirynt okazał się jednak zbyt zawily, a przeszkody niemożliwe do pokonania. Wizy nie wydano.

Igły raz po raz przechodziły przez tani żółty kreton z gwiazdami i wysłużoną wełnę płaszczy. Tini spojrzała na córkę. Herta była już w pełni kobietą – miała dziewiętnaście, prawie dwadzieścia lat, mniej więcej tyle, ile Edith, gdy wyjechała do Anglii. Była śliczna jak z obrazka. Pomyśleć tylko, jaka mogłaby być piękna, gdyby dostała ładne ubrania, zamiast żyć w takim niedostatku i strachu. Gdy Herta spojrzała na matkę, zobaczyła zmarszczki wyżłobione zmartwieniem i policzki zapadnięte z głodu.

W następnych tygodniach pojawienie się żółtych gwiazd w Wiedniu wywołało silne reakcje wśród nie-Żydów. Mieszkańcy, przywykli do myśli, że Żydzi w zasadzie zniknęli z kraju – olbrzymia ich liczba wyemigrowała, a tych rzekomo niebezpiecznych wywieziono do obozów – poczuli się teraz tak, jakby nagle wyrosły wśród nich tysiące nowych, oznakowanych Żydów, których wszyscy od razu mogli rozpoznać. Część ludzi wstydziła się tego, co zrobili naziści. Uważała wprawdzie, że słusznie odsunięto Żydów od życia publicznego, lecz z jakiegoś powodu stygmatyzowanie ich w tak widoczny sposób wydawało im się niewłaściwe. Sklepikarze, którzy dotąd byli gotowi dyskretnie sprzedawać produkty Żydom, obawiali się teraz, że inni klienci się o tym dowiedzą. Niektórzy się nie przejmowali, inni zaczęli zamykać drzwi przed ludźmi noszącymi żółtą gwiazdę. Ignorowanie części restrykcji przez Żydów o dość aryjskim wyglądzie stało

się niemożliwe. Pewni przedstawiciele społeczeństwa, wstrząśnięci tym, że w kraju zostało tak wielu Żydów, zaczęli się domagać podjęcia zdecydowanych działań. Odnosiło się wrażenie, że gorzej być nie może.

Ale oczywiście mogło. Nie dosięgli jeszcze dna – bynajmniej.

Dwudziestego trzeciego października dowódca Gestapo w Berlinie wydał rozkaz Policji Bezpieczeństwa w całej Rzeszy, zakazując wszystkim Żydom emigrowania z kraju – ze skutkiem natychmiastowym. Odtąd ich usuwanie z Rzeszy miało się odbywać wyłącznie poprzez przymusowe przesiedlenia do nowo utworzonych gett na wschodzie. Jedno pociągnięcie biurowatycznego pióra przekreśliło ostatnie nadzieje Tini związane z wyjazdem Herty.

W grudniu po ataku na Pearl Harbour Niemcy wypowiedziały wojnę Stanom Zjednoczonym i przepadły wszelkie szanse.

[1] Vorarbeiter pełnił półoficjalną funkcję i podlegał kapo.

[2] Później był znany jako Schuler albo Ding-Schuler.

TYSIĄC CAŁUSÓW

אבא

W Buchenwaldzie znów nastąpiła wiosna, trzecia w obozowym życiu Gustava i Fritza. Las ożywił się zielenią, śpiew kosów stanowił kontrapunkt dla skrzekliwego krakania kruków. Codziennie rano tuż po wschodzie słońca było słychać szuranie pił wrzynających się w pnie drzewa, stękanie trzymających je niewolników oraz wywarkiwane obelgi i rozkazy kapo i strażników. Potem rozlegał się krzyk i wielki buk albo dąb walił się na ziemię, a niewolnicy rzucali się na niego, przerabiając go szybko na belki i dywan z liści.

Gustav, już zmęczony, z ramionami obolałymi od dźwigania ciężarów, poruszał się wśród członków swojego komanda, zbierając belki, by przewieźć je na plac budowy. Dobrze sobie radził – został vorarbeiterem i kierował dwudziestoma sześcioma ludźmi. „Moi chłopcy są mi oddani – napisał – jesteśmy jak bracia i trzymamy się razem”. Przyjaźń była w obozie czymś cennym i często krótkotrwałym. W lutym kilku przyjaciół Gustava, „samiych silnych chłopaków”, odesłano kolejnym transportem „inwalidów”, a nazajutrz jak zwykle wróciły ich ubrania, protezy i okulary. „Każdy myśli, że jutro rano przyjdzie jego kolej. Codziennie, w każdej godzinie, mamy śmierć przed oczami”.

W lutym SS zamordowało rabina Arnolda Frankfurtera, który w 1917 roku udzielił ślubu Gustavowi i Tini. Chłostano go i dręczono, aż w końcu jego stare ciało nie mogło więcej znieść. We wraku, jaki z niego pozostał, trudno było rozpoznać korpulentnego brodatego rabina z dawnego Wiednia. Przed śmiercią Frankfurter poprosił przyjaciela, by przekazał jego żonie

i córkom tradycyjne błogosławieństwo w jidysz: *Zayt mir gezunt un shtark* – „bądźcie dla mnie zdrowe i silne”. Gustav bardzo wyraźnie pamiętał dzień swojego ślubu w małej, ładnej synagodze w Rossauer Kaserne, wielkich koszarach wojskowych w Wiedniu: on w mundurze galowym ze srebrnym medalem za odwagę lśniącym na piersi, Tini w kapeluszu z dużym rondem i w ciemnym płaszczu, niemal pulchna – przyjemna dla oka dojrzałość, którą z czasem wyrzeźbiły w niej dekady ubóstwa i macierzyństwa, jeszcze nie była jej udziałem.

Gustav zdjął czapkę i przesunął dłonią po szczecinie porastającej ogoloną głowę, spoglądając na baldachim z kołyszących się liści drzew. Czując coś przypominającego niewyraźny cień zadowolenia, włożył czapkę z powrotem i westchnął. „W lesie jest cudownie” – napisał w dzienniku. „Gdybyśmy tylko byli wolni. Ale cały czas mamy drut przed oczami”.

W tym okresie praca była jeszcze bardziej wyczerpująca niż dotychczas. Od stycznia obozem kierował nowy komendant – major SS Hermann Pister. „Od tej pory w Buchenwaldzie wieje nowy wiatr” – oznajmił zebrany na placu więźniom, i mówił poważnie. Wprowadzono reżim gimnastyki: więźniów budzono na apel pół godziny wcześniej niż zwykle i półnadzy musieli wykonywać ćwiczenia.

Nienawiść Hitlera do Żydów wykraczała poza wszelką kontrolę i granice. Wbrew jego oczekiwaniom inwazja na Związek Radziecki nie zakończyła się decydującym podbojem. W Rzeszy zaczął się kryzys żywnościowy, a komunistyczni partyzanci sprawiali kłopoty wszędzie, od Francji po Ukrainę. W rozgorączkowanym nazistowskim umyśle powstało przekonanie, że to wszystko dzieje się z winy Żydów: najpierw to oni i ich globalne spiski doprowadziły do wojny, a teraz hamowali postęp Niemców. W styczniu 1942 roku dowódcy SS uzgodnili wreszcie „ostateczne rozwiązanie” problemu żydowskiego. Masowe deportacje, emigracja i więzienia nie zdały egzaminu. Potrzebowali czegoś o wiele bardziej drastycznego i rozstrzygającego. Szczegóły zatajono przed opinią publiczną, lecz w systemie obozów koncentracyjnych zaszły zmiany. Żydzi byli jeszcze bardziej pilnowani i gorzej traktowani niż dotąd. W Buchenwaldzie eutanazja niepełnosprawnych, głód, pobicia i mordowanie uszczupliły populację żydowskich więźniów i w marcu wśród ogólnej liczby ponad ośmiu tysięcy więźniów było ich już tylko ośmiuset trzydziestu sześciu. Jediną rzeczą, która utrzymywała pozostałych w Buchenwaldzie Żydów przy życiu, była ich zdolność do pracy, ale nawet

ona mogła nie wystarczyć, gdy „góra” zaczęła naciskać, by tworzyć „Rzeszę bez Żydów”.

Chwilowa idylla Gustava, patrzącego na rozkołysane drzewa, gwałtownie się skończyła. Nadzorowani przez niego ludzie podnosili i dźwigali kłody. (Do tej roboty nie mieli wozu, tarcicę trzeba było transportować ręcznie, wchodząc na gęsto zalesione wzgórze). Gustav bardzo starannie rozdzielał obciążenie. Miał świadomość, że część jego ludzi jest zbyt słaba, by przetrwać kolejną wspinaczkę na wzgórze z pniem na barkach. Po cichu polecił im przyłączać się do innych. Dopóki zachowywali dyskrecję i wyglądali, jakby nieśli drewno, wszystko było w porządku. Gustav zarzucił na ramię koniec belki i ruszył w drogę.

Zbliżając się do placu budowy, mężczyźni przyspieszyli kroku na widok kapo i sierżanta Greuela, nadzorczy z SS. Ostatnie metry pokonali najszybciej, jak mogli, i prędko ułożyli belki na ziemi. Było to niebezpieczne: pospiesznie układane drewno czasami się zsuwało i staczało na ludzi, kalecząc ich, a nawet zabijając.

– Co to ma znaczyć, żydowskie świnie? – Apoplektycznie wykrzywiona twarz sierżanta Greuela ukazała się tuż przed Gustavem. Esesman wycelował w niego grubą pałką. – Niektóre z tych zwierząt niczego nie noszą!

Gustav spojrział na swoich ludzi. Nie byli tak ostrożni, jak prosił. Trudno było mieć do nich o to pretensje. Ledwie żyli ze zmęczenia.

– Przepraszam. Niektórzy z moich ludzi są zmę...

Pałka Greuela uderzyła go w twarz, aż zatoczył się w bok. Podniósł rękę, by osłonić głowę, lecz pałka z furją raz po raz spadała na jego palce. Odwrócił się i razy posypały się na jego plecy. Gdy upadł na ziemię, Greuel wyładował wściekłość na innych mężczyznach, chodząc między nimi i bijąc ich aż do krwi. Kiedy złość mu przeszła, odwrócił się z powrotem do Gustava, dysząc z wysiłku.

– Jesteś vorarbeiterem, Żydzie – powiedział. – Wyciskaj więcej ze swoich żydowskich zwierząt. Złożę raport w sprawie tego uchybienia.

Następnego dnia sytuacja się powtórzyła – Gustav i jego ludzie zostali pobici, ponieważ rzekomo nie przykładali się do pracy. Na apelu wywołano Gustava do bramy, gdzie przesłuchał go Rapportführer, sierżant nadzorujący apele i dbający o dyscyplinę w obozie. Jak na standardy SS był to rozsądny człowiek. Zadowolony z odpowiedzi udzielonych przez Gustava, podarł raport Greuela.

Greuela to jednak nie zniechęciło. Był sadystą. Niektórzy uważali, że jego okrucieństwo ma w sobie element seksualny: Greuel był znany z tego, że odrywa ludzi od pracy, zamyka się z nimi w swoim pokoju i bije ich, czerpiąc z tego przyjemność. Gdy wziął się na jakąś ofiarę, nie odpuszczał. Trzeciego dnia Gustav i jego ludzie dźwigali transporty z kamieniołomu. Załadowali na wóz dwie i pół tony kamieni. Nawet od dwudziestu sześciu mężczyzn przy linach ciągnięcie go krok za krokiem na wzgórze wymagało morderczego wysiłku. Greuel obserwował ich i złożył na Gustava następny raport za zbyt powolną pracę jego ludzi. Tym razem Rapportführer przekazał raport do dalszej analizy.

Na apelu znów wezwano Gustava do bramy. Za zaniechanie obowiązków skazano go na pięć niedziel bez jedzenia w kompanii karnej. Podobnie jak wcześniej Fritza, przydzielono go do *Scheissetragen*, czyli noszenia gówna. Co niedziela, gdy większość więźniów odpoczywała, nosił wiadra z odchodami z latryn do ogrodów, zawsze biegiem. Miał pięćdziesiąt jeden lat i choć był twardy, jego ciało nie mogło długo znosić takiego traktowania. W dni odbywania kary przyjaciele podsuwali mu kęsy jedzenia, lecz i tak w ciągu miesiąca schudł dziesięć kilogramów. Zawsze był szczupły, teraz przypominał szkielet.

Wreszcie kara dobiegła końca i wrócił do pracy. Odebrano mu stanowisko *vorarbeiters* kolumny przewozowej, lecz przyjaciele zdołali mu zapewnić mniej żmudne zajęcie polegające na dostawie jedzenia i zaopatrzenia do izby chorych. Wieczorami wciąż jednak musiał pracować na drugą zmianę w kolumnie przewozowej. Mimo wszystko zaczął dochodzić do siebie po odbytej karze. To, że przetrwał prześladowanie ze strony Greuela, było niemal cudem. Gdyby nie jego siła i hart ducha, gdyby nie wsparcie przyjaciół, wykończyłoby go ono, tak jak wykończyło bardzo wielu innych.

ן

Fritz nauczył się, że w takim miejscu jak Buchenwald nawet cuda nie trwają długo. Z każdym dniem przetrwanie więźnia stawało się mniej prawdopodobne, jego czas się kurczył, a szanse na przeżycie malały.

Tej wiosny Fritz stracił jednego z najdroższych przyjaciół, Leo Mosesa, tego samego, który chronił go i szkolił w sztuce przetrwania, który

zapewnił bezpieczniejszą pracę zarówno Fritzowi, jak i jego ojcu. Olbrzymi transport więźniów wysłano do budowy Natzweiler, nowego obozu w Alzacji. Leo wyruszył razem z nim. Fritz nigdy więcej nie zobaczył przyjaciela.

Pewnego czerwcowego wieczoru Fritz siedział w swoim ulubionym miejscu przy stole w bloku 17, przysłuchując się rozmowie starszych mężczyzn. Skończyli kolację – małą porcję zupy z brukwi i kawałek chleba – i nabrali ochoty na rozmowę. Fritz słuchał z uwagą, lecz za bardzo podziwiał tych mężczyzn, żeby się przyłączyć. Za dwa tygodnie miał skończyć dziewiętnaście lat, wciąż jeszcze był chłopcem, a w porównaniu z tymi ludźmi dzieckiem, jeśli chodziło o rozwój intelektualny i zrozumienie świata. Pragnął się uczyć, więc chłonał ich dyskusje o polityce, opowieści o show-biznesie oraz wielkich planach związanych z przyszłością Europy.

Uwagę Fritza przykuła znajoma postać, która pojawiła się w drzwiach. Był to kapo Robert Siewert. Skinął na chłopca. Fritz wstał od stołu i wyszedł. Wieczór był ciepły. Siewert miał ponurą minę. „Na poczcie jest list od twojej matki” – powiedział cicho i szybko. „Cenzor nie pozwoli ci go przeczytać”.

Siewert należał do sieci więźniów mających kontakty we wszystkich biurach administracji, gdzie pracowali zaufani ludzie – także na poczcie. Udało mu się poznać treść listu. Gdy mówił, Fritzowi nagle zrobiło się zimno mimo letniego ciepła. „Twoja matka i siostra dostały zawiadomienie o przesiedleniu. Zostały aresztowane i teraz czekają na deportację na wschód”.

Ogarnięty panicznym strachem, Fritz pobiegł do bloku ojca, a Siewert popędził za nim. Część więźniów przebywała poza budynkiem, więc chłopiec poprosił, by przekazali ojcu, że chce się z nim pilnie zobaczyć. (Więźniom nie wolno było wchodzić do cudzych baraków). Po chwili wyszedł Gustav. „Powiedz mu” – poprosił Fritz i Siewert ponownie streścił to, co Tini napisała w liście.

Przesiedlenie, deportacja. Mogli się jedynie domyślać, co to oznacza. Nieustannie krążyły plotki na ten temat, a poza tym obaj byli wyczuleni na nazistowskie eufemizmy. Fritz i Gustav słyszeli pogłoski o masakrach urządzanych przez SS w tak zwanym Ostlandzie, czyli w podbitym regionie na wschód od Polski. Przynajmniej jedno było pewne – nie będzie więcej

listów. Po wywiezieniu Tini i Herty do Rosji, czy kto wie dokąd, tracą z nimi kontakt.

וכת אום

Tini stała przy kuchence gazowej. Wspominała dzień, w którym zabrali Fritza, a ona zagroziła, że otruje się gazem, jeśli Gustav nie ucieknie, żeby się gdzieś schować. Niewiele dobrego przyszło jej z tej groźby. A teraz przyszli po nią.

Zakręciła dopływ gazu, tak jak jej polecono. Szczegółowe instrukcje od władz leżały na stole w kuchni obok dostarczonego razem z nimi kółka na klucze, na które miała nanizać klucz do mieszkania.

Herta czekała obok w połatanym płaszczu z żółtą gwiazdą na piersi. Obok niej stała jej mała walizka. Pozwolono im zabrać najwyżej dwie walizki na osobę – ich łączna waga nie mogła przekraczać pięćdziesięciu kilogramów. Spakowały ubrania i pościel – tak jak napisano w instrukcji dla przesiedleńców – oraz talerze, kubki i łyżki (noże i widelce były zakazane), a także jedzenie na trzydniową podróż. Ci, którzy dysponowali narzędziami potrzebnymi do budowy albo utrzymania osady, mieli obowiązek je zabrać. Tini mogła zachować obrączkę, lecz wszelkie inne wartościowe przedmioty należało oddać. Nigdy nie posiadała wielu skarbów, a zresztą i tak wszystkie już straciła, bo albo je ukradziono, albo sama je sprzedała. Mogłaby za nie uzyskać najwyżej ułamek tych trzystu marek w gotówce, które wolno było zabrać deportowanym na wschód.

Tini podniosła swoją walizkę i zawiniątko z pościelą, po raz ostatni spojrzała na mieszkanie, a następnie wyszła i zamknęła drzwi na klucz. Na klatce schodowej czekał Wickerl Helmhacker. Tini podała mu klucz i odwróciła się. Kroki obu kobiet powoli schodzących po schodach odbijały się smutnym echem.

Pod eskortą policji przeszły przez targowisko, czując na sobie spojrzenia ludzi. Wszyscy wiedzieli, co się dzieje. Od miesięcy z Wiednia regularnie wyjeżdżały transporty Żydów, setki osób naraz. Nikt nie był pewny, dokąd dokładnie jada. Wiadomo było jedynie, że gdzieś w przepastne, nieokreślone regiony Ostlandu. Nie docierały stamtąd żadne wieści i nikt z przesiedleńców nie wrócił. Prawdopodobnie byli zbyt zajęci urządzaniem się w kraju, który przeznaczyła dla nich Rzesza.

Gdy Tini i Herta przeszły przez targowisko, poprowadzono je do miejscowej szkoły podstawowej. Herta знаła płyty tamtejszych chodników jak podeszwy własnych stóp. Wszystkie dzieci z okolicy chodziły do Sperlshule: Edith, Fritz, Kurt i sama Herta spędzili w tych korytarzach i klasach ogromną część życia. Teraz nie było tu uczniów – SS zamknęło szkołę w 1941 roku i urządziło w niej obóz przejściowy dla deportowanych.

Przeszły przez bramę pilnowaną przez strażników i ruszyły brukowaną aleją między wysokimi budynkami. Szkoła składała się z czteropiętrowych budynków odsuniętych od ulicy, otaczających boisko w kształcie litery L. Tam, gdzie dawniej biegały albo bawiły się dzieci, teraz stali na straży esesmani. Zaparkowane ciężarówki wyładowano skrzyniami i zawiniątkami. Tini i Herta okazały dokumenty i zaprowadzono je do budynku.

Klasy przekształcono w prowizoryczne sale sypialne, roilo się w nich od ludzi. W sumie liczba deportowanych przekraczała tysiąc. Wszędzie było widać twarze przyjaciół, znajomych, sąsiadów, a także obcych z odleglejszych części dzielnicy. Przeważały kobiety, dzieci i mężczyźni po czterdziestce. Większość młodszych wywieziono do obozów, a ludzi po sześćdziesiątce do getta w Theresienstadt^[1].

Tini i Hertę zostawiono w sali, by mogły dołączyć do tej małej społeczności. Tam wymieniano się wiadomościami i plotkami, pytano o krewnych i wspólnych przyjaciół. Wieści prawie nigdy nie były dobre. Przesiedlenie prezentowano Żydom jako szansę na nowe życie, ale Tini nie mogła ścierpieć, że musi wyjechać z rodzinnego miasta, a poza tym była z natury nieufna wobec przyszłości. Zawsze spodziewała się po nazistach tego, co najgorsze, i jak dotąd nie dali jej powodu, żeby zmieniła zdanie.

W liście do Fritza i Gustava zdołała przekazać jedynie suchy, druzgocący fakt, że objęto je przesiedleniem. Obawiając się jednak najgorszego, zostawiła u nieżydowskiej krewnej kilka rzeczy osobistych – między innymi ostatnie zdjęcie Fritza, jakie miała, czyli to zrobione w Buchenwaldzie – a swojej siostrze Jenni przekazała paczkę z ubraniami, prosząc, by ta wysłała ją chłopcu. Jenni była w równie trudnej sytuacji jak Tini, ale na razie deportacje ją ominęły, podobnie jak jej owdowiałą starszą siostrę Berthę.

Tini i Herta spędziły w obozie przejściowym parę dni, zanim zawiadomiono deportowanych o wyjeździe. Wszystkim rozkazano wyjść na dziedziniec. Ludzie tłoczyli się w korytarzach i wylegali przez drzwi.

Wszyscy nieśli bagaż i jakieś zawiniątka, niektórzy taszczyli narzędzia i sprzęt. Skontrolowano ich dokumenty tożsamości, do każdego wbito stempel *Evakuiert am 9. Juni 1942*^[2], a potem wspięli się do czekających ciężarówek.

Konwój przejechał po Taborstrasse i wzdłuż szerokiej alei obok Kanału Dunajskiego. Herta spojrzała na wodę lśniąca w letnim słońcu. Wiedziała, że w weekend będzie tam mnóstwo łódek i pływaków. Przypomniała sobie, jak pewnego razu urządzili sobie z ojcem zawody pływackie, naśladując Fritza i jego kolegów. Jej ukochany tata, taki łagodny i serdeczny. To były dobre czasy, pełne letnich pikników pod drzewami nad wodą. Czasami jej matka, która uwielbiała wiosłować, zabierała dzieci na przejażdżkę łódką. Teraz to wszystko wydawało się snem, wyrazistym, lecz odległym. Żydom już dawno zakazano korzystać z Kanału Dunajskiego i jego zielonych brzegów.

Konwój przeciął kanał i z warkotem sunął ulicami, by w końcu zatrzymać się obok Aspangbahnhofu, dworca kolejowego obsługującego południową połowę miasta. Przed wejściem tłoczyli się ludzie, trzymani w ryzach przez dziesiątki policjantów i żołnierzy SS. Byli tam przyjaciele i krewni chcący po raz ostatni zobaczyć swoich bliskich. Reszta przyszła po prostu po to, żeby pogapić się na Żydów pędzonych niczym bydło. Tini i Herta pomogły sobie nawzajem wyjść z ciężarówki i dołączyły do tłumu, który powoli wlewał się przez drzwi do ponurego budynku dworca.

Wszyscy wiedzieli o okropnych wagonach towarowych, którymi wywieziono mężczyzn do obozów, więc poczuli się pokrzepieni na widok czekającego na nich na peronie pociągu złożonego z wagonów pasażerskich w atrakcyjnych kremowo-karmazynowych barwach Deutsche Reichsbahn. No proszę, pomyśleli, nie wygląda to tak źle.

Polecono im załadować bagaż do wagonu na końcu składu. Zapasy jedzenia i leków już schowano. Był to długi, powolny proces. W końcu rozległ się głośny gwizd i zagrzmiał głos: „Godzina do odjazdu!”. Ogłoszenie powtarzano na całym peronie i ludzie zaczęli pospiesznie chodzić tu i tam.

Tini, trzymając mocno Hertę, przepchnęła się przez gęsty tłum do przydzielonych im miejsc, gdzie bardzo przejęty nadzorca wagonu wyposażony w listę dyrygował podległymi mu ludźmi. Był żydowskim urzędnikiem wyznaczonym przez IKG, a nie policjantem czy esesmanem, i jego obecność działała na pasażerów uspokajająco. Zebrało się wokół

niego około sześćdziesięciu osób przydzielonych do jego wagonu. Tini rozpoznała Idę Klap, starszą panią z Im Werd, całkiem samą, i swoją rówieśniczkę z Leopoldsgasse, także samą. Wielu kobietom nikt nie towarzyszył: ich mężów i synów zabrano, a dzieci – te, którym dopisało szczęście – wyjechały do Anglii albo do Ameryki. Część dzieci jednak została. Mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta, której Tini nie znała, podróżowała z trzema chłopcami i dziewczyną, najwyraźniej swoimi wnukami. Najmłodszy chłopiec, Otto, był w wieku Kurta, a najstarsza z nich wszystkich dziewczyna miała jakieś szesnaście lat. Wokół nich stali siwobrodzi mężczyźni w pogniecionych kapeluszach, panowie z obwisłymi policzkami, zadbane, znękanе żony w chustkach na głowach mieszały się z młodymi kobietami o przedwcześnie pomarszczonych twarzach, ze zdezorientowanymi dziećmi, niekiedy zaledwie pięcioletnimi, rozglądającymi się ze zdziwieniem i niezrozumieniem. Nadzorca wagonu wywoływał ich nazwiska z listy, stawiając ptaszki obok ich numerów transportowych.

– Sto dwadzieścia pięć: Klein Nathan Izrael!

Mężczyzna po sześćdziesiątce podniósł rękę.

– Jestem!

– Sto dwadzieścia sześć: Klein Rosa Sara!

Odezwała się jego żona.

– Sześćset czterdzieści dwa: Kleinmann Herta Sara!

Herta podniosła rękę.

– Sześćset czterdzieści jeden: Kleinmann Tini Sara!

Padaly kolejne nazwiska z listy: Klinger Adolf Izrael; Klinger Amalie Sara... Na całej długości peronu piętnastu innych nadzorców wagonów sprawdzało obecność ludzi ze swoich części listy liczącej w sumie tysiąc sześć osób, które miały wyruszyć w drogę.

W końcu wyjawiono im cel podróży: Mińsk. Tam mieli albo zamieszkać w getcie i podjąć pracę w różnych lokalnych przedsiębiorstwach, albo zająć się uprawą ziemi, zależnie od umiejętności.

Gdy nadzorcy przekonali się, że nikogo nie brakuje, w końcu pozwolono deportowanym wsiąść do pociągu, nakazując im surowo, że mają to robić w ciszy i trzymać się przydzielonych miejsc. Były to wagony drugiej klasy z przedziałami – całkiem wygodne, choć umieszczono w nich za dużo ludzi. Zajmując miejsca, Tini i Herta czuły się prawie jak za dawnych czasów. Żydzi od dawna mieli zakaz opuszczania swoich dzielnic,

a tym bardziej Wiednia. Pomyślały, że miło będzie znów zobaczyć trochę świata.

Dym i para spowły peron, a osie wagonów zapiszczały, gdy długi skład ruszył, powoli wyjeżdżając z dworca i kierując się przez miasto na północ. Przejechał przez Kanał Dunajski i przetoczył się po moście na zachodnim krańcu Prater, minął Praterstern i ulicę, przy której urodziła się Tini, a po chwili przejechał przez dworzec na północy miasta. Żydom z Leopoldstadt wygodniej byłoby wyjechać właśnie stąd, ale Aspangbahnhof był dyskretniej położony. Kilka minut później za oknem przedziału przesunął się szeroki Dunaj, potem ostatnie przedmieścia i falujące pola uprawne na północny wschód od Wiednia.

Mimo że pociąg zatrzymywał się na niektórych stacjach, deportowanym nie wolno było wysiadać. Godziny długiego czerwcowego dnia wlekły się niemilosiernie. Ludzie czytali, rozmawiali, spali na siedząco. Dzieci zaczynały się niecierpliwic i marudzić albo wpadały w odrętwienie ze zmęczenia i w milczeniu patrzyły przed siebie. Nadzorca wagonu regularnie zaglądał do przedziałów, sprawdzając, co robią jego podopieczni. Do dyspozycji był lekarz – także wyznaczony przez IKG – w razie gdyby ktoś źle się poczuł. Minęło dużo czasu, odkąd tak się troszczono o Żydów.

Przejechali przez byłą Czechosłowację i dotarli na ziemie, które do niedawna należały do Polski. Teraz były tu Niemcy. Tini i Hercie te wiejskie tereny wydawały się szczególnie interesujące. W czasach świetności cesarstwa austro-węgierskiego, w złotej epoce emancypacji Żydów, urodził się w tym regionie Gustav. Tini przeżyła ten okres w Wiedniu, a on spędził dzieciństwo pośród tych pięknych krajobrazów w małej wiosce o nazwie Zablocie bei Saybusch^[3], położonej nad jeziorem u stóp gór. Pociąg tamtędy nie przejeżdżał, ale był całkiem blisko, mijał miejsca, które sam Gustav rozpoznałby nie tylko z czasów dzieciństwa, lecz także z okresu służby wojskowej w latach wojny, gdy walczył o te pola i miasteczka przeciwko armii cara Rosji.

Pociąg przejechał również niedaleko innego miasteczka, oddalonego od Zablocia o jakieś pięćdziesiąt kilometrów na północ. Nazywało się Oświęcim. Niemcy mówili na nie Auschwitz i niedawno stworzyli tam nowy obóz koncentracyjny. Pociąg z Wiednia sunął szerokim łukiem na zachód, po czym znów skierował się na północny wschód, odwracając się od zachodzącego słońca.

Zapadła noc wypełniona nieustannym ruchem i niewygodnym drzemaniem, bólem pleców i drętwieniem kończyn. Nazajutrz rano przejechali przez Warszawę. Za Białymstokiem minęli granicę, zostawiając za sobą Rzeszę Niemiecką i wjeżdżając do Reichskommissariatu Ostland, dawnej części Związku Radzieckiego. Jakieś czterdzieści kilometrów dalej pociąg dotarł do miasteczka Wołkowysk[4].

Tu się zatrzymał.

Przez jakiś czas ten postój nie różnił się niczym od wcześniejszych. Tini i Herta, podobnie jak wszyscy pozostali, patrzyły przez okno, zastanawiając się, gdzie są. Nadzorca wagonu zajrzał do przedziału, potem się wycofał. Z jakiegoś powodu odnosiło się wrażenie, że coś jest nie tak. Na końcu korytarza słychać było podniesione głosy. Drzwi wagonu się otworzyły i z obu stron dobiegły żwawe kroki mężczyzn w ciężkich butach. Nagle uzbrojeni esesmani stanęli za drzwiami przedziału i gwałtownie je otworzyli.

– Wychodzić! Wychodzić! – warknęli. – Wszyscy wychodzić!

Zszokowani i zdeorientowani deportowani zaczęli się podnosić, zbierając swoje rzeczy, matki i babki kurczowo trzymały dzieci.

– Dalej, żydowskie świnie! – wrzeszczeli żołnierze. – Wychodzić!

Tini i Herta znalazły się w korytarzu, zgniatanym przez ludzi spieszących się do wyjścia. Każdy, kto się ociągał, był kopany albo dostawał cios kolbą karabinu. Ludzie wylegli na peron, gdzie stało więcej esesmanów.

Żołnierze w niczym nie przypominali tych, których Tini widywała w Wiedniu. Ci należeli do Waffen-SS, były to oddziały bojowe, okrutniejsze i noszące na kołnierzykach trupie głowy, insygnia obozu koncentracyjnego. Towarzyszyli im mężczyźni w mundurach budzącej postrach Sipo-SD, nazistowskiej Policji Bezpieczeństwa. Krzyczeli na Żydów i przeklinali, pędząc ich po peronie – mężczyzn i kobiety, starych i dzieci. Tych, którzy się potknęli, upadli albo nie byli w stanie iść wystarczająco szybko, kopano i bito – niektórych tak mocno, że tracili przytomność i leżeli na ziemi.

Żydów zagoniono do następnego pociągu, tym razem towarowego. Mierząc do nich z karabinów, kazano im wsiadać i upychano ich tak ciasno, że ledwie mogli się poruszyć. Potem zamknięto z hukiem właz. Tini i Herta, tuląc się do siebie, znalazły się w ciemności wypełnionej szlochem, jękiem rannych, modlitwami i płaczem przerażonych dzieci. Słyszały, jak na zewnątrz zatrząskują się z hukiem włazy pozostałych wagonów.

Gdy zamknięto ostatni wagon, zostawiono ich w ciemności i bezruchu. Mijały godziny. Tej okropnej nocy kilka osób, porażonych nagłym, brutalnym szokiem, postradało zmysły, krzyczało i bredziło. Esesmani wywlekli szaleńców oraz chorych i umieścili ich wszystkich w osobnym wagonie, gdzie tych ludzi czekało niewyobrażalne piekło.

Nazajutrz pociąg ruszył. Jechał rozdzierająco powoli. Transportu nie ciągnęła już szybka lokomotywa Reichsbahn, lecz guzdrała z centralnej administracji kolei, przeznaczona na wschodnie terytoria. Od wyjazdu z Wiednia pokonali ponad tysiąc kilometrów w dwa dni. Teraz potrzebowali kolejnych dwóch dni, by przebyć jedną czwartą tej odległości.

W końcu pociąg się zatrzymał. Dźwięki dobiegające z zewnątrz wskazywały na to, że dotarli do jakiejś stacji. Przerażeni ludzie czekali, aż otworzy się właz, lecz nic takiego nie nastąpiło. Zapadła noc, która minęła w strachu i głodzie. A później jeszcze jeden dzień i jeszcze jedna noc. Pociąg stał niepilnowany, jeśli pominąć okresowe kontrole strażników z Sipo-SD. Przyjechał w sobotę, a niedawno przyznano pracownikom mińskiej kolei prawo do wolnych weekendów.

Ściśnięci w ciemności rozświetlonej jedynie dzięki małym szparkom w ścianach wagonu, przez które przenikało światło dnia, wystraszeni, niemający niczego albo prawie niczego do jedzenia i picia oraz jedynie wiadro w kącie pełniące funkcję toalety, deportowani czekali godzinami w potwornej niepewności. Czy zmieniono co do nich plany? Czy ich oszukano? Rano piątego dnia od opuszczenia wygodnego pociągu pasażerskiego uwięzionych ludzi wyrwano z odrętwienia. Pociąg znowu ruszył. Dobry Boże, czy to się kiedykolwiek skończy?

„Proszę, drogie dziecko – napisała Tini do Kurta już prawie rok wcześniej – módl się, żebyśmy wszyscy znów spotkali się w dobrym zdrowiu”. Nigdy do końca nie porzuciła tej nadziei. „Napisał tata [...]. Dzięki Bogu jest zdrow [...]. Świadomość, że jesteś pod dobrą opieką u wujka, jest jego jedyną radością [...]. Proszę, Kurtl, bądź grzecznym chłopcem [...]. Mam nadzieję, że są z Ciebie zadowoleni, że utrzymujesz porządek w swoich rzeczach, ścielisz łóżko i jesteś miły [...]. Masz cudowne lato, wkrótce piękne dni dobiegną końca [...]. Wszystkie tutejsze dzieci Ci zazdroszczą. One nie mogą nawet wyjść do ogrodu”.

Z piskiem stali, łomotem i klekotaniem wagonów pociąg znów się zatrzymał. Zapadła cisza, a potem właz gwałtownie się otworzył, zalewając uwięzionych oślepiającym światłem.



Nigdy się nie dowiemy, co dokładnie spotkało Tini i Hertę Kleinmann tego dnia. Nikt nie zarejestrował tego, co widziały, robiły, mówiły czy czuły. Nikt więcej nie zobaczył nikogo spośród tysiąca sześciu żydowskich kobiet, dzieci i mężczyzn przywiezionych na plac załadunkowy dworca w Mińsku w poniedziałek 15 czerwca 1942 roku i żadna z tych osób nie zostawiła żadnej relacji.

Prowadzono jednak ogólny rejestr, a z Wiednia do Mińska dotarły tego lata inne transporty, z których garstka ludzi zachowała swoje historie.

Gdy włąz wagonu się otworzył, osobom będącym w środku – posiniaczonym, wycieńczonym, obolałym, głodnym, odwodnionym – rozkazano wyjść. Funkcjonariusze Sipo-SD popychali ich, oglądali i wypytywali o umiejętności. Do przybyłych zwrócił się jakiś oficer, powtarzając to, co mówiono im w Wiedniu – że zostaną skierowani do pracy w przemyśle albo rolnictwie. Większość z nich, nieumiejących żyć bez nadziei, uspokoiła się po tej przemowie. Wybrano kilkadziesiąt zdrowszej wyglądających osób dorosłych oraz starszych dzieci i ustawiono ich z boku. Resztę zapędzono na obrzeża dworca, gdzie odebrano im ich rzeczy. Wagony pełne bagażu, jedzenia i zapasów, które przyjechały z Wiednia, także zarekwirowano. Przed dworcem czekały ciężarówki i furgonetki, do których załadowano ludzi.

Konwój wyjechał z miasta, kierując się na południowy wschód, w stronę białoruskiej wsi – ogromnej, płaskiej równiny pól i lasów, przykurzonej pod przepastnym niebem.

Gdy latem poprzedniego roku niemieckie wojska odebrały te ziemie Związkowi Radzieckiemu, przetoczyły się przez nie jak gwałtowna fala. Zaraz po nich nadpłynęła druga fala: Einsatzgruppe (grupa operacyjna) B, jedna z siedmiu tego rodzaju jednostek działających za linią frontu. Dowodzona przez generała SS Arthura Nebego, Einsatzgruppe B składała się z mniej więcej tysiąca mężczyzn – przeważnie rekrutowanych z Sipo-SD i innych gałęzi policji – podzielonych na mniejsze podjednostki zwane Einsatzkommando. Ich funkcja polegała na zlokalizowaniu i eksterminacji wszystkich Żydów w zajętych miasteczkach i wsiach. W zadaniu tym często ochoczo wspierały je jednostki Waffen-SS i Wehrmachtu, a na niektórych terenach, na przykład w Polsce i na Litwie, miejscowa policja.

Nie wszyscy Żydzi byli od razu mordowani. Byłoby to niepraktyczne, skoro w tych regionach mieszkały ich miliony. Poza tym w Polsce naziści

nauczyli się, jak sprawić, by Żydzi wnieśli wkład w wojenną gospodarkę. W Mińsku stworzono getto, które miało pracować w służbie Rzeszy i nabijać kabzę skorumpowanym urzędnikom. Teraz, po wdrożeniu „ostatecznego rozwiązania”, wybrano Mińsk jako jeden z najważniejszych ośrodków, w których zamierzano je realizować.

Prace organizacyjne przypadły dowódcy miejscowego Sipo-SD, podpułkownikowi SS Eduardowi Strauchowi, weteranowi Einsatzgruppe. Zrobił rozeznanie w terenie i postanowił urządzić obóz koncentracyjny w odludnej wiosce Mały Trościeniec, dawnym sowieckim państwowym gospodarstwie rolnym oddalonym o jakieś dwanaście kilometrów na południowy wschód od Mińska. Obóz był mały, nigdy nie zamierzano umieszczać w nim więcej niż około sześciuset więźniów, którzy mieli uprawiać ziemię i tworzyć Sonderkommando^[5] podporządkowane najważniejszemu celowi, czyli masowemu mordowi.

Spośród dziesiątków tysięcy ludzi – głównie Żydów – przywiezionych do Małego Trościenca tylko nieliczni zobaczyli obóz. Sipo-SD wybierało z każdego transportu garstkę osób do pracy, a ciężarówki wiozły pozostałe setki w kierunku Małego Trościenca. Po drodze zatrzymywały się obok roztaczającej się przed nim łąki. Czasami selekcja osób do obozu odbywała się tutaj, jeśli nie przeprowadzono jej wcześniej na dworcu w Mińsku. Z łąki mniej więcej co godzinę odjeżdżały pojedynczo ciężarówki, a reszta czekała.

Samochody jechały na zarośniętą plantację sosnową oddaloną od obozu o jakieś trzy kilometry. Tam na pojmanych czekał jeden z dwóch możliwych losów. W większości wypadków dokonywał się szybko, w pozostałych wolniej. Koniec wyglądał jednak tak samo. Między drzewami była polana, gdzie Sonderkommando wykopywało olbrzymi dół liczący jakieś pięćdziesiąt metrów długości i trzy głębokości. Obok niego czekał pluton Waffen-SS pod dowództwem porucznika SS Arlta. Każdy mężczyzna był uzbrojony w pistolet i dwadzieścia pięć naboju, a obok znajdowały się skrzynie z większą ilością amunicji. Jakies dwieście metrów od polany stał na straży kordon łotewskiej policji, pilnujący, by żadna z ofiar nie uciekła i by nie zbliżali się potencjalni świadkowie.

Po wyjściu z ciężarówki kobiety, mężczyźni i dzieci musieli rozebrać się do bielizny, zostawiając wszystkie rzeczy, które mieli przy sobie. Potem, trzymeni na muszce, szli w mniej więcej dwudziestoosobowych grupach na skraj dołu, gdzie musieli się ustawić w szeregu twarzą w stronę wykopu. Za

każdą osobą stawał żołnierz SS. Na rozkaz strzelano ofiarom w kark z bliskiej odległości i wpadały do dołu. Potem przyprawiano następną grupę. Gdy wszystkich zastrzelono, z umieszczonego na końcu dołu karabinu maszynowego otwierano ogień do ofiar, które zdawały się jeszcze poruszać. Po krótkiej przerwie przyjeżdżała kolejna ciężarówka i powtarzano całą procedurę.

Co skłaniało tych ludzi do posłuszeństwa? Od pierwszych osób, które miały przed sobą pusty dół, po te, które widziały go już w połowie wypełniony zwłokami swoich sąsiadów i przyjaciół oraz słyszały odgłosy strzałów – co sprawiało, że tam szli, stawali w szeregu i pozwalali się zastrzelić? Czy podporządkowywali się ze strachu? Czy poddawali się losowi albo doświadczali egzystencjalnego samozaprzeczenia? A może wciąż, aż do ostatniego ułamka sekundy z pistoletem przy karku, mieli nadzieję, że strzał nie nastąpi, że jakimś cudem egzekucja zostanie wstrzymana? Niektórzy próbowali uciekać – nie odbiegali daleko – lecz przytłaczająca liczba ofiar w milczeniu szła na śmierć.

W Małym Trościeńcu nie było chaotycznej furii i euforii, które często charakteryzowały morderstwa popełniane przez Einsatzgruppen w innych miejscach, gdzie niemowlętom ukręcano karki i wrzucano je do dołów, a mordercy śmiali się, owładnięci szalem zabijania. Tu odbywała się po prostu zimna, machinalna egzekucja.

Świadczy to jednak w pewien sposób o umysłach morderców. Nawet ci ludzie mieli coś w rodzaju sumienia – skarłowaciałego, szczątkowego sumienia, wystarczającego, by nieustannie przelewana krew i poczucie winy dały im się we znaki. Ludzie Arlta dostawali wódkę, która miała przytępić ich zmysły, ale alkohol nie był w stanie złagodzić takich obrażeń. Z tego powodu SS eksperymentowało z alternatywnymi metodami, które umożliwiałyby eksterminację, lecz pozwalały uniknąć babrania się we krwi. Doprowadziło to do stworzenia drugiej, powolniejszej metody egzekucji stosowanej równolegle w Małym Trościeńcu.

Na początku czerwca wprowadzono tam ciężarówki z gazem. Były trzy – dwie przerobione z wozów dostawczych marki Diamond i większy saurer do przewozu mebli. Niemcy mówili na nie *S-Wagen*, ale miejscowi Białorusini nazywali je *dukubki* – dusicielkami dusz. Podczas gdy większość Żydów rozstrzeliwano nad dołem, niektórzy – prawdopodobnie dwustu albo trzystu z każdego transportu – umierali w tych ciężarówkach. Loteria odbywała się na dworcu w Mińsku, gdzie część Żydów ładowano

do zwykłych ciężarówek, a część do S-Wagen, upychając ich tak ciasno, że zgniatali się nawzajem i deptali.

Gdy kończyło się strzelanie, odpalano ciężarówki z gazem i jechano nimi na plantację, by następnie zaparkować obok dołu pełnego zwłok. Każdy kierowca i jego pomocnik podłączali przewód biegnący od rury wydechowej do środka ciężarówki wyłożonej stalą. Odpalano silnik. Uwięzieni w środku ludzie natychmiast wpadali w panikę, ciężarówki trzęsły się i kołysały pod wpływem ich gwałtownej walki o życie, a ze środka wydobywały się stłumione krzyki i odgłosy stukania w ściany. W ciągu piętnastu minut hałas i kołysanie powoli ustawały, aż w końcu zapadała cisza.

Kiedy ze środka nie dobiegał już żaden dźwięk, otwierano ciężarówki. Niektóre ciała, tworzące stertę przy wejściu, wypadały na ziemię. Sonderkommando złożone z żydowskich więźniów wspinało się do środka i zaczynało wywlekać resztę zwłok, by wrzucić je do dołu. Wnętrze ciężarówki przedstawiało scenę jak z potwornego horroru: ciała były umazane krwią, wymiocinami i odchodami, na podłodze wały się połamane okulary, kępki włosów, a nawet zęby utracone w chwilach, gdy ofiary przepychały się i szamotały z ludźmi obok, podejmując obłąkańcze próby ucieczki.

Przed ponownym użyciem ciężarówki musiały jechać nad staw niedaleko obozu, gdzie gruntownie myto ich paki. Z powodu ilości czasu, jakiej to wymagało, oraz niewielkiej liczby dostępnych pojazdów i ich częstych awarii wciąż korzystano z plutonów egzekucyjnych. SS nadal pracowało nad udoskonaleniem swoich metod masowego mordy.

Porucznik Arlt z SS zapisał tego dnia w swoim dzienniku: „15/6 przyjechał kolejny transport tysiąca Żydów z Wiednia”. To wszystko. Nie interesowało go opisywanie tego, co zrobili on i jego ludzie. Był to po prostu kolejny dzień pracy, na który SS wołało spuścić zasłonę milczenia.

✠✠✠

Letnie słońce leniwie prażyło płynącą powoli wodę Kanału Dunajskiego. Ciche, radosne piski dzieci niosły się nad wodą od strony trawiastych brzegów, na których rodziny urządzały pikniki albo

spacerowały pod drzewami. Pływały statki wycieczkowe, a między nimi mknęły łódki wiosłowe.

To wszystko nie docierało jednak do zmysłów Tini, gdy wiosłowała – było jedynie przyjemną, daleką muzyką śmiechu w tle. Promienie słońca połyskiwały w rozbryzgach wody przy każdym wynurzeniu wiosł, oświetlając twarze jej dzieci. Edith uśmiechała się pogodnie, Fritz i Herta byli wciąż mali, a Kurt, najmłodszy, ukochany, był kruszyną, która jeszcze niedawno chodziła w pieluchach. Tini uśmiechnęła się i przesunęła wiosła, a łódka przyspieszyła. Dobrze wiosłowała, już gdy była młodą dziewczyną. I uwielbiała swoją rodzinę. W wieku dwunastu lat została opiekunką młodszych uczniów szkoły, dlatego że tak bardzo to kochała: opiekowanie się innymi i pomaganie im leżało w jej naturze, a w macierzyństwie znalazło najczystszy wyraz.

Dźwięki dobiegające od strony innych łódek i osób wypoczywających na brzegu ucichły, jakby opadła mgła odgradzająca Edith od świata. Wiosła zanurzały się i rozbryzgiwały wodę, a łódka sunęła dalej.

W szufladzie komody w dalekim Massachusetts leżał ostatni list Tini do Kurta. Niemiecki, którym się posługiwali, stawał się dla chłopca coraz mniej zrozumiały, bo dziecięcy umysł przystosowywał się do nowego świata. Chłonał znaczenie słów, lecz już teraz powoli, nieświadomie, zapominał, jak należy je czytać.

„Ukochany Synku, [...] tak się cieszę, że wszystko u Ciebie w porządku [...]. Pisz często [...]. Herta ciągle o Tobie myśli [...]. Codziennie czuję strach [...] Herta przesyła uściski i całusy. Tysiąc całusów od Twojej mamy. Kocham Cię”.



Tego wieczoru, gdy Sonderkommando zasypało dół, na cichej polanie wśród młodych sosen zapadł zmierzch. Wróciły ptaki, nocne stworzenia wyszły na żer wśród chwastów i biegały po spulchnionej ziemi. Pod nią leżały szczątki dziewięciuset ludzi, którzy wsiedli do pociągu w Wiedniu: Rosy Kerbel i czworga jej wnucząt – Ottona, Kurta, Helene i Heinricha – a także starszych: Adolfa i Amalie Klingerów, pięcioletniej Alice Baron, niezamężnych sióstr Johanny i Flory Kaufmann, Adolfa i Witie Aptowitzetów z Im Werd, Tini Kleinmann i jej ładnej dwudziestojednoletniej córki Herty.

Myśleli, że jadą rozpocząć nowe życie na wschodzie i że być może któregoś dnia znów spotkają swoich najbliższych – mężów, synów, braci,

córki – rozrzuconych po obozach i dalekich krajach. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi, wbrew wszelkim ludzkim uczuciom świat – nie tylko naziści, lecz także politycy, mieszkańcy i dziennikarze z Londynu, Nowego Jorku, Chicago i Waszyngtonu – zamknął przed nimi tę przyszłość i nieodwracalnie ją zapieczętował.

[1] Obecnie Terezin w Czechach.

[2] Ewakuowano 9 czerwca 1942 roku.

[3] Obecnie Zabłocie, dzielnica Żywca.

[4] Obecnie na terenie Białorusi.

[5] Oddział stworzony do wykonywania specjalnych zadań: więźniowie obozu koncentracyjnego zmuszani do zajmowania się ofiarami przed egzekucją i po niej.

PODRÓŻ DO ŚMIERCI

✠✠✠

Letnie słońce zaczynało zachodzić, nadając pomarańczowy odcień gałęziom i długim, grafitowym cieniom na leśnej ziemi. Uszy Gustava wypełniły się szuraniem pił na pniach drzew i ponaglącym stękanie mężczyzn, szumem jego własnej krwi oraz jego falującym oddechem, gdy razem ze współpracownikami ładował pień drzewa na wóz.

W pewnym sensie przyjemnie było znowu być w lesie, z dala od żwiru, piachu i błota, lecz kapo, mściwy sadysta Jacob Ganzer, dawał im wycisk.

– Szybciej, świnie! Myślicie, że te kłody same się załadują? Ruszać się!

Praca w takim tempie była nie tylko wyczerpująca, lecz także niebezpieczna. Gustav i jego koledzy podnieśli masywną kłodę i rzucili ją na stertę tych, które już leżały na skrzypiącym wozie. Nie było ani sekundy, żeby odetchnąć albo sprawdzić, czy sterta jest stabilna – kolejna kłoda była już gotowa do wrzucenia na górę, a Ganzer wściekle na nich warczał. Gustav wziął jeden koniec grubego pnia, jego kolega Friedmann dźwignął drewno na ramię, a ręce kogoś innego pochwyciły resztę ciężaru. Napinając mięśnie, podnieśli kłodę i przełożyli ją nad boczną ścianą wozu. Przez pokrzykującego Ganzera ktoś wypuścił drewno, zanim pień trafił na miejsce. Kłoda stoczyła się i niemożliwa do zatrzymania masa ważąca setki kilogramów pociągnęła za sobą resztę.

Pień przetoczył się po dłoni Gustava. Jego mózg właściwie nie miał czasu poczuć rozdzierającego bólu w palcach, bo już po chwili kłoda gruchnęła na niego i Friedmanna, powalając ich na ziemię.

Gustav leżał przyszpilony jak motyl do kartki i wpatrywał się w wirujący baldachim z liści, w których połyskiwało wieczorne słońce. Jego ciało było masą bólu, uszy wypełniły się krzykiem, jękami i nawoływaniem. Potem w jego polu widzenia ukazały się pasiaki, czyjeś ręce gorączkowo podnosiły kłodę, zdejmowały ją z niego, lecz on i tak nie mógł się poruszyć. Rozglądając się, zobaczył podnoszących się mężczyzn z zakrwawionymi rękami i twarzami. Inni leżeli bezwładnie i jęczeli. Friedmann tkwił kilka kroków od niego, nie ruszał się i rzeził. Jego klatka piersiowa przyjęła większość impetu osuwającej się kłody. Z ust ciekła mu krew.

Czyjeś ręce chwyciły Gustava, podniosły go i zabrały z polany. Mimo bólu widział przesuwające się obok drzewa, ciemniejące i rozkołysane niebo, słyszał stękanie niosących go mężczyzn. Minęli bramę obozu, a potem wnieśli go do izby chorych i położyli na pryczy.

Po nim zjawiono się jeszcze siedmiu ludzi z jego komanda. Przyniesiono ich albo przykuśtykali sami. Friedmann dotarł ostatni, leżał na noszach. Nie mógł się poruszyć. Miał zmiażdżoną klatkę piersiową i złamany kręgosłup. Cierpiał w bezsilnej agonii.

Klatka piersiowa Gustava przyjęła część uderzenia, a jego połamane palce płonęły bólem. W końcu wyciągnął w tej loterii przegrywający los, tak jak wszyscy. Nie mógł mieć farta w nieskończoność – im dłużej człowiek musiał brać w tym udział, tym większa była pewność, że to się źle skończy. Perspektywy poważnie ранego więźnia wyglądały ponuro. Prawdopodobnym scenariuszem była pełna strzykawka z fenolem albo heksobarbitalem – a potem dym z komina krematorium.

Ranny Friedmann na szczęście skonał szybko. Większość innych ludzi, z lekkimi obrażeniami, niebawem opuściła izbę chorych. Gustav jednak został. Powoli mijał dzień za dniem, a jego umieszczono na małym oddziale sąsiadującym z drugą salą operacyjną. Jeśli jeszcze nie wiedział, co to oznaczało, wkrótce miał się przekonać. W drugiej sali operacyjnej dawano śmiertelne zastrzyki, a ten oddział był jej poczekalnią.

Przez jakiś czas Gustav miał spokój. Okresowo przeprowadzano jednak selekcję chorych i ciężko rannych, wysyłając część z nich do drugiej sali operacyjnej. Nigdy stamtąd nie wracali. Lekarz za każdym razem spoglądał na Gustava i przechodził dalej. Gustav był zbyt ciężko ranny, by zawracać sobie nim głowę. Dawanie zastrzyku więźniowi, który wkrótce z pewnością

i tak miał umrzeć, byłoby marnowaniem materiału. Lekarz nie znał jednak jeszcze siły woli i odporności Gustava Kleinmanna.

W izbie chorych pracował przyjaźnie nastawiony sanitariusz Helmut, który opiekował się Gustavem, gdy lekarza nie było w pobliżu, i ranny z determinacją kurczowo trzymał się życia, mimo że dniem i nocą nękał go ból. Dolegliwości powoli ustępowały i po sześciu tygodniach Gustav doszedł do siebie na tyle, by można go było wypisać. Jego życie nadal wisiało na włosku: brakowało mu sił, by mógł wrócić do kolumny przewozowej czy nawet do dostarczania zaopatrzenia do izby chorych, więc był bezużyteczną gębą do wykarmienia, kwalifikującą się do skierowania do drugiej sali operacyjnej i likwidacji.

Przyjaciele i fachowe umiejętności ocaliły mu życie. Przyjaźnie nastawieni kapo zamienili ze sobą kilka słów i Gustava przeniesiono do fabryki DAW, w której produkowano zaopatrzenie dla wojska, takie jak skrzynki na amunicję, szafki do pomieszczeń koszarowych i części do samolotów, oraz przerabiano ciężarówki na kuchnie polowe. Gustav dostał pracę rymarza i tapicera. Zaczął wracać do zdrowia.

Pierwszy raz od przyjazdu do obozu – chyba po raz pierwszy od anszlusu – Gustav mógł znów uprawiać swój wyuczony zawód. Był szczęśliwy – w każdym razie na tyle, na ile było to możliwe. Praca była przyjemna i znalazł tam dobrych przyjaciół. Vorarbeiter był niemieckim więźniem politycznym. Nazywał się Peter Kersten i dawniej był radnym miejskim z ramienia partii komunistycznej. „Bardzo odważny człowiek” – ocenił Gustav. „Świetnie się z nim dogaduję”. Zdołał nawet załatwić pracę Fredlowi Lustigowi, przyjacielowi z Wiednia, z którym wcześniej pracował w kolumnie przewozowej. Razem tworzyli małe grono zadowolonych ludzi.

Trwało to do początku października. Nagle, jak w koszmarze, który powraca po chwili wytchnienia na jawie, sytuacja przybrała fatalny obrót.

□

Fritz i pracujący z nim kolega podnieśli z rusztowania ciężkie betonowe nadproże i ostrożnie umieścili je nad otworem okiennym. Fritz ustawił je w odpowiednim miejscu, sprawdzając poziom i dopasowanie.

W ciągu ostatnich dwóch lat rozwinął pod okiem Roberta Siewerta umiejętności w zakresie budownictwa. Opanował przeróżne techniki murowania z cegły i kamienia, tynkowania oraz ogólnej konstrukcji budynków. Ludzie Siewerta ciężko pracowali na placu budowy nowych zakładów Gustloff Werke, olbrzymiej fabryki wznoszonej obok Drogi Krwi, naprzeciw kompleksu garaży SS. Miała ona produkować lufy do czołgów i dział przeciwlotniczych oraz inne elementy uzbrojenia. Większość ścian zewnętrznych już stała i Fritza skierowano do pracy przy olbrzymich oknach fabrycznych. Oczekiwano, że będzie robił dwa otwory dziennie, rozmieszczając je w odpowiedniej odległości i wstawiając nadproża, co wymagało od murarza wysokich kwalifikacji i ogromnej staranności.

Jego współpracownik Max Umschweif trafił do Buchenwaldu stosunkowo niedawno – przyjechał latem. Ten szczupły wiedeńczyk o twarzy intelektualisty walczył w szeregach Brygad Międzynarodowych przeciwko faszystom w Hiszpanii. Po porażce on i jego towarzysze broni byli internowani we Francji. W 1940 roku wrócił do Wiednia, gdzie Gestapo aresztowało go jako znanego antyfaszystę. Fritz uwielbiał słuchać jego opowieści o wojnie w Hiszpanii, lecz zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego Max z własnej woli wrócił do Austrii, choć wiedział, że dopadnie go tam Gestapo.

Uderzając rączką kielni w nadproże, Fritz umieścił je w docelowym położeniu i skontrolował je poziomą, po czym szybko i sprawnie zabezpieczył je zaprawą murarską. Przyjemnie pracowało się na rusztowaniu. Nadzorcy z SS nieustannie nękali i bili pomocników noszących cegły i zaprawę, lecz nigdy nie zapuszczali się po drabinach na rusztowanie. Fritz, zadowolony z wyniku swojej pracy, odwrócił się i skorzystał z chwili, by rozciągnąć mięśnie. Z góry roztaczał się ładny widok na las: dęby i buki wyglądały pięknie w swej październikowej chwale, nakrapiane złotem i odcieniami miedzi. W oddali widać było rozłożysty Weimar otoczony falującymi polami uprawnymi.

W ostatnich miesiącach Fritz doświadczył okropnych rzeczy – Leo Moses wyjechał, ojciec chłopca otarł się o śmierć, SS zamordowało jego bliskich przyjaciół. A jednak najgorsza była wieść o matce i Hercie oraz rozpacz związana z tym, że nie wiedział, co się z nimi stało.

Z zamyślenia wyrwało go wołanie z dołu:

– Fritz Kleinmann, złaź!

Zszedł po drabinie i zobaczył, że czeka na niego jeden z robotników.

– Kapo cię wzywa – powiedział mężczyzna.

Fritz poszedł poszukać Roberta Siewerta, a gdy go znalazł, na twarzy kapo malował się ponury wyraz, którego Fritz jeszcze nigdy nie widział. Siewert cicho wziął go na bok, objął ramieniem i przytulił, jakby chłopiec był jego synem. Nigdy dotąd czegoś takiego nie robił. Fritz domyślił się, że za chwilę usłyszy złe wieści.

– W archiwum jest lista Żydów, którzy mają zostać przewiezieni do Auschwitz – oznajmił zwięźle Siewert. – Jest na niej twój ojciec.

Fritz przeżył wstrząs, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczył. Każdy znał nazwę Auschwitz, jednego z wielu obozów utworzonych przez SS w okupowanych krajach. Przez cały rok rozmawiano o nim w Buchenwaldzie: pogłoski i wieści z daleka, a także relacje z tego, co się działo w samym obozie, wskazywały, że dramat Żydów wkracza w ostatnią fazę, że naziści zamierzają ostatecznie pozbyć się tych, którzy nie wyemigrowali ani jeszcze nie umarli. Od wiosny docierały do Buchenwaldu niepokojące szept o specjalnych pomieszczeniach z gazem budowanych w niektórych obozach, gdzie można było uśmiercić setki ludzi naraz. Wśród tych obozów było właśnie Auschwitz. Przewiezienie w to miejsce mogło oznaczać tylko jedno.

Siewert wyjaśnił, czego się dowiedział. Lista była długa, obejmowała prawie wszystkich Żydów, którzy przebywali jeszcze w Buchenwaldzie. Wyjątek zrobiono dla takich jak Fritz, potrzebnych przy budowie fabryki Gustloffa.

Fritz był oszołomiony i przerażony. Znał w obozie mnóstwo młodych chłopaków, którzy stracili ojców, i nieustannie towarzyszył mu strach, że dołączy do ich grona.

– Musisz być bardzo dzielny – powiedział Siewert.

– Przecież tata wykonuje ważną pracę w fabryce – zaprotestował Fritz.

Siewert pokręcił głową. Praca w fabryce nie miała znaczenia.

– Tu chodzi o wszystkich – powiedział. – Wszyscy Żydzi oprócz budowlańców jadą do Auschwitz. Jesteś jednym z nielicznych, którzy mają więcej szczęścia. – Spojrzał Fritzowi w oczy. – Jeśli chcesz dalej żyć, musisz zapomnieć o ojcu.

Fritz nie wiedział, co powiedzieć.

– To niemożliwe – wykrztusił wreszcie.

Potem odwrócił się na pięcie, wspiał się z powrotem po drabinie i wziął się do pracy.



Na liście przygotowanej przez kierownictwo obozu w Buchenwaldzie znalazło się nieco ponad czterysta nazwisk. Kilka dni wcześniej przyszedł rozkaz przesłany w imieniu Himmlera do dowódców wszystkich obozów: na życzenie samego Führera należało oczyścić z Żydów wszystkie obozy koncentracyjne znajdujące się na terenie Niemiec. Żydowski więźniowie mieli zostać przewiezieni do obozów na terenie należącym dawniej do Polski, mianowicie do Auschwitz i Majdanka.

W Buchenwaldzie zostało tylko sześciuset trzydziestu dziewięciu Żydów: ci, którzy przetrwali chaotyczne morderstwa, wywózki i transporty skazanych na eutanazję. Dwustu trzydziestu czterech z nich pracowało przy budowie fabryki. Ci na razie mieli zostać w obozie, reszta miała pojechać do Auschwitz.

Wieczorem, w czwartek 15 października, kilka dni po rozmowie Fritza z Robertem Siewertem, wszystkim żydowskim więźniom rozkazano zebrać się na placu apelowym.

Wiedzieli, czego się spodziewać. Stało się dokładnie tak, jak zapowiedział Siewert. Numer Fritza wywołano razem z numerami innych wykwalifikowanych budowlańców. Tym ludziom rozkazano wracać do baraków. Zostawiając ojca na placu, Fritz odmaszerował z kolegami z pracy, a jego wnętrzości wywracały się ze strachu i oburzenia.

Gustava i pozostałych czterystu mężczyzn poinformowano, że zostaną przewiezieni do innego obozu. Od tej pory mieli przebywać w izolacji. Kazano im maszerować do bloku 11, który opróżniono, by zrobić dla nich miejsce, a potem zamknięto ich w środku, zakazując wszelkich kontaktów z innymi więźniami. Tam czekali na transfer.

ובן אב

Tego wieczoru Fritz nie mógł się uspokoić, ciągle miał przed oczami ojca, który został na placu razem z innymi skazanymi. Perspektywa rozstania z nim na zawsze była nie do zniesienia. Gnębiło go to przez całą noc. Wiedział, że słowa Roberta Siewerta były mądre i rozsądne oraz że zostały wypowiedziane z życzliwością: jeśli Fritz chciał przetrwać, musiał

zapomnieć o ojcu. Tylko że on nie wyobrażał sobie, by po czymś takim mógł dalej żyć. Obawy związane z losem matki i Herty zaszczepliły w nim rozpacz i wątpli, by zdołał przeboleć śmierć ojca.

Wcześniej rano wśród mężczyzn z bloku Fritza rozeszła się pogłoska, że w nocy zabrano trzech więźniów z bloku 11 do izby chorych i zrobiono im śmiertelne zastrzyki. Plotka okazała się fałszywa, ale pomogła Fritzowi podjąć ostateczną decyzję.

Nazajutrz rano przed apelem poszukał Roberta Siewerta i powiedział:

– Masz kontakty. Masz przyjaciół wśród urzędników i w biurze.

Siewert kiwnął głową. Oczywiście, że miał.

– Pociągnij za wszystkie sznurki, jakie się da, żebym znalazł się w tym transporcie do Auschwitz.

Siewert był przerażony.

– To, o co prosisz, to samobójstwo. Mówiłem ci, musisz zapomnieć o ojcu – powiedział. – Ci ludzie zostaną zagazowani.

Fritz był jednak nieprzejednany.

– Chcę być z tatą, bez względu na to, co się stanie. Nie mógłbym bez niego żyć.

Siewert próbował go przekonać, ale chłopiec był niewzruszony. Pod koniec apelu Siewert poszedł porozmawiać z porucznikiem SS Maxem Schobertem, zastępcą komendanta. Gdy więźniowie zaczęli się ustawiać, by pomaszerować do pracy, rozległo się wezwanie:

– Więzień 7290 do bramy!

Fritz zameldował się u Schoberta, który spytał, o co chodzi. Chłopiec wiedział, że potem nie będzie już odwrotu. Wziął się w garść i wyjaśnił, że nie mógłby znieść rozstania z ojcem, a potem oficjalnie poprosił o wysłanie go do Auschwitz razem z Gustavem.

Schobert wzruszył ramionami. Było mu wszystko jedno, ilu Żydów ulegnie eksterminacji, więc wydał zgodę.

Jednym słowem Fritz zrobił coś niepojętego: z własnej woli wystąpił z grupy ocalonych, by dołączyć do skazańców. Strażnik poprowadził go przez plac do bloku 11. Otworzył drzwi i wepchnął Fritza do środka.

Barak, zbudowany dla zaledwie dwustu mężczyzn, pękał w szwach. Fritz rozglądał się w masie ludzi w pasiakach, stojących, siedzących na nielicznych krzesłach albo kucających na ziemi, wyciągających szyje ku oknom, by zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Gdy drzwi zamknęły się z hukiem, dziesiątki twarzy zwróciły się w stronę Fritza. Prawie wszystkie

należały do starych przyjaciół albo mentorów – chuda twarz w okularach Stefana Heymanna, wiecznie zdziwiona, a teraz wręcz osłupiała; twarz jego przyjaciela Gustla Herzoga, oblicza odważnego austriackiego antyfaszysty Ericha Eislera i Bawarczyka Fritza Sondheima... Ich zdumienie ustąpiło miejsca przerażeniu, gdy usłyszeli, dlaczego się tam znalazł. Protestowali i błagali, tak jak Siewert, ale Fritz przepchnął się dalej, szukając ojca...

...i znalazł go: dostrzegł w tłumie znajomą szczupłą, pomarszczoną twarz o spokojnych, łagodnych oczach. Podbiegli do siebie i uścisnęli się, płacząc z radości.

Późnym wieczorem Robert Siewert przyszedł porozmawiać z Fritzem. Chłopiec musiał podpisać dokument, w którym zaświadczał, że dołącza do transportu z własnej nieprzymuszonej woli. Pożegnanie było bolesne. Fritz zawdzięczał Siewertowi pozycję, umiejętności i to, że przetrwał ostatnie dwa lata.

W sobotni rano 17 października, po dwóch dniach trwania w zawieszeniu, czterystu pięciu przenoszonych Żydów – polskich, czeskich, austriackich i niemieckich – poinformowano, że dziś zostaną przetransportowani. Nie mogli niczego ze sobą zabrać. Przydzielono im skąpe racje żywnościowe, które miały wystarczyć na czas podróży – racja Gustava składała się z kawałka chleba – a potem wyprowadzono ich z baraku.

W obozie panowała niezwykle ponura atmosfera, nawet wśród esesmanów. Wcześniej wywożeni więźniowie maszerowali przez bramę pod gradem wyzwisk ze strony strażników, lecz tym razem czterystu Żydów szło w ciszy. Całkiem jakby wszyscy rozumieli, że teraz jest inaczej, że to doniosła chwila, w której należy zachować powagę.

Za bramą czekał konwój autobusów. Fritz i Gustav siedzieli w cywilizowanym, wygodnym pojeździe, gdy wieziono ich Drogą Krwi, po której biegli przerażeni trzy lata, dwa tygodnie i jeden dzień temu. Jak bardzo się zmienili od tamtej pory, jak wiele zobaczyli. Na dworcu w Weimarze załadowano ich do bydłych wagonów – po czterdziestu mężczyzn w każdym. Przybito gwoździemi dodatkowe deski, by je zamknąć i dobrze zabezpieczyć.

Gdy pociąg ruszył, w wagonie Fritza i Gustava – którym jechali razem ze Stefanem Heymannem, Gustlem Herzogiem i wieloma innymi przyjaciółmi – panowała ponura atmosfera. W świetle przenikającym przez szczeliny w ścianach wagonu Gustav wyjął swój dziennik, ukrywając go

przed wzrokiem innych. Ponieważ o przeniesieniu został powiadomiony z wyprzedzeniem, zadbał o to, by ukryć dziennik pod ubraniem, gdy przenoszono ich do izolatki. Ten zniszczony notesik był jego łącznikiem ze zdrowiem psychicznym, jego zapisem aktualnego życia, i nie chciał się z nim rozstać. Dopóki miał przy sobie Fritza, czuł, że zdoła wytrzymać wszystko.

„Wszyscy mówią, że to podróż do śmierci – napisał – ale ja i Fritzl nie upadamy na duchu. Powtarzam sobie, że człowiek może umrzeć tylko raz”.

CZĘŚĆ III
AUSCHWITZ

MIASTO ZWANE OŚWIĘCIMIEM

אָרײַן

Inny pociąg, inny czas...

Gustav obudził się z drzemki, czując muskanie słońca na powiekach, a jego nos wypełnił się zapachem serży, spoconych męskich ciał, dymu tytoniowego, skóry i smaru do broni palnej. W jego uszach pobrzmiwały miarowy stukot pociągu i pomruki męskich głosów, które po chwili nagle wzniosły się, by zaśpiewać piosenkę. Chłopcom dopisywał humor, mimo że wkrótce mogli zginąć. Gustav potarł kark, obolały po spaniu z głową opartą o plecak, i podniósł karabin, który zsunął się na podłogę.

Wstał i spoglądając przez szparę w ścianie, poczuł ciepły letni wiatr na twarzy oraz lekki zapach łąk przebijający przez dym lokomotywy. Falujące pola pszenicy zaczynały się już złocić, dojrzewając do żniw. Wieża kościoła wзираła ze szczeliny w dalekim wzniesieniu. Za nią rozciągały się zielone Beskidy, a jeszcze dalej upiorna zasłona Babiej Góry. Była to kraina jego dzieciństwa. Po sześciu latach w Wiedniu wyglądała obco, w osobliwy sposób przypominała wyraziste wspomnienie, które nagle powraca.

Powołano go do cesarsko-królewskiej armii wiosną 1912 roku, gdy skończył dwadzieścia jeden lat. Ponieważ urodził się w Galicji, trafił do 56. Pułku Piechoty stacjonującego w dystrykcie krakowskim. Dla większości młodych mężczyzn z klasy robotniczej służba w wojsku była przyjemnym przerywnikiem: w armii mieli dobre warunki, a służba poszerzała horyzonty. Było wśród nich wielu niepiśmiennych, słabo zarabiających robotników, większość nigdy nie zapuszczała się dalej niż do sąsiedniej wioski. W Galicji spora grupa osób nie mówiła nawet po niemiecku,

a liczni nie potrafiliby sprawdzić, która jest godzina. Gustav widział więcej świata niż przeważająca część rekrutów, ponieważ mieszkał w Wiedniu. Mówił zarówno po polsku, jak i po niemiecku. Terminował jednak u tapicera, więc był biedny, a wojsko gwarantowało pewną stabilizację. Było to emocjonujące środowisko – kiedyś cesarstwo austro-węgierskie było największe w Europie i armii wciąż towarzyszył imperialny przepych: piękne kolorowe mundury galowe huzarów i dragonów, sztandary i chorągwie z cesarskim dwugłowym orłem oraz zamiłowanie do wojskowych uroczystości organizowanych z wielką pompą.

Dla Gustava służba wojskowa oznaczała powrót na ojczyście tereny. Większość pierwszych dwóch lat spędził w garnizonowym miasteczku na północ od Beskidów, mniej więcej w połowie drogi między swoją rodzinną wioską Zabłocie a Oświęcimiem, ładnym, dobrze prosperującym, lecz poza tym niczym niewyróżniającym się miejscem przy granicy z Prusami. Przez dwa lata wiódł garnizonowe życie: parady, pastowanie butów i polerowanie mosiądzu, od czasu do czasu ćwiczenia polowe i manewry. Potem, w 1914 roku, gdy ci powołani w 1912 roku już myśleli, że wkrótce będą mieli armię z głowy i wrócą do swoich gospodarstw oraz warsztatów jako pełnoprawni mężczyźni, wybuchła wojna.

Nagle zmobilizowano 56. Pułk Piechoty i Gustav razem z resztą 12. Dywizji Piechoty pomaszerował na dworzec kolejowy, by wyruszyć do ufortyfikowanego Przemyśla – punktu wypadowego pułku przed atakiem na terytorium Rosji. Gustav i jego towarzysze maszerowali różnym krokiem, niosąc ciężkie plecaki, a orkiestra grała głośno żwawą marszową melodię. Wyglądali nieskazitelnie z nawoskowanymi wąsami i w szarych mundurach ze stalowozielonymi obszyciami. Zadowoleni z siebie tak, jak potrafią być z siebie zadowoleni jedynie młodzi mężczyźni, uśmiechali się do machających im dziewcząt. Mieli zepchnąć Rosjan aż do Sankt Petersburga.

Pięć dni później, po podróży w wagonach bydłych i długim, morderczym marszu z ważącymi dwadzieścia pięć kilogramów plecakami, do których przypasali zimowe płaszcze, amunicję, saperki i racje żywnościowe na wiele dni, nie kroczyli już tak dziarsko. Pasy karabinów ocierały im skórę, bolały ich stopy. Starszy szeregowy Gustav Kleinmann i jego towarzysze broni nie marzyli już o walce, tylko o butelce i łóżku. Pierwszego dnia ich marzenie się nie spełniło. Mieli dotrzeć do Lublina i dołączyć tam do nadciągających z północy Prusaków. Podczas gdy pułki

z lewej flanki napotkały zdecydowany opór ze strony Rosjan i poniosły duże straty, 56. Pułk właściwie nie widział jeszcze wroga. Po prostu maszerował całymi dniami, wdzierając się na terytorium Rosji.

ן

Gustav ułożył ranną nogę w wygodniejszej pozycji. Galicyjski mróz kąsał krawędzie szyb w oknach, a ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu.

Po upalnym lecie i okropnej jesieni nastąpiła okrutna zima. Mimo że rosyjska armia wycofała się w chaosie, austriackie oddziały ucierpiały wskutek nieudolnego dowodzenia, a Niemcy nie zapewnili im odpowiedniego wsparcia. Rosjanie wkrótce się przegrupowali i zaczęli odzyskiwać utracone ziemie. W końcu rozgromili wroga, a resztki austriackich pułków wycofywały się na całej linii frontu.

Ludność cywilna wpadła w panikę. Uchodźcy sparaliżowali funkcjonowanie dworców kolejowych i dróg. Najbardziej przerażeni byli Żydzi: wszyscy słyszeli o antysemitycznych przepisach wprowadzonych w carskiej Rosji. Wielu galicyjskich Żydów było potomkami tych, którzy uciekli przed pogromami we wschodnim imperium. Posuwający się naprzód Rosjanie siłą odbierali Żydom majątki i pieniądze, usuwali ich z urzędów publicznych, a niektórych brano jako zakładników i wywożono do Rosji. Fala uchodźców płynęła na zachód i południe ku centrum Austro-Węgier. Z początku szukano schronienia w Krakowie, lecz jesienią nawet to miasto było zagrożone, więc uchodźcy skierowali się w stronę Wiednia. Władze utworzyły dla nich ośrodki ewakuacyjne w Wadowicach i Oświęcimiu.

W końcu austriackie siły – z 56. Pułkiem Piechoty, w którym służył Gustav, na czele – zatrzymały Rosjan i linia frontu ustaliła się pod Krakowem. Armie wykopały okopy i zaczęła się wojna pozycyjna: bombardowania, naloty i beznadziejne ataki. Na początku nowego roku Gustav i jego towarzysze broni – już nieliczni – byli na froncie niedaleko Gorlic, miasta oddalonego od Krakowa o jakieś sto kilometrów na południowy wschód. Okopy były zaledwie płytkimi rowami chronionymi jednym drutem kolczastym i otoczonymi otwartym terenem bombardowanym przez rosyjską artylerię. Wróg zajął miasto i kontrolował

obszar wokół niego z bastionu na wielkim cmentarzu na szczycie wzgórza na jego zachodnich obrzeżach.

Spędzili tam całą mroźną zimę. Gdy Gustav został ranny – kula przeszła przez lewe przedramię i łydkę – w pewnym sensie było to dla niego wybawienie. Przebywał trochę czasu w szpitalu pomocniczym w Bielsku-Białej, dużym mieście niedaleko Zabłocia (dobrze je znał, bo jako nastolatek pracował tam w charakterze pomocnika piekarza), a w połowie stycznia przewieziono go tutaj, do szpitala rezerwowego w sąsiednim mieście, w którym były węzeł transportowy i baza wojskowa. Miasto nosiło nazwę Oświęcim, a Niemcy mówili na nie Auschwitz.

Gustav poznał to miejsce w dzieciństwie. Samo miasto w czasie pokoju było przyjemne. Stały w nim ładne miejskie budynki, a stara, malownicza dzielnica żydowska przyciągała turystów. Leżało ono u zbiegu Wisły i Soli, rzeki, która płynęła krętym szlakiem, biorąc początek w jeziorze obok wsi, w której urodził się Gustav. Szpital wojskowy w Oświęcimiu był nieco oddalony od miasta, urządzono go na drugim brzegu Soli w odludnej wiosce Zasole – skupisko nowoczesnych baraków stojących w równych rzędach niedaleko rzeki (nie było to idealne miejsce: latem podmokły teren nękała plaga owadów). Pierwotnie baraki wchodziły w skład obozu przejściowego dla robotników sezonowych napływających z Galicji do Prus, lecz od wybuchu wojny rzędy zabudowań robotniczych stały puste.

Dla Gustava gorsza od bólu ran – które już prawie się zagoiły – była rozłąka z towarzyszami broni, wciąż przebywającymi na froncie. Postanowił, że nie będzie symulował choroby. Jego rany nie były poważne i mimo drobnej postury oraz wręcz delikatnego wyglądu – miał łagodne spojrzenie i ogromne uszy – dowiódł, że jest twardym młodym mężczyzną, zaskakująco wytrzymałym w obliczu trudności i ran.

Na razie jednak miał spokój. Słyszał tylko żwawe kroki pielęgniarek i ściszone głosy.

אִתּוֹ

Kule uderzały w boki nagrobków, zraszając twarz Gustava odłamkami kamienia. On i jego towarzysze wytrzymali i odpowiedzieli ogniem, posuwając się naprzód, metr po metrze, w głąb cmentarza.

Gustav dopiero miesiąc temu wyszedł ze szpitala, a już trafił w sam środek walk – znów był w Gorlicach, w zamrzniętych okopach u stóp wzgórza za miastem, znów pod sporadycznym deszczem pocisków i w nieustannym starciu. Potem nastał jego dzień – 24 lutego 1915 roku – gdy pułk przystąpił do ataku na dobrze bronione rosyjskie pozycje.

Jak dla kaprała Gustava Kleinmanna wyglądało to na samobójczą misję: frontalny atak na ogromne siły zajmujące bezpieczną, łatwą do obrony pozycję na górze. Cmentarz rozciągający się przed jego kompanią był tradycyjnym cmentarzem katolickim, pełnym małych, umieszczonych blisko siebie grobów z wapienia i marmuru. Przypominało to prawdziwą fortecę i przy pierwszym podejściu kompania Gustava została rozbita. Ponieważ ich sierżant i dowódca plutonu zginęli, Gustav i starszy szeregowy Johann Aleksiak, jego prawa ręka, zaimprovizowali własny plan, by uniknąć straty kolejnych ludzi. Prowadząc resztki plutonu – składał się teraz tylko z nich dwóch, dwóch starszych szeregowych i dziesięciu szeregowców – przedostali się na lewo od pozycji wroga, gdzie byli osłonięci przed rosyjskimi kulami, i zaatakowali stamtąd. Dotarli na obrzeża cmentarza i zanim Rosjanie ich zauważyli, znaleźli się wśród grobów. Natychmiast trafili pod ciężki ostrzał. Odpowiadali ogniem i starali się posuwać dalej. Rosjanie zaczęli rzucać granaty, lecz mimo to Gustav i jego ludzie coraz bardziej się zbliżali.

Gdy znaleźli się na terenie Rosjan i pokonali piętnaście metrów, alejki między grobami stały się zbyt wąskie, by umożliwić skuteczny ostrzał. Gustav zatrzymał swoich ludzi i rozkazał zamocować bagnety. Czując, jak krew wrze im w żyłach, przypuścili ostatni, brutalny atak.

Udało się: zepchnęli Rosjan z pozycji. Przeprowadzony przez Gustava atak z flanki skupił główne siły rosyjskiej obrony, pozwalając reszcie 3. Kompanii wdrzeć się na cmentarz. Tego dnia wzięli razem dwustu rosyjskich jeńców, a cały pułk pojmał ich w sumie tysiąc dwustu czterdziestu.

W obliczu niepowodzeń, których doznawała austriacka armia od wybuchu wojny, zajęcie cmentarza w Gorlicach było wystarczająco ważnym osiągnięciem, by obsypano żołnierzy medalami. Wspomnił o nich w raporcie sam marszałek polny von Höfer. Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni niepewne losy bitwy odwróciły się dzięki inicjatywie zwykłego podoficera.

Rabin Frankfurter wyśpiewał ostatnie błogosławieństwa Szewa Brachot, siedmiu błogosławieństw małżeństwa, a jego głos niósł się donośnym echem po kaplicy-synagodze w wiedeńskim garnizonie Rossauer. Gustav stał w swoim najlepszym mundurze galowym pod ślubnym baldachimem trzymanym przez towarzyszy broni, a na jego piersi lśnił srebrny medal pierwszej klasy za odwagę. Obok stała panna młoda, rozpromieniona Tini Rottenstein. Jej biały koronkowy kołnierzyk i jedwabne kwiaty odznaczały się na tle ciemnego materiału płaszcza i kapelusza z szerokim rondem.

Od pamiętnego dnia na cmentarzu w Gorlicach minęły dwa lata. Zarówno Gustava, jak i Johanna Aleksiaaka nagrodzono srebrnymi medalami, jednym z najwyższych odznaczeń w Austrii. Ich dowódca opisał ich działanie jako „mądre, bezprecedensowo odważne podejście”, dzięki któremu dwaj kaprale „wspaniale się wyróżnili”. Bitwa była zaciekle i odznaczono po niej ponad stu mężczyzn z 56. Pułku Piechoty. Od tego dnia mimo komplikacji Austriacy wypierali armię cara za Wisłę i z Galicji, zajmując Lwów, Warszawę i Lublin. W sierpniu tego roku Gustav znowu został ranny, tym razem o wiele poważniej, bo w płuco. Ostatecznie wrócił jednak do zdrowia i ponownie ruszył do walki.

– Niechaj jałowa raduje się ze zgromadzenia swych dzieci w szczęśliwości. – Śpiew rabina Frankfurtera wypełniał pomieszczenie. – Błogosławiony jesteś, Panie, który stworzyłeś radość i szczęście, oblubieńca i oblubienicę, zadowolenie i śmiech, wesele i zachwyty, miłość i przyjaźń, harmonię i braterstwo [...], który rozradowujesz oblubieńca oblubienicą. – Zgodnie z tradycją postawił kieliszek na podłodze obok Gustava, a ten zmiążdżył go obcasem.

– Mazeł tow!^[1] – zawołali zgromadzeni.

Rabin przemówił, przypominając Tini o szczególnej powadze związanej z poślubieniem żołnierza i nawiązując do dobroci cesarstwa austro-węgierskiego dla narodu żydowskiego. Przyrównał nowego cesarza Karola do słońca świecącego na Żydów. Jego przodkowie obalili mury dawnych gett i „umieścili Izrael” w swoim państwie. To prawda, Austria nigdy nie była wolna od antysemityzmu, ale od emancypacji Żydów za panowania Habsburgów żyło im się tam dobrze i dużo osiągnęli. Dzięki tej podbudowie mogli się stać kowalami własnego losu.

Tego dnia Gustav i Tini wyszli z synagogi w nową epokę. Gustav nie skończył jeszcze służby – miał wziąć udział w starciach na froncie włoskim

i zdobyć kolejne odznaczenia, pomagając Austrii i Niemcom walczyć aż do ich powolnej, nieuchronnej, krwawej klęski. Ostatecznie jednak przeżył i wrócił do Wiednia. Latem w pierwszym roku pokoju przysłała na świat Edith. Dawne cesarstwo zostało podzielone przez zwycięskich sojuszników: Galicja przypadła Polsce, Węgry uzyskały niepodległość, a z Austrii zostały tylko resztki. Wiedeń wciąż jednak był Wiedniem, cywilizowanym sercem Europy. Gustav zrobił aż nadto, by móc tam zamieszkać razem z rodziną.

Wielu uważało jednak inaczej. Ludzie w Austrii i Niemczech zaczęli opowiadać sobie różne historie, by złagodzić wstyd związany z przegraną wojną. To przez Żydów, mówili, Żydzi dorobili się na wojennym czarnym rynku. Wytykano palcami żydowskich uchodźców uciekających przed frontem i podkreślano, że pogłębili oni kryzys w miastach. Opowiadano o tym, jak Żydzi uchylali się od obowiązku i unikali służby wojskowej. Ich zgubny wpływ na rząd i handel był ciosem w niemieckie i austriackie plecy. Niemieccy nacjonaści i konserwatywna Austriacka Partia Chrześcijańsko-Społeczna uprawiali antyżydowską agitację w parlamencie wiedeńskim, a w gazetach zaczęto złowieszczo grozić pogromami.

Nadzieja jednak nie umarła. Wybuch antysemityzmu ucichł do groźnych pomruków i Żydom w Wiedniu nadal powodziło się doskonale. Gustav musiał się czasem natrudzić, żeby związać koniec z końcem, ale nigdy nie rozpaczał. Rzucił się w wir socjalistycznej polityki, próbując zapewnić lepszą przyszłość wszystkim ludziom pracującym i zagwarantować dobrobyt swoim dzieciom.

אבא

Inny pociąg, inny czas, inny świat... a jednak ten sam.

Gustav siedział w ciemności, kołysany ruchem pociągu. Powietrze wokół niego było gęste od znajomego smrodu niemytych ciał, nieświeżych ubrań i kubła z odchodami, ożywione monotonnymi pomrukami ludzi. Dziesiątki mężczyzn w przestrzeni tak małej, że z trudem się ruszali. Dostanie się do kubła w kącie było męczarnią.

Minęły dwa dni, odkąd wsiedli do pociągu w Weimarze. Oczy Gustava przywykły do tej odrobiny światła przenikającego przez szczeliny wokół wjazdu i okratowania, więc mógł napisać w swoim dzienniku kilka zdań.

Musiałoby być mniej więcej południe. Słońce świeciło najmocniej i rozróżniał twarze towarzyszy: byli tam Gustl Herzog, Stefan Heymann z pociągłym, poważnym obliczem oraz przyjaciel Gustava Felix „Jupp” Rausch. Fritz siedział niedaleko swoich młodych przyjaciół, między innymi Paula Grünberga, wiedeńczyka w tym samym wieku co on, i jednego z uczniów Siewerta, który jednak nie ukończył szkolenia murarskiego. Bez wody i koców byli spragnieni i zziębnięci, w wagonie panowało ogromne przygnębienie.

Gustav nie mógł tego zobaczyć ani poczuć, ale wiedział, że zna tereny, przez które, jak się domyślał, właśnie przejeżdżali: pola, zielone wzgórza i góry w oddali, urokliwe wioski. Tu się wychował, tu przelewał swoją krew za ojczyznę, a teraz tory przywiodły go tu po raz ostatni, na śmierć.

Rodzina, którą zakładał z tak wielką nadzieją, była teraz rozbita i rozproszona. Nadzieja, którą czuł w 1915 roku, gdy do jego piersi przypinano medal, i w 1917 roku, gdy roztrzaskał obcasem kieliszek i został mężem Tini, a także w 1919 roku, gdy po raz pierwszy wziął na ręce małą Edith, obietnica, że w Austrii został zbudowany Izrael – tę obietnicę zmiażdżyły koła olbrzymiej, szalonej, zepsutej maszyny niepowstrzymane i bezsensownie pędzącej, by tchnąć życie w aryjsko-niemiecką wspaniałość, która nigdy nie istniała i nigdy nie mogła istnieć, ponieważ jej ciasny purytanizm był zaprzeczeniem wszystkiego, co czyni społeczeństwo wspaniałym. Nazizm mógł być wspaniały w nie większym stopniu niż jaskający się aktor w pozłacanej papierowej koronie może być królem.

Pociąg, przemierzając z terkotem skoszone pola i złocące się lasy, zaczął zwalniać. Powoli skręcił na południe i dotarł na dworzec w Oświęcimiu.

Wypuszczając kłęby dymu, lokomotywa dowlekła wagony bydłce do rampy załadunkowej. I tam się zatrzymała. Siedzący w środku mężczyźni z Buchenwaldu zastanawiali się, czy dojechali już do celu. Mijały godziny, lecz nic się nie działo. Światło w szczelinach powoli gasło, zostawiając ich w zupełnej ciemności.

Gustav cieszył się, że w ciągu tych godzin może mieć przy sobie Fritza. Wolał nie myśleć o tym, jak by sobie poradził, gdyby syn z nim nie pojechał. Duch dawnych przekreślonych nadziei żył właśnie we Fritzu, w więzi łączącej ojca z synem, dzięki której dożyli tej chwili. Jeśli rzeczywiście mieli tu umrzeć, przynajmniej nie będą sami.

W końcu dobiegły ich jakieś dźwięki: włazy wagonów otwierały się z hukiem i wykrzykiwano rozkazy. Gdy ich wąż odsunął się z piskiem, oślepił ich blask latarek i lamp elektrycznych.

– Wszyscy wychodzić!

Zesztywniali i obolali, weszli w krąg światła i warczących psów.

– Utworzyć szeregi! Pierwszy tutaj. Szybko!

Dobrze wyszkoleni po latach apeli, buchenwaldczycy prędko ustawili się między torami. Spodziewali się jak zwykle wyzwisk i bicia, lecz ku swojemu zaskoczeniu – i lekkiemu zaniepokojeniu – nie doświadczyli ani jednego, ani drugiego. Uzbrojeni strażnicy od czasu do czasu wykrzykiwali jakiś rozkaz, ale poza tym byli dziwnie milczący. Chodzili tam i z powrotem wzdłuż szeregów nowych więźniów, uważnie ich obserwując. Czas mijał i ludzie coraz bardziej się denerwowali. Ilekroć w pobliżu nie było strażników, Gustav wyciągał rękę i przytulał Fritza.

Po raz ostatni był na tym dworcu w 1915 roku, gdy wypisano go ze szpitala i odesłano na front. Miał jednak wrażenie, że wszystko się tu zmieniło.

Tuż po dziesiątej wieczorem tupot butów maszerujących po rampie załadunkowej zapowiedział przybycie oddziału SS z obozu. Dowodził nim oficer w średnim wieku o zaciętej twarzy, ponuro wykrzywionych ustach i w okularach w stalowej oprawce. Był to podporucznik SS Heinrich Josten, dowodzący pogotowiem SS wysłanym z Auschwitz na dworzec. Skrupulatnie odhaczył na liście nazwiska i numery nowo przybyłych, po czym powiedział podniesionym głosem: „Czy ktoś ma zegarki albo inne wartościowe przedmioty? Na przykład złoto? Jeśli tak, należy je oddać. Odtąd nie będą wam potrzebne”. Nikt nie odpowiedział. Josten skinął na swoich ludzi, a oni rozkazali więźniom maszerować równo po rampie.

Z placu załadunkowego pomaszerowali długą prostą ulicą między czymś, co wyglądało na lekką zabudowę przemysłową, a rzędami zniszczonych drewnianych baraków. Ten krajobraz wydał się Gustavowi znajomy.

Skręciwszy w lewo, poszli krótką drogą prowadzącą ku bramie skąpanej w świetle lamp łukowych. Brama szeroko się otworzyła, podniesiono szlaban i buchenwaldczycy przemaszerowali pod łukiem z kutego żelaza, na którym widniało hasło:

ARBEIT MACHT FREI

„Praca czyni wolnym”. Szlaban opadł i brama zamknęła się za nimi z brzękiem.

Znaleźli się na terenie obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Szli szeroką ulicą otoczoną zadbanymi pasami trawy i olbrzymimi, porządnie zbudowanymi dwupiętrowymi barakami. Przypominały baraki SS w Buchenwaldzie, lecz Gustav dostrzegł inne, odleglejsze podobieństwo. Już tu kiedyś był.

Gdy buchenwaldczycy dotarli do budynku na drugim końcu obozu, rozkazano im wejść do środka. Znaleźli się w łaźni. Znów odhaczono ich nazwiska na liście transportowej i przeszli do przebieralni, w której pracowali więźniowie. Tu rozkazano im rozebrać się do naga w celu poddania się inspekcji lekarskiej. Potem mieli pójść pod prysznic, a przed zakwaterowaniem zamierzano odwszawić ich ubrania.

Fritz i jego ojciec spojrzeli po sobie. Wśród buchenwaldczyków rosło zdenerwowanie. Słyszeli pogłoski o zagazowywaniu w Auschwitz i wiedzieli, że komora gazowa udaje salę z prysznicami. Mężczyźni zdjęli stare, brudne pasiaki i bieliznę, po czym przeszli przez kolejne pomieszczenie, gdzie obejrzał ich lekarz, i przez jeszcze jedno, gdzie ogolono im głowy – do samej skóry, nie zostawiając nawet szczeciny, którą zwykle nosili. Ogolono im też ciała, w tym włosy łonowe. Potem przeprowadzono inspekcję, szukając wszy. Fritz zauważył na białej ścianie znak namalowany złowrogimi gotyckimi literami: „Wesz – twoja śmierć”.

Następnie przyszła pora na prysznic. Fritz, Gustav i pozostali patrzyli z niepokojem, jak do sali zaganiają pierwszą grupę.

Mijały minuty. Więźniowie byli coraz bardziej zdenerwowani. Fritz czuł rosnące napięcie, któremu towarzyszyły stłumione pomruki. Czy gdy przyjdzie ich kolej, podporządkują się i posłusznie wejdą do komory śmierci?

Nagle w drzwiach pojawiła się uśmiechnięta twarz jakiegoś mężczyzny, lśniąca od wody, która spływała mu po brodzie.

– Wszystko w porządku – powiedział. – To naprawdę prysznic!

Następne grupy szły pod prysznic w znacznie lepszych humorach. Na koniec wydano im odwszawione i zdezynfekowane pasiaki oraz czystą bieliznę. Ku uldze Gustava jego dziennik, zawierający strony z bezcennym świadectwem, wciąż leżał ukryty w jego ubraniu.

Gdy się ubrali, przyszła pora na inspekcję przeprowadzaną przez kapitana SS Hansa Aumeiera, zastępcę komendanta i dowódcę sekcji

„aresztu ochronnego” w oddziale III, która obejmowała większość Żydów. Pijany mężczyzna w podłym humorze uderzył w twarz blokowego – Niemca noszącego zielony trójkąt – który spóźnił się po odbiór nowo przybyłych. Aumeier skupiał w sobie wszystkie cechy, z których powodu bano się SS: był nachmurzonym służbistą z zaciśniętymi ustami, słynącym ze stosowania tortur i dokonywania masowych rozstrzeliwań. Gdy już obejrzał nowych więźniów, rozkazał blokowemu, by zaprowadził ich do baraku.

Umieszczono ich w bloku 16A na środku obozu. Gdy tylko znaleźli się w środku, blokowy zażądał, by oddali całą kontrabandę, i kazał swoim sztabowym – młodym polskim więźniom – żeby ich przeszukali. Skonfiskowano wszystko, od papieru i ołówków po fiki i scyzoryki, a także pieniądze i swetry – wszystko to były cenne przedmioty. Co odważniejsi – na przykład Gustl Herzog – kłócili się z Polakami, odmawiając oddania swoich rzeczy, a wtedy bito ich gumowymi wężami. Bito każdego, kto się odezwał. Wielu straciło przedmioty, które były dla nich skarbami – amulety podtrzymujące ich na duchu albo, jak w przypadku ciepłych ubrań, rzeczy pozwalające przetrwać zimę ciała i duszy.

W końcu sztabowi zaprowadzili mężczyzn do sypialni i przydzielili im miejsca – dwóch mężczyzn na pryczę, po jednym kocu dla każdego. Gustawowi i Fritzowi udało się trafić na tę samą buksę. Przypominało to ich pierwszą noc w namiocie w Buchenwaldzie. Tu przynajmniej była podłoga, a nad głową mieli porządny dach. Poza tym towarzyszyła im jednak pewność, że życie w Auschwitz będzie okrutne i krótkie.

אבא

Trzeciego dnia ich wytatuowano. Praktykowano to wyłącznie w Auschwitz, gdzie wprowadzono ten zwyczaj poprzedniej jesieni. Ustawili się w kolejkę przed biurem przyjęć, każdy podwinął lewy rękaw i za pomocą igły zrobiono im tatuaże.

Na przedramieniu Gustava wciąż widniała blizna po ranie od kuli odniesionej w styczniu 1915 roku. Obok niebieskim tuszem wykłuto w jego skórze numer 68523. Zarejestrowano go jako *Schutz Jude* – Żyda przebywającego w „areszcie ochronnym” – zapisując datę i miejsce jego

urodzenia oraz wyuczony zawód. Fritz, który zgłosił się do transportu na ochotnika, znajdował się na końcu listy i otrzymał numer 68629. W polu „zawód” wpisano „pomocnik murarza”.

Potem wrócili do swojego bloku. Dni mijały, lecz buchenwaldczyków nie przydzielono do żadnego komanda roboczego i w zasadzie zostawiono ich w spokoju. Musieli jedynie uczestniczyć w regularnych obozowych rytuałach.

Nie było placu, więc apel odbywał się na ulicy przed blokiem. Polscy sztubowi i blokowi wydzielali jedzenie. Polacy nienawidzili austriackich i niemieckich Żydów – zarówno jako Niemców, jak i jako Żydów – i pogardzali nimi, wyraźnie dając do zrozumienia, że długo w Auschwitz nie przetrwają i że przysłano ich tu tylko po to, żeby ich zabić. W porach posiłków Żydom kazano ustawiać się w kolejce, a gdy przyszła czyjaś kolej, dostawał od blokowego talerz i łyżkę, po czym przepychano go dalej. Sztubowy wydzielał z wiadra cienką zupę, a młody Polak stał obok z łyżką i szybko zabierał każdy kawałek mięsa, który zauważył na talerzu. Rytuał ten denerwował nawet najbardziej flegmatycznych buchenwaldczyków, ale każdy, kto się skarżył, był bity.

Gustava, oficjalnie uważanego za Polaka z racji miejsca urodzenia i języka, którym się posługiwał, traktowano trochę lepiej niż innych. W czasie tych pierwszych dni poznał kilku starszych Polaków, którzy opowiedzieli mu o zasadach obowiązujących w Auschwitz, potwierdzając to, co Gustav słyszał wcześniej o okropnej śmiercionośnej funkcji tego miejsca.

Ogrodzony teren był znacznie mniejszy niż ten w Buchenwaldzie, obejmował zaledwie trzy siedmioblokowe rzędy. Jak dowiedział się Gustav, był to główny obóz, Auschwitz I. Dwa kilometry dalej, za torami, we wsi Brzezinka, zwanej przez Niemców Birkenau („Brzozowy Las”), zbudowano drugi obóz, Auschwitz II – SS lubiło nadawać barwne nazwy swoim miejscom kaźni. Birkenau był olbrzymim obozem, zbudowanym z myślą o pomieszczeniu ponad stu tysięcy ludzi i wyposażonym tak, by mordować ich na skalę przemysłową. W Auschwitz I też były instalacje do zabijania: osławiony blok 11 – Blok Śmierci – w którym w piwnicy prowadzono pierwsze eksperymenty z trującym gazem. Najgorszą sławą był okryty ogrodzony teren obok bloku 11, gdzie mieściła się Czarna Ściana, pod którą rozstrzeliwano skazanych więźniów. Nie było jeszcze

wiadomo, czy buchenwaldczycy zostaną wysłani na śmierć do Birkenau, czy umrą tutaj.

W świetle dnia Gustav jeszcze wyraźniej ujrzał znajome otoczenie – zwłaszcza porządne, zbudowane z cegły budynki. Auschwitz I nie zostało zbudowane przez SS. Były to przekształcone stare baraki wojskowe postawione przez armię austriacką przed pierwszą wojną światową. Po 1918 roku korzystała z nich polska armia, a teraz SS urządziło w nich obóz koncentracyjny. Dodano kolejne baraki i otoczono je ogrodzeniem pod napięciem, lecz wciąż można było rozpoznać to miejsce. To tutaj ranny kapral Gustav Kleinmann był hospitalizowany w 1915 roku, w tym samym miejscu nad Solą, rzeką wypływającą z jeziora obok wsi, w której się urodził. Gdy widział te baraki ostatnim razem, leżały pod śniegiem i roilo się w nich od austriackich żołnierzy, a on był rannym bohaterem. Leczone go po postrzale, obok którego teraz wytatuowano mu numer więźnia.

Miał wrażenie, że ta część świata nie chce go wypuścić: urodziła go, wychowała i kiedyś omal nie zabiła, a teraz postanowiła ściągnąć go z powrotem.

ן

Dziewiątego dnia po przyjeździe buchenwaldczyków do Auschwitz obóz odsonił przed nimi swój niesławny charakter. Dwustu osiemdziesięciu polskich więźniów zabrano na Blok Śmierci na egzekucję. Uświadomiwszy sobie, co ich czeka, niektórzy stanęli do walki. Byli nieuzbrojeni i słabi, więc SS szybko zmasakrowała opornych i poprowadziła resztę pod Czarną Ścianę. Jeden z nieszczęśników przekazał członkowi Sonderkommando gryps do rodziny, lecz SS szybko odkryło karteczkę i zniszczyło ją.

„Dzieje się tu dużo strasznych rzeczy” – napisał Gustav. „Potrzeba mocnych nerwów, żeby to wytrzymać”.

Te nerwy zaczynały niektórych zawodzić. Między innymi Fritza. Narastał w nim strach pogłębiony stanem zawieszenia, w którym się znaleźli. Tak bardzo przywykł do codziennej pracy na budowie i do tego, że przetrwanie zawdzięcza swojej pozycji w komandzie budowlanym, że brak zajęcia szargał mu nerwy. Czuł, że raczej prędzej niż później zostanie uznany za bezużyteczną gębę do wyżywienia i wysłany pod Czarną Ścianę

albo do komory gazowej, jak oni wszyscy. Złe przeczucia zmieniły się w lęk. Nabrał przekonania, że jedynym sposobem, by ocalić życie, jest zgłoszenie się do kogoś mającego władzę i poproszenie o skierowanie do pracy.

Podzielił się swoimi przemyśleniami z ojcem i bliskimi przyjaciółmi. Byli zdecydowanie przeciwni temu pochopnemu pomysłowi. Przypomnieli mu o podstawowej zasadzie przetrwania, zgodnie z którą nigdy nie należy zwracać na siebie uwagi. Fritz był jednak młody i uparty oraz przekonany, że jeśli tego nie zrobi, będzie zgubiony.

Pierwszą osobą, do której się zwrócił, był Blockführer SS.

– Jestem wykwalifikowanym murarzem – przedstawił mu się Fritz z odwagą zrodzoną z desperacji. – Chciałbym dostać pracę.

Mężczyzna gapił się na niego z niedowierzaniem. Spojrzał na gwiazdę na jego pasiakach i prychnął.

– Kto słyszał o żydowskim murarzu?

Fritz przysiągł, że mówi prawdę, i Blockführer – niezwykle wyrozumiały jak na strażnika SS – zaprowadził go do sierżanta Gerharda Palitzscha, Rapportführera, który sprawiał wrażenie sympatycznego człowieka.

Palitzsch był jednym z nielicznych esesmanów, którzy ucieleśniali aryjski ideał wysportowanego przystojnego mężczyzny o ładnie wyrzeźbionych rysach twarzy. Wydawał się miły i pogodny. Było to jednak niebezpieczne złudzenie. Mało który morderca mógłby się bowiem równać z Palitzschem. Człowiek ten osobiście zastrzelił pod Czarną Ścianą niezliczonych więźniów. Jego ulubioną bronią był karabin żołnierza piechoty. Strzelał ofiarom w kark z niefrasobliwością, która imponowała jego kolegom z SS. Komendant Auschwitz Rudolf Höss często przyglądał się egzekucjom przeprowadzanym przez Palitzscha. „Nigdy jednak nie mogłem dostrzec w nim najmniejszych oznak żywszej reakcji” – pisał. Palitzsch był „obojętny i spokojny, bez pośpiechu i z kamienną twarzą dokonywał swego okropnego dzieła”. Jeśli zdarzały się opóźnienia, odkładał karabin i wesoło pogwizdywał albo gawędził z kolegami, dopóki nie przyszła pora, by wrócić do przerwanego rozstrzeliwania więźniów. Był dumny ze swojej pracy i nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia. Więźniowie uważali go za „największego łajdaka w Auschwitz”.

A Fritz postanowił zwrócić na siebie uwagę właśnie tego człowieka. Palitzsch zareagował tak jak Blockführer – nigdy dotąd nie słyszał

o żydowskim murarzu. Był jednak zaintrygowany.

– Sprawdzę to – oznajmił, po czym dodał: – Jeśli próbujesz zrobić ze mnie głupca, od razu cię zastrzelę.

Rozkazał Blockführerowi zabrać więźnia i kazać mu coś zbudować.

Fritza odeskortowano na pobliski plac budowy. Rozbawiony kapo dostarczył mu materiały i myśląc, że zapędził zarozumiałego Żyda w kozi róg, polecił Fritzowi zbudować filarek – pionowy element między dwoma oknami – co dla niewykwalifikowanego murarza jest zadaniem niewykonalnym.

Mimo wiszącej nad nim groźby Fritz po raz pierwszy od wielu tygodni czuł całkowity spokój. Wziął kielnię i cegłę i zabrał się do pracy. Szybkim, zwinnym ruchem nabrał zaprawy z wiadra, rzucił pierwszą warstwę, przeciągnął po niej końcem kielni, rozsmarowując szarą maź, i prędko zebrał nadmiar z krawędzi. Sięgnął po cegłę, posmarował ją i położył, zebrał zaprawę, po czym ułożył następną cegłę, i kolejną. Pracował cicho i szybko, tak jak nauczył się pod okiem nadzorców z SS. Rzędy cegieł szybko rosły, proste i równe. Ku zdumieniu kapo wkrótce zbudował podstawę zgrabnego, bardzo porządnego filarka.

Po dwóch godzinach wrócił pod bramę obozu, eskortowany przez bardzo zdziwionego Blockführera.

– On naprawdę umie murować – oznajmił mężczyzna Palitzschowi.

Na zazwyczaj obojętnej twarzy Palitzscha odmalowało się niezadowolenie. Pomysł, że Żyd może być budowlanцем – uczciwie pracującym człowiekiem – wykraczał poza jego poczucie tego, co jest prawdziwe i słuszne. Mimo to zapisał numer Fritza i odesłał go z powrotem do bloku.

Zmiana nie nastąpiła szybko, lecz 30 października, jedenaście dni po ich przyjeździe do Auschwitz, przesądził się los buchenwaldczyków.

Po porannym apelu grupa oficerów SS rozkazała więźniom przemaszerować, by można było ich poddać inspekcji. Oprócz czterystu mężczyzn z Buchenwaldu było tam jeszcze ponad tysiąc z Dachau, Natzweiler, Mauthausen, Flossenbürga i Sachsenhausen, a także sto osiemdziesiąt sześć kobiet z Ravensbrück – w sumie tysiąc sześćset siedemdziesiąt cztery osoby. Rozkazano im rozebrać się do naga i przejść przed oficerami, by można ich było poddać ocenie. Tym, którzy wyglądali na starych albo chorych, kazano przejść na lewą stronę, pozostałym na

prawą. Wszyscy doskonale wiedzieli, co oznacza przejście na lewą stronę. Trafiała tam mniej więcej połowa więźniów.

Przyszła kolej Fritza. Gdy podszedł, oficer dowodzący tą operacją zmierzył go wzrokiem i natychmiast wskazał na prawo.

Potem Fritz stał i patrzył na dalszą część tego przygnębiającego spektaklu. Wreszcie przyszła kolej jego ojca. Gustav miał ponad pięćdziesiąt lat i w ostatnim roku mocno ucierpiał. Kilkuset innych mężczyzn w jego wieku – a nawet młodszych – odesłano już na lewą stronę. Fritz wstrzymał oddech i patrzył z walącym sercem, jak oficerowie uważnie mierzą jego ojca wzrokiem. Ręka uniosła się... i wskazała na prawo. Gustav przeszedł i stanął obok Fritza.

Ostatecznie ponad sześćset osób – w tym około stu buchenwaldczyków i właściwie wszystkich więźniów z Dachau – uznano za niezdolne do pracy. Wiele z nich było starymi przyjaciółmi i znajomymi Gustava i Fritza. Kazano im maszerować do Birkenau i nikt ich więcej nie widział.

„Więc tak wyglądał nasz, buchenwaldczyków, początek w Auschwitz” – wspominał potem Fritz. „Odtąd już wiedzieliśmy, że jesteśmy skazani na śmierć”.

Ale jeszcze nie teraz. Po selekcji pozostałym ośmiuset mężczyznom także kazano wymaszerować z obozu. Zamiast jednak skierować ich na zachód, ku torom kolejowym i Birkenau, poprowadzono ich na wschód. SS miało dla nich pracę: trzeba było zbudować nowy obóz. Przeszli przez rzekę, mijając Oświęcim, i pomaszerowali na wieś.

Idąc, ponaglani w znany sobie brutalny sposób, buchenwaldczycy czuli nieopisaną ulgę. Żyli i tylko to się liczyło. Nikt nie wiedział, czy zawdzięczają to interwencji Fritza, który zaszczepił SS myśl, że Żydzi potrafią budować, lecz Gustav był przekonany, że właśnie tak było. „Fritzl pojechał ze mną z własnej woli” – napisał w swoim dzienniku. „Jest lojalnym kompanem, zawsze u mego boku, wszystkim się zajmuje. Wszyscy go podziwiają i jest dla wszystkich prawdziwym towarzyszem”. Przynajmniej niektórzy uważali, że to lekkomyślne działanie Fritza ocaliło ich wszystkich przed komorą gazową.

[1] Gratulacje (*hebr.*)

AUSCHWITZ-MONOWITZ



Gdyby w listopadowy dzień 1942 roku samolot leciał na wschód nad południem Polski, ludzie na pokładzie zobaczyliby niewiele śladów niemieckiej okupacji. Jedynie miasteczka i stare ośrodki handlowe okalające kręte drogi i rzeki.

Niedaleko Krakowa wyłania się jednak z pól jakiś kształt w pobliżu brązowej linii torów kolejowych – ogromny prostokąt o długości blisko kilometra i prawie takiej samej szerokości, wypełniony niezliczonymi rzędami podłużnych baraków. Otaczające go ogrodzenie jest upstrzone wieżyczkami wartowniczymi, a blisko krawędzi, pośród drzew, stoi w pewnej odległości kilka budynków, z których ulatuje dym.

Dalej jest ciasne skupisko zabudowań po drugiej stronie torów – obóz Auschwitz odznacza się wśród szarej masy warsztatów dzięki terakotowym dachom baraków. Rzeka – srebrna linia otoczona ciemnozielonym lasem – płynie na południe, ku starymu miasteczku garnizonowemu Kęty, gdzie Gustav Kleinmann stacjonował przed pierwszą wojną światową, i dalej ku Beskidom. Dalej, tuż za zasięgiem wzroku, są jezioro i wioska Zabłocie, w której Gustav mieszkał jako chłopiec.

Kilka kilometrów za Oświęcimiem w krajobrazie widać nową bliźnię: olbrzymią ciemną skazę w zakolu Wisły. Kiedyś była tu tylko senna wieś Dwory, lecz teraz teren o długości trzech kilometrów i szerokości ponad kilometra leży ogołocony, poprzecinany drogami i torami i wypełniony placami budowy, upstrzony biurami, warsztatami, budynkami fabrycznymi i skorupami wielu kolejnych, wciąż wznoszonych, pokrytych koronką rur, silosów i lśniących stalowych kominów. To zakłady chemiczne Buna Werke, wciąż na etapie budowy i już nienadążające za planem.

Wciśnięty obok nich, na samym końcu, tam gdzie dawniej, dopóki nie przyszło SS, była mała wieś Monowitz, znajduje się zaczątek nowego obozu. Prosty podłużny kształt odznaczający się wśród pól – maleńki w porównaniu z rozległym kompleksem fabrycznym, z zaledwie garstką baraków, kilkoma niedokończonymi drogami i placami budowy, nakrapiany pracującymi tam więźniami.

□

Fritz skupiał się na zadaniu, jakby nic oprócz niego nie istniało, jakby cały jego świat składał się z tej ściany, a cały jego byt był tylko maszyną, która powoli sprawia, że ta ściana rośnie i się wydłuża. Jedynym sposobem, by pozostać przy zdrowych zmysłach, było skoncentrowanie się na czymś drobnym, osiągalnym i na swojej umiejętności, by to coś urzeczywistnić.

– Tempo, tempo! Szybciej, szybciej! – Nad placem budowy grzmiał głos polskiego kapo Boplińskiego. Mężczyzna znał tylko kilka słów po niemiecku, a jedynym, które kiedykolwiek słyszeli od niego więźniowie, było *schneller!*, gdy Bopliński przechadzał się ze swoim kijem, okładając nim tych, którzy nosili cegły i zaprawę. Za wszelką cenę starano się dokończyć budowę obozu. Naciski szły z samej góry. Tylko najtwardsi i najsprawniejsi byli w stanie wytrzymać takie tempo. Tylko nieliczni z głodzonych więźniów byli w stanie mu sprostać.

– Pięć na dupę! – krzyknął Bopliński, po czym rozległ się odgłos pięciu razów wymierzonych w pośladki jakiegoś nieszczęśnika.

Pozostali, nie podnosząc głów, trochę przyspieszyli.

Minęły dwa tygodnie, odkąd Fritz wraz z resztą dotarli do podobozu w Monowitz. Było to piekło na ziemi, dorównujące najgorszym okresom w Buchenwaldzie. Wielu poległo już na samym początku.

Po trzygodzinnym marszu z Auschwitz I nowych więźniów zapędzono do bloków. Obóz prawie nie istniał – były jedynie płaskie, otwarte pola z kilkoma drewnianymi barakami, bez ogrodzenia, tylko z rozstawionymi wokół wartownikami pilnującymi więźniów. W prymitywnych i niekompletnych barakach brakowało światła i armatury do mycia. Wodę doprowadzało kilka pionowych rur na podwórzu. Kuchnia jeszcze nie działała, więc codziennie dostarczano jedzenie z Auschwitz I.

Początkowo nowych więźniów skierowano do kopania dróg. Fritza też. Najwyraźniej nadzorcy w Monowitz nie zdawali sobie sprawy z jego umiejętności. Mocno padał deszcz, zmieniając ziemię w błoto, w którym kopało się koszmarnie i grzęzły taczki. Co wieczór mężczyźni wracali do baraków kompletnie przemoczeni i wyczerpani. Nie było ogrzewania, ale Blockführerzy i Rapportführer SS oczekiwali, że rano więźniowie stawią się na apelu w czystych, suchych ubraniach i butach. W tych pierwszych dniach Fritz obserwował z niepokojem starszych i mniej sprawnych towarzyszy – zwłaszcza swojego ojca. Wiedział, że długo tego nie wytrzymają.

Gdy kopali w błocie, Fritz patrzył, jak obóz nabiera kształtów: stawiano ogrodzenie i kładziono fundamenty pod wieżyczki wartownicze. Wiedział, że jedynym ratunkiem jest przeniesienie do komanda budowlanego.

Pewnego dnia tak się złożyło, że przechodził obok niego sierżant SS Richard Stolten, zarządzający pracami w Monowitz. Esesmani byli w wyjątkowo podłym humorze. Wciąż brakowało baraków dla strażników i codziennie przywożono ich ciężarówkami z Auschwitz I. Nie znosili służby w Monowitz i łatwo wpadali w złość. Fritz uznał jednak, że warto zaryzykować. Wiedział, że jeśli potrwa to dłużej, jego ojciec umrze.

Odłożył łopatę i pobiegł za Stoltenem, wołając:

– Numer 68629. Jestem murarzem. – Mówił szybko, zanim sierżant zdążył zareagować. Wskazał swoich towarzyszy pracy. – Jesteśmy z Buchenwaldu. Wielu z nas to wykwalifikowani budowlańcy.

Stolten mu się przyjrzał. Zawołał kapo.

– Dowiedz się, którzy z tych Żydów to budowlańcy – powiedział – i spis ich numery.

I to wystarczyło. W innych okolicznościach Fritz zasłużyłby na bicie, ale sytuacja była rozpaczliwa. Himmler i Göring bardzo naciskali na dokończenie budowy Buna Werke i uruchomienie fabryk, czego nie można było zrobić, dopóki nie powstanie obóz. Fritz dobrze wyczuł pilną potrzebę.

Wielu towarzyszy Fritza podało się za budowlańców, by przeniesiono ich razem z nim – także jego ojciec. Jako tapicer Gustav znał się na stolarce, więc powiedział, że jest cieślą. Podczas gdy Fritz kładł fundamenty i podłogi, jego ojciec pomagał przy prefabrykowanych elementach, z których miały powstać baraki.

Po drugiej stronie drogi z Oświęcimia do Monowitz wznosił się zwalisty kompleks Buna Werke, wciąż w budowie. Zakłady należały do

chemicznego giganta IG Farben i po wybudowaniu miały produkować syntetyczne paliwo, kauczuk oraz inne produkty chemiczne wspierające niemiecki wysiłek wojenny. Wojna okazała się o wiele zacieklejsza i trudniejsza, niż się spodziewano, panowało ogromne zapotrzebowanie na paliwo i kauczuk. Umowa firmy z SS zapewniała jej nieograniczone zasoby niewolniczej siły roboczej z Auschwitz do budowy i obsługi fabryki, za co SS dostawało od trzech do czterech marek dziennie od osoby (pieniądze trafiały prosto do kasy SS). Oprócz tego, że więźniowie byli tańsi niż robotnicy cywilni, umowa pozwalała przedsiębiorstwu zaoszczędzić duże pieniądze na infrastrukturze pracowniczej, zasiłkach chorobowych, urlopach wypoczynkowych i innych wydatkach związanych z zatrudnieniem. Wydajność była mniejsza z powodu słabej kondycji fizycznej źle traktowanych więźniów, lecz firma uznała, że oszczędności to wynagradzają. Pracowników zbyt chorych albo wyniszczonych, by pracować, wysyłano po prostu do komór gazowych w Birkenau i zastępowano nowymi, nieustannie napływającymi ze wszystkich terenów podbitych przez Niemcy.

Nowi – wielu z nich było Żydami przywiezionymi prosto z zachodniej Europy i z Polski – nie mieli za sobą procesu selekcji w obozach i nie byli tak twardzi jak więźniowie weterani. Poza tym brakowało im umiejętności niezbędnych do przetrwania. Tempo pracy w połączeniu z przemocą, głodem i brakiem opieki nad chorymi szybko ich wykańczało. Gustav szacował, że codziennie z Monowitz od osiemdziesięciu do stu pięćdziesięciu takich nieszczęśników. Wysyłano ich do komór gazowych, zanim ktokolwiek zdążył poznać ich nazwiska i historie.

Wraz z transportami przyszły rozdzierające wieści dla Fritza. Wśród nowo przybyłych byli dwaj starzy przyjaciele z Buchenwaldu: Jule Meixner i Joschi Szende, których kilka miesięcy wcześniej przeniesiono tymczasowo do Natzweiler. Dowiedział się od nich, że zamordowano tam Leo Mosesa. Przetrwał w obozach osiem lat, lecz SS go wykończyło. Fritza dręczyła ta tragiczna niesprawiedliwość. Przypomniawszy sobie pierwsze spotkanie w kamieniołomie z Leo, gdy ten zaproponował mu małe czarne tabletki, oraz wpływy, których użył Leo, by przenieść go do bezpiecznego komanda Siewerta. Biedny Leo, twardy stary komunista o dobrym sercu, był dla Fritza najdroższym przyjacielem, i chłopak pograżył się w rozpacz.

Jeśli Leo zdołał Fritza czegoś nauczyć, to tego, że dobro można znaleźć w niespodziewanych miejscach. Potwierdziło się to także tutaj. SS

przywiozło płatnych robotników z Niemiec i pierwszy raz, odkąd Fritz i Gustav trafili do obozu koncentracyjnego, pracowali z cywilami. Ludzie ci bali się SS i nie wolno im było rozmawiać z więźniami, ale stopniowo stawali się coraz bardziej komunikatywni. Fritz dowiedział się, że nie są zdeklarowanymi nazistami, lecz jednocześnie nie byli wrogo nastawieni do nazistowskich dążeń. Gdy próbował dopytywać, co myślą o brutalnym traktowaniu więźniów, zamykali się jednak. A mimo to niektórzy przynajmniej im współczuli. Zaczęli traktować więźniów trochę życzliwiej i po obiedzie zostawiali kawałki chleba, a wyrzucane przez nich niedopałki papierosów były dłuższe niż wcześniej, dzięki czemu nadawały się jeszcze do palenia. Cywilny vorarbeiter, którego przezywano Frankenstein, dlatego że miał kanciastą czaszkę i wiecznie srogą minę, okazał się łagodniejszy, niż sugerował jego wygląd. Nigdy nie krzyczał na więźniów ani ich nie beształ, a jego sposób bycia wpłynął na kapo Boplińskiego, który stał się bardziej przystępny i rzadziej okładał więźniów kijem.

Po wybudowaniu pierwszych baraków Gustav miał krótki okres wytchnienia od pracy na zewnątrz. Przyjechały ciężarówki wyładowane pryzami i belami siana. Gustava i kilku innych więźniów przydzielono do wypychania jutowych worków, tak by powstały z nich materace. Całkiem mu się to podobało. Zszywał materace szybciej i staranniej niż pozostali.

Chwila wytchnienia wkrótce dobiegła końca i znów znalazł się na dworze. Ściany baraków w ich części obozu już stały, więc znowu czekała go ciężka praca. Jeszcze gorsze byłoby przydzielenie do pracy na placu budowy Buna Werke. Pracujący tam ludzie codziennie wracali półżywi i opowiadali okropne historie. Zupełnie jakby znów trafili do kamieniołomu w Buchenwaldzie. Więźniów często przynoszono na noszach. Każdego, kto nie wytrzymał tempa, odesłano do Birkenau.

Gustav z cichą determinacją starał się uniknąć takiego losu. Codziennie rano, gdy sierżant Stolten ogłaszał zapotrzebowanie na wykwalifikowanych robotników, Gustav występował z szeregu. Bez względu na to, czy potrzebowano dekarzy, szklarzy czy cieśli, Gustav zgłaszał się i przysięgał, że zna się na tej robocie. Dzień po dniu dawał sobie radę, blefując i mając się przeróżnych prac budowlanych. Fritz bał się, co będzie, jeśli esesmani to zauważą. Ojciec nie przejmował się jednak. Był bystry i miał zwinne ręce. Wierzył, że nie ma takiego rzemiosła, którego nie zdołałby opanować w wystarczającym stopniu, by nie dać się zdemaskować przygląpom z SS.

Gdy powstało więcej baraków, zapełniono je nowymi transportami więźniów, których wysłano do pracy w fabryce. Warunki w obozie były niewyobrażalnie złe, nawet dla weteranów: ścisk, przenikliwe zimno i brud. Zaplecze sanitarne pozostawiało wiele do życzenia i zaczęła się szerzyć czerwonka. Codziennie umierała zatrważająca liczba więźniów.

A jednak wciąż było znośnie w porównaniu z tym, co się działo w Birkenau. Codziennie do Monowitz przyjeżdżały trzy albo cztery transporty Żydów, którzy przeszli selekcję w Birkenau. Ludzie ci opowiadali okropne historie o ograbianiu ofiar przez SS. „W Birkenau śpią na dolarach i funtach – napisał rozżłoszczony Gustav – które przywożą ze sobą Holendrzy i inni więźniowie. Esesmani są milionerami i każdy z nich wykorzystuje żydowskie dziewczyny. Tym atrakcyjnym pozwalają żyć, reszta idzie z dymem”.

Nastała ciężka polska zima, ziemia zamarzła. W Monowitz wciąż nie działało ogrzewanie, a sprzęt do gotowania był w rozsypce. W Boże Narodzenie zepsuły się piecyki i więźniowie głodowali przez dwa dni. Nie dostawali nawet resztek chleba od robotników cywilnych, bo ci mieli święta. W końcu trzeba było przywieźć jedzenie ciężarówkami z kuchni w Auschwitz I.

Ku rozpaczcy Fritza i jego ojca ulokowano ich w osobnych blokach. Spotykali się wieczorem i rozmawiali o swojej sytuacji. Fritz miał wrażenie, że jeszcze nigdy nie było tak źle. Tracił nadzieję. Przebywali w Auschwitz-Monowitz zaledwie dwa i pół miesiąca, a większość ich towarzyszy z Buchenwaldu już nie żyła. Zamordowano wszystkich austriackich *Prominenten*: Fritz Löhner-Bada, autor słów *Buchenwaldzkiej piosenki*, został w grudniu pobity na śmierć, bo za wolno pracował; Roberta Danneberga, socjaldemokratę, spotkał taki sam los; zginął też prawnik i pisarz doktor Heinrich Steinitz... Ta lista nie miała końca – wszyscy już nie żyli. Najgorszym ciosem dla Fritza była śmierć Williego Kurza, boksera i kapo z ogrodów warzywnych w Buchenwaldzie, który pomógł jemu i jego przyjaciołom przeżyć tamtejszą męczarnię.

Fritz wylewał żale przed ojcem, gdy spotykali się wieczorami. Gustav mówił, by nie tracił nadziei.

– Głowa do góry – powtarzał. – Chłopcze, ci nazistowscy mordercy nas nie pokonają!

Fritz nie czuł się jednak uspokojony. Wszyscy jego przyjaciele żyli według tej samej odważnej filozofii i większość z nich już zginęła.

W zaciszu własnych myśli Gustav usiłował żyć zgodnie ze swoim mottem. W sekrecie powierzał swe obawy dziennikowi. „Codziennie kogoś wywożą. Czasami ogarnia mnie rozpacz, ale powtarzam sobie: »Głowa do góry, pewnego dnia będziesz wolny. Masz przy sobie dobrych przyjaciół. Nie martw się zatem, to normalne, że zdarzają się trudności«”. Ale ile trudności można było jeszcze znieść? Jak długo mógł jeszcze trzymać głowę w górze i unikać śmierci?

Nawet ci będący w najlepszej formie mieli małe szanse. Wdrażano „ostateczne rozwiązanie” i również tych Żydów, którzy byli silnymi, przydatnymi robotnikami, celowo, metodycznie zapracowywano na śmierć. Ich wartość jako pracowników miała niewielkie znaczenie. Jeśli któryś umarł, no cóż, na świecie było o jednego Żyda mniej. Jego pracę mogły wykonać dziesiątki innych. Jeśli człowiek miał przetrwać, musiał mieć umiejętności, kolegów i niezwykle szczęście.

Umiejętności i szczęście Gustava przyszły mu na pomoc w samą porę. W styczniu mianowano go obozowym rymarzem odpowiedzialnym za wszelkie prace rymarskie i tapicerskie w Monowitz – w głównej mierze za naprawy dla SS. Miał pracować w budynkach, z dala od bezlitosnej pogody, a gdy uruchomiono system ogrzewania, było mu nawet ciepło.

Czuł się niemal bezpieczny. Doskonale jednak wiedział, że inni nie mają tyle szczęścia i że bezpieczeństwo nigdy nie trwa długo.

KONIEC ŻYDA GUSTAVA KLEINMANNA

□

W obozie Monowitz rosły budynki. Podwójne ogrodzenie elektryczne już stało, wszystkie bloki były prawie gotowe i trwała budowa baraków SS. W pierwszych tygodniach 1943 roku Fritz pomagał w budowie garażu w siedzibie dowództwa oraz stanowiska dowodzenia dla Blockführerów SS obok głównej bramy.

Pracował z cywilnym murarzem. Podobnie jak wielu innych, człowiek ten nie rozmawiał z więźniami, ale podczas gdy tamci unikali rozmów, ten zachowywał się tak, jakby Fritz w ogóle nie istniał. Mijały dni, a on nie odzywał się ani słowem. Fritz przywykł do jego dziwnie milczącej obecności, aż pewnego dnia ni stąd, ni zowąd mężczyzna mruknął, nie podnosząc głowy:

– Byłem na wrzosowiskach w Esterwegen.

Powiedział to prawie niedosłyszalnie, ale zaskoczony Fritz aż podskoczył. Mężczyzna pracował dalej, nie gubiąc rytmu, jakby w ogóle się nie odezwał.

Wieczorem Fritz powiedział ojcu i przyjaciółom o tym tajemniczym oświadczeniu. Zrozumieli natychmiast. W Esterwegen znajdował się jeden z pierwszych nazistowskich obozów koncentracyjnych, należący do skupiska stworzonego w 1933 roku na słabo zaludnionych wrzosowiskach w północno-zachodnich Niemczech. W obozach tych zamierzano więzić wrogów politycznych – przede wszystkim członków partii socjalistycznej. Prowadziło je SA, które robiło to tak chaotycznie i brutalnie, że gdy w 1934 roku zastąpiło je SS, zachowanie esesmanów wydawało się wręcz

kulturalne w porównaniu z tym, co działo się tam wcześniej. Wielu więźniów zostało później zwolnionych i milczący współpracownik Fritza najwidoczniej był jednym z nich. Nic dziwnego, że do kontaktów towarzyskich podchodził z taką niechęcią – na pewno żył w ciągłym strachu, że zostanie przyłapany i ponownie uwięziony.

Zwierzając się Fritzowi, mężczyzna jakby zdjął z siebie urok. Nigdy więcej się nie odezwał, lecz codziennie rano Fritz znajdował obok swojej kasty z zaprawą małe prezenty. Kawalek chleba i kilka papierosów. Drobnostki, ale podnoszące na duchu i potencjalnie ratujące życie.

Pracując z wolnymi cywilami, spotykając się z aktami dobroczynności, korzystając z przywilejów wykwalifikowanego robotnika, który nie musi wykonywać niewolniczej pracy na terenie zakładów Buna, Fritz zaczął odzyskiwać hart ducha i podchodził do życia z większym spokojem. Po ponad trzech latach w obozach powinien był wiedzieć, że lepiej mieć się na baczności.

Pewnego dnia pracował na rusztowaniu wokół szkieletu wykańczanego budynku Blockführerów. Zastanawiał się nad czymś, co usłyszał kiedyś od dziadka. Stary Markus Rottenstein był pracownikiem banku specjalizującym się w stenografii i zatrudnionym w prestiżowym Boden-Credit w Wiedniu, banku obsługującym rodzinę cesarską. Miał zdecydowane poglądy na status społeczny swojego narodu: wierzył, że Żydzi powinni być kulturalnymi ludźmi zajmującymi wysokie stanowiska, a nie rzemieślnikami. Właśnie w tym momencie przyjaciel Fritza pracujący w kolumnie przewozowej zjawił się z dostawą materiałów budowlanych i zawołał do niego:

– Hej, Fritz, co nowego?

– Nic – odpowiedział Fritz i potoczył wokół ręką. – Mój dziadek zawsze powtarzał: „Miejsce Żyda jest w kawiarni, a nie na rusztowaniu”.

Śmiech zamarł mu na ustach, gdy z dołu dobiegł wściekły niemiecki głos:

– Złaź z tego rusztowania, Żydzie!

Fritz z walącym sercem szybko zszedł po drabinie i stanął przed porucznikiem SS Vincenzem Schöttlem, dyrektorem obozu Monowitz.

Schöttl był brutalem o nieprzyjemnym wyglądzie: w jego ciastowatej twarzy tkwiły oczy węża. Interesowało go głównie to, jak zdobyć alkohol i luksusowe towary na czarnym rynku, lecz jednocześnie miał kapryśny, wybuchowy charakter, a gdy wpadał w złość, był absolutnie przerażający.

Pewnego razu, kiedy u części więźniów znaleziono wszy, Schöttl kazał wysłać do gazu cały blok, łącznie z blokowymi. Teraz z wściekłością patrzył na Fritza.

– Z czego się śmiałeś, Żydzie?

Stojąc na baczność, Fritz zdarł z głowy czapkę i odpowiedział:

– Po prostu z czegoś, co powiedział kiedyś mój dziadek.

– A co takiego powiedział twój dziadek, że tak cię to rozbawiło?

– Powiedział: „Miejsce Żyda jest w kawiarni, a nie na rusztowaniu”.

Schöttl gapił się na niego bez słowa. Fritz nie śmiał nawet oddychać. Nagle ciastowata twarz otworzyła się i z ust Schöttla wydobył się rechot.

– Zjeżdżaj stąd, żydowska świni! – powiedział Schöttl i odszedł, śmiejąc się.

Spocony Fritz wspiął się z powrotem po drabinie. O mało nie zapłacił ceny za samozadowolenie. W obozie nie istniało coś takiego jak bezpieczeństwo.



Do Monowitz napływało coraz więcej Żydów. Fritza i innych weteranów niepokoiła naiwność niektórych z nich. Przeszli selekcję w Birkenau, ich żonom, matkom, dzieciom i ojcom kazano stanąć po jednej stronie, a im – młodym mężczyznom – po drugiej. Nie mieli pojęcia, co się stanie z ich rodzinami, i liczyli na to, że znów zobaczą swoich bliskich.

Fritz nie potrafił wyjawić im prawdy i przekreślić ich nadziei. W końcu i tak się dowiadywali – ich żony i dzieci, matki, siostry i ojcowie, wszyscy zostali zagazowani. Niektórzy wpadali w depresyjne otępienie. Ich dusza umierała. Przemieszczali się w stanie głębokiej apatii, nie dbali o siebie i powoli dołączali do szeregów tych, dla których nie było żadnej nadziei, zmieniali się w ludzkie szkielety pokryte parchem, mieli oczy pozbawione życia i puste dusze. W obozowym slangu te chodzące trupy nazywano *Muselmänner*, czyli muzułmanami. Pochodzenie tego terminu zagubiło się w obozowej tradycji, ale niektórzy mówili, że nazywano ich tak dlatego, że gdy ci nieszczęśnicy nie byli już w stanie stać, ich skulone ciała przypominały modlących się muzułmanów. Gdy człowiek stawał się „muzułmanem”, inni więźniowie zaczęli go unikać. Ich serca się

zamykały, po trosze z odrazą, po trosze ze strachem, na myśl o tym, że ich też może spotkać taki los.

Po ukończeniu budowy Fritz znalazł się w sześciuosobowej grupie szczęśliwców wybranych przez Stoltena do pracy przy łaźni obozowej. Cementował i instalował jednostki grzewcze, pracując pod okiem cywilnego *vorarbeiters*, który niemal doprowadzał go do szału. W obecności esesmanów Jakob Preuss stawał się hałaśliwy i epatował wściekłością. Wydierał się na więźniów, a jeśli strażnik albo oficer podeszli bliżej, Preuss zamasyście salutował i wołał: „Heil Hitler!”. Działał Fritzowi na nerwy.

Pewnego dnia Preuss wezwał Fritza do swojego biura.

– O co chodzi z tym twoim tempem pracy? – spytał.

Fritz zaniemówił. Doskonale wiedział, że nie należy się ociągać, i nigdy wcześniej nie krytykowano jego wyników. Preuss ściszył głos i powiedział:

– Jeśli dalej będziesz tak szybko pracował, niedługo skończymy i wyślą mnie na front!

Fritz nie wiedział, jak zareagować. Był w kropce. Gdyby tempo pracy zmalało, wszystkim więźniom zatrudnionym przy budowie groziłoby niebezpieczeństwo ze strony SS. Z drugiej strony, gdyby Preuss, chcąc się zemścić, znalazł jakiś pretekst i złożył na niego raport, też miałyby to dla Fritza fatalne skutki. Uznał, że bezpieczniej będzie zwolnić tempo. Preuss stał się wtedy przyjazny i załatwiał swoim robotnikom dodatkowe jedzenie. Towarzyszył mu inny niemiecki cywil, spawacz z Breslau, który nazywał się Erich Bukovsky. Obaj wyznali, że mają nadzieję, że naziści przegrają wojnę.

Powoli zanosiło się na to, że rzeczywiście może się tak stać. Dotąd Niemcy wydawały się niepokonane, lecz nagle w lutym pocztą pantoflową dotarła do obozu wiadomość, że niemieckie siły pod Stalingradem poddały się Rosjanom. Naziści nie byli zatem niepokonani.

Fritz usłyszał tę pokrzepiającą wiadomość od Jeana, francuskiego cywila, którego większość ludzi nazywała po prostu Wąsem, nawiązując do obficie nawoskowanej ozdoby jego twarzy. Jean opowiedział mu też o francuskim ruchu oporu. Fritz skwapliwie dzielił się tymi informacjami z ojcem i przyjaciółmi podczas wieczornych spotkań. Stalingrad, Wielka Brytania i Afryka – wszystkie miejsca, w których alianci pokonywali Niemców – były jednak bardzo daleko od Auschwitz.

אבא

Palce Gustava pracowały zręcznie przy skórzanym płacie, przycinając go i przepychając grubą igłę przez twarde, giętki materiał. Gustav był zadowolony z codziennego życia, choć oczywiście nie do końca. Pracy nie brakowało i w rezultacie został kapo. Nadzorował garstkę słabo wykwalifikowanych robotników. Przebywanie w budynkach w ciągu zimowych miesięcy było prawdziwym błogosławieństwem. Nawet na początku maja, gdy zbliżało się lato, było to nieskończenie lepsze niż praca w kolumnie przewozowej albo w fabrykach.

Żyjąc tak dzień za dniem, Gustav zapewniał sam siebie, że przetrwa. Fritz nie podzielał pozytywnej, dogmatycznej zasady nieśmiertelnego optymizmu ojca. Ciągle się o coś martwił – o przyjaciół, o ojca, o przyszłość. Martwił się o Edith i Kurta, zastanawiał się z niepokojem, co się dzieje z matką i Hertą. Znał opowieści o Birkenau – zwłaszcza okropne plotki wyciekające za sprawą „nosicieli tajemnicy”, którzy służyli w Sonderkommando w krematoriach – więc zatrwając łatwo można było domyślić się prawdy. We Fritzu narastała złość zrodzona z bezsilności. Nie miał takiego charakteru jak ojciec. Gustav starał się niczego nie rozpamiętywać. Trzymał głowę spuszczoną, wykonywał swoją pracę i żył z dnia na dzień. Nienawiść Fritza do nazistów już wkrótce mogła urosnąć za bardzo, by dało się nad nią zapanować. Wolał nie myśleć, jaka może nastąpić wtedy eksplozja.

Skupiony na innych sprawach, Gustav nie miał pojęcia, że gdy on szył, kawałek dalej, za drogą i torami kolejowymi, w Buna Werke, szykowano się właśnie do podjęcia decyzji, która mogła gwałtownie zakończyć jego stosunkowo wygodną egzystencję.

Budowa fabryk wciąż była mocno opóźniona i z Berlina przysłano grupę oficerów, by przeprowadzili dochodzenie. Himmler domagał się wyjaśnień. Porucznik Schöttl i personel wyższego szczebla IG Farben oprowadzili ich po placu budowy. Oficjele z SS nie byli zachwyceni tym, co zobaczyli. Olbrzymi kompleks był gotowy zaledwie w połowie i żadna jednostka nie mogła jeszcze rozpocząć produkcji. Zakłady metanolowe były już prawie ukończone, lecz znacznie ważniejsze fabryki kauczuku i paliwa potrzebowały jeszcze miesięcy, może nawet roku.

Niezadowolenie rosło z każdą chwilą. Odnotowano, że mniej więcej jedna trzecia budowlańców to więźniowie obozu, wyraźnie słabsi i mniej wydajni niż opłacani cywile. Ich wydajność malała jeszcze bardziej

z powodu konieczności nieustannego pilnowania ich i trzymania w bliskiej odległości od siebie nawzajem. Jednak tym, co najbardziej zniesmaczyło delegację, był fakt, że wielu vorarbeiterów było Żydami. Schöttl wyjaśnił, że w Monowitz ma za mało Aryjczyków. Prawie wszyscy więźniowie, których mu przysyłano, byli Żydami. Rozzłoszczona delegacja orzekła, że tak być nie może: nie wolno było przydzielać Żydom odpowiedzialnych stanowisk. Rozkazali Schöttlowi, by rozwiązał ten problem.

Kilka dni później na wieczornym apelu Schöttl pojawił się w towarzystwie kapitana SS Hansa Aumeiera, złośliwego demona, który powitał buchenwaldczyków w Auschwitz. Świńska twarz Schöttla wyglądała ponuro, jakby czekało go bardzo poważne zadanie. Wszedł na podium, wyjął kartkę i przeczytał numery siedemnastu więźniów, rozkazując im wystąpić z szeregu. Znalazł się wśród nich więzień numer 68523, Gustav Kleinmann. Wszyscy wyczytani pracowali jako brygadziści i byli Żydami – w większości weteranami z Buchenwaldu i Sachsenhausen.

Domyślali się, co to oznacza. Tego rodzaju selekcje odbywały się regularnie i poprzedzały tylko jedno: odesłanie do komór gazowych w Birkenau.

Aumeier przyjrzał się wybranym mężczyznom, spoglądając z niesmakiem na żydowskie gwiazdy na ich uniformach. Większość z nich była dwukolorowa: gwiazda Dawida składała się z czerwonego i żółtego trójkąta, jak za dawnych dni, gdy naziści wciąż jeszcze potrzebowali pretekstu, aby wysłać Żydów do obozów.

– Pozbyć się ich – rozkazał Aumeier.

Stojący obok kapo zdarł gwiazdę z kurtki Gustava, rozdzielił dwa trójkąty i oddał Gustavowi czerwony. To samo spotkało pozostałych szesnastu mężczyzn. Stali głęboko zdumieni, ściskając swoje czerwone trójkąty.

– Jesteście więźniami politycznymi – oznajmił Aumeier. – Nie ma tu żadnych Żydów na wysokich stanowiskach. Zapamiętajcie to sobie. Od tej chwili wszyscy jesteście Aryjczykami.

I na tym się skończyło. Z punktu widzenia reżimu Gustav Kleinmann oficjalnie przestał być Żydem. Wystarczyła zmiana listy i naszywki, by nie stanowił więcej wewnętrznego zagrożenia i ciężaru dla narodu niemieckiego. W tym jednym prostym, samoosmieszającym rytuale zgrabnie ukazała się ogromna głupota nazistowskiej ideologii rasowej.

Od tej chwili w życiu Żydów w Monowitz zaszła zmiana. Siedemnastu świeżo upieczonych Aryjczyków zyskało wyższy status i choć wciąż podlegali karom, byli wolni od jawnego prześladowania i SS przestało ich traktować jak zwierzęta.

Zachowawszy stanowiska vorarbeiterów i kapo, mogli zdobywać wpływy i pomagać innym Żydom w poprawie warunków pracy. (Gdy rytuał dobiegł końca i oficjele wrócili do Berlina, Schöttl szybko zapomniał o zakazie obsadzania wyższych stanowisk Żydami). Gustl Herzog został urzędnikiem w archiwum więziennym, a ostatecznie awansował na jego kierownika i zarządzał personelem złożonym z kilkadziesiątu więźniów. Jupp Hirschberg, inny buchenwaldczyk, został kapo w garażu SS, gdzie dbano o samochody kadry i inne pojazdy. Znał rozmaite plotki zasłyszane od szoferów, a także tajne informacje dotyczące wydarzeń w całym obozie i poza nim. Inni otrzymali przeróżne stanowiska, od blokowego po kapo i obozowego fryzjera. Wspólnymi siłami wynieśli warunki życia innych Żydów na nowy poziom. Świeżo upieczeni Aryjczycy mogli zabierać głos, by zapobiegać pobiciom, zapewniać przyzwoite racje żywnościowe i stawiać opór brutalnym kapo noszącym zielone trójkąty.

Dla Gustava oznaczało to tyle, że jego wygodne życie zawodowe stało się jeszcze bezpieczniejsze. Było teraz mało prawdopodobne, że skierują go do komory gazowej. Dopóki zachowywał ostrożność, nie groziły mu przypadkowe akty przemocy ze strony SS.

Ta zmiana statusu przyniosła jednak nieprzewidziany skutek, który rozdzierał mu serce. Gustav i Fritz, mieszkający w dwóch różnych blokach, tak bardzo przywykli do spotykania się wieczorem po apelu, że uznawali to za oczywistość. Był to ich zwyczaj, element rutyny. Pewnego wieczoru tak pochłonęła ich rozmowa – wspomnianie dawnych czasów, rozważanie przyszłości, wymiana obozowych wieści – że nie zauważyli Blockführera SS, który przyglądał im się z głęboką podejrzliwością.

Przerwał im, mocno popychając Fritza.

– Wydaje ci się, że możesz tak rozmawiać z kapo, żydowska świnio?

Fritz i jego ojciec stanęli na baczność. Byli kompletnie zaskoczeni.

– To mój ojciec – odrzekł skonsternowany Fritz.

Blockführer bez ostrzeżenia walnął go pięścią w twarz.

– On ma czerwony trójkąt, nie może być ojcem Żyda.

Fritz oniemiał, ból rozsadzał mu czaszkę. Nigdy dotąd nie dostał tak w twarz.

– Ale to naprawdę mój ojciec – upierał się.

Blockführer uderzył go jeszcze raz.

– Kłamca!

Zupełnie oszołomiony Fritz powtórzył swoją odpowiedź i dostał kolejny brutalny cios. Gustav stał obok przerażony, bezradny, wiedząc, że jeśli spróbuje interweniować, tylko pogorszy sprawę.

Wściekły Blockführer powalił Fritza na ziemię, ale w końcu złość mu przeszła.

– Wstawaj, Żydzie. – Posiniaczony i zakrwawiony Fritz podniósł się z ziemi. – A teraz wynoś się stąd.

Gdy Fritz odszedł, trzymając się za głowę, Gustav powiedział do Blockführera:

– To naprawdę mój syn.

Blockführer spojrzał na niego jak na szaleńca. Gustav dał za wygraną. Gdyby powiedział temu mężczyźnie, że w rzeczywistości jest Żydem, z którego zrobiono Aryjczyka, prawdopodobnie i tak nic by nie wskórał. Było zresztą całkiem możliwe, że Blockführer o tym wiedział, lecz nie miało to wpływu na jego sposób rozumowania. Umysł nazisty był czymś niepojętym i nie trafiały do niego nawet racjonalne argumenty.

□'ΠΑ

Obóz Auschwitz-Monowitz, już zbudowany, był mały i prosty. Brakowało w nim budynku przy wejściu: była jedynie zwyczajna brama w podwójnym ogrodzeniu pod napięciem. Przez całą długość ogrodzonego terenu biegła ulica mierząca zaledwie czterysta dziewięćdziesiąt metrów. Wzdłuż niej stały bloki: trzy rzędy z lewej, dwa z prawej. Mniej więcej w połowie znajdował się plac apelowy, a obok niego kuźnia i blok kuchenny. Był tam też pas trawy, starannie pielęgnowanej, tak jak obrzeża i rabaty we wszystkich obozach koncentracyjnych. Kontrast między tym, jak dbano o te elementy ozdobne, a znieważaniem i mordowaniem istot ludzkich był paradoksem doprowadzającym niektórych więźniów do szału.

Trochę dalej po lewej stronie ulicy stał blok 7. Z zewnątrz nie różnił się od innych: drewniany barak, nieszczególnie dobrze zbudowany. W środku był jednak bardzo szczególny, ponieważ należał do *Prominenten* z Monowitz. Nie przypominali oni *Prominenten*, których Fritz poznał

w Buchenwaldzie. Tu nie było celebrytów ani mężów stanu, a jedynie kapo, brygadziści i ludzie pełniący specjalne obowiązki – więźniowie funkcyjni, obozowa arystokracja. Jednym z nich był Gustav Kleinmann, obozowy rymarz i świeżo upieczony Aryjczyk. Trafił do obozu jako najniższy z najniższych, a teraz znajdował się wśród najbardziej uprzywilejowanych.

Skupiony na własnym zadowoleniu, Gustav powoli stawał się coraz mniej świadomy cierpienia innych, a w każdym razie mniej się nim przejmował. Pracował w pomieszczeniach, więc pobicia zdarzały się przeważnie poza zasięgiem jego wzroku. W tych rzadkich chwilach, gdy wyjmował swój dziennik, pisał o tym, że w obozie zapanował spokój i mniej więźniów wysyła się do komór gazowych – aczkolwiek działo się tak dlatego, że większą liczbę słabych odsiewano i mordowano już podczas selekcji w Birkenau. Gustav szacował, że z każdego transportu przeżywa od dziesięciu do piętnastu procent ludzi. „Reszta trafia do gazu. Rozgrywają się potworne sceny”. Mimo to dodawał: „W Monowitz, typowym obozie pracy, wszystko odbywa się spokojniej”. Doświadczone oko Gustava widziało, że nadrzędnym celem obozu jest wykorzystanie więźniów, a nie ich uśmiercanie, i horror życia w tych warunkach wydawał mu się mniejszy w porównaniu z tym, co widział wcześniej. Zupełnie jakby w końcu stracił umiejętność postrzegania tego wszystkiego w odniesieniu do normalnego, cywilizowanego świata.

Mimo to bardzo ciążyły mu dwie sprawy. Jedną była rozłąka z Fritzem. Drugą był człowiek, który wisiał nad wszystkimi *Prominenten* niczym zły, spragniony krwi nietoperz: Josef „Jupp” Windeck, starszy obozu oraz szef wszystkich kapo i więźniów funkcyjnych. SS nie mogłoby wybrać egzekutora bardziej pasującego do swoich ideałów niż Jupp Windeck.

Jupp nie miał imponującego wyglądu – był niski i drobny, poruszał się jak słabeusz. W parze z tą aparycją szedł jednak zupełnie do niej niepasujący temperament tyрана. Nijaka, pozbawiona charakteru twarz Windecka wyrażała pogardę i szyderstwo. Uwielbiał pomiatać ludźmi i deptać ich, by wzmocnić swoją pozycję. Ten Niemiec był drobnym przestępcą od szesnastego roku życia i od wczesnych lat trzydziestych raz po raz trafiał do więzienia i do obozów koncentracyjnych. Nosił czarną trójkąt „jednostki społecznej”. Do tej zbiorczej kategorii należeli narkomani, alkoholicy, bezdomni, alfonsi, bezrobotni i ludzie „niemoralni”. Pełnił funkcję starszego obozu w Auschwitz I, a do Monowitz przeniesiono go razem z buchenwaldczykami.

Bardzo szybko wprowadził rządy korupcji, terroru i wyzysku. „No cóż, Żydzi przywozili ze sobą mnóstwo rzeczy – wspominał później Windeck – a my z tego korzystaliśmy, oczywiście, że tak [...]. Jako kapo zawsze braliśmy sobie to, co najlepsze”. Jego największym sojusznikiem był Rapportführer SS zwany Remmele, który czerpał korzyści z dochodowych machlojek Windecka.

Windeck ubierał się, jak chciał. Najbardziej lubił buty do jazdy konnej w zestawieniu z bryczesami i ciemną kurtką – prawdopodobnie próbował naśladować wygląd oficera SS. Paradował krokiem waźniaka po całym obozie, nie rozstając się z pejczem. Krążyły pogłoski, że wykorzystuje seksualnie młodszych więźniów. Mordował bezkarnie, bijąc albo kopiąc ofiary na śmierć bądź topiąc je w umywalniach. To właśnie Jupp Windeck zamordował tekściarza Fritza Löhnera-Bedę, chłoszcząc osłabionego, wyniszczonego starego mężczyznę pejczem. Pewien jego pacholek relacjonował, że Jupp „szczególnie lubił bić słabych, zagłodzonych prawie na śmierć i chorych więźniów [...]. Gdy ci nieszczęśnicy leżeli przed nim na ziemi, deptał po nich, po ich twarzach, brzuchach, po wszystkim, obcasami swoich butów”. Był niezwykle dumny ze swoich butów do jazdy konnej i bardzo się nimi chlubił. „Niech Bóg zachowa tego, kto by je ubrudził Windeckowi. Takiego mógł za to zabić”.

Gustav i jego wysoko postawieni przyjaciele mogli unikać okrucieństwa Juppa Windecka i chronić przed nim innych Żydów. Pomagali im w tym uwięzieni w obozie komuniści, z którymi zawarli sojusz.

Równowaga sił zmieniła się na ich niekorzyść, gdy z Mauthausen, znanego jako jeden z najgorszych obozów nazistowskiego reżimu, przyjechał transport sześciuset więźniów. Wszyscy nosili zielone trójkąty i byli wśród nich prawdziwi brutale. Windeck szybko zebrał ich wokół siebie, załatwiając im stanowiska kapo i blokowych. Świeżo upieczeni Aryjczycy i komuniści sprzeciwiali się temu, ale Windeck i jego kumple mieli zbyt dużą władzę. Każdego protestującego więźnia bito – czasami na śmierć. Sytuacja w Monowitz stała się jeszcze bardziej rozpaczliwa.

Ulga nastąpiła, dopiero gdy zieloni barbarzyńcy Windecka zaczęli wpadać we własne sidła. Jeden poszedł w tango, inny coś ukradł, jeszcze inny wszczął bójkę ze strażnikiem SS albo z robotnikiem cywilnym. Usuwano ich i wysyłano do potwornego czyścica podobozów Auschwitz, w których wydobywano węgiel. Z upływem miesięcy zaplecze Juppa Windecka słabło, aż całkiem przestało istnieć.

Ostatecznie Windecka zgubiło jego własne zepsucie. Gustl Herzog, pracujący jako urzędnik w archiwum więziennym, odkrył dowód na to, że Windeck zdobył cenny naszyjnik i zamierzał go wysłać żonie. Ta tajna informacja trafiła do obozu Gestapo w Auschwitz I. Windecka aresztowano i skazano na dwa tygodnie w Bunkrze, po których trafił do kompanii karnej w Birkenau. Nigdy więcej nie niepokoił Monowitz.

Gustav i jego przyjaciele odzyskali wpływy. Wśród więźniów znowu zapanowała przyjazna atmosfera. Dostawali porządne racje żywnościowe, raz w tygodniu brali prysznic i raz w miesiącu wydawano im świeżą pościel. Panował porządek i jedynym zmartwieniem pozostawały rutynowe zagrożenia: SS, choroby, niebezpieczeństwa czyhające w pracy, okresowe selekcje chorych i słabych oraz wywożenie ich do komór gazowych. W porównaniu z tym, co dotąd przeszli, takie warunki można było nazwać niemal cywilizowanymi, choć była to cywilizacja wyżłobiona zakrwawionymi palcami na terenie piekła.

OPÓR I KOLABORACJA. ŚMIERĆ FRITZA KLEINMANNA

□

Nazistowski system był potężną, lecz rozklekotaną machiną. Budowano go, improwizując, i pracował w szaleńczym tempie, krztusząc się, zacinając, pochłaniając ludzkie paliwo, wyrzucając kości i popioły oraz kłęby przyprawiającego o mdłości dymu. Człowieka w szarych pasiakach wpychano do tej maszyny nie tylko fizycznie, lecz także moralnie i psychicznie. Za Blockführerami i kapo, za ogrodzeniami pod napięciem i wieżyczkami wartowniczymi, za komendantami SS i psami, za drogami i torami kolejowymi, za systemem obozów i hierarchią SS stał cały naród, rząd i społeczeństwo, którego podstawowe, zwierzęce instynkty – strach, mściwość, żądza zysku albo pragnienie jakiejś dawnej wyimaginowanej potęgi – umacniały ten system.

Zamknięcie ludzi w obozach miało być czystym, prostym rozwiązaniem złożonych, niejasnych problemów społeczeństwa. Usunięcie ludzkich toksyn – przestępców, lewicowych aktywistów, Żydów, homoseksualistów – miało sprawić, że wrócą dni chwały narodu. W rzeczywistości nie było to lekarstwo, ale trucizna, powoli, acz nieubłaganie prowadząca naród do zguby. Mało wydajna praca głodzonych niewolników, koszt, jaki ponosił niewolący ich system, osłabienie nauki i przemysłu wskutek usunięcia z tych dziedzin geniuszy splamionych pochodzeniem rasowym: to wszystko paraliżowało gospodarkę kraju. Status pariasa wśród narodów wpłynął na osłabienie handlu. Niemcy

próbowały rozwiązać te problemy za pomocą wojennych podbojów, niewolenia kolejnych ludzi, dalszego mordowania osób, które uważali za przyczynę problemu. Kruszarka pracowała dzień i noc, miażdżąc, niszcząc i powoli słabnąc.

Fritz Kleinmann nie mógł znieść bezradności i beznadziei związanych z tkwieniem w tej maszynie. Jego ojciec na razie był bezpieczny, co zdjęło z piersi Fritza ogromny ciężar. niesprawiedliwość i okrucieństwo mogły jednak doprowadzić do obłądzenia każdego zdrowego na umyśle, a każdego pobożnego skłonić do przeklinania Boga. Żyli i w przeważającej liczbie wypadków umierali śmiercią pozbawioną znaczenia, za ogrodzeniami i murami wznoszonymi przez takich więźniów jak oni. Sam Fritz dzięki swym umiejętnościom i staranności pomógł stworzyć to więzienie w szczerym polu. Cegły i kamienie, z których budował ściany, zostały wylane i wyciosane przez innych więźniów w cegielniach i kamieniołomach pod nadzorem SS.

Więź łącząca go z ojcem i z ich przyjaciółmi była czymś bardzo rzadkim. Solidarność i chęć współpracy – klucze do przetrwania – rzadko przychodzą naturalnie ludziom w tak skrajnych okolicznościach. Niedostatek i głód wywoływały wśród więźniów taką wrogość, że potrafili walczyć o niesprawiedliwie wydzieloną porcję zupy z brukwi i człowiek był gotów zamordować drugiego za kawałek chleba. Nawet ojcowie i synowie zabijali się nawzajem w sytuacji skrajnego wygłodzenia. Można było tam przetrwać jedynie dzięki solidarności i dobroci. Samotne wilki i indywidualiści albo ci nieszczęśnicy, którzy byli odizolowani, dlatego że nie rozumieli niemieckiego czy jidysz, nigdy nie wytrzymywali długo w tym nieustannym terrorze.

Potrzeba było siły charakteru, by dzielić się i kochać w świecie, gdzie egoizm i nienawiść były powszechną walutą. A nic nie gwarantowało przetrwania. Fritz zauważał ślady, jakie przemoc, niedostatek i nieustanne widmo śmierci odciskały na jego współwięźniach, a także na nim samym: sińce, rany, złamane kości, otarcia i strupy, bladą i łuszczącą się skórę, utykanie i braki w uzębieniu.

Więźniom wolno było brać prysznic raz w tygodniu, lecz i tak była to męczarnia. Ci mający surowych blokowych musieli się rozbierać w baraku, a potem biec nago do łaźni. Po wzięciu prysznicza tylko pierwsi dostawali suche ręczniki. Potem podawali je dalej, więc jeśli ktoś się ociągał, dostawał jedynie przemoczoną szmatę i musiał wracać do baraku, ociekając

wodą, nawet w najmroźniejsze zimowe dni. Szerzyło się zapalenie płuc, często kończące się śmiercią. W obozie był szpital dla więźniów, ale choć więzienny personel zapewniał przyzwoite zaopatrzenie, lekarze SS nie przykładali się do leczenia i było to straszne miejsce, często pełne pacjentów chorych na tyfus. Nikt tam nie szedł, jeśli nie musiał. Więźniów poddawano selekcji i jeśli uznano, że nie rokują szans na szybkie wyzdrowienie, trafiali do komór gazowych albo uśmiercano ich zastrzykiem.

Jedzenie rozdzielano w baraku. Mieli do dyspozycji tylko kilka talerzy, więc ten, kto pierwszy dostał porcję zupy, musiał ją szybko zjeść, by inni nie czekali. Każdego, kto się ociągał, popychali zniecierpliwieni współwięźniowie. Kawę z żołądki podawano w tych samych naczyniach. Jeśli więźniowi udało się zdobyć własną łyżkę, była cenna niczym drogie klejnoty. Strzegło się jej z narażeniem życia, a ponieważ noże były niedostępne, rozszerzało się jej zastosowanie, ostrząc rączkę na kamieniu. W latrynach nie było papieru toaletowego, więc innym cennym towarem była makulatura: można było zdobyć porwane worki po cemencie z placu budowy, a czasami gazetę od jakiegoś cywila – gdy na przykład ktoś zostawił ją w fabryce i udało się ją przemycić do obozu. Kawałki kartek można było wykorzystać albo wymienić na jedzenie.

Dla Niemców ludzie cierpiący takie upodlenie byli śmieciami, lecz wojenna gospodarka stawała się coraz bardziej zależna od ich pracy. Była to nowa epoka świetności zapoczątkowana przez Hitlera: świat, w którym kawałek zużytego papieru stał się walutą o namacalnej wartości, nadającą się do wydania albo do podarcia własnego tyłka.

Ciało każdego więźnia nieustannie ulegało wstrząsom i niewygodom. Posiadanie porządnej pary butów było sprawą o fundamentalnym znaczeniu. Jeśli były za duże albo za małe, powodowały otarcia i pęcherze podatne na zakażenie. Skarpety należały do rzadkości i wielu stosowało zamiast nich paski materiału wydarte z obozowych koszul. Było to jednak ryzykowne, dlatego że niszczenie własności SS uznawano za sabotaż i mogło zostać ukarane dwudziestoma pięcioma batami albo okresowym cofnięciem racji żywnościowych. Nie było nożyczek ani obcinaczek, więc paznokcie u stóp rosły i rosły, aż same się złamały albo wrosły w skórę.

Obozowy fryzjer golił głowy co dwa tygodnie. Trochę po to, by zapobiec wszawicy, lecz także dlatego, że podobnie jak pasiaki, łyse głowy sprawiały, że więźniowie od razu rzucali się w oczy. Fryzjer nie używał

mydła ani żadnego środka dezynfekującego, więc każdy miał na twarzy i głowie zacięcia, wypryski i krosty oraz powrastane włosy. Infekcje były czymś powszechnym i mogły doprowadzić do pobytu w szpitalu. Fritz przynajmniej unikał połowy męczarni towarzyszącej goleniu – w wieku dwudziestu lat nie miał jeszcze zarostu na twarzy.

W obozie był punkt dentystyczny, ale nikt tam nie chodził, jeśli naprawdę nie musiał. Obluzowane plomby prowadziły do próchnicy i chorób dziąseł, a szkorbut spowodowany ubogą dietą sprawiał, że wypadały zęby. Złote zęby mogły ocalić życie albo narazić ich posiadacza na śmiertelne niebezpieczeństwo. Niektórzy kapo mordowali więźniów, żeby je zdobyć, lecz jeśli posiadacz złotego zęba miał wystarczająco silną wolę, by sam go sobie wyrwać, mógł go wymienić na towary luksusowe. Wśród cywili handlujących na czarnym rynku obowiązywał sztywny kurs wymiany: jeden złoty ząb równał się jednej butelce wyborowej. Można też było za niego kupić pięć dużych bochenków *Kommisbrotu*^[1] i blok margaryny. Te rzeczy wymieniało się na inne towary. W świecie, w którym każdy tydzień, każdy dzień albo nawet każda godzina mogły być ostatnie, nie było sensu gromadzić bogactw z myślą o lepszych czy wyższych celach. Wszystko, co przynosiło ulgę, pociechę albo gwarantowało pełny brzuch w chwili obecnej, było warte tej ceny.

Z punktu widzenia kierownictwa i zarządu IG Farben ofiarę ponoszoną przez robotników wykonujących niewolniczą pracę uzasadniał zysk. Część pracowników miała poczucie winy, lecz było ono niewielkie i pozbawione znaczenia. Tymczasem księgowi i dyrektorzy przymykali oko na olbrzymią ilość odwszawiającego cyklonu B kupowanego od nich przez SS, zwłaszcza w Auschwitz, gdzie komory gazowe wypełniały się jego toksycznymi oparami.

Fritz Kleinmann bez wątplenia znalazł się w miejscu, w którym rodziło się zło: „Niech nikt nie wyciąga wniosku, że więzienna hierarchia ponosi winę za ten stan rzeczy. Część więźniów funkcyjnych dostosowała się do praktyk SS, by czerpać z tego korzyści, lecz wyłączną odpowiedzialność ponosi za to śmiertelna machina SS, która w Auschwitz osiągnęła doskonałość”. Każdy więzień, który przeszedł selekcję w Birkenau, mógł oczekiwać, że przetrwa średnio od trzech do czterech miesięcy. Fritz i jego ojciec przeżyli tam dotąd ponad osiem. To samo udało się zaledwie niespełna jednej czwartej z ich czterystu twardych, zaprawionych towarzyszy z Buchenwaldu.

Mimo że Auschwitz osiągnęło rodzaj przemysłowej perfekcji, jako machina okazało się wadliwe, nieskuteczne i awaryjne. Jego brutalność budziła w niektórych wolę oporu, a panująca tam korupcja prowadziła do powstania luk i błędów, dzięki którym ten opór urósł w siłę.

W czasie pierwszego lata spędzonego w Auschwitz-Monowitz, gdy Jupp Windeck cieszył się największymi wpływami, odporność i moralny sprzeciw definiujące charakter Fritza pchnęły go w stronę ruchu oporu. Tym samym narażał się na niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo groziło mu jednak codziennie tylko dlatego, że wciąż żył: każde drobne zadrapanie albo niewłaściwe spojrzenie, każdy mróz albo kontakt z chorobą mogły zapoczątkować reakcję łańcuchową prowadzącą do utraty sprawności i do śmierci. Stawiając opór, mógł przynajmniej nadać temu ryzyku jakiś sens.

ב

Zaczęło się od rozmowy w cichym kącie baraku, a skończyło się w nowym komandzie.

Prace budowlane w obozie sfinalizowano latem 1943 roku i zapotrzebowanie na budowlańców w Buna Werke malało. Istniało ryzyko, że Fritz stanie się bezużyteczny. Pewni jego przyjaciele uznali jednak, że może zostać ocalony i jednocześnie im się przydać. Wzięli go na stronę i przeprowadzili z nim bardzo poufną rozmowę.

Byli to buchenwaldczycy, których znał od lat. Znalazł się wśród nich Stefan Heymann, żydowski intelektualista, weteran wojenny i komunista, który dla Fritza i innych chłopców był jak drugi ojciec. Obecny był też Gustl Herzog, a także Erich Eisler, austriacki antyfaszysta. Mieli dla Fritza zadanie – bardzo ważne i potencjalnie niebezpieczne.

W ciągu lat spędzonych w obozach mężczyźni ci zaangażowali się w działalność tajnego żydowsko-komunistycznego sojuszu przeciwko SS. Ich opór polegał przede wszystkim na zdobywaniu wpływowych stanowisk w celu gromadzenia informacji sprzyjających dobrostanowi i przetrwaniu ich towarzyszy. Po części właśnie dzięki staraniom tej sieci Fritza i Gustava przeniesiono do mniej niebezpiecznych komand roboczych i powstała szkółka murarska Roberta Siewerta, Fritz poznał treść ostatniego listu od matki i został ostrzeżony, że jego ojciec znajduje się na liście osób mających jechać do Auschwitz.

Ruch oporu odrodził się w Monowitz, umieszczając swoich członków na ważnych stanowiskach funkcyjnych dzięki arytacji takich przyjaciół jak Gustav. Teraz jednak jego przedstawiciele uznali, że należy zintensyfikować działalność. Drobne akty sabotażu były wprawdzie bardzo potrzebne – Fritz brał udział w takich akcjach na placach budowy: worek cementu upuszczony tak gwałtownie, że aż pękał, ciekący szlauch przerzucony po cichu przez bok ciężarówki wyładowanej cementem – lecz zorganizowany ruch oporu chciał zrobić coś więcej.

Niezbędne były informacje. Więźniowie funkcyjni mogli zdobywać przeróżne tajne informacje o innych obozach satelickich Auschwitz, o przemieszczaniu więźniów, o selekcjach i masowych mordach. Teraz chcieli, by Fritz pomógł im dotrzeć do kolejnego cennego źródła: robotników cywilnych. Wymagałoby to przeniesienia go do jednego z komand pracujących w Buna Werke. Pokazał już, że dobrze mu idzie zaprzyjaźnianie się z cywilami, a w fabrykach pracowały ich tysiące. Znalaziono dla niego miejsce w Schlosserkommando 90 – w ślusarskiej sekcji komanda budowlanego.

Pewnego ranka Fritz po raz pierwszy od przyjazdu do Monowitz wyszedł poza teren obozu, maszerując przez bramę razem z innymi robotnikami i ich strażnikami z SS, po czym przeciął główną drogę i ruszył po tej prowadzącej do Buna Werke.

Dopiero po wejściu na teren zakładów uświadomił sobie, jakie są ogromne. Cały kompleks był siecią ulic i bocznic. Człowiek stojący na jednej z głównych alej biegnących ze wschodu na zachód z trudem mógł dojrzeć drugi koniec w mgiełce oddalonej o prawie trzy kilometry. Boczne ulice, biegnące z północy na południe, miały ponad kilometr długości. Prostokątne parcele zabudowano gęsto budynkami fabrycznymi, kominami, warsztatami, składami, zbiornikami na ropę i substancje chemiczne oraz dziwnymi strukturami z rur przypominającymi okrojone odcinki torów z wesołego miasteczka. Kompleks podzielono na sekcje: zakłady produkujące benzynę syntetyczną ze wszystkimi towarzyszącymi im warsztatami, fabrykę kauczuku buna, elektrownię oraz mniejsze podsekcje do produkcji i przetwarzania substancji chemicznych. Większość z nich nie została jeszcze uruchomiona – wprawdzie obiekty zbudowano, ale ich wyposażeniu daleko było do kompletności.

W fabrykach pracowało kilka tysięcy mężczyzn i kobiet. Mniej więcej jedną trzecią tej liczby stanowili więźniowie, a resztę cywile. Sekcja

ślusarska – która tak naprawdę wykonywała rozmaite prace metaloplastyczne w warsztacie i w otoczeniu fabryk – okazała się przyjaznym, sympatycznym zespołem. Większość kapo traktowała więźniów uprzejmie i zachęcała ich, by „pracowali oczami”, czyli działali bez pośpiechu, pilnując, czy nie zbliżają się poganiacze niewolników. Kapo Fritza był życzliwym więźniem politycznym, który odsiedział jakiś czas w Dachau, a teraz na prośbę ruchu oporu pomógł znaleźć dla Fritza zatrudnienie.

Fritz został pomocnikiem w podsekcji w jednym z głównym działów fabryki, gdzie zatrudniano ogromną liczbę niemieckich cywili – przeważnie mechaników, pracowników technicznych i vorarbeiterów. Większość robotników stanowili polscy i rosyjscy więźniowie, którzy mieli trudności z wykonywaniem poleceń wydawanych po niemiecku i byli okrutnie traktowani przez kapo. Jeśli cywilni brygadziści nie byli zadowoleni z wyników swoich podwładnych, IG Farben wysyłało ich do Auschwitz I na „reedukację”. Niemieckojęzyczni więźniowie mieli o wiele łatwiej. Fritz zwrócił na siebie uwagę cywilnych vorarbeiterów i zdobył ich zaufanie.

Nawiązał serdeczne relacje zwłaszcza z jednym z nich. Znów dostawał dyskretne podarunki w postaci chleba i papierosów, a niekiedy gazety. Od czasu do czasu Niemiec przystawał, by chwilę pogawędzić, i Fritz skwapliwie słuchał wieści o wojnie, które stały w jawnej sprzeczności z nazistowską propagandą. Niemcom źle się wiodło na wszystkich frontach. Po klęsce pod Stalingradem dostawali ciągi na wschodzie, a Brytyjczycy i Amerykanie wykopywali ich z Afryki Północnej i zbliżali się do Włoch, kierując się na północ, w stronę Niemiec. Dla Fritza było jasne, że ten cywil nie jest nazistą. Mężczyzna miał ogromną nadzieję, że wojna wkrótce się skończy i że Niemcy przegrają. Fritz codziennie przynosił towarzyszom ustne raporty (oraz cenne prezenty w postaci chleba i gazet).

Choć Fritz wiedział, że wykonuje ważne i jednocześnie niebezpieczne zadanie, miał niewielkie pojęcie o skali operacji, w którą się zaangażował. Mimo chaotycznych początków ruch oporu więźniów Auschwitz stał się skuteczną, skoordynowaną siecią. Pierwszego maja 1943 roku – w nazistowskie święto, gdy większość SS miała wolne – w Auschwitz I odbyło się tajne zebranie, na którym dwie frakcje ruchu oporu zgodziły się podjąć współpracę. Dominowała w nich grupa Polaków obejmująca pewną liczbę byłych oficerów wojskowych i dowodzona przez Józefa

Cyrankiewicza, który przekonał swoich ludzi do współpracy z Żydami i austro-niemieckimi więźniami politycznymi. W ten sposób połączono różne atuty: niezbędne do gromadzenia informacji rozumienie języka niemieckiego i nazistów przez Niemców oraz fakt, że polskim więźniom wolno było otrzymywać korespondencję, dzięki czemu mogli zdobywać zaopatrzenie i komunikować się z miejscową partyzantką.

Nazwali się Grupą Bojową Oświęcim – było to miarą ich wojowniczości – i wkrótce nawiązali kontakt ze Stefanem Heymannem i monowitzkim ruchem oporu. Współpracę między obozami ułatwiało nieustanne przenoszenie więźniów i komand roboczych na terenie kompleksu. Grupa z Monowitz wniosła do współpracy swoją zdolność do podtrzymywania relacji z cywilami i zakłócania produkcji w Buna Werke. Sabotaż odbywał się nieprzerwanie i na dużą skalę. Więźniom z komanda elektryków udało się spowodować zwarcie turbiny w elektrowni. Inna grupa, wykorzystując mniejszą liczbę strażników 1 maja, doprowadziła do wybuchu w niedokończonych zakładach mających produkować paliwo syntetyczne, a jeszcze inni więźniowie zniszczyli pięćdziesiąt pojazdów. Tego rodzaju działania w połączeniu z ogólną opieszałością pomogły opóźnić budowę różnych fabryk.

Spośród wszystkich rodzajów działań ruchu oporu kontaktowanie się z cywilami należało do najbardziej niebezpiecznych. Obozowe Gestapo nieustannie próbowało przeniknąć do ruchu oporu, by zdemaskować jego przywódców i członków. Dlatego starania o namierzenie i wyłuskanie informatorów nie miały końca. Było to szczególnie ważne w wypadku najdelikatniejszej operacji ruchu oporu: planowania i przeprowadzania ucieczek.

Kursując codziennie między fabryką a obozem i przenosząc strzępy informacji, Fritz miał jedynie mglistą świadomość swojego związku z tą siecią oraz wagi funkcji, którą w niej pełnił.

בן

Była czerwcową sobota i dzień pracy dobiegł końca. Na wieczornym apelu więźniowie stali na baczność, wiedząc, że jutro czeka ich może nie do końca odpoczynek, ale przynajmniej nie aż tak mozolna praca jak w zwykłym dniu oraz mniejsze niebezpieczeństwo.

Fritz stał na swoim miejscu w starannie zapiętym pasiaku, z prosto nałożoną czapką spłaszczoną po boku w aprobowanym w obozie stylu beretowym, gotowy machinalnie zedrzeć ją z głowy na rozkaz „czapki z głów!”. Wszystko odbywało się jak zwykle, w tym samym powolnym, monotonnym, beznadziejnym, powtarzanym codziennie rytmie, który obserwował dwa razy na dobę od października 1939 roku w prawie niezmiętej postaci.

Rapportführer wykonał swoje obowiązki i już miał rozkazać więźniom, żeby się rozeszli, lecz zauważył grupkę osób wchodzących na plac i zamilkł. Gdy przybysze znaleźli się w polu widzenia Fritza, poznał dwóch sierżantów SS prowadzących przed sobą mężczyznę, który kulał i się potykał. Fritz przyglądał się z zainteresowaniem, patrząc z ukosa i trzymając głowę prosto. Esesmani popychali tego mężczyznę i bili go, jakby był więźniem, ale nie miał pasiaków ani ogolonej głowy. Wyglądał na cywila, lecz mimo to traktowali go brutalnie, miał spuchniętą i zakrwawioną twarz. Gdy podeszli bliżej, wstrząśnięty Fritz rozpoznał swój niemiecki kontakt z fabryki. Eskortowali go esesmani: sierżant sztabowy Johann Taute, szef monowitzkiego pododdziału obozu Gestapo, i jego podwładny sierżant Josef Hofer.

Fritz z milczącym, narastającym przerażeniem patrzył, jak zmuszają tego człowieka, by stanął naprzeciw zebranych, i rozkazują mu wskazać wszystkich więźniów, z którymi kontaktował się w fabryce.

Mężczyzna spojrzał na tysiące twarzy, które miał przed sobą. Fritz, zagrzebany głęboko w tej masie, był poza zasięgiem jego wzroku. Dwaj esesmani popchnęli jednak cywila i już po chwili prowadzili go między szeregami, tam i z powrotem, by mógł przyjrzeć się twarzom z bliska. Podeszedł do szeregu, w którym stał Fritz. Fritz patrzył prosto przed siebie, waliło mu serce. Podbite, przekrwione oczy spojrzały na niego z ociąganiem, a ręka uniosła się i wskazała prosto na niego.

– Ten.

Fritza pojmano i razem z cywilem poprowadzono obok jego przyjaciół i towarzyszy, tuż przed nosem jego przerażonego ojca, zabierając go z placu.

Wepchnięto go na pakę ciężarówki i wywieziono z obozu. Ciężarówka pokonała kilka kilometrów do Auschwitz I, lecz zamiast wjechać na teren obozu, zatrzymała się przed budynkiem Gestapo, który stał poza ogrodzeniem, naprzeciw szpitala SS i obok małej podziemnej komory gazowej. Sierżanci Taute i Hofer poprowadzili Fritza korytarzem i wepchnęli go do dużego pomieszczenia.

Przerażony Fritz patrzył na spartańskie wyposażenie pokoju. Był tam stół z przymocowanymi do niego pasami, a w suficie umieszczono haki. Spędził w obozach wystarczająco dużo czasu, by wiedzieć, do czego służą.

Po jakimś czasie do pomieszczenia wszedł oficer SS. Na Fritza spojrzwały żywe, roześmiane oczy osadzone w łagodnej, szlachetnej twarzy. Przedwcześnie łysiejący i posiwiały porucznik SS Maximilian Grabner wcale nie wyglądał groźnie. Przypominał raczej profesora uniwersytetu albo sympatycznego księdza. Rzadko jednak wygląd człowieka może stać w większej sprzeczności z jego charakterem. Przyjaźnie wyglądający Grabner dowodził Gestapo w Auschwitz i słynął z zimnych, bezwzględnych masowych mordów, które nie miały sobie równych ani w tym, ani w żadnym innym obozie. Regularnie przeprowadzał czystki w szpitalu i obozowym Bunkrze – nazywał to „odkurzaniem” – wysyłając więźniów do komór gazowych albo pod Czarną Ścianę. Wdrożył program eksterminacji ciężarnych Polek i uznawano, że osobiście odpowiada za ponad dwa tysiące morderstw. Niewielu ludzi w Auschwitz budziło taki strach jak Maximilian Grabner. Przerażał nawet esesmanów.

Przez chwilę przyglądał się Fritzowi, potem przemówił. Miał dziwnie miękki głos, a jego akcent przywodził na myśl wiejskie tereny wokół Wiednia, prostych i niewykształconych ludzi.

– Wiem – zaczął rzeczowym tonem – że ty, więzień 68629, bierzesz udział w planowaniu szeroko zakrojonej ucieczki z obozu Auschwitz-Monowitz i że robiłeś to we współpracy z niemieckim cywilem, który cię wskazał. Ludzie sierżanta Tautego mieli go na oku. Jego nietypowe zachowanie zwróciło pańską uwagę, prawda, sierżancie?

Taute pokiwał głową, a Grabner zwrócił przyjazne spojrzenie z powrotem w stronę Fritza.

– Co masz do powiedzenia na ten temat?

Fritz nie miał pojęcia, co powiedzieć. Nie mógł zaprzeczyć, że zna tego cywila, ale sprawa ucieczki była dla niego zupełną zagadką.

Grabner wyjął notes i ołówek.

– Teraz podasz mi nazwiska wszystkich więźniów zamieszanych w ten spisek.

Biorąc milczenie oszołomionego Fritza za odmowę, Grabner skinął głową na Tautego i Hofera.

Po pierwszym ciosie kija Hofera Fritz zgiął się wpół i stracił dech w piersiach. Potem nastąpił drugi cios i trzeci.

Grabner nie doczekał się jednak żadnego zeznania. Był zaskoczony. Więzień 68629 był w zasadzie jeszcze chłopcem, ale wyglądało na to, że trudniej będzie go złamać niż tamtego cywila. Na znak Grabnera sierzanci pchnęli Fritza twarzą na stół i przypięli go pasami. Kij unosił się i opadał ze świstem, smagając go po pośladkach. Jeszcze raz i znowu, aż tyłek Fritza był całkiem pocięty i płonął obezwładniającym bólem. Nawet w tak skrajnym strachu i bólu liczył uderzenia: dwadzieścia rozdzierających ciosów, zanim go odpięli i postawili na nogi.

– Przyznaj się, co zrobiłeś – powiedział Grabner, wskazując notes. – Daj mi nazwiska więźniów, którym zamierzałeś pomóc w ucieczce.

Fritz wiedział, że nie ma sensu zaprzeczać, więc milczał. Znowu położyli go na stole, znowu przypięli pasami, znowu w powietrzu zaświszczał kij.

Stracił rachubę i w końcu nie wiedział, ile razy przypinali go do stołu, ale cały czas uparcie liczył ciosy: w sumie kij zostawił na jego ciele sześćdziesiąt piekących śladów.

Odpięli go i znowu postawili na nogi. Ledwie trzymał się w pionie. Grabner bacznie mu się przyjrzał.

– Podaj mi nazwiska.

Wiedział, że prędzej czy później nastąpi chwila – jak w wypadku każdej istoty ludzkiej uwięzionej w tym koszmarze – gdy Fritz pęknie i powie cokolwiek, byle to się skończyło. Prawdę albo kłamstwa – to nie miało znaczenia, byleby tylko uniknąć dalszych tortur. Mógł wymienić nazwiska przyjaciół zaangażowanych w ruch oporu. To byłoby proste i nie byłby człowiekiem, gdyby nie czuł pokusy. Stefan, Gustl, Jupp Rausch i inni działacze ruchu oporu, jego przyjaciele i mentorzy: mógł ich skazać na tortury i śmierć. Fritz zachował jednak na tyle rozsądku, by wiedzieć, że tak naprawdę nie ocali mu to życia – lecz przynajmniej przerwałoby mękę.

Nic nie powiedział. Grabner skinął na Tautego i Hofera, wskazując haki w suficie.

Fritzowi tak mocno związano ręce na plecach, że odcięto krążenie. Dwaj sierżanci przerzucili dłuższy koniec sznura przez hak i pociągnęli za niego. Krótszy koniec szarpnął ręce Fritza do tyłu i w górę, unosząc go i powodując nieopisany, oślepiający ból. Chłopiec zawisł z palcami u nóg dyndającymi nad podłogą, a ciężar jego ciała wyrywał ramiona ze stawów, wypełniając jego umysł potwornym cierpieniem. Widział wielu nieszczęśników zawieszonych w ten sposób na dębie Goethego, ale okazało się to gorsze, niż kiedykolwiek byłby w stanie sobie wyobrazić.

– Podaj nazwiska – powtarzał w kółko Grabner.

Fritz wisiał prawie godzinę, ale z jego ust wydobywały się jedynie niespójne popiskiwanie i ślina.

– Nie przeżyjesz tego – zabrzmiał w jego uchu miękki głos Grabnera. – Wyjaw nazwiska.

Na znak Grabnera esesmani puścili sznur i Fritz runął na podłogę. Grabner bez końca powtarzał: wymień nazwiska i będzie po wszystkim. Mimo to Fritz milczał. Podnieśli go, znów zarzucili sznur na hak i dźwignęli krzyczącego Fritza w górę.

Wieszali go trzy razy, bez rezultatu. Grabner tracił cierpliwość. Był sobotni wieczór, chciał iść do domu. Przez to przesłuchanie marnował swój cenny czas wolny. Fritz wisiał w sumie półtorej godziny, zanim znów puścili sznur i runął na podłogę po raz trzeci. Miał mglistą świadomość, że Grabner wychodzi z pomieszczenia i rozkazuje dwóm sierżantom zabrać więźnia z powrotem do obozu. Dalsza część przesłuchania miała nastąpić później.

⌋

Gdy zabrano Fritza, Stefan Heymann i inni działacze ruchu oporu wystraszyli się i zaczęli rozmawiać o tym, co powinni zrobić. Ile mieli czasu, zanim Fritz pęknie i Gestapo przyjdzie po resztę z nich? Debatowali przez cały wieczór, próbując przygotować się na rychłą katastrofę.

Gustl Herzog jeszcze nie spał, gdy usłyszał, że Fritz wrócił do obozu. Pobiegł się z nim spotkać i zobaczył, jak niosą go ulicą dwaj starzy przyjaciele z Buchenwaldu: Fredl Lustig, towarzysz Gustava z kolumny przewozowej, i Max Matzner, niedoszła ofiara niesławnych eksperymentów z tyfusem.

Fritz nie mógł stać. Oprócz widocznych siniaków i ran, doskwierał mu potworny ból stawów i pleców. Gustl powiedział Lustigowi i Matznerowi, żeby zabrali go do szpitala, a potem poszedł poszukać pozostałych działaczy ruchu oporu.

Szpital mieścił się w skupisku baraków w północno-wschodnim rogu obozu. Składał się z kilku oddziałów: wewnętrznego, chirurgicznego, zakaźnego i rekonwalescencyjnego. Mimo że całością kierował lekarz SS, rzadko się tam pojawiał i pracowali tam przede wszystkim więźniowie. Jak na standardy obozów koncentracyjnych szpital był dobry, lecz brakowało w nim sprzętu medycznego i leków.

Fritza zabrano do sali na oddziale medycznym. Był na wpół sparaliżowany, stracił czucie w rękach, jego obrzękłe pośladki krwawiły, a całe ciało przeszywał ból. Czeski lekarz podał mu silne środki przeciwbólowe i rozmasował mu ręce.

Po jakimś czasie zjawił się Gustl Herzog z Erichem Eislerem i Stefanem Heymannem. Wszyscy trzej przyglądali się Fritzowi ze współczuciem i spodziewali się najgorszego. Po wyjściu lekarza spytali z obawą, czego chciało Gestapo. Fritz przytoczył oskarżenia Grabnera i wspomniał o rzekomym planie ucieczki.

– Powiedziałeś mu coś? – spytał Stefan.

– Oczywiście, że nie. O niczym nie wiem.

Ta odpowiedź ich nie zadowoliła, podobnie jak nie zadowoliła Gestapo.

– Wyjawiłeś jakieś nazwiska... jakiegokolwiek?

Obolały Fritz pokręcił głową.

Mimo stanu, w jakim się znajdował, przyjaciele bez końca go wypytywali, czy podał jakieś nazwiska. Nie, odpowiadał zdecydowanie, niczego Grabnerowi nie powiedział. Wydawało im się podejrzanym, że pozwolono mu wrócić do obozu. Możliwe, że Grabner miał nadzieję, że Fritz niechcący zdradzi w jakiś sposób współników, a może po prostu cele w Bloku Śmierci w Auschwitz I były przepełnione (co często się zdarzało).

W końcu uwierzyli, że Fritz ich nie zdradził. Byli bezpieczni – na razie. Ale Stefan i Erich nie mieli wątpliwości, że Grabner na tym nie poprzestanie i nazajutrz wznowi przesłuchanie, a tortury Fritza będą trwały dotąd, aż złoży zeznanie albo umrze. Trzeba było coś zrobić.

Na razie przenieśli Fritza do bloku chorób zakaźnych, gdzie trzymano pacjentów chorych na tyfus i czerwonkę. Blok sąsiadował z kostnicą usytuowaną w najdalszym kącie obozu. Lekarz SS i jego sanitariusze

rzadko się tam zapuszczali. Fritza umieszczono w izolatce. Był tam bezpieczny, pod warunkiem że nie złapie infekcji. Nie mógł jednak ukrywać się tam bez końca. Aby zapobiec obławie, gdyby nazajutrz rano nie pojawił się na apelu, trzeba byłoby wpisać jego nazwisko do szpitalnych dokumentów. Wtedy jednak przyszłoby po niego Gestapo. Bez względu na to, od której strony spoglądali na problem, dochodzili do jedynego rozwiązania: Fritz Kleinmann musiał umrzeć.

Dlatego Sepp Luger, starszy obozu odpowiedzialny za administrację szpitala, odnotował śmierć więźnia 68629 w rejestrze. Szczegóły były zbędne: w rejestrze przewidziano tylko jedną linijkę dla każdego pacjenta i należało tam wpisać numer przyjęcia do szpitala, numer więźnia, jego nazwisko, daty przyjęcia i wypisu oraz przyczynę wypisu. W tej ostatniej kolumnie były jedynie trzy możliwości: *Entlassen* (wypisany), *nach Birkenau* dla tych, których skierowano do komory gazowej, albo odciśnięty pieczętką czarny krzyż dla zmarłych. Gustl Herzog dopilnował, by śmierć Fritza odnotowano też w generalnym archiwum więziennym.

Prawda miała być utrzymywana przez spiskowców w absolutnej tajemnicy. Wieść o tym, że Fritz zmarł wskutek odniesionych obrażeń, musiała dotrzeć do wielu jego przyjaciół. Nawet Gustav nie mógł poznać sekretu – ryzyko było zbyt wielkie – więc przekazano mu miążdżącą, rozdzierającą serce wiadomość, że Gestapo zamordowało jego ukochanego Fritza. Rozpacz była tak wielka, że Gustav nie mógł się zmusić do zapisania tego w dzienniku, który leżał nietknięty przez wiele tygodni.

Podczas gdy Gustav rozpaczał, spiskowcy musieli stanąć przed palącym problemem: co zrobić z żywym, oddychającym Fritzem. Zaczął wprawdzie dochodzić do siebie po torturach, ale wciąż przebywał w szpitalnej izolatce. Ilekroć lekarz SS albo któryś z jego pielęgniarzy przeprowadzali inspekcję, stary przyjaciel Fritza Jule Meixner, zatrudniony w szpitalnej pralni, pomagał Fritzowi wstać z łóżka i ukrywał go w magazynie wśród stosów pościeli.

Fritz nie miał pojęcia, co z nim będzie. Patrząc, jak pacjenci z czerwoną czołgają się do wiader na odchody ustawionych w pomieszczeniu bliżej drzwi, a ci z tyfusem wiją się w gorączce na zapoconych łóżkach, wiedział, że ranny czy nie, nie może zostać w tym miejscu.

W końcu z Gestapo w Monowitz dotarła wieść, że Grabner porzucił dochodzenie z powodu śmierci Fritza. Przyszła pora na dalsze działania.

Fritz dostał nową tożsamość zabraną pacjentowi zmarłemu na czerwonkę. Nie pamiętał, jak ten nieszczęśnik się nazywał – tylko że był Żydem z Berlina, przywiezionym do obozu stosunkowo niedawno i noszącym numer powyżej stu dwunastu tysięcy. Nie można było usunąć tatuażu Fritza ani zrobić mu nowego, z numerem zmarłego więźnia, więc po prostu zabandażowali mu rękę i mieli nadzieję, że nikt nie zażąda, by ją odsłonił. Stefan Heymann spędzał z Fritzem dużo czasu, mówiąc mu, jak będą musieli teraz postępować i jakie podejmą środki ostrożności, przydzielając go do któregoś z komand roboczych.

Fritzowi było wszystko jedno. Od czasu tortur popadł w apatię i właściwie nie bardzo go obchodziło, czy go znajdą czy nie. Długotrwała udręka wypełniona smutkiem, głodem i beznadzieją w końcu go złamała i zaczął osuwać się w bezradność prowadzącą do stania się „muzułmanem”. Wyznał Stefanowi, że rozważa jak najszybsze zakończenie tego wszystkiego – tak łatwo byłoby przebiec przez łańcuch straży, pracując w terenie, albo rzucić się na elektryczne ogrodzenie obozu. Jeden strzał – jedna ulotna chwila – i cały ból, cała niedola dobiegłyby końca.

Stefan nie miał cierpliwości do takich myśli.

– Wyobrażasz sobie, jak twoje samobójstwo wpłynęłoby na ojca? – powiedział. – Teraz myśli, że jego syn nie żyje, ale w swoim czasie, być może już niedługo, pozna prawdę. Wyobraź sobie, co by było, gdyby odkrył, że przez cały ten czas żyłeś tylko po to, żeby się zabić. Pomyśl tylko.

Fritz nie miał żadnych argumentów. Gdyby po wszystkim, co razem przeszli, nie tylko uległ SS, lecz także pozwolił się wykończyć, jego ojciec by tego nie przeżył. „Nie mogą nas tak zgnębić” – powtarzał zawsze Gustav. Wytrzymałość była wszystkim, cierpienie było tylko chwilowe, nadzieja i duch nie umierały nigdy.

Stefan obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by zapewnić Fritzowi bezpieczeństwo w szpitalu. Gdy chłopiec wyzdrowieje na tyle, by móc pracować, miał mu znaleźć miejsce w jakiejś jednostce zatrudnionej poza obozem, żeby nikt go nie zauważył. Śmiertelność i rotacja wśród więźniów były tak wielkie, że tylko nieliczni mieli szansę dobrze się poznać.

Fritz to rozumiał i zawierzył Stefanowi swoje życie, ale miał pewne wątpliwości. Ludzie znali jego twarz – także część esesmanów. Poza tym prędzej czy później jego ojciec musiał poznać prawdę. Co najmniej siedmiu

mężczyzn z ruchu oporu znało sekret Fritza, a jego ojciec również był ich przyjacielem. Gustav pełnił teraz ważną funkcję w obozie i gdyby komuś tak znanemu jak on wyjawiono tak groźną tajemnicę, znalazłby się w wielkim niebezpieczeństwie.

Po trzech tygodniach Fritz poczuł się na tyle dobrze, by wyjść ze szpitala. Przyjaciele przemycili go do bloku 48, gdzie starszym był Chaim Gosławski, członek ruchu oporu. W jego bloku mieszkali głównie Niemcy i Polacy, którzy nie znali Fritza.

Nazajutrz Fritz poszedł do pracy. Znalaziono dla niego stanowisko magazyniera w innej sekcji komanda ślusarskiego. Jeden z kapo, Paul Schmidt, został wtajemniczony w sprawę i miał go na oku. Maszerując codziennie rano i wieczorem przez bramę obozu, Fritz czuł dławiący strach, że rozpozna go któryś ze strażników albo wrogo nastawionych kapo. Trzymał się środka grupy i maszerował ze wzrokiem utkwionym przed sobą i z pozbawioną wyrazu twarzą, czując, jak wali mu serce.

Gdy minęło kilka tygodni i zdawało się, że nikt go nie rozpoznał, poczuł się w pracy pewniej. Na razie wyglądało na to, że jego tajemnica jest bezpieczna.

אבא

Gdy pewnego wieczoru Gustav siedział w części mieszkalnej bloku 7, jeden z kolegów poklepał go po ramieniu.

– Przed blokiem czeka Gustl Herzog – powiedział. – Chce się z tobą zobaczyć.

Gustav wyszedł z budynku i ujrzał starego przyjaciela, który z trudem tłumiał podniecenie. Herzog pokazał mu, żeby poszedł za nim, i poprowadził Gustava ścieżką obok budynku, trzymając się z dala od drogi. Za pierwszym rzędem baraków stało kilka mniejszych budynków – latryny, bunkier Gestapo i mała łaźnia. Herzog poprowadził Gustava w stronę tej ostatniej. Z półmroku wewnątrz budynku wyłoniła się postać, w której Gustav rozpoznał nadzorcę łaźni, młodego weterana z Buchenwaldu i przyjaciela Fritza. Mężczyzna rozejrzał się i widząc, że teren jest czysty, skinął na Gustava, żeby wszedł do środka.

Zaintrygowany Gustav wszedł do budynku sam, wdychając znajomy zapach stęchłej, nieznałej mydła wilgoci. W słabym świetle kotłowni

zobaczył zarys męskiej sylwetki. Postać wyszła z cienia i jej rysy ułożyły się w twarz Fritza.

Gustav nie mógł uwierzyć własnym oczom, to był cud. Nie sposób opisać zdumienia człowieka, który uczynił swoim dogmatem to, by nigdy, nawet w najbardziej rozpaczliwych okolicznościach nie porzucać nadziei. Nie mógł już przecież mieć nadziei, że znów będzie trzymał syna w ramionach, wdychał jego zapach, słuchał jego głosu – to było wręcz niepojęte. Okazało się, że ostatecznie ich przetrwanie nie poszło na marne.

Odtąd spotykali się, kiedy tylko mogli, zawsze nocą w łaźni. Gustav, uwolniony od smutku i poczucia straty, na nowo mierzył się z troskami ojcostwa pomnożonymi przez fakt, że Fritz znajdował się w większym niebezpieczeństwie niż kiedykolwiek do tej pory. Gustl Herzog i inni zapewnili go, że robią wszystko, co w ich mocy, żeby chronić jego syna, ale czy to wystarczy?

ובן אב

Jesienią przyszły wspaniałe wieści z Auschwitz I. SS niespodziewanie usunęło Maximiliana Grabnera ze stanowiska szefa obozowego Gestapo.

Było to coś więcej niż zwykła dymisja. Od dawna kwestionowano w Berlinie postępowanie Grabnera. Nawet jak na standardy SS liczba egzekucji, które zlecał, wywoływała uniesienie brwi – nie tyle skala mordu, ile chaotyczny sposób, w jaki go przeprowadzano. W oczach Himmlera ostateczne rozwiązanie – i zabijanie w ogóle – było rodzajem przemysłu, a zatem zadanie należało wykonywać czysto, skutecznie i systematycznie. To nie była zabawa ani osobisty fetysz. Sadyzm i żądza krwi Grabnera były plamą na jego dobrym imieniu. Ostateczną przyczyną jego upadku okazała się jednak korupcja.

Podobnie jak wielu wysoko postawionych oficerów w obozie Grabner wykorzystywał swoje stanowisko, by wzbogacić się o cenne przedmioty odbierane Żydom mordowanym w Birkenau, które miały zasilać budżet SS. W przeciwieństwie do większości osób robił to jednak na kolosalną skalę, wysyłając do domu całe walizki wypełnione przywłaszczonym łupem. Rozmiary tej korupcji doprowadziły do wszczęcia dochodzenia przez SS. Zawieszono go w wykonywaniu obowiązków i umieszczono w areszcie razem z kilkoma współnikami, w tym z niefrasobliwym masowym

mordercą Gerhardem Palitzsem. Rudolf Höss, komendant Auschwitz, który pomagał Grabnerowi, także został usunięty.

Nowy komendant, Arthur Liebehenschel, objął stanowisko w listopadzie 1943 roku. Zainicjował wielkie zmiany w całym kompleksie Auschwitz: wymienił personel oraz narzucił SS większy porządek i dyscyplinę.

Dla Fritza ważne było to, że nieoczekiwanie zniknęło najpoważniejsze zagrożenie dla jego bezpieczeństwa. Grabner odszedł i w zamieszaniu, które potem nastąpiło, było mało prawdopodobne, by Gestapo przejmowało się jakimś więźniem z Monowitz. Niedługo potem, w nocy 7 grudnia, w budynku Gestapo w Auschwitz I wybuchł pożar, niszcząc ślady występów Grabnera.

W końcu, gdy cały epizod z Grabnerem spowił mrok i zmałała potrzeba ukrywania się, Fritz Kleinmann po cichu wrócił do życia. Informacja o jego przywiezieniu do obozu znów znalazła się w archiwum, a o Żydzie z Berlina, który umarł na tyfus, zapomniano.

Choć konieczność utrzymywania tajemnicy minęła, Fritz nadal musiał być ostrożny. Gdyby zauważyli go strażnicy SS przekonani, że nie żyje – zwłaszcza sierżanci Gestapo Taute i Hofer – wpadłby w tarapaty. Kto jednak zwróciłby uwagę na dyskretne zmartwychwstanie jednego więźnia spośród tysięcy więźniów w Monowitz, spośród setek tysięcy ludzi przenoszonych tam i z powrotem między obozami Auschwitz, spośród dziesiątków tysięcy zamordowanych?

Nastała zima i Gustav użył swoich wpływów, by Fritz mógł zamieszkać razem z nim w bloku VIP-ów. Odtąd mogli spędzać razem wieczory, nie uciekając się do ryzykownych spotkań na zewnątrz. Sytuacja była społecznie skomplikowana, ponieważ ze względu na swój niski status Fritz nie mógł siedzieć w części mieszkalnej bloku, gdy jego tata szedł tam porozmawiać z przyjaciółmi. Musiał wtedy zostawać sam na pryczy, co teoretycznie również było nielegalne, gdyż buksy służyły wyłącznie do spania.

Mimo to miał tam ciepło i był bezpieczny. Z całą pewnością warunki w bloku były lepsze niż tam, gdzie przebywał przed swoją rzekomą śmiercią. Paul Schäfer, jego dawny blokowy, nie był w stanie znieść smrodu męskich ciał w sypialni i kazał otwierać okna bez względu na pogodę. Z czystego sadyzmu wyłączał też ogrzewanie, żeby mokre ubrania

nie mogły wyschnąć. Jeśli przyłapał kogoś na tym, że śpi w pasiakach, by nie zmarznąć, bił go i konfiskował jego racje żywnościowe.

„I tak mija rok 1943” – napisał Gustav. Znowu nastąpiła zima, zaczął padać śnieg, a ziemia stwardniała. Miała to być piąta zima Gustava i Fritza, odkąd zabrano ich z domu, piąty rok nieustannego koszmaru. Jednak choć tyle przeżyli i wycierpieli, najgorsze mieli jeszcze przed sobą.

[1] Pieczony na zakwasie chleb z przydziału wojskowego mający długi okres przydatności do spożycia.

ŻYCZLIWOŚĆ OBCYCH LUDZI

אָרײַן

– Łap!

Fritz skoczył, sięgając po piłkę, która żeglowała nad jego głową. Odbiła się od jednego z pustych straganów na targowisku i potoczyła na drogę. Pobiegnął i szybko ją złapał, a gdy podniósł głowę, zobaczył policjanta wychodzącego zza rogu na Leopoldgasse. Posterunkowy obrzucił go surowym spojrzeniem, a Fritz wyprostował się, chowając za plecami piłkę – właściwie ciasne zawiniątko ze szmat. Na ulicach nie można było grać w futbol. Gdy policjant sobie poszedł, Fritz odwrócił się i pobiegł z powrotem na targowisko, gdzie wypuścił piłkę i kopnął ją w stronę przyjaciół.

Dzień dobiegał końca i ostatni rolnicy zbierali niesprzedany towar. Ładowali go na wózki, poganiali konie i odjeżdżali przy wtórze stukotania kopyt. Fritz i jego przyjaciele biegali wśród pustych straganów, rzucając sobie piłkę. Tylko handlująca owocami Frau Capek wciąż była na miejscu, nigdy nie zwiżała się przed zmrokiem. Latem dawała dzieciom kolby kukurydzy. Duża część tych dzieci była uboga i brała wszystkie resztki, jakie się dało – okrawki kiełbas od rzeźnika, skórki chleba od Herr Königa z piekarni Anker, bitą śmietanę z cukierni Herr Reicherta przy Grosse Sperlgasse, tuż za rogiem niedaleko szkoły.

Fritz złapał lecącą do niego piłkę i już miał ją rzucić z powrotem, gdy wszyscy usłyszeli dalekie, znajome wycie syren: ta-raa, ta-raa. Straż pożarna jechała na wezwanie! Pobiegli, ogarnięci wielkim podekscytowaniem, mijając przechodniów – spóźnione gospodynie

z zakupami, brodatych ortodoksyjnych Żydów w czarnych płaszczach, spieszących do domu, by zacząć szabat, nim zgaśnie światło.

– Zaczekaj!

Fritz odwrócił się i zobaczył małą postać, która biegła za nim, przebierając nogami. Kurt! Zupełnie o nim zapomniał. Zaczekał na młodszego brata. Zanim Kurt go dogonił, koledzy zniknęli z pola widzenia.

Kurt miał tylko siedem lat – od czternastoletniego Fritza dzieliło go drugie tyle, ale mimo to byli ze sobą zżyci. Fritz regularnie zabierał brata ze sobą, ucząc go swoich zabaw i zasad obowiązujących na ulicach. Kurt miał własną grupę małych kolegów, a grupa Fritza pełniła funkcję ich opiekunów.

Minęli starego Herr Löwy'ego, który stracił wzrok na wielkiej wojnie. Właśnie próbował przejść przez ulicę pełną przejeżdżających ciężarówek oraz ciężkich wozów sprzedawców węgla i piwa, sunących ze stukotem i ciągniętych przez potężne konie rasy pincgauskiej. Fritz wziął staruszka za rękę, zaczekał, aż pojazdy przejadą, i pomógł mu przejść. Potem skinął na Kurta i pobiegł za kolegami.

Dogonili ich na Taborstrasse. Chłopcy mieli twarze umazane bitą śmietaną i cukrem pudrem. Nie znaleźli pożaru, ale mijając cukiernię Grossa, dostali mnóstwo niesprzedanych ciastek. Leo Meth, szkolny przyjaciel Fritza, zachował dla niego kawałek ciasta z kremem, a ten podzielił się nim z Kurtem.

Z policzkami wypchanymi słodkimi wypiekami poszli w stronę Karmelitermarkt. Fritz trzymał Kurta za lepką, umazaną cukrem rękę. Fritz lubił tę atmosferę koleżeństwa. To, że część kolegów była inna, że podczas gdy jego rodzice zaniebdywali chodzenie do synagogi, rodzice tamtych trzymali się z dala od kościoła, albo że Boże Narodzenie znaczyło dla nich coś więcej niż dla niego – te sprawy wydawały się bez znaczenia i nigdy nie przyszło im do głowy, że on, Leo i inne żydowskie dzieci mogliby zostać odsunięci od kolegów z tak trywialnych powodów.

Wieczór był ciepły, a nazajutrz była sobota – może pójdą popływać w Kanale Dunajskim. Albo dołączą do dziewczyn i zorganizują zabawę w teatr w piwnicy domu z numerem siedemnastym. Frau Dworschak, nadzorczyni budowlana, której syn Hans należał do grona kolegów Fritza, często pozwalała im rozstawiać tam zapalone świece, a Herta i inne dziewczyny urządzały pokaz mody, strojąc się w wygrzebane skądś ubrania i parując przed nimi jak modelki. Albo grali swoją wersję *Wilhelma Tella*

dla publiczności, która płaciła dwa fenigi za bilet. Fritz uwielbiał te przedstawienia.

Gdy zapadł ciepły letni zmierzch, wrócili z Kurtem do domu. Mieli za sobą kolejny przyjemny dzień w nieprzerwanej serii przyjemnych dni. Na ulicach Wiednia rosła radość i dzieci zrywały ją jak jabłka z drzew. Wystarczyło tylko wyciągnąć rękę i brać. Życie było poza czasem, nienaruszalne.

□

Przenikliwy pisk gwizdka starszego obozu wyrwał Fritza z przyjemnego snu. Chłopak otworzył oczy w ciemności i jego nos poczuł smród trzystu niemytych ciał i trzystu stęchłych, przesyconych kwaśną wonią potu pasiaków. Jego mózg, gwałtownie wyszarpnięty z błogostanu, odnotował tę wstrząsającą sytuację, tak jak co rano przed świtem.

Mężczyzna zajmujący pryczę poniżej zwlekł się z niej i naciągnął kurtkę, tak jak tuzin innych osób pełniących dyżur przy kawie. Fritz ciasno owinął się kocem i zamknął oczy, wtulając się w słomiany materac i goniąc resztki snu.

Godzinę i piętnaście minut później obudziły go włączane światła.

– Wszyscy wstawać! – warknął sztubowy. – Ruchy, ruchy!

W jednej chwili z trzypiętrowych prycz wykielkowały nogi, ręce i zaspane twarze: gramoliły się, wpadały na siebie nawzajem, wkładały pasiaste uniformy. Fritz i jego ojciec ściągnęli na dół swoje materace, strząsnęli je, po czym złożyli koce i starannie zasłali posłanie. Gdy mężczyźni spryskali twarze zimną wodą i wyszorowali je w łaźni – wypakowanej mieszkańcami sześciu okolicznych bloków – oraz wyczyścili buty tłustą pastą z beczki wygrzebanej w Buna Werke, ustawili się w kolejce w sypialni po kawę z żołądźmi dostarczaną w olbrzymich trzydziestolitrowych termosach. Pili ją na stojąco (siedzenie na buksach było zakazane). Ci, którzy zdołali zachować kawałek chleba z poprzedniego wieczoru, zjadali go teraz, popijając słodkim, letnim płynem. Sztubowy przeprowadzał inspekcję prycz, pasiaków i butów.

Panowała tam przyjemniejsza atmosfera niż w innych blokach, które widział dotąd Fritz. *Prominenten* z bloku 7 dobrze o sobie dbali.

Za piętnaście szósta, wciąż w ciemności, wychodzili z budynku i ustawiali się przed nim w szeregach. Wzdłuż całej ulicy więźniowie wylegali z baraków, by blokowi mogli ich policzyć. Nawet chorzy i martwi nie byli zwolnieni z tego obowiązku – zwykle w każdym bloku zdarzało się w nocy co najmniej parę zgonów. Zwłoki wynoszono i układano na ziemi, by mogły zostać policzone razem z resztą.

Tysiące więźniów maszerowały ulicą ku placowi apelowemu oświetlonemu reflektorami. Ustawiali się w równe szeregi, każdy w przydzielonym sobie miejscu wśród ludzi z bloku, a każdy blok w przydzielonym mu miejscu pośród innych bloków. Chorych i martwych przynoszono i kładziono z tyłu.

Blockführerzy SS przechadzali się wzdłuż kolumn, szukając mężczyzn stojących w niewłaściwym miejscu i krzywych szeregów, licząc ludzi ze swoich bloków, podliczając zmarłych. Każde zakłócenie musztry – zwłaszcza jeśli prowadziło do błędu w liczeniu – kończyło się biciem. Gdy Blockführerzy zrobili swoje, nieśli raporty Rapportführerowi stojącemu na podwyższeniu z przodu. Więźniowie nadal stali bez ruchu – nawet w zimnie i deszczu – a on drobniawo sprawdzał otrzymane liczby.

Gdy na placu zjawił się porucznik Schöttl, stali na baczność mniej więcej od godziny. Fritz patrzył z niepokojem, jak Schöttl wchodzi na podwyższenie. Chłopiec wciąż się bał, że zostanie rozpoznany – ten strach nigdy go do końca nie opuścił.

Niedawne wydarzenia mocno nadszarpnęły jego nerwy. We wrześniu, w ostatnich tygodniach reżimu Grabnera, wśród więźniów odkryto donosiciela. Gestapo nieustannie tropiło działania dywersyjne, więc ruch oporu musiał stale zachowywać czujność. Więzień pracujący jako urzędnik w monowitzkim Gestapo zidentyfikował kapo Bolesława „Bolka” Smolińskiego – ząartego antysemitę szczególnie nienawidzącego komunistów – jako donosiciela pracującego dla sierżanta Tautego z SS.

Członkowie ruchu oporu dyskutowali o tej ważnej informacji. Curt Posener (znany jako Cupo), jeden ze starych buchenwaldczyków, zauważył, że Smoliński przyjaźnił się ze starszym obozu odpowiedzialnym za szpital, czyli główny ośrodek ruchu oporu. Stwarzało to ogromne zagrożenie. Cupo omówił sprawę z Erichem Eislerem i Stefanem Heymannem. Eisler zaproponował, żeby spróbowali porozmawiać ze Smolińskim i uzmysłwić mu, że postępuje niewłaściwie. Stefan i Cupo byli zdecydowanie przeciwni temu niebezpiecznemu pomysłowi. Mimo to Eisler zlekceważył ostrzeżenia

i porozmawiał ze Smolińskim. Reakcja nastąpiła błyskawicznie – Smoliński natychmiast poszedł do Gestapo. Ericha Eislera i Curta Posenera z miejsca pojmano i wywieziono do Auschwitz I razem z sześcioma innymi więźniami, w tym z Walterem Petzoldem i Walterem Windmüllerem, bardzo szanowanymi więźniami funkcyjnymi i członkami ruchu oporu. Trafili do Bloku Śmierci i przez wiele dni poddawano ich przesłuchaniom i torturom. Razem z nimi zatrzymano Smolińskiego.

W końcu Curt Posener i jeszcze jeden więzień wrócili do Monowitz, zmaltretowani i zniszczeni fizycznie. Podobnie jak Fritz wytrzymali tortury i nie wyjawili żadnych informacji. Wypuszczono też Smolińskiego, który wrócił na swoje stanowisko. Walter Windmüller poddał się obrażeniom i umarł w Bunkrze. Nieszczęsnego Ericha Eislera, który rozmawiając ze Smolińskim, ujawnił się jako członek ruchu oporu, postawiono pod Czarną Ścianą i zastrzelono. Eisler całkowicie poświęcał się dobru innych ludzi. Zanim sam został więźniem, pracował dla Rote Hilfe, socjalistycznej organizacji, która świadczyła pomoc rodzinom więźniów. Ostatecznie to właśnie ten humanitarny temperament doprowadził go do zguby – Eisler myślał, że może przekonać kogoś takiego jak Smoliński, by przyzwoicie się zachowywał.

– Uwaga! Czapki z głów! – krzyknął sierżant przez megafon i pięć tysięcy rąk zdarło czapki z głów, po czym starannie je zwinęło i włożyło pod pachę. Więźniowie stali na baczność, a Schöttl sprawdzał listy więźniów, odnotowując nowo przybyłych, zmarłych, selekcje i zadania.

Wreszcie:

– Czapki włoż! Do pracy!

Szeregi się rozproszyły i zapanował chaos, bo każdy szedł w stronę swojego komanda, tworząc grupy liczone przez kapo. Więźniowie maszerowali ulicą ku głównej bramie, która właśnie się otwierała. Było wśród nich wielu słabych, ospałych, idących ostatkiem sił. Wkrótce mieli zostać wysłani do Birkenau albo znaleźć się wśród zwłok wynoszonych na plac apelowy.

Gdy kolumny szły, więzienna orkiestra w małym budynku obok bramy grała skoczną melodię. Muzykami dyrygował holenderski więzień polityczny, a na skrzypcach grał niemiecki Rom. Resztę tworzyli Żydzi z różnych krajów. Fritz uświadomił sobie nagle, że chyba nigdy nie grają niemieckich utworów – jedynie austriackie marsze z okresu cesarstwa. Kiedyś przy tych dźwiękach maszerował jego ojciec na placach apelowych

w Wiedniu i Krakowie, a potem przy wtórze tych samych wojskowych melodii poszedł na wojnę. Obozową orkiestrę tworzyli dobrzy muzycy i czasami w niedzielę Schöttl pozwalał im koncertować dla uprzywilejowanych więźniów. Przedstawiali wtedy surrealistyczny obraz – zbieranina muzyków grających klasyczne utwory przed publicznością złożoną ze stojących więźniów i siedzących z boku oficerów SS.

Niebo robiło się coraz jaśniejsze, gdy maszerowali drogą w stronę punktu kontrolnego przy bramie Buna Werke. Każdej kolumny pilnował sierżant SS i strażnicy. W zależności od tego, w której części kompleksu fabrycznego pracowali, część z nich musiała pokonać jeszcze nawet do czterech kilometrów, a po dwunastogodzinnej pracy czekał ich czterokilometrowy marsz z powrotem i kolejny kilkugodzinny apel na oświetlonym reflektorami placu, w zimnie i deszczu.

Fritz poszedł do pracy w magazynie i zaczął kolejny nudny, lecz bezpieczny dzień wypełniony przenoszeniem materiałów. Nie mógł wiedzieć, że ten dzień zapoczątkuje przemianę w jego życiu.

Gdy gawędził z innym żydowskim więźniem, do rozmowy włączył się jeden z cywilnych niemieckich spawaczy, który akurat znalazł się w pobliżu.

– Miło usłyszeć, jak ktoś mówi po niemiecku – powiedział. – Odkąd zacząłem tu pracować, nie spotykam wielu Niemców. Większość z was to Polacy i inni cudzoziemcy.

Zaskoczony Fritz spojrzał na niego. Mężczyzna był dość młody, lecz utykał.

Niemiec spojrzał na ich pasiaki.

– Za co was tu wsadzili? – spytał.

– Słucham?

– Jakie popełniliście przestępstwo?

– Przestępstwo? – zdziwił się Fritz. – Jesteśmy Żydami.

Musiał to powtórzyć kilka razy, by tamten zrozumiał. Mężczyzna nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Przecież Führer nigdy nie zamknąłby w więzieniu kogoś, kto nie zrobił nic złego – powiedział.

– Jesteśmy w obozie koncentracyjnym Auschwitz – odrzekł Fritz. – Wiesz, co to znaczy?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Służyłem na froncie wschodnim. Nie mam pojęcia, co się działo w ojczyźnie.

To wyjaśniało, dlaczego utyka. Został ranny i zwolniono go z wojska z przyczyn zdrowotnych.

Fritz wskazał swoją naszywkę.

– To jest *Judenstern*. Żydowska gwiazda.

– Wiem, co to jest. Ale za coś takiego nie trafia się do obozu.

To było niewiarygodne – i irytujące.

– Wręcz przeciwnie.

Mężczyzna z niedowierzaniem pokręcił głową. Fritz zaczynał tracić cierpliwość. Takie zaślepienie wręcz go bulwersowało – może i ten człowiek przegapił trwającą od 1941 roku eskalację, dlatego że był akurat na froncie, ale gdzie się podziewał od 1933 roku, gdy zaczęły się prześladowania, albo od 1938 roku, gdy wydarzyła się „noc kryształowa”? Czyżby wierzył, że wszyscy Żydzi wyemigrowali z własnej woli?

Spieranie się z Niemcem było jednak niebezpieczne, więc Fritz porzucił próby przekonania go.

Jeszcze tego samego dnia mężczyzna znów do niego podszedł.

– Wiesz, wszyscy musimy połączyć siły – powiedział. – Musimy bronić ojczyzny i pracować dla wspólnego dobra. Nawet wy macie swoją rolę do odegrania.

Fritz ugryzł się w język. Mężczyzna głądził jednak o postawie, obowiązku i ojczyźnie, aż Fritz nie był w stanie dłużej tego znieść.

– Nie widzisz, co się tutaj dzieje? – spytał ze złością, wykonując gest w stronę fabryk, Auschwitz i całego systemu. Potem odszedł.

Cywil, zdumiony postawą rozmówcy, nie potrafił jednak tak tego zostawić. Przez cały dzień raz po raz podchodził do Fritza. W kółko mówił o obowiązku i ojczyźnie oraz o tym, że więźniowie nie stają się więźniami, jeśli nie ma ku temu dobrego powodu. Jednak mimo swojego uporu wydawał się coraz mniej pewny siebie.

W końcu zamilkł i przez następnych kilka dni spawał w milczeniu. Potem pewnego ranka podszedł do Fritza, ukradkiem dał mu kawałek chleba i ogromną kiełbasę, po czym się oddalił.

Było to pół bochenka *Wecken*, austriackiego chleba z bardzo drobnej mąki. Fritz oderwał kawałek i włożył do ust. Poczował błogość. W niczym nie przypominało to wojskowego *Kommisbrotu*, którym karmiono ich w obozie. To był smak domu i nieba, przynoszący wspomnienia

o smacznych kąskach, które on i jego koledzy dostawali pod koniec dnia z piekarni Anker. Schował resztę chleba i kiełbasę z zamiarem przemycenia ich do obozu i podzielenia się z ojcem oraz przyjaciółmi.

Parę godzin później znów przechodził obok niego ten cywil. Mężczyzna zatrzymał się.

– Nie ma tu wielu Niemców – powiedział. – Miło mieć kogoś, z kim można porozmawiać. – Zawahał się i na jego twarzy odmalowało się zakłopotanie, którego Fritz wcześniej nie widział. – Coś zobaczyłem – wyznał ze skrępowaniem. – Dziś rano w drodze do pracy... – Wyraźnie przygnębiony wyjaśnił, że widział zwłoki więźnia wiszące na ogrodzeniu elektrycznym w obozie Monowitz. Nawet jako weteran frontu wschodniego, któremu nieobce były okropności wojny, poczuł się wstrząśnięty. – Mówią, że to było samobójstwo. Podobno od czasu do czasu się to tutaj zdarza.

Fritz pokiwał głową.

– Zdarza się dość często. Esesmani zostawiają zwłoki na kilka dni, żeby zastraszyć resztę z nas.

Głos mężczyzny drżał z emocji.

– Nie o to walczyłem – powiedział. Miał łzy w oczach. – Nie o to. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Fritz zaniemówił. Niemiecki żołnierz płakał z powodu martwego więźnia obozu koncentracyjnego. Z doświadczeń Fritza wynikało, że wszyscy Niemcy – czy to żołnierze, czy policjanci, esesmani albo więźniowie z zielonymi trójkątami – są tacy sami. Jedyne wyjątki stanowili socjaliści uwięzieni z powodów politycznych. Poza tym wszyscy byli bezdusznymi, brutalnymi fanatykami.

Mężczyzna zaczął opowiadać Fritzowi swoją historię. Nazywał się Alfred Woher. Urodził się w Bawarii, ale ożenił się z wiedenką i odtąd jego domem był Wiedeń – stąd wziął się bochenek *Wecken*. Fritz nie wspomniał, że on także jest z Wiednia. Zamiast tego słuchał, jak Woher opowiada o służbie w Wehrmachcie na froncie wschodnim oraz o tym, jak odznaczono go Krzyżem Żelaznym i jak awansował na stopień sierżanta. Gdy został poważnie ranny, odesłano go do domu na czas nieokreślony. Nie zwolniono go z wojska, ale nie mógł wrócić do czynnej służby. Jako wykwalifikowanego spawacza wysłano go do IG Farben, by pracował jako cywil.

Fritz uświadomił sobie, że Wocheer może być przydatnym kontaktem. Wieczorem po powrocie do obozu poszedł do szpitala, by omówić to ze Stefanem Heymannem. Opisał Alfreda Wocheera i powtórzył wszystko, co od niego usłyszał. Cała ta sprawa zaniepokoiła Stefana. Doradził Fritzowi ostrożność – Niemcom nie można było ufać, zwłaszcza weteranom hitlerowskiej armii. Po historii ze Smolińskim ruch oporu był wyjątkowo ostrożny w kwestii potencjalnych donosicieli. Poza tym ostatniej przyjaźni z cywilem Fritz omal nie przypłacił życiem – nie wspominając o tym, że przysporzył wielu cierpień przyjacielom i ojcu.

Fritz doskonale to rozumiał. Wiedział, że nie powinien ufać Wocheerowi. Jednak z jakiegoś powodu – może za sprawą wiedeńskiego chleba albo wyraźnego, szczerego przygnębienia z powodu śmierci więźnia – Fritz nie mógł się powstrzymać. Wrócił do pracy i wbrew radom Stefana oraz na przekór własnemu zdrowemu rozsądkowi nadal rozmawiał z dawnym żołnierzem.

Zresztą trudno byłoby go unikać. Wocheer podchodził do Fritza, zazwyczaj by zrzucić jakiś ciężar z serca, zadając pytanie o Auschwitz. Fritzowi podejrzenie kojarzyło się to z badaniem terenu. Czuł, że rozsądnie byłoby odwrócić się na pięcie i w ogóle tego nie słuchać. Odpowiadał jednak, nie wchodząc w szczegóły i podając różne fakty na temat Auschwitz. Wocheer przynosił numery „Völkischer Beobachter”, gazety partii nazistowskiej, by pokazać Fritzowi, co dzieje się w Niemczech. Fritz nie miał nic przeciwko temu – gazeta miała w obozie wartość, a poza tym trzeba powiedzieć, że podcieranie żydowskich tyłków było najlepszym zadaniem, jakie można sobie wyobrazić dla „Beobachtera”. Jeszcze milej widziane były prezenty w postaci chleba i kiełbasy. Pewnego dnia Wocheer niespodziewanie zaproponował, że wyśle listy Fritza. Jeśli chłopiec miał na wolności kogoś, z kim chciał się skontaktować, Wocheer mógł przekazać temu komuś wiadomość.

A zatem w końcu – pułapka. W każdym razie tak się wydawało. Pokusa, by skontaktować się z krewnymi, którzy zostali w Wiedniu – oraz przy odrobinie szczęścia dowiedzieć się, co spotkało matkę i Hertę – była niezwykle silna. Instynkt podpowiadał Fritzowi, że powinien poddać tego człowieka jakiemuś sprawdzianowi. Ale po co? Jeśli Wocheer donosił nazistom, co dobrego przyszłoby z przekonania się o tym? Fritz i tak skończyłby w Bunkrze.

Znowu omówił sprawę ze Stefanem Heymannem. Wiedząc, że Fritz postąpi po swoim, Stefan oznajmił mu, że wszystko zależy wyłącznie od niego. Nie mógł mu pomóc.

Niedługo potem Wocher wspomniał, że wybiera się na urlop. Fritz dostrzegł swoją szansę. Wocher mówił, że w drodze do Wiednia będzie przejeżdżał przez Brno i Pragę, więc nazajutrz Fritz przyszedł do pracy z dwoma listami zaadresowanymi na fikcyjne adresy w obu czeskich miastach, twierdząc, że ma tam rodzinę. Wocher chętnie je wziął, obiecując, że dostarczy listy osobiście. (Nie ufał systemowi pocztowemu, w którym działało pełno szpiegów). Fritz uznał, że jeśli Wocher jest oszustem, nie zada sobie trudu, by spróbować dostarczyć listy, i nie odkryje, że adresy są nieprawdziwe.

Gdy kilka dni później Wocher wrócił do pracy, był wściekły. Próbował dostarczyć oba listy, ale nie zdołał znaleźć żadnego z adresów. Domyślił się, że Fritz go nabrał, chcąc zrobić z niego głupca. Był urażony i zły. Fritz przeprosił, ukrywając radość i ulgę. Teraz był już prawie pewny, że Wocher nie jest prowokatorem.

Zaczął stopniowo odsłaniać przed Wocherem prawdziwą naturę Auschwitz, opisując, jak Żydzi przyjeżdżają transportami z Niemiec, Polski, Francji, Holandii i krajów na Wschodzie, opowiadając o selekcjach przeprowadzanych w Birkenau: o tym, jak dzieci, starców, ludzi niesprawnych i większość kobiet wysyła się do komór gazowych, podczas gdy z reszty robi się niewolników. Wocher sam widywał to i owo. Teraz zrozumiał, czym są długie pociągi z zamkniętymi wagonami, które widział na południowo-wschodnich torach biegnących obok Monowitz w stronę Oświęcimia. W fabryce słyszał, jak cywile mówią o takich sprawach, i zaczynało do niego docierać, że gdy był na froncie, dużo go ominęło.

Trudno było nie zauważyć, co się dzieje. Podobnie jak rak z przerzutami, Auschwitz rozprzestrzeniało się i rosło. Wprowadzano szeroko zakrojone zmiany, trwała ekspansja i wkrótce Auschwitz III-Monowitz stało się administracyjnym węzłem rosnącej liczby podobozów wyrastających jak krosty na wiejskich terenach wokół Buna Werke. Prysłano komendanta, który miał być zwierzchnikiem Schöttla, dyrektora obozu. Ten błady kapitan o pustym spojrzeniu, Heinrich Schwarz, lubił uczestniczyć w biciu i mordowaniu więźniów, gotując się przy tym z wściekłości. Był oddany idei „ostatecznego rozwiązania” i pomstował na Berlin, ilekroć następował przestój w napływie Żydów do Auschwitz.

Nowe transporty do podobozów IG Farben przyjeżdżały teraz czasami bezpośrednio do Monowitz i Fritz po raz pierwszy zobaczył na własne oczy to, o czym wcześniej tylko słyszał – objuczonych bagażem, oszołomionych ludzi pędzonych z wagonów towarowych na plac niedaleko obozu. Mężczyzn, kobiety i dzieci, przekonanych, że zostali przesiedleni. Wielu się bało, inni byli szczęśliwi i czuli ulgę, odnalazłszy przyjaciół w tłumie po wielu dniach spędzonych w dusznych wagonach. Zdrowych mężczyzn oddzielano od reszty i prowadzono do obozu, a kobiety, dzieci i starszych wsadzano z powrotem do pociągu, który toczył się do Birkenau.

W Monowitz kazano mężczyznom rozebrać się na placu apelowym. Wielu próbowało zachować cenne przedmioty, lecz prawie zawsze je znajdowano. Wszystko zabierano do bloku zwanego Kanadą (wierzono, że Kanada to kraj bogaczy), by tam to posortować i przeszukać. Grupa więźniów odpowiedzialna za dokonywanie tej grabieży, pracując pod czujnym nadzorem SS, przebierała to wszystko jak poszukiwacze złota przesiewający piach, rozrywając szwy, by sprawdzić, czy nie zaszyto w nich niczego cennego.

Fritza szczególnie interesowali przybysze z getta w Theresienstadt, gdyż wielu z nich pochodziło z Wiednia. Wypytywał ich o wieści z domu, lecz mieli niewiele do powiedzenia. Bardziej aktualne informacje pojawiały się, gdy zaczęli przyjeżdżać deportowani prosto z Wiednia. Właściwie wszystkich zarejestrowanych Żydów wywieziono już z miasta i nazistowskie władze zaczęły deportować *Mischlinge* – osoby urodzone w mieszanych małżeństwach Żydów i Aryjczyków, które w związku z tym były jednymi i drugimi, a zarazem nie należały ani do jednych, ani do drugich. Ku rozpaczy Fritza nikt nie był w stanie nic powiedzieć o reszcie jego krewnych i przyjaciół, o ile ktokolwiek z nich wciąż jeszcze żył.

Gdy Alfred Woche wspomniał, że niedługo wyjeżdża na urlop do Wiednia, Fritz dostrzegł swoją szansę. Czuł teraz, że może mu zaufać, i miał nadzieję, że to zaufanie jest obopólne. Dał Alfredowi adres swojej ciotki Helene, mieszkającej w Wiedniu-Döbling, na zamożnych przedmieściach po drugiej stronie Kanału Dunajskiego. Ciotka wyszła za Aryjczyka i została ochrzczona. Mąż Helene był teraz oficerem Wehrmachtu i jak dotąd naziści jej nie zagrażali. To od jej syna Viktora Kurt dostał nóż myśliwski. Zamiast pisać list, Fritz przekazał Wocherowi ustną wiadomość – po prostu miał poinformować ciotkę, że on i jego ojciec

wciąż żyją i proszą o przekazanie wieści o innych ocalałych krewnych. Woher wziął adres i wyruszył w drogę.

Wrócił po kilku dniach. Misja okazała się nie bardziej owocna od poprzedniej. Adres był wprawdzie prawdziwy, ale pani, która otworzyła drzwi, zachowała się zdecydowanie nieprzyjaźnie – zaprzeczyła, jakoby znała kogokolwiek o nazwisku Kleinmann, i zatrzasnęła Woherowi drzwi przed nosem.

Fritz był zdumiony. Zaczął wypytywać Wohera, czy na pewno trafił pod właściwy adres. Wreszcie odkrył, co poszło nie tak. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że poza fabryką Alfred Woher chodzi w wojskowym mundurze. Jego pojawienie się na progu domu ciotki Helene na pewno śmiertelnie wystraszyło nieszczęsną kobietę, podobnie jak pytania o jej żydowskich krewnych. W rzeczywistości sytuacja wyglądała jeszcze gorzej. Mąż Helene poległ na wojnie i pozbawiona ochrony związanej z jego statusem, ciotka czuła się przeraźliwie bezbronna.

Cała ta historia przyniosła przynajmniej jeden skutek: odtąd Fritz miał pełne zaufanie do Alfreda Wohera.

Gdy nastały święta Bożego Narodzenia i Woher znów wybierał się do Wiednia, Fritz dał mu adresy nieżydowskich przyjaciół ojca mieszkających wokół Karmelitermarkt. Dał mu też adres swojego dawnego mieszkania przy Im Werd oraz list do matki. Mimo wszystko nie był w stanie porzucić wszelkiej nadziei. Musiał wierzyć, że matka i Herta są całe i zdrowe. Ktoś na pewno miał o nich jakieś wieści.

חברים

Leopoldstadt straciło serce. Dawne żydowskie sklepy wciąż stały niewydzierżawione, przedsiębiorstwa były pozamykane, domy puste. Gdy Alfred Woher wszedł po schodach budynku przy Im Werd 11, połowa mieszkań nie miała lokatorów. A przecież naziści twierdzili, że Żydzi zabierają cenną przestrzeń do życia, potrzebną prawdziwym Niemcom.

Gdy zapukał do drzwi z numerem szesnaście, nikt nie otworzył. Prawdopodobnie nikt ich nie otwierał, odkąd Tini Kleinmann obróciła klucz w zamku w czerwcu 1942 roku. Pukając do innych mieszkań, Woher w końcu trafił na Karla Novacka, który kiedyś przyjaźnił się z Gustavem. Karl, pracujący jako kinooperator, był jednym z nielicznych nieżydowskich

przyjaciół, którzy pozostali lojalni wobec Kleinmannów w czasie nazistowskich prześladowań. Bardzo się ucieszył, słysząc, że Gustav i Fritz wciąż żyją.

Nie on jedyny. Przy tej samej ulicy mieszkali także inni prawdziwi przyjaciele – sklepikarka Olga Steyskal, lokatorka sąsiedniego budynku, i ślusarz Franz Kral. Zareagowali tak samo jak Karl. Gdy tylko usłyszeli wieści, pospieszyli na targ po drugiej stronie ulicy i przynieśli kosze jedzenia, prosząc, by Woche zawiózł je do Auschwitz. Wiadomość dotarła również do kuzynki Fritza Karoliny Sendlak – znanej jako Lintschi – która mieszkała kilka ulic dalej. Po ślubie Lintschi stała się aryjską chrześcijanką, lecz w przeciwieństwie do nieszczęsnej ciotki Helene w Döbling nie miała oporów przed tym, by przyznać się do powiązań z Żydami. Zrobiła paczkę z jedzeniem i napisała list, dołączając zdjęcia swoich dzieci. Olga – dla przyjaciół Olly – też napisała list do Gustava. Zawsze bardzo go lubiła, zresztą z wzajemnością. Może nawet coś by między nimi zaiskrzyło, gdyby nie to, że on już był żonaty.

Była to niepojęta, nieprawdopodobna sytuacja: grupa aryjskich przyjaciół i nawrócona Żydówka obławowali bawarskiego żołnierza w mundurze Wehrmachtu czułymi prezentami dla dwóch Żydów w Auschwitz. Woche dostrzegł w tym dziwne piękno, lecz jednocześnie pewien problem: paczki z jedzeniem wypełniły dwie walizki. Wiedział, że dostarczenie ich bezpiecznie Fritzowi będzie nie lada wyzwaniem.

Po powrocie do Auschwitz przemyślał podarki partiami i przekazywał je przyjacielowi. Jedzenie było bardzo mile widziane, ale jeszcze większą wartość miały dla Fritza wieści o Lintschi i reszcie przyjaciół. Wypytywał o matkę i siostrę, lecz Woche tylko kręcił głową. Każdy, z kim rozmawiał, mówił to samo: Tini Kleinmann i jej córka zostały deportowane na Wschód i słuch po nich zaginął. Fritz czuł gorzkie rozczarowanie. Nadal jednak kurczowo trzymał się nikłej nadziei, że nie umarły. Jenni i Berthę, jego ciotki, wywieziono we wrześniu jednym z ostatnich transportów z Wiednia do Mińska. Jenni nie miała własnej rodziny, tylko mówiącego kota, lecz Bertha zostawiła w Wiedniu córkę Hildę (która wyszła za nie-Żyda) oraz wnuka.

Fritz rozdał większość jedzenia kolegom z pracy, a resztę, razem z listami, zaniósł ojcu. Mimo przytłaczających wieści o Tini i Hercie informacje od drogich przyjaciół podniosły Gustava na duchu. Jego natura

buntowała się przeciwko porzucaniu nadziei i cieszył się na myśl, że będzie mógł pisać do ludzi, których kocha.

Gdy Fritz wyznał Gustlowi Herzogowi i Stefanowi Heymannowi, co zrobił, zareagowali znacznie gorzej. Mimo zaufania Fritza do Alfreda Wochera zwłaszcza Stefan był głęboko podejrzliwy. Przestrzegł chłopca przed dalszym zadawaniem się z Niemcem.

Fritz ufał jednak swojej intuicji. Bardzo szanował Stefana, ale tęsknota za dawnym światem i rodziną była silniejsza.

DALEKO OD DOMU

אבא

„Najdroższa Olly” – napisał Gustav.

Bardzo Ci dziękuję za miły list. Wybacz, że tak długo się z Fritzem nie odzywaliśmy, ale muszę bardzo uważać, żeby nie narobić Ci kłopotów. Stokrotnie dziękuję za miłą paczkę [...]. Bardzo się cieszę, że mam tak dobrych przyjaciół, gdy jestem tak daleko od domu.

Był trzeci dzień nowego, 1944 roku i w powietrzu unosił się lekki zapach nadziei. Ołówek Gustava szybko przesuwał się po kartce w kratkę.

Wierz mi, droga Olly, przez te wszystkie lata ciągle wspominam piękne godziny spędzone z Tobą i Twoimi najbliższymi i nigdy o Tobie nie zapomniałem. Jeśli chodzi o mnie i Fritzla, minione lata były trudne, ale dzięki swojej sile woli i energii niezmiennie wybieram dalsze życie.

Jeśli będzie mi dane znowu skontaktować się z Tobą i Twoimi bliskimi, potraktuję to jako rekompensatę za to, co straciłem – za to, że od dwóch i pół roku nie mam żadnych wieści o swojej rodzinie [...]. Nie zamartwiam się jednak, dlatego że pewnego dnia znów ich zobaczę. Jeśli o mnie chodzi, droga Olly, wciąż jestem dawnym Gustlem i zamierzam nim pozostać [...]. W każdym razie bądź pewna, moja droga, że gdziekolwiek jestem, zawsze myślę o Tobie i o wszystkich moich drogich

przyjaciołach – a teraz kończę, śląc Ci najlepsze życzenia i ucałowania. Twoi Gustl i Fritz.

Gustav złożył kartki i wsunął je do koperty. Nazajutrz Fritz miał je przemyścić do fabryki i przekazać swojemu niemieckiemu przyjacielowi. Jego syn kolejny raz przeszedł sam siebie, wykazując się odwagą i inicjatywą. Nic nie było w stanie go powstrzymać. Gustav mógł jedynie mieć nadzieję, że tym razem Fritz nie wpakuje się w kłopoty.

Mijały tygodnie, a Fritz zanosił Fredlowi Wocherowi listy innych więźniów z Wiednia – głównie Żydów, których aryjskie żony zostały w mieście. Starali się pisać tak, aby w razie przechwycenia przesyłek przez Gestapo nie pogrążyć ani nadawcy, ani odbiorcy.

□

Przekazywanie listów nie było jedynym sposobem, w jaki Fritz oszukiwał system, by pomóc swoim towarzyszom. Drugim był handel bonami.

Jakiś czas wcześniej w Auschwitz wprowadzono bony premiowe dla wyróżniających się robotników. Były dostępne jedynie nieżydowskim więźniom zajmującym stanowiska o wysokim statusie i można było je wymienić w więziennej kantine na towary luksusowe, takie jak tytoń albo papier toaletowy. System – wymyślony przez Himmlera – miał zwiększyć wydajność pracujących, ale w praktyce kapo często traktowało bony jako sposób wynagradzania za specjalne przysługi, a nie za dobrą pracę.

Dla wielu najważniejszą zaletą bonów było to, że można było nimi płacić za wizyty w obozowym domu publicznym. Ten przybytek był kolejną inicjatywą Himmlera mającą nagradzać wydajność. Stał otoczony ogrodzeniem z drutu kolczastego niedaleko obozowych kuchni i znano go pod eufemistyczną nazwą „blok kobiecy”. Kobiety były więźniarkami z Birkenau – Niemkami, Polkami, Czeszkami, lecz nigdy Żydówkami – które „zgłosiły się na ochotnika” w zamian za obietnicę, że w swoim czasie odzyskają wolność. W domu publicznym obowiązywała lista oczekujących i o miejsce na niej mogli się ubiegać wyłącznie aryjscy więźniowie dysponujący bonami. Po przyjęciu klient dostawał zastrzyk przeciwko chorobie wenerycznej i esesman przydzielał mu kobietę oraz pokój.

W ciągu dnia, gdy dom publiczny był zamknięty, czasami widywano kobiety spacerujące poza terenem obozu w eskorcie Blockführerów.

Gustav, który oficjalnie był Aryjczykiem, także dostawał bony, ale na niewiele mogły mu się przydać. Dyrektor obozu Schöttl miał perwersyjne upodobania i doświadczał zapośredniczonej podniety, słuchając przedstawianych przez więźniów szczegółowych opisów tego, co robili z kobietami. Jednak choć kilkakrotnie próbował namówić Gustava na wizytę w domu publicznym, ten zawsze odmawiał, wspominając ze smutkiem o swoim podeszłym wieku. (Miał zaledwie pięćdziesiąt dwa lata, ale w obozowych warunkach czyniło to z niego starca – prawie nikt nie żył tam tak długo).

Ponieważ Gustav nie palił, bony były mu szczególnie potrzebne, więc dawał je Fritzowi, który obracał nimi na czarnym rynku.

Fritz zawarł znajomość z dwoma kapo odpowiadającymi za kuchnię i magazyn „Kanady”, gdzie przechowywano mienie zrabowane więźniom. Obaj mężczyźni byli głęboko skorumpowani i uzależnieni od domu publicznego. W zamian za bony Fritz dostawał od nich chleb i margarynę ze szpizarni oraz cenne ubrania z magazynu „Kanady” – swetry, rękawiczki, szaliki i wszystko, dzięki czemu mogło być cieplej. Znosił łup do bloku i dzielił się nim z ojcem oraz przyjaciółmi.

Doskwierała mu świadomość, że podstawą tego handlu jest wyzysk kobiet w domu publicznym. W tak wrogim środowisku filantropia jednego człowieka odbywała się kosztem cierpienia drugiego. W końcu kobiety wymieniono na nową grupę młodych Polek. Te pierwsze, które zniosły wiele miesięcy poniżeń w zamian za obietnicę wolności, odesłano do Birkenau. Nigdy stamtąd nie wyszły.



Wiosną i na początku lata 1944 roku charakter Auschwitz zaczął się wyraźnie zmieniać. Gustav zapisał w dzienniku, że do Monowitz napływa nieprzerwany strumień nowych więźniów, prawie wyłącznie młodych węgierskich Żydów. Przywozili ze sobą melancholię w pustych spojrzeniach i wieści ze Wschodu, które według Gustava wskazywały, że wojna przebiega bardzo niekorzystnie dla Niemców.

W marcu Niemcy rozpoczęły inwazję na Węgry, swojego niedawnego sojusznika. Zaalarmowany stopniowym słabnięciem niemieckich sił na froncie wschodnim oraz prawdopodobieństwem anglo-amerykańskiej inwazji na północno-zachodnią Europę, węgierski rząd zaczął czynić

potajemne starania o zawarcie pokoju z aliantami. Z perspektywy Niemców była to druzgocąca zdrada. Hitler natychmiast zareagował furją, napadając na ten kraj i przejmując kontrolę nad jego wojskiem.

Węgry zamieszkiwała populacja Żydów licząca około siedmiuset sześćdziesięciu pięciu tysięcy osób. Dotąd ich życie było skażone wykluczeniem i antysemityzmem, lecz większości nie działa się krzywda. Teraz w mgnieniu oka trafili do piekła.

Systematyczne prześladowanie zaczęło się 16 kwietnia – w pierwszym dniu Paschy, tradycyjnego święta obchodzonego dla uczczenia wyzwolenia Izraelitów z niewoli. Jednostki Einsatzgruppe, wspierane przez węgierską żandarmerię, zaczęły spędzać setki tysięcy Żydów do prowizorycznych obozów i gett. Przebiegało to gwałtownie, skutecznie i brutalnie. SS powierzyło nadzór nad tą operacją swoim dwóm najbardziej doświadczonym oficerom: Adolfowi Eichmannowi, który wprawiał się, wywożąc Żydów z Wiednia, i Rudolfowi Hössowi, byłemu komendantowi Auschwitz.

Pierwsze transporty wyjechały z Węgier do Auschwitz pod koniec kwietnia, obejmując trzy tysiące osiemset żydowskich mężczyzn i kobiet. Po przyjeździe większość z nich trafiła do komór gazowych. Byli pierwszą kroplą w powodzi ludzi. By zwiększyć wydajność, „starą żydowską rampę” w Oświęcimiu zastąpiono zbudowaną pośpiesznie bocznica prowadzącą prosto do obozu Birkenau zaopatrzonego w rampę wyładunkową o długości blisko pół kilometra.

Później Gustav poznał przy tej rampie pewne Węgierki, które przyjechały do Auschwitz, a one szczegółowo opisały mu, co się wydarzyło.

We wtorek 16 maja zamknięto cały obóz Birkenau. Więźniowie mieli siedzieć w blokach, pilnowani przez strażników. Jedynym wyjątkiem było Sonderkommando i, o dziwo, obozowa orkiestra. Wkrótce po torach pod łukowatym sklepieniem z cegieł wtoczył się wśród kłębow dymu i pisku hamulców długi pociąg, który zatrzymał się przy rampie. Drzwi się rozsunęły i z każdego wagonu wyległo około stu osób. Starych i młodych, kobiet, mężczyzn, dzieci i niemowląt. Prawie nikt nie miał pojęcia, do jakiego miejsca trafili, i wielu wychodziło z lekkim sercem. Byli zmęczeni i zdezorientowani, ale pełni nadziei. Nie bali się na widok przechodzących między nimi członków Sonderkommando w pasiakach. Grana przez orkiestrę muzyka wzmacniała atmosferę nieszkodliwości.

Potem nastąpiła selekcja. Wszystkich w wieku powyżej pięćdziesięciu lat, wszystkich chromych albo chorych, dzieci i ich matki oraz ciężarne kobiety wysłano na jedną stronę. Zdrowych mężczyzn i kobiety w wieku od szesnastu do pięćdziesięciu lat – mniej więcej jedną czwartą wszystkich przywiezionych – ustawiono po drugiej. Tego samego dnia przyjechały z Węgier jeszcze dwa pociągi. Dwie kolejne selekcje, tysiące osób wysyłanych na lewo albo na prawo. Tych uznanych za zdolnych do pracy oznakowano jako „Żydów tranzytowych” i wysłano do części przygotowanej w ogromnym obozie. Pozostałych zapędzono do niskich budynków wśród drzew na końcu torów, gdzie dniem i nocą z kominów wydobywał się paskudnie cuchnący dym.

Tego dnia do Birkenau przyjechało około piętnastu tysięcy węgierskich Żydów. Dokładnej liczby zamordowanych nigdy nie poznamy, ponieważ żadnej z tych osób – ani martwych, ani uwięzionych – nigdy nie zarejestrowano jako więźnia Auschwitz i żadna nie dostała numeru. Nawet tym skierowanym do obozów pracy nie zostało dużo czasu.

Był to początek potwornej eskalacji będącej zenitem – a raczej nadirem – Auschwitz jako miejsca eksterminacji. Od maja do lipca 1944 roku organizacja Eichmanna przysłała do Auschwitz sto czterdzieści siedem pociągów. Przyjeżdżało ich do Birkenau aż do pięciu dziennie, zapychając obozowy system. Uruchomiono dodatkowe komory gazowe, które dotąd stały nieczynne. W sumie bez przerwy pracowały cztery. Dziewięciuset przepracowanych, wyniszczonych psychicznie członków Sonderkommando zaganiało nagich, ogarniętych panicznym strachem mężczyzn, kobiety i dzieci do komór gazowych, a potem wynosiło ich zwłoki. Komando pracujące w „Kanadzie” zapełniało kolejne bloki zrabowanymi ubraniami, cennymi przedmiotami i walizkami wypełnionymi dobytkiem. Krematoria nie nadążały z popieleniem martwych i kopano doły, by palić w nich zwłoki. SS ogarnęła gorączka. Pośpiech, z jakim mordowano każdą nowo przybyłą grupę ludzi, był tak wielki, że często otwierano komory gazowe, gdy część ofiar wciąż jeszcze oddychała. Tych, którzy się ruszali, dobijano strzałem albo pałkami, innych wrzucano do dołów, gdy byli jeszcze półżywi.

Wiele mężczyzn i kobiet, którzy przeszli selekcję, wysyłano do Monowitz. Gustav z ponurym współczuciem patrzył, jak przybywają. „Wielu nie ma już rodziców, dlatego że rodzice zostali w Birkenau” – napisał. Tylko mniejszość była w takiej sytuacji jak on i Fritz – ojciec

razem z synem albo matka z córką. Czy będą mieli siłę i szczęście, by przetrwać tak jak oni dwaj? Sądząc po opłakanym stanie, w jakim się znajdowali, wydawało się to mało prawdopodobne. Wielu przejawiało już oznaki tępej depresji charakterystycznej dla przekształcania się w *Muselmänner*. „Taki smutny rozdział” – napisał Gustav.

אבא

W połowie 1944 roku komando tapicerskie Gustava przeniosło się do siedziby w Buna Werke. Gustav cieszył się tak dużymi wpływami, że zdołał zapewnić przeniesienie i pracę wśród swoich ludzi także Fritzowi.

W pierwszych miesiącach roku było ciężko z powodu ostrej śnieżnej zimy oraz epidemii gorączki i czerwonki. Obaj zachorowali i trafili do szpitala, nieustannie groziła im selekcja i likwidacja. Gustav rozchorował się pierwszy i razem z dziesiątkami innych pacjentów przyjęto go na oddział w lutym. Spędził w szpitalu osiem dni i wrócił do zdrowia w samą porę, by uniknąć selekcji, w wyniku której kilku mężczyzn przyjętych w tym samym czasie co on wysłano do komór gazowych. Po kolejnym wybuchu choroby pod koniec marca Fritz spędził w szpitalu ponad dwa tygodnie.

Dzięki przeniesieniu do fabryki Gustav wreszcie poznał Fredla Wochera, dobroczyńcę, który cieszył się teraz pełnym zaufaniem Fritza.

Dla Fritza praca w warsztacie ojca oznaczała wznowienie szkolenia się w rzemiośle tapicerskim, przerwane przez anszlus w 1938 roku. Pracowali pod kierunkiem cywilnego mistrza tapicerskiego z Ludwigshafen. „Jest w porządku – napisał Gustav – i wspiera nas, gdy tylko może. To zupełne przeciwieństwo nazisty”.

Lojalność Niemców była wystawiana na coraz cięższą próbę w obliczu rosnącego prawdopodobieństwa klęski na wojnie i świadomości tego, czego dopuścił się nazistowski reżim. Szóstego czerwca zaczęła się spodziewana od dawna inwazja aliantów na Francję. Tymczasem Armia Czerwona nieubłaganie nadciągała ze wschodu.

W lipcu Rosjanie wkroczyli do Ostlandu, otaczając Mińsk i przejmując region wraz z pozostałościami Małego Trościeńca. Mały obóz zlikwidowano i zrównano z ziemią w październiku 1943 roku, gdy wykonał swoje zadanie. Dwudziestego drugiego lipca jednostki wkraczające do

wschodniej Polski zajęły olbrzymi obóz koncentracyjny w Majdanku na obrzeżach Lublina. Był to pierwszy prowadzony na dużą skalę obóz, który wpadł w ręce aliantów. Zastali go właściwie w nienaruszonym stanie, z komorami gazowymi, krematoriami i zwłokami ofiar. Relacje naocznych świadków obiegały świat, pojawiając się w gazetach od „Prawdy” po „New York Timesa”. Jeden z rosyjskich korespondentów wojennych powiedział, że to, co tam zobaczył, było „zbyt ogromne i makabryczne, aby w pełni to pojąć”.

Rosły naciski na rządy państw alianckich – dysponujące już dość szczegółowymi informacjami wywiadu na temat obozów, w tym Auschwitz – by podjęły bezpośrednie działania w celu niesienia pomocy. Wzywano do przeprowadzenia nalotów na obiekty obozowe i sieci kolejowe. Dowódcy wojsk powietrznych rozważyli taką możliwość, lecz ją odrzucili. Orzekli, że nie byłoby to opłacalne wykorzystanie ich środków, przeznaczonych wyłącznie na bombardowanie obiektów strategicznych i wspieranie z powietrza wojsk lądowych. I na tym sprawa się skończyła.

SS miało jednak dotkliwą świadomość, że część obozów znajduje się obok strategicznych obiektów przemysłowych, którym groziło bombardowanie – takich jak zakłady Buna Werke w Auschwitz, znajdujące się już w polu rażenia alianckich bombowców dalekiego zasięgu. SS w Auschwitz postanowiło wdrożyć pewne środki zapobiegawcze na wypadek nalotów. W Buna Werke urządzono schrony i wprowadzono politykę zaciemniania w całym kompleksie Auschwitz. Zadanie wyposażenia fabryk w stosowne akcesoria przypadło Gustavowi Kleinmannowi, którego zabrano z komanda tapicerów, obarczając go odpowiedzialnością za przygotowanie zasłon zaciemniających. Dostał warsztat z maszynami do szycia i zespół dwudziestu czterech więźniów, w większości młodych Żydówek – „kulturalnych i solidnych ludzi”. Podczas gdy zespół Gustava szył zasłony, Fritz pomagał cywilom je wieszać.

Gustav podlegał cywilnemu kierownikowi zwanemu Ganz, socjaliście, który zaglądał do warsztatu, żeby pogawędzić i podzielić się z nim obiadem. Ganz był zupełnie inny niż część jego kolegów kierowników w tej części fabryki, żyjąca w trwodze i strachu przed SS oraz uparcie twierdząca, że Führer wie, co robi. Kilku z nich było zdeklarowanymi nazistami i donosiło o przypadkach bratania się z więźniami starszemu inżynierowi, kolejnemu lojalnemu hitlerowcowi.

Część Polek z sąsiedniego warsztatu tkackiego przemycała chleb i ziemniaki dla żydowskich więźniów zatrudnionych w warsztacie Gustava. Skąd zdobywały jedzenie, było zagadką, ponieważ ich racje żywnościowe trudno byłoby nazwać obfitymi. Prezenty przynosili także dwaj Czesi wieszający zasłony, którzy pełnili funkcję posłańców dla czeskich Żydów, całkiem jak Alfred Wocher dla Fritza: dostarczali listy do ich przyjaciół w Brnie, a z powrotem przynosili prezenty w postaci smalcu i boczku.

Ich życzliwość była olbrzymia, lecz przemycane produkty były jedynie kroplą w morzu potrzeb tysięcy więźniów. Boczek i inną niekoszerną żywność przyjmowali z wdzięcznością wszyscy oprócz najbardziej ortodoksyjnych Żydów, dawno zrezygnowawszy z co surowszych zasad swojej wiary. Niektórzy, na przykład Fritz, zupełnie porzucili religię, nie umiejąc wytrwać w wierze w Boga troszczącego się o Żydów.

Kobiety w warsztacie Gustava były w Birkenau i opowiedziały mu, co się tam dzieje. Czterej węgierscy krawcy przydzieleni do jego jednostki szyjącej zasłony zdali mu relację z nagonek w Budapeszcie. Przypominały tornado, były znacznie szybsze i brutalniejsze niż te w Wiedniu. Węgierskim Żydom, choć żyli pod panowaniem antysemitckiego rządu, wolno było obchodzić szabat i uczęszczać do synagogi. Wmówili sobie zatem, że docierające z Niemiec opowieści o prześladowaniach są przesadzone. Dopiero po wkroczeniu nazistów przekonali się o ich prawdziwości na własnej skórze.

Przez prawie dwa lata Gustav wysłuchiwał opowieści o Birkenau, ale to, co działo się tam teraz, wyznaczało nowy poziom barbarzyństwa. „Smród palonych zwłok sięga aż do miasta” – napisał. Codziennie widział pociągi nadjeżdżające z południowego wschodu i mijające Monowitz. Wagony były starannie zamknięte. „Dobrze wiemy, co się dzieje. Są tam sami węgierscy Żydzi – a to wszystko dzieje się w dwudziestym wieku”.

□

Z pomocą Fritza Schubert zawiesił ostatnią zasłonę w oknie biura. Próbował wyjaśnić kierownikowi, jak należy używać tych zasłon, lecz marnie mu szło: Schubert był etnicznym Niemcem, ale mieszkał w Polsce i bardzo źle mówił po niemiecku.

Obaj spakowali narzędzia. Gdy to robili, jeden z cywilów podał Schubertowi resztki chleba, kiwając głową w stronę Fritza. Schubert wziął je dyskretnie i wsunął do skrzynki narzędziowej Fritza. Fritz zarzucił stertę zasłon na ramię i przeszli do następnego budynku. Dobrze się rozumieli mimo trudności w komunikacji. Schubert pochodził z Bielska-Białej, gdzie Gustav pracował na początku wieku jako pomocnik piekarza. Fritz lubił pracować w terenie – miało to niemal posmak wolności. Codziennie wracali z Schubertem do warsztatu ze skrzynkami pełnymi kawałków chleba.

Następny budynek na liście znajdował się niedaleko głównej bramy fabrycznej, gdzie był punkt kontrolny SS, w którym straż pełnił kapral SS nazywany przez więźniów *Rotfuchs* – Czerwony Lis – ze względu na ognistorude włosy i pasujący do nich temperament. Gdy przechodzili, Fritz zauważył, że poirytowany *Rotfuchs* gapi się na grupę greckich Żydów stojących beczynnie obok bramy. Fritz czuł, że za chwilę stanie się coś złego, i zwolnił kroku. W końcu złość wzięła górę nad *Rotfuchsem*. Opuścił posterunek, pomaszerował do Greków i zaczął wrzeszczeć, żeby wracali do pracy. Żaden z nich nie mówił po niemiecku, więc nie mieli pojęcia, o co mu chodzi. Zaczął ich wściekle okładać kolbą karabinu.

Fritz nie zdołał się powstrzymać. Rzucił wszystko i podbiegł do nich, stając między *Rotfuchsem* a jego ofiarami.

– Musisz wracać na posterunek – powiedział, wskazując otwartą na oścież bramę. – Więźniowie mogą uciec.

Takie przypomnienie o obowiązku mogłoby otrzeźwić innych esesmanów, nawet jeśli pochodziło od żydowskiego więźnia. Ale nie *Rotfuchsa*. Jego blada, plamista twarz posiniała z wściekłości.

– Będę robił, co mi się podoba! – krzyknął. Rozległ się śliski szcęk odbezpieczanego karabinu i lufa skierowała się w stronę Fritza.

A więc to koniec. Po tych wszystkich latach jego życie miało dobiec końca właśnie tu, w chwili ślepego gniewu, a wszystko przez jakichś więźniów, których nawet nie znał.

Gdy *Rotfuchs* miał już pociągnąć za spust, lufę jego karabinu odepchnął Herr Erdmann, starszy mechanik, którego zwabił hałas. Fritz bez zastanowienia odwrócił się na pięcie i zdecydowanym krokiem ruszył do pobliskiego magazynu. Doskonale wiedział, że lepiej się stamtąd ulotnić.

Ta historia mogła się skończyć dwojako: wciąż jeszcze istniało niebezpieczeństwo, że Fritz zostanie ukarany strzałem w głowę albo przynajmniej chłostą. Jednak do niczego takiego nie doszło. Herr Erdmann

złożył w IG Farben oficjalną skargę na Rotfuchsa i kaprała przeniesiono w inne miejsce. Więźniowie Monowitz więcej go nie widzieli.

Zachowanie Erdmanna było wyrazem odczuć wielu Niemców. Znikomy szacunek, jakim cieszył się jeszcze nazistowski reżim, nadszarpywała coraz gorsza sytuacja, w jaką Hitler wpakował Niemcy. Wielu Niemców bało się tego, co ich spotka, a im więcej ci, którzy pracowali w Auschwitz i w sąsiedztwie obozu, dowiadywali się o tym, co naprawdę robi SS, tym trudniej było im to znieść.

Dzięki możliwości poruszania się po Buna Werke przy okazji zawieszania zasłon Fritz mógł często spotykać się z Fredlem Wochem. Pewnego razu Wocher przedstawił Fritza przyjaciółom z baterii przeciwlotniczej Luftwaffe stacjonującej obok obozu. Żołnierze mieli więcej racji żywnościowych, niż potrzebowali, więc dali Fritzowi kilka konserw mięsnych i rybnych, dżem i sztuczny miód.

Prezenty w postaci jedzenia stały się ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Niemcom doskwierały niedobory zaopatrzenia, a wszelkie środki płynęły do żołnierzy na liniach frontu. Obywatele w domach mieli do dyspozycji skąpe racje, a więźniowie w obozach koncentracyjnych nie dostawali prawie nic. Liczba *Muselmänner* rosła, podobnie jak liczba zgonów z powodu chorób i głodu oraz częstotliwość selekcji do komór gazowych. Darowane jedzenie nie mogło trafić do wszystkich, ale przynajmniej pomagało nielicznym. Fritz i jego lepiej odżywieni towarzysze oddawali obozowe racje żywnościowe głodującym.

Podział jedzenia między tak ogromną liczbę osób przysparzał Fritzowi nieustannych zmartwień i nękało go wspomnienie bezwzględnych wyborów, których musiał dokonywać. „Gdybyśmy mieli to podzielić między tak wielu, każdemu przypadłaby najwyżej kropla wody rzucona na gorący kamień”. Dawanie jedzenia muzułmanowi, tak wygłodzonemu, że już na pierwszy rzut oka było widać, że za kilka dni będzie martwy, wydawało się marnotrawstwem.

Zamykając serce na nieuleczalnie słabych i umierających, Fritz dawał dodatkowe jedzenie młodym. W jego bloku byli chłopcy, którzy stracili rodziców w komorach gazowych. Znalazł się wśród nich Leo Meth, jego dawny towarzysz zabaw z Wiednia, który początkowo zdołał uciec nazistom, ponieważ wysłano go do Francji, lecz gdy Niemcy podporządkowały sobie Francję Vichy, szybko wpadł w ich sieć. Fritz oddawał mu swój przydział chleba i zupy oraz kawałek kiełbasy i inne

kąski podrzucane przez ludzi w fabrykach. Traktował to jako odwdzięczanie się za dobroć, której zaznał ze strony starszych, gdy był bezbronnym szesnastolatkiem w Buchenwaldzie.

Gustav także robił, co mógł, dla młodych i potrzebujących więźniów. Pewnego dnia, gdy do rejestru wprowadzano nową grupę osób, usłyszał, jak wywołują Georga Koplowitza. Matka Gustava pracowała kiedyś dla żydowskiej rodziny o nazwisku Koplowitz. Lubiła tych ludzi i była u nich aż do swojej śmierci w 1928 roku. Zaintrygowany Gustav odnalazł tego młodego mężczyznę i odkrył, że to rzeczywiście syn tych samych ludzi, który jako jedyny przeszedł selekcję w Birkenau. Gustav wziął Georga pod swoje skrzydła, codziennie dawał mu dodatkowe jedzenie i załatwił mu bezpieczną pracę pomocnika w szpitalu.

Krąg dobroci zamykali brytyjscy jeńcy wojenni, zmuszani do pracy w fabrykach razem z więźniami Auschwitz. Przychodzili z obozu E715, podobozu pracy Stalag VIII-B. Mimo że przebywali w strefie kontrolowanej przez SS, byli jeńcami Wehrmachtu i to strażnicy Wehrmachtu eskortowali ich do pracy oraz pilnowali. Brytyjczycy regularnie dostawali paczki za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i dzielili się z więźniami Auschwitz ich zawartością oraz przekazywanymi przez BBC wieściami o wojnie, zasłyszanych dzięki ukrytym radiodbiornikom w obozie. Fritzowi szczególnie smakowała ich czekolada, angielska herbata i papierosy Player's Navy Cut. Zważywszy na to, jak bezcenne były te towary dla brytyjskich żołnierzy, dzielenie się nimi było aktem wielkiej życzliwości. Brytyjczyków przerażała przemoc ze strony SS, którą widywali w obozie, i skarżyli się na nią swoim strażnikom. „O tym, jaki stosunek mają do nas angielscy jeńcy wojenni, wkrótce mówił cały obóz – wspominał Fritz – a pomoc, której nam udzielali, miała ogromną wartość”.

Prezenty w postaci jedzenia były mile widziane, lecz tego, u kogo je znaleziono, karano chłostą albo całymi dniami głodu w celach do stania w Bloku Śmierci: w maleńkich, klaustrofobicznych pomieszczeniach, w których nie sposób było usiąść. Należało mieć się na baczności zwłaszcza przed jednym esesmanem. Sierżant SS Bernhard Rakers rządził komandami w Buna Werke jak własnym królestwem, nabijając sobie kabzę, napastując seksualnie kobiety i wymierzając więźniom okrutne kary. Fritz, chodzący po tym terenie z jedzeniem ukrytym w skrzynce narzędziowej, nieustannie ryzykował, że na niego wpadnie. Rakers często przeszukiwał

więźniów, a wykrycie jakiegokolwiek kontrabandy oznaczało bezzwłoczne ukaranie winnego dwudziestoma pięcioma batami. Nie spisywał oficjalnych raportów – kontrabanda trafiała prosto do jego kieszeni.

Fritz i inni więźniowie szukali nowych i lepszych sposobów zdobywania jedzenia. Dwaj węgierscy Żydzi wpadli na doskonały pomysł, by szyć i sprzedawać płaszcze.

Jenö i Laczi Berkovitsowie byli braćmi z Budapesztu, wykwalifikowanymi krawcami przydzielonymi do grupy Gustava szyjącej zasłony zaciemniające. Pewnego dnia podekscytowani podeszli do Fritza i przedstawili swój śmiały plan. Czarny materiał, z którego szyli zasłony, był gruby i mocny, zaimpregnowany z jednej strony. Doskonale nadawał się na płaszcze przeciwdeszczowe, które można było sprzedać po dobrej cenie na czarnym rynku. Mogliby je wymieniać na jedzenie albo nawet sprzedawać cywilom za gotówkę.

Fritz zwrócił uwagę na oczywisty problem: ilość materiału na zasłony była starannie kontrolowana, przeliczana na liczbę uszytych zasłon. Nawet odrzuty należało oddawać Herr Ganzowi. Jenö i Laczi nie przejęli się tym problemem. Byli pewni, że zdołają wyprowadzić odpowiednią ilość tkaniny. Wykwalifikowany krawiec umiał tak wykorzystać materiał, by szyć płaszcze ze zwykłej ilości resztek. Przy ogromnej liczbie produkowanych zasłon zdołaliby w ten sposób uzyskać mnóstwo płaszczy. Fritz skonsultował się z ojcem, a ten zgodził się spróbować.

Dwaj bracia byli w stanie uszyć od czterech do sześciu płaszczy dziennie, nie powodując zauważalnego wzrostu ogólnego zużycia materiału. Tymczasem pozostali robotnicy warsztatu Gustava pracowali jeszcze ciężiej, by utrzymać tempo produkcji zasłon.

Ledwie wcielili plan w życie, trzeba było wstrzymać jego wykonanie. Bracia uświadomili sobie, że przeoczyli pewien ważny element: nie mieli guzików ani nic, czym można by je zastąpić. Popytali trochę i jeden z Czechów zawieszających zasłony zaproponował, że przywiezie guziki przy okazji najbliższej wizyty w Brnie. Po rozwiązaniu problemu wznowiono produkcję.

Dystrybucją płaszczy zajął się Fritz. Zaprzyjaźnił się z Danutą i Stefą, dwiema Polkami z sąsiedniego warsztatu tkackiego. Przemycaly uszyte płaszcze do swojego obozu pracy i sprzedawały je innym robotnikom. Reszta trafiała do cywilów z fabryk. Ceną za płaszcz był kilogram boczku albo pół litra sznapsa, który można było potem wymienić na jedzenie.

Płaszczki, porządnie uszyte i praktyczne, szybko zyskały popularność, wraz z którą rosło niebezpieczeństwo, że SS zauważy wszystkich cywilów, którzy nagle zaczęli chodzić w charakterystycznym czarnym ubraniu. Ryzyko trochę zmalało, gdy płaszczami zainteresowali się także niemieccy mechanicy i kierownicy. Ci wpływowi ludzie mieli teraz ukryty interes w przemykaniu oka na całą operację. Dzięki temu wzrosła liczba więźniów, którym mogli pomóc Fritz i jego przyjaciele, i ocalono więcej istnień ludzkich.

OPÓR I ZDRADA

ΠΧ

Mimo wszystkiego, co robił, by ratować ludziom życie, Fritz marzył o bardziej bezpośredniej formie oporu. Tak naprawdę pragnął walczyć – i nie był w tym odosobniony.

Stawienie zbrojnego oporu SS było niemożliwe bez broni i wsparcia. W tych okolicznościach można było je zdobyć, jedynie kontaktując się z polskimi partyzantami w Beskidach. Przekazanie im wiadomości nie nastęrczało większych trudności, ale nawiązanie odpowiednich stosunków wymagało spotkania twarzą w twarz. Ktoś musiał uciec z obozu.

Przesłano partyzantom wiadomość i na początku maja dowództwo ruchu oporu wybrało pięcioosobowy zespół uciekinierów. Pierwszym z nich był Karl Peller, trzydziestoczteroletni żydowski rzeźnik i jeden ze starych buchenwaldczyków. Następnie wyznaczono Chaima Gosławskiego, starszego bloku 48, który opiekował się Fritzem po jego upozorowanej śmierci. Jeśli ktokolwiek miał znaleźć drogę do partyzantów, to właśnie on, rodowity mieszkaniec tego regionu. Wybrano jeszcze Żyda z Berlina, którego nazwiska Fritz nigdy nie poznał, oraz dwóch Polaków znanych Fritzowi jako Szenek i Paweł, pracujących w obozowej kuchni.

Fritza wprowadził do tego grona Gosławski. Miał zdobyć dla uciekinierów cywilne ubrania w magazynie „Kanady”.

Gdy trwały przygotowania, pewnego ranka w ciemności poprzedzającej apel Gosławski przyszedł do Fritza i dał mu paczkę wielkości bochenka chleba. „Daj to Karlowi Pellerowi” – powiedział cicho i rozpląnął się w mroku. Fritz schował paczuszkę pod pasiakami i dołączył do kolegów

z bloku maszerujących na apel. Wcześniej trzymano go z dala od wąskiego grona osób układających plan działania. Domyślił się, że nadchodzi pora ucieczki.

Tego samego ranka podczas zakładania zasłon Fritz wymyślił jakiś pretekst, by zajrzeć na plac budowy w Buna Werke, gdzie pracował Peller, i przekazał mu paczkę. W południe w Buna Werke zjawili się Szenek i Paweł z zupą dla więźniów. Fritz zauważył, że Gosławski znalazł jakiś pretekst, by im towarzyszyć. Wszyscy uciekinierzy znaleźli się zatem na terenie Buna Werke, który był znacznie słabiej pilnowany niż obóz.

Fritz zajął się swoją pracą i nic więcej nie widział. Wieczorem na apelu okazało się, że nie ma wszystkich pięciu mężczyzn – Peller, Gosławski, Szenek, Paweł i berlińczyk zwyczajnie wyszli z Buna Werke w cywilnych ubraniach, które dostarczył im Fritz, i zniknęli. Podczas gdy SS zaczęło poszukiwania, reszta więźniów stała pod strażą na placu apelowym.

Upływały godziny. Północ nastała i minęła, upływały pierwsze godziny doby. Ranek zastał ich wciąż stojących na baczność, otoczonych kordonem uzbrojonych strażników. Minęła pora śniadania. Przez szeregi przeszedł gorączkowy szept: SS szukało nie tylko pięciu zaginionych, lecz także niezidentyfikowanego więźnia, którego poprzedniego dnia rano widziano rozmawiającego z Karlem Pellerem na placu budowy.

Serce Fritza zamarło w piersi. Gdyby go rozpoznano, tym razem czekałyby go Bunkier i Czarna Ściana. Mimo strachu w głębi ducha cieszył się jednak. Ucieczka się udała.

W końcu więźniów wysłano do pracy. Poszli z pustymi brzuchami, wyczerpani, lecz podniesieni na duchu. Mijały dni i mimo pogłosek nikt nie zidentyfikował Fritza jako tajemniczej osoby, która rozmawiała z Pellerem. Trzy tygodnie minęły bez wieści... a potem bez ostrzeżenia spadł na nich cios.

Do obozu przyprowadzono z powrotem dwóch Polaków, Szenka i Pawła, oraz berlińczyka. Byli pobici i obszarpani. Dowództwo ruchu oporu dowiedziało się, że wszyscy trzej zostali aresztowani przez patrol policji w Krakowie. To było zdumiewające – Kraków nie leży w pobliżu Beskidów, w zasadzie jedzie się do niego w przeciwnym kierunku. I gdzie się podzieli Gosławski i Peller? Czy zdołali dołączyć do partyzantów?

Wieczorem na apelu przypasano schwytanych mężczyzn do „kozła” i wychłostano. O dziwo na tym skończyła się ich kara. Jakiś czas później,

gdy do Buchenwaldu jechał transport Polaków, umieszczono w nim Szenka i Pawła. Żyd z Berlina został w Monowitz.

W końcu cała historia wyszła na jaw. Berlińczyk, który bał się mówić, dopóki dwaj Polacy przebywali w obozie, wyjawiał przyjacielowi, co się stało po ucieczce. W centrum wydarzeń znajdowała się paczka od Gosławskiego, którą Fritz przekazał Karlowi Pellerowi. Była wypchana gotówką i biżuterią ukradzioną w „Kanadzie” i mającą posłużyć jako zapłata dla partyzantów za zagwarantowanie pomocy. Umówiono spotkanie, ale Gosławski i Peller nigdy na nie nie dotarli. Pierwszej nocy obaj zostali zamordowani przez Szenka i Pawła, którzy następnie zagarnęli cały łup. Berlińczyk był zbyt przerażony, by interweniować.

Zamiast uciec z łupem, Polacy postanowili jednak stawić się na spotkaniu. Partyzanci już na nich czekali. Nie byli zadowoleni. Powiedziano im, że mają się spodziewać pięciu mężczyzn – gdzie byli pozostali dwaj? Szenek i Paweł udawali, że o niczym nie wiedzą, ale partyzantów nie uspokoiły ich usprawiedliwienia i wykręty. Przez tydzień udzielali trzem mężczyznom schronienia, lecz gdy Gosławski i Peller się nie zjawili, partyzanci odmówili zawarcia umowy. Zawieźli trzech mężczyzn do Krakowa i tam ich zostawili. Zagubieni i pozbawieni przyjaciół, uciekinierzy po prostu wałęsali się po ulicach, aż w końcu zatrzymała ich policja.

Wyznanie berlińczyka dotarło do starszego obozu, który przekazał je administracji SS.

Kilka tygodni później Szenek i Paweł znów zjawili się w Monowitz, sprowadzeni z Buchenwaldu na rozkaz SS. Na placu apelowym ustawiono szubienicę, a więźniom rozkazano stawić się na apel.

Fritz i jego towarzysze wmaszerowali na plac i ujrzeni kordon żołnierzy SS stojący z uniesionymi pistoletami maszynowymi przed szubienicą. Więźniowie utworzyli szeregi i w ciszy, która potem zapadła, komendant Schwarz i porucznik Schöttl weszli na wzniesienie. „Czapki z głów!” – rozległ się rozkaz z megafonu. Fritz i osiem tysięcy innych więźniów wsunęło czapki pod pachy. Kątem oka Fritz zobaczył, jak wprowadzają dwóch Polaków. Schöttl przeczytał wyroki przez mikrofon: obaj mężczyźni zostali skazani na śmierć za ucieczkę i dwa zabójstwa.

Najpierw do szubienicy doprowadzono Szenka, potem Pawła. W typowym dla SS stylu nie było zapadni, lecz tylko pętla z cienkiego sznura, za który gwałtownie pociągano, a skazaniec wierzgał i rzucał się

z coraz mniejszą siłą. Po kilku minutach obie ofiary wreszcie znieruchomiały. Komendant dał więźniom pouczającą lekcję i kazał im odmaszerować.

Cała ta katastrofalna w skutkach sprawa osłabiła monowitzki ruch oporu. Nie tylko stracili Gosławskiego i Pellerę, lecz także odżyły wszystkie zadawnione napięcia i nieufność między Polakami a niemieckimi Żydami.

Co więcej, SS ogarnęła brutalna paranoja. Niedługo potem esesmani ogłosili, że odkryli plan ucieczki w komandzie dekarzy. Podejrzanych zabrano do Bunkru Gestapo i poddano potwornym torturom. Na rozkaz komendanta Schwarza trzech powieszono, powtarzając straszliwy rytuał na placu apelowym. Potem wieszano kolejnych.

Dla Fritza był to jeden z najbardziej przygnębiających okresów w czasie całego pobytu w Auschwitz. Najgorsze wciąż miał jednak przed sobą.

אָרײַן

W sobotę 20 sierpnia, późnym popołudniem z bezchmurnego błękitnego nieba spadły pierwsze bomby. Sto dwadzieścia siedem amerykańskich bombowców, wystartowawszy z bazy we Włoszech, nakreśliło osiem kilometrów nad Auschwitz grzebień ze smug kondensacyjnych i zrzuciło tysiąc trzysta trzydzieści sześć bomb, z których każda zawierała ćwierć tony stali i kruszących materiałów wybuchowych. Ekspłodowały w środkowej i wschodniej części Buna Werke.

SS schowało się w bunkrach, lecz więźniowie musieli liczyć na szczęście na otwartej przestrzeni, wśród potężnego huku wybuchów wstrząsających ich głowami i ciałami. Rozstawiona wokół artyleria przeciwlotnicza odpowiedziała ogniem, wywołując łoskot i dudnienie. Więźniowie pracujący w fabrykach rzucili się na podłogę i ogarnęła ich radość. „Dzień bombardowania był dla nas naprawdę szczęśliwy” – wspominał jeden z nich. „Myśleliśmy, że o nas wiedzą, że szykują się do ratowania nas”. Inny powiedział: „Naprawdę cieszyliśmy się z nalotu [...]. Chcieliśmy choć raz zobaczyć zabitego Niemca. Wtedy moglibyśmy lepiej spać po upokorzeniach związanych z tym, że nigdy nie mogliśmy się przed nimi bronić”.

Bomby zostawiły dymiące kratery na terenie Buna Werke i wokół niego. Większości nie udało się w nic trafić, ale rozerwały część budynków należących do zakładów produkcji oleju syntetycznego i aluminium, a także zniszczyły rozmaite szopy, warsztaty i biura. Kilka zbłąkanych bomb spadło na obozy wokół kompleksu fabrycznego, w tym na Monowitz. W nalocie zginęło siedemdziesięciu pięciu więźniów, a ponad stu pięćdziesięciu zostało rannych.

Wielu żydowskich więźniów było zachwyconych, widząc przerażenie SS, lecz część czuła coś przeciwnego. Młody Włoch Primo Levi, który przyjechał do Monowitz w lutym, uważał, że bombardowanie umocniło wolę SS i doprowadziło do zsolidaryzowania się esesmanów z niemieckimi cywilami w Buna Werke. Poza tym zniszczenia powstałe wskutek bombardowania zakłóciły dostawę wody i żywności do obozu.

Działacze ruchu oporu byli zawiedzeni. Po pojawieniu się bombardowców spekulowano, że alianci mogą zacząć zrzucać na spadochronach żołnierzy i broń. Jednak choć jeszcze kilkakrotnie widziano amerykańskie samoloty wysoko na niebie, nie spadły z nich ani bomby, ani spadochrony. Były to loty zwiadowcze w celu starannego obfotografowania zakładów IG Farben i kompleksu Auschwitz.

Tym, co naprawdę zdominowało myśli i debaty członków ruchu oporu, było nieustające zbliżanie się Armii Czerwonej ze wschodu. Mieli powody, by obawiać się, że SS przystąpi do masowej likwidacji obozu, mordując wszystkich więźniów, zanim można będzie ich wyzwolić. Tak stało się w Majdanku.

Zdarzały się kolejne próby ucieczki. W październiku czterej więźniowie pracujący poza obozem obezwładnili strażnika SS, zabrali mu karabin i zniszczyli go, a następnie uciekli. Inny mężczyzna wyszedł z obozu przebrany w skradziony mundur SS. Zdołał dotrzeć aż do Wiednia, zanim naziści go dopadli, i zginął podczas strzelaniny z Gestapo.

Indywidualne akcje były inspirujące, ale żydowski ruch oporu – w tym Fritz – chciał czegoś więcej. Odkąd popsuły się stosunki z Polakami, współpraca z partyzantami stała się niemożliwa. Zaproponowano, by zamiast tego spróbować nawiązać kontakt z Armią Czerwoną. Aby to zrobić, należało zbudować relacje z rosyjskimi jeńcami wojennymi przetrzymywanymi na odgrodzonym terenie w Monowitz. Można było się do nich zbliżyć za pośrednictwem pewnych rosyjskich Żydów znanych ruchowi oporu. Byłoby to trudne, ponieważ wśród jeńców wojennych

brakowało lojalnych komunistów i Żydów – wszystkich zastrzelono natychmiast po pojmaniu – więc niełatwo byłoby znaleźć wspólną płaszczyznę. Mimo to Fritz i reszta musieli spróbować. W końcu jednemu ze zaryzowanych Żydów udało się uciec z garstką Rosjan. Wszyscy z obawą czekali na dalszy rozwój wypadków, a gdy nic się nie stało, domyślili się, że uciekinierzy zdołali uniknąć schwytania.

Dało to ruchowi oporu isierkę nadziei, tyle że słabą. Uczestnicząc w spotkaniach jego członków, Fritz czuł rosnące zniecierpliwienie. Nadal był za tym, by się bronić, gdy dojdzie do ostatecznej masakry, a liczenie na pomoc ze strony Rosjan wydawało mu się daremne i nieadekwatne do sytuacji. „Jeśli mają nas pozabijać, powinniśmy przynajmniej zabrać ze sobą kilku esesmanów” – rozumował. Bez końca obracał tę myśl w głowie, ponieważ jednak nie miał pojęcia, jak wcielić ją w życie, zachował ją dla siebie.

אבא

We wrześniu amerykańskie bombowce wróciły, celując w zakłady produkcji paliwa w Buna Werke. Niektóre zboczyły z kursu i zrzuciły bomby na Auschwitz I, gdzie przypadkiem spadły one na baraki SS. Inne runęły na warsztat szwalniczy, zabijając w jednej chwili czterdziestu więźniów. Kilka spadło na Birkenau, naruszając tory kolejowe niedaleko krematoriów i uśmiercając około trzydziestu robotników cywilnych. Zniszczenia w zakładach produkcji paliwa były niewielkie, ale ucierpiało mniej więcej trzystu więźniów, którym jak zwykle zakazano wstępu do schronów.

Niektórzy więźniowie z radością podejmowali ryzyko. Selekcje do komór gazowych odbywały się już raz w tygodniu i czasami z Monowitz wywożono aż dwa tysiące więźniów naraz. Amerykańskie bomby zdawały się zapowiadać wyzwolenie. Jak długo jeszcze musieli czekać?

„Znów nadciąga zima – to już nasza szósta” – napisał Gustav, gdy zaczęły się pierwsze mrozy. „Ale nadal tu jesteśmy, wciąż pozostajemy sobą”. Wieści docierające z zewnątrz głosiły, że Rosjanie zatrzymali się niedaleko Krakowa. „Cały czas myślę, że nasz pobyt tutaj wkrótce dobiegnie końca”.

Jak długo jeszcze mogło się to ciągnąć?

– Załatw mi pistolet.

Fredl Woher był zaskoczony. Często spotykali się z Fritzem w ciągu dnia. Zwykle Woher dawał przyjacielowi coś do jedzenia, a przy tych rzadkich okazjach, gdy wracał z Wiednia, także list albo paczkę.

– Co mam ci załatwić?

– Pistolet. Możesz to dla mnie zrobić?

Woher zawahał się, ale nie spytał, po co Fritzowi broń. Nie chciał wiedzieć.

– Będę musiał się nad tym zastanowić – odrzekł niechętnie. – To niebezpieczne.

– Pamiętaj, ile dla mnie zrobiłeś – powiedział Fritz. – To nie będzie bardziej niebezpieczne niż tamto.

Woher nie był przekonany. Odznaczony niemiecki żołnierz miałby przemycać broń dla żydowskiego więźnia? To nie było jedynie niebezpieczne, to było szalone.

Mimo oporów przyjaciela Fritz nalegał. Gdyby w Auschwitz doszło do ostatecznej masakry – co wydawało się coraz bardziej prawdopodobne – chciał przynajmniej móc obronić siebie i ojca. Gdyby zdobył wystarczająco dużo broni, może nawet zdołałby uzbroić cały ruch oporu.

Kilka dni później spotkali się znowu w zacisznym miejscu na terenie fabryki. Woher wydawał się podekscytowany.

– Zdobyłeś go? – spytał niecierpliwie Fritz.

Woher pokręcił głową.

– Nie. Wpadłem na lepszy pomysł. Powinniśmy razem uciec, ja i ty.

Fritz zmarkotniał, ale zanim zdążył zaprotestować, Woher mówił dalej. Miał już wszystko zaplanowane. Po wydostaniu się z obozu ruszyliby na południowy zachód do górskiej krainy zwanej austriackim Tyrolem. Jako Bawarczyk Woher znał ten region i mógłby dla nich znaleźć bezpieczne schronienie wśród rolników z gór. Tyrol znajdował się dokładnie między dwoma alianckimi frontami: amerykańskie i brytyjskie siły z determinacją parły w stronę północnych Włoch, a 3. Armia Pattona zmierzała ku Renowi z zachodu. Obie armie miały wkrótce dotrzeć do Tyrolu i Fritz z Fredlem zostaliby wyzwoleni.

– To lepsze niż czekać tutaj i mieć nadzieję, że się przetrwa – przekonywał Woher. Widział bezlitosną przemoc na froncie wschodnim,

więc wiedział, że bezduszność Armii Czerwonej dorównuje pod każdym względem temu, do czego było zdolne SS.

Siła argumentów przyjaciela przekonała Fritza. Pokręcił jednak głową.

– To nie wchodzi w rachubę.

– Dlaczego?

– Nie zostawię taty.

– Więc weźmy go ze sobą.

– Jest za stary, żeby dotrzeć piechotą tak daleko. – Prawdę mówiąc, Fritz wcale nie był tego taki pewny, ale nawet gdyby to było fizycznie możliwe, wątpił, by ojciec zgodził się z nimi uciec. W obozie było zbyt wielu ludzi, których los od niego zależał. Nie porzuciłby ich. Był jeszcze inny problem: gdyby Fritz uciekł bez niego, Gustav, jako jego kapo, mógłby zostać pociągnięty do odpowiedzialności za tę ucieczkę.

– To niemożliwe – powiedział Fritz. – Potrzebuję broni. Załatwisz dla mnie pistolet?

Niemiec niechętnie ustąpił.

– Będę potrzebował pieniędzy – oznajmił. – Marki się nie nadadzą. To muszą być amerykańskie dolary albo szwajcarskie franki.

ן

Pierwszą osobą, u której Fritz próbował zdobyć gotówkę, był Gustl Täuber pracujący w magazynie „Kanady”. Było to upiorne miejsce, duszne, pełne wieszaków z płaszczami i marynarkami, poskładanych spodni, swetrów, koszul, zawiniątek oraz stert nieposortowanych rzeczy, butów, walizek opisanych imionami i adresami – jakiegoś Gustava albo Franza, Szlomo albo Paula, Friedy, Emmanuela, Ottona, Chaima, Helen, Mimi, Karla, Kurta – oraz nazwiskami: Rauchmann, Klein, Rebstock, Askiew, Rosenberg, Abraham, Herzog, Engel, a do tego powtarzającymi się w nieskończoność Izraelami i Sarami. Każdą opatrzone skróconym adresem w Wiedniu, Berlinie, Hamburgu albo samym tylko numerem lub datą urodzenia. Każde przejście między wieszakami i półkami wypełniały ich zapachy, woń ich potu i perfum, kulek na mole i skóry, serży i pleśni.

Gustl Täuber był starym buchenwaldczykiem, mniej więcej w wieku ojca Fritza, śląskim Żydem urodzonym w czasach rozkwitu cesarstwa niemieckiego. Fritz nigdy nie przepadał za Täuberem, był to jeden

z nielicznych ludzi, których nie łączyły więzi solidarności z innymi więźniami, i za nikogo nie nadstawiliby karku. Fritz uznał jednak, że to jego największa szansa. Jakiś czas temu nawiązali stosunki handlowe oparte na bonach, za które Täuber kupował wódkę i (jako że oficjalnie stał się Aryjczykiem) wizyty w domu publicznym. Fritz wiedział, że w ubraniach często są ukryte pieniądze i że Täuber przywłaszcza sobie wszystko, co tylko zdoła. Czy nie mógłby trochę mu odstąpić? Stary pokręcił głową. Fritz prosił, ale Täuber był niewzruszony. Wiedział, że Fritz jest powiązany z ruchem oporu, i nie zamierzał narazić swoich przywilejów na szwank. Fritz czuł niesmak. Täuber bez oporów wikłał się w ryzykowne interesy, jeśli w zamian czekała go wizyta w domu publicznym albo butelka wódki.

Z magazynu ubrań Fritz poszedł do głównej łaźni. Przyprawiano tam nowych więźniów na dezynfekcję i golenie. Gotówka i cenne przedmioty, które udało się ukryć podczas przeszukania w „Kanadzie”, często przepadały właśnie tam. W łaźni pracował inny stary buchenwaldczyk, David Plaut, były sprzedawca z Berlina. W przeciwieństwie do Täubera był porządnym przyjacielem. Choć rzeczy zarekwirowane w łaźni zabierał obozowy kapo Emil Worgul, Fritz uznał, że Plaut, który faktycznie wykonuje tę pracę, zachowuje trochę gotówki dla siebie. Fritz opowiedział mu bajeczkę o tym, że musi kupić wódkę, by przekupić Worgula i załatwić kilku towarzyszom przeniesienie do komand wykonujących lżejszą pracę. Udało się. Plaut poszedł do swojej kryjówki i wrócił ze zwitkiem amerykańskich dolarów.

Następnego dnia Fritz spotkał się z Fredlem Wochem i dał mu pieniądze. Minęło kilka dni nerwowego oczekiwania. W końcu pewnego ranka Wocher stawił się na spotkaniu, a na jego twarzy malował się strach zmieszany z triumfem.

Spod płaszcza wy dobył pistolet, wojskową parabelkę. Nie chciał powiedzieć, jak go zdobył, ale Fritz domyślił się, że broń pochodzi od jednego z jego przyjaciół z artylerii przeciwlotniczej Luftwaffe. Pokazał Fritzowi, jak działa – jak wy dobyć magazynek i załadować do niego kule, jak odbezpieczyć broń i jak operować bezpiecznikiem. Fritz dostał dwa pudełka amunicji do kompletu. Trzymał pistolet z obawą i podnieceniem, czując w dłoni jego śmiertcioną moc.

Pojawił się problem przemycenia pistoletu do obozu. Kontrabanda w postaci żywności to była jedna sprawa – broń należała do zupełnie innej

ligi. Fritz wycofał się w bezpieczne miejsce, spuścił spodnie i przywiązał parabelkę do uda. Amunicja trafiła do jego kieszeni. Tego wieczoru maszerował do obozu z duszą na ramieniu.

Po apelu skierował się prosto do szpitala i odszukał Stefana Heymanna. Dał mu znak, żeby poszedł za nim, a następnie zaprowadził przyjaciela za stertę brudnej bielizny i pokazał mu parabelkę.

Stefan był przerażony.

– Zwariowałeś? Pozbądź się tego! Jeśli cię z tym złapią, zabiją nie tylko ciebie. Narazasz na niebezpieczeństwo całą naszą operację.

Fritz poczuł się urażony.

– Jestem taki dzięki tobie – obruszył się. – Zawsze mnie uczyłeś, że muszę walczyć o swoje życie.

Stefan nie mógł zaprzeczyć. W ciągu następnych kilku dni rozmawiali ze sobą wielokrotnie. Fritz wyjaśnił mu swój sposób rozumowania – wspomniał o tym, że w obozie mogą wybuchnąć zacięte walki, że Rosjanie słyną z brutalności, że SS może zgotować więźniom masakrę – i opór Stefana stopniowo słabł.

– Jestem pewny, że gdybym miał pieniądze, zdobyłbym więcej broni – powiedział Fritz.

Stefan zastanowił się.

– Dobrze – odrzekł w końcu. – Zrobię, co w mojej mocy. Ale trzeba to wszystko odpowiednio zorganizować. Koniec z działaniem na własną rękę.

Zdołał uzbierać dwieście dolarów, które Fritz zaniósł Fredlowi Woherowi. Znow zaczęło się oczekiwanie, aż pewnego dnia Woher zaprowadził Fritza w dyskretne miejsce w fabryce i pokazał, gdzie schował następną parabelkę i dwa MP 40 – charakterystyczne pistolety maszynowe używane wszędzie przez niemieckich żołnierzy. Do trzech sztuk broni dołączył kilka pudełek z amunicją.

Przemycenie tego wszystkiego do obozu było znacznie większym wyzwaniem. Fritz starannie zaplanował tę operację, rozkładając zadanie na kilka kursów. Zdobył jeden z olbrzymich zbiorników, w których dostarczano w południe zupę dla więźniów, i zbudował fałszywe dno, by ukryć pod nim amunicję. Parabelkę ponownie przywiązał sobie do uda, ale pistolety maszynowe to była zupełnie inna historia. Po przeszkoleniu przez Wohera, który pokazał mu, jak się nimi posługiwać i jak o nie dbać, Fritz rozłożył jeden na części i jak najwięcej z nich przywiązał do swojego nagiego torsu.

Trwała już zima, noce były coraz dłuższe. Pod koniec zmiany Fritza było już ciemno, więc prawdopodobieństwo, że strażnicy zauważą jego nietypowo masywną sylwetkę, było znikome. Mimo to serce podchodziło mu do gardła, także podczas kilkugodzinnego apelu, na którym musiał stać z przywiązanymi do ciała ciężkimi częściami broni.

Gdy apel dobiegł końca, Fritz szybko poszedł do szpitalnej pralni, gdzie czekał na niego Jule Meixner. Fritz pośpiesznie zdjął pasiaki, odwiązał elementy broni i przekazał je Julemu, który je schował. Ze względów bezpieczeństwa nie powiedział Fritzowi gdzie – działał w myśl zasady, że na torturach nie zdradzisz tajemnicy, której nie znasz. W ciągu najbliższych kilku dni powtarzali niebezpieczną operację, aż wszystkie trzy sztuki broni i amunicja znalazły się w obozie.

Fritz był z siebie zadowolony. Przynosząc parabelkę do obozu, nie pozostawił Stefanowi innego wyjścia. Gdyby nie on, ruch oporu nigdy by tego nie zrobił. Gdyby teraz w obozie powtórzył się scenariusz z Majdanka, byłiby w stanie przelać w odwecie trochę esesmańskiej krwi.

אבא

W grudniu warsztat Gustava dalej produkował zasłony zaciemniające i jednocześnie płaszcze. Nie angażując się bezpośrednio w działalność ruchu oporu, Gustav nie miał pojęcia, jak niebezpiecznego zadania podjął się jego syn. Wyczekiwał Bożego Narodzenia, ponieważ Woche miał spędzić święta w Wiedniu.

W poniedziałek po południu warsztat jak zwykle pracował pełną parą, gdy nagle ciche furgotanie maszyn do szycia zagłuszył narastający jęk syren przeciwlotniczych. W ciągu kilku sekund rozległy się krzyki, trzaskanie drzwiami, tupot nóg. SS i cywile biegli do schronów. Ludzie Gustava spojrzeli na niego. Pozwolił im uciec do prowizorycznych kryjówek. Sam został na miejscu. Kryjówki na niewiele by się zdały, gdyby w pobliżu spadła bomba.

Po kilku minutach, gdy ostatnie paniczne kroki ucichły w oddali, rozległ się monotonny warkot samolotów i dudnienie dział przeciwlotniczych. Hałas przybierał na sile, a wraz z nim nastąpiły pierwsze wstrząsające ziemią eksplozje. Gustav leżał na podłodze. Nie był to dla niego nowy strach: spędził całe miesiące w okopach wśród bomb

i nauczył się, że należy siedzieć i czekać, aż to minie, albo aż jakaś przypadkowa bomba odnajdzie go i unicestwi. Panika była bezcelowa i zarazem niebezpieczna. Najbardziej bał się o Fritza, który o tej porze wiesział zasłony. Gustav wiedział, że jego syn ma kryjówkę wśród budynków, gdzie przynajmniej jest osłonięty przed fruwającymi odłamkami.

Bombowce znów celowały w zakłady produkcji paliwa syntetycznego, ale odnosiło się wrażenie, że dochodzi do wielu przypadkowych eksplozji – czasami daleko, innym razem niebezpiecznie blisko. Nagle podłogą pod Gustavem zatrzęsa olbrzymia detonacja. Wypadły szyby z okien, nastąpiła kakofonia zgrzytu rozdzieranego metalu i kruszonego kamienia. Gustav zasłonił głowę i nie ruszał się z miejsca. Drżenie ustało. W powietrzu unosił się pył, a za otaczającą go bańką ciszy Gustav usłyszał odległe krzyki i nawoływania. Dudnienie dział ustało, warkot bombowców cichł. Zawyła syrena odwołująca alarm.

Dźwigając się na nogi, Gustav ujrzał warsztat pogrążony w chaosie: maszyny do szycia zmiecione z ławek, przewracane krzesła, wszechobecny pył, odłamki szkła ze stłuczonych szyb. Ludzie, którzy zostali razem z nim, podnosili się, kaszląc i gwałtownie mrugając.

Upewniwszy się, że nikt nie ucierpiał, Gustav od razu pomyślał o Fritzu. Wyszedł z budynku i znalazł się w chaosie dymu i ognia. Niektóre zabudowania zostały zniszczone i martwi więźniowie leżeli wśród gruzów. Pomagano rannym.

Nigdzie nie zauważył śladu Fritza. Biegł przez dym, kierując się w stronę kryjówki syna, trawiony narastającym złym przecuciem. Skręcając za róg, dotarł do miejsca, którego szukał. Zniknęło. Ujrzał jedynie stertę pokruszonego, zwalonego gruzu i powyginanego metalu. Wstrząśnięty Gustav wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

Po chwili ruszył z powrotem, oszołomiony smutkiem. Jego Fritzl – jego duma i radość, jego drogi, ukochany, lojalny Fritzl – zginął.

Esesmani i cywile wychodzili ze schronów. Prawie nikt nie został na posterunku. W kilku miejscach bomby zniszczyły ogrodzenie i niektórzy więźniowie uciekli. Gustav przez chwilę stał i patrzył, jak SS usiłuje przywrócić porządek. Już miał się odwrócić, gdy zobaczył dwie postacie w pasiakach idące ku niemu przez dym. Jedna niosła ogromną skrzynkę narzędziową i poruszała się w znajomy sposób. Gustav nie wierzył własnym oczom. Podbiegł i rzucił się Fritzowi na szyję.

– Fritzu, synu, ty żyjesz! – Płakał, całując speszzonego chłopca po twarzy i ściskając go. – Ty żyjesz! – powtarzał w kółko. – Mój synu! To cud!

Wziął Fritza pod rękę i poprowadził do dymiących szczątków jego kryjówki.

– To cud – powtarzał bez końca.

Wiara Gustava w sprzyjający los i hart ducha, dzięki którym przetrwał tak długo, znów okazały się słuszne.

ובן אב

Kolejny nalot na Buna Werke przeprowadzono w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Amerykanie skupili się na fabryce, obierając ją sobie za najważniejszy cel, i postanowili ją zniszczyć. Za każdym razem udawało im się jednak tylko zrównać z ziemią kilka budynków, raniąc garstkę nazistów, zabijając lub raniąc setki więźniów oraz zmniejszając wydajność produkcji. Grupy niewolników usuwały gruz, naprawiały i odbudowywały. Sabotowano, co tylko było można, i pracowano najwolniej, jak się dało. Więźniowie w połączeniu z bombami zadbali o to, by zakłady Buna Werke nigdy więcej nie wyprodukowały kauczuku, a pozostałe obiekty fabryczne nigdy nie osiągnęły pełnej wydajności.

Drugiego stycznia 1945 roku Fredl Wocher wrócił z Wiednia z listami i paczkami od Olly Steyskal i Karla Novacka. „Czerpiemy ogromną radość ze świadomości, że w domu wciąż mamy dobrych przyjaciół” – napisał Gustav w dzienniku.

Co więcej, obaj z Fritzem mieli wspaniałego przyjaciela w osobie Fredla Wochera. Sprawdził się niezliczenie wiele razy i w bardzo wielu sytuacjach. Odkąd Armia Czerwona stacjonowała za ledwie po drugiej stronie Krakowa, Fritz próbował go przekonać, by zniknął, zanim Rosjanie dotrą do Auschwitz i odkryją, co się tu dzieło.

Wocher nie widział takiej potrzeby.

– Mam czyste sumienie – powiedział. – Bardziej niż czyste. Poza tym jestem tylko cywilem, robotnikiem. Nic mi się nie stanie.

Fritz nie był tego taki pewny. Przypomniwał Wocherowi o nienawiści Rosjan do wszystkich Niemców – o której Wocher doskonale wiedział, odkąd walczył na froncie. Poza tym w Auschwitz były tysiące rosyjskich

więźniów, którzy zapragnęliby zemsty, gdyby tylko nadarzyła się okazja. Woher nie mógł liczyć na to, że go oszczędzą, gdy fala zemsty przetoczy się przez obozy. Był jednak uparty. Nigdy dotąd nie uciekał i teraz też nie zamierzał.

Dla Fritza było jasne, że lada dzień może nastąpić koniec. Przygotowywał się na to od dwóch miesięcy. Dzięki niemu ruch oporu miał broń. Fritz podjął też dodatkowe działania, by wyposażyć siebie i ojca na wypadek ucieczki. Odrzuciwszy pomysł zaszycia się w Tyrolu, musiał jednak pogodzić się z tym, że walka może się okazać niemożliwa. Dlatego za namową Fritza on i jego ojciec unikali cotygodniowego golenia głów, by zapuścić włosy do normalnej długości. Tylko na apelach więźniowie regularnie zdejmowali czapki w obecności SS, a zimą apel zawsze odbywał się w ciemności. W łaźni Fritz zdobył cywilne ubrania od Davida Plauta, które ukrył w obozowej szopie na narzędzia. Miał wystarczająco dużo kurtek i spodni dla siebie, swojego ojca i kilku najbliższych towarzyszy.

Dwunastego stycznia Armia Czerwona przystąpiła do długo oczekiwanej ofensywy w Polsce – zmasowanego, dobrze zaplanowanego ataku na całej linii frontu, w którym wzięły udział trzy armie liczące dwa miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Był to ostateczny cios mający zepchnąć Niemców z powrotem do ich ojczyzny. Żołnierze Wehrmachtu i Waffen-SS w starciu z ponadczterokrotnie liczniejszym przeciwnikiem zaczęli się wycofywać, wytrzymując jedynie w nielicznych ufortyfikowanych polskich miastach. Ku rozczarowaniu więźniów Auschwitz odcinek frontu w pobliżu Krakowa przesunął się wolniej niż większość pozostałych. Codziennie słyszeli w oddali łoskot rosyjskich dział przypominający tykanie zegara, który odmierza czas do wybawienia.

Czternastego stycznia Alfred Woher pożegnał się z Gustavem i Fritzem. Powołano go do Volkssturmu, zorganizowanej naprędce armii złożonej ze starców, niepełnoletnich chłopców i kalekich weteranów, którym powierzono zadanie ostatniej rozpaczliwej obrony Rzeszy. Więc jednak nie miał zostać znaleziony przez Rosjan w Auschwitz. Był szczęśliwy, mogąc spełnić ten ostatni obowiązek wobec ojczyzny. Bez względu na to, co sądził o jej zbrodniach, były to przecież Niemcy, jego dom, kraj pełen kobiet i dzieci, a Rosjanie rozerwaliby ten kraj bez litości, gdyby im na to pozwolić.

Wciąż trwała zima i pogoda robiła się coraz gorsza. Na ziemi leżała gruba warstwa śniegu, a w poniedziałek 15 stycznia, dzień po wyjeździe

Wochera, Auschwitz obudziło się spowite gęstą mgłą. Więźniowie w Monowitz musieli stać na placu apelowym kilka godzin, dopóki mgła nie podniosła się na tyle, by SS mogło spokojnie odeskortować ich do pracy.

W fabrykach praca szła pełną parą. Poprzedniej nocy nadleciał amerykański samolot, oświetlając cały teren flarami na spadochronach i robiąc zdjęcia. Zdjęcia zrobione dwadzieścia cztery godziny wcześniej ukazały prawie tysiąc lejów po bombach w kompleksie fabrycznym i czterdzieści cztery zniszczone budynki, ale na zdjęciach wykonanych w nocy było widać, że naprawy przebiegają sprawnie, a zakłady produkcji paliwa syntetycznego – najważniejsze ze wszystkich – pozostały właściwie nietknięte.

W środę więźniów znowu długo trzymano na apelu. Stali przez cały ranek, a po południu odeskortowano ich do fabryk. Jednak już dwie i pół godziny później maszerowali z powrotem do obozu.

SS zaczynało się denerwować. Codziennie rano dudnienie artylerii było trochę mniej odległe. Siedemnastego stycznia wieczorem rozległo się jeszcze bliżej i komendant Auschwitz major Richard Baer w końcu dał rozkaz rozpoczęcia ewakuacji obozów. Kaley mieli zostać w obozie, a każdego więźnia, który stawiał opór, opóźniał akcję albo próbował uciec, należało bezzwłocznie rozstrzelać. Przywódca ruchu oporu w Auschwitz I zawiadomił swoje kontakty w krakowskiej partyzantce: „A więc doczekaliśmy się ewakuacji. Bałagan. Panika w SS – pijani”.

Tego dnia lekarze obejrzeni wieczorem wszystkich pacjentów przebywających w więziennym szpitalu w Monowitz. Tych, którzy byli w stanie maszerować, skreślono z listy pacjentów i zapędzono do bloków. Resztę – ponad osiemset osób – zostawiono pod opieką dziesięciunastoosobowego personelu medycznego złożonego z ochotników.

Nazajutrz, w czwartek 18 stycznia, osiem tysięcy więźniów Monowitz musiało stać na placu apelowym przez cały dzień mimo przenikliwego zimna. Fritz i Gustav, świadomi nadciągającego końca, włożyli pod pasiaki cywilne ubrania, gotowi rzucić się do ucieczki przy najbliższej okazji. Przynajmniej dzięki tym dodatkowym warstwom było im trochę mniej zimno niż towarzyszom. Zaczynało zmierzchać.

Wreszcie o wpół do piątej po południu strażnicy SS rozkazali więźniom, by utworzyli kolumny. Odrętwiali i obolali ludzie zostali ustawieni jak wojskowy oddział podzielony na jednostki wielkości kompanii, złożone z mniej więcej stu osób, pogrupowane następnie w bataliony liczące około

tysiąca ludzi, które z kolei tworzyły trzy większe jednostki – każda zawierała do trzech tysięcy więźniów. Dowodzenie nad jednostkami objęli oficerowie SS, Blockführerzy i strażnicy. Przewidując problemy, każdy esesman miał w ręku gotowy do strzału karabin, pistolet zwykły albo maszynowy. Fritz z żalem pomyślał o swojej broni ukrytej gdzieś w szpitalnej pralni. Nie mógł jej teraz stamtąd wydobyć.

Co niepokojące, w pobliżu krążył sierżant SS Otto Moll. Nie należał do batalionu strażników Monowitz – był kierownikiem komór gazowych w Birkenau – a mimo to przechadzał się między czekającymi kolumnami, którym wydawano racje żywnościowe, i miotał wyzwiska, gdy ludzie odbierali chleb, margarynę i dżem. Obecność Molla, niskiego, przysadzystego człowieka o grubym karku i kwadratowej głowie, mającego na rękach krew dziesiątków tysięcy ludzi, była w tych okolicznościach głęboko niepokojąca. Zatrzymał się obok Gustava, zaciekawiony czymś w jego wyglądzie, zmierzył go wzrokiem i dwa razy mocno uderzył w twarz, najpierw z lewej, a potem z prawej. Gustav zachwiał się, lecz utrzymał równowagę. Moll bez słowa poszedł dalej.

W końcu wydano rozkaz i kolumny ruszyły. Zmęczeni po całym dniu stania ludzie wymaszerowali z placu w pięcioosobowych szeregach, skręcając w obozową ulicę po lewej stronie. Mijając bloki, kuchnie i mały pusty budynek, w którym mieszkali muzycy z obozowej orkiestry, masa więźniów ostatni raz wyszła przez otwartą bramę.

Opuszczali miejsce, które dla nielicznych z nich było domem dłużej niż dwa lata. Ci, którzy przetrwali tam dłużej, tacy jak Gustav i Fritz – zwłaszcza Fritz – pomogli je zbudować na trawiastych polach. Krew ich towarzyszy wsiąkła w te budynki, a nieodłączną częścią życia w tym miejscu były ból i strach. Mimo to było ono ich domem za sprawą prostego zwierzęcego instynktu przynależności, więzi łączącej ich z miejscem, w którym jedli, spali i srali. Bez względu na to, jak bardzo go nienawidzili, właśnie tu mieli przyjaciół, tu znali każdy kamień i każdą deskę.

Nie wiedzieli, dokąd idą. Pewne było tylko to, że zaprowadzą ich jak najdalej od Rosjan. Ewakuowano wszystkie podobozы Monowitz – ponad trzydzieści pięć tysięcy mężczyzn i kobiet zbliżało się do zaśnieżonych dróg prowadzących na zachód od miasta zwanego Oświęcimem.

CZĘŚĆ IV
PRZETRWANIE

POCIĄG ŚMIERCI

ובן אב

Fritz siedział na ziemi tuż za ojcem i konwulsyjnie dygotał. Wokół siedzieli ich przyjaciele. Był wczesny ranek i panował niewyobrażalny ziąb. Nie mieli żadnego schronienia, jedzenia, ognisk – tylko siebie nawzajem. Ledwo żyli z wyczerpania i zimna. Gdy przerwa na odpoczynek dobiegła końca, część z nich już się nie podniosła.

Przez pierwszych kilka kilometrów po opuszczeniu Monowitz Fritz, Gustav i inni względnie zdrowi więźniowie pomagali słabszym towarzyszom. Każdy, kto zostawał w tyle, obrywał od esesmanów kolbami karabinów i pchano go dalej. Jeśli upadł ktoś idący w środku grupy, półprzytomni maszerujący z tyłu deptali po nim. Fritz i pozostali robili, co mogli, lecz koleżeństwo miało swoje granice. Ledwie minęli Oświęcim, skończyły im się siły i musieli zostawić najsłabszych, by radzili sobie sami. Owinęli się ciasno kurtkami i zatykali uszy, żeby nie słyszeć sporadycznych strzałów na tyłach kolumny, gdzie mordowano najsłabszych.

Dla Fritza i Gustava było to coś w rodzaju powtórki przymusowego marszu sprzed tak wielu lat, gdy pędzono ich Drogą Krwi do Buchenwaldu. Teraz było jednak nieskończenie, niewyobrażalnie gorzej. Ojciec i syn trzymali się blisko siebie, dla bezpieczeństwa, szli ze spuszczoneymi głowami, noga za nogą, po ubitym śniegu i lodzie, otepiali i przygnębieni, godzina za godziną przez ciemność, w której wirowały białe płatki śniegu. Niedaleko Fritza maszerował Blockführer z pistoletem w ręku. Fritz czuł strach tego mężczyzny przed ścigającymi ich Rosjanami oraz wypełniającą go przemoc.

Gustav szacował, że po mozolnym pokonaniu czterdziestu kilometrów dotarli o świcie na przedmieścia jakiegoś miasteczka. Kolumna zeszła z drogi i skierowano ją do opuszczonej cegielni. Strażnicy SS potrzebowali odpoczynku prawie tak samo jak więźniowie. Znajdując byle jakie schronienie wśród stert cegieł, więźniowie usiedli w grupie, żeby było cieplej. Mimo dojmującego zmęczenia Fritz i jego ojciec nie spali. Przypuszczali, że ten, kto zaśnie, już się nie obudzi. Podczas rozmowy z towarzyszami, którzy szli w różnych miejscach kolumny, odkryli, że kilku Polaków – w tym trzech przyjaciół Fritza – uciekło.

– Też powinniśmy to zrobić – powiedział Gustav do Fritza. – Ucieknijmy. Mówię po polsku, bez problemu znaleźlibyśmy drogę. Moglibyśmy odszukać partyzantów albo po prostu wrócić do domu.

Mimo wszystkich przygotowań, mimo całej determinacji, by stawić opór, serce Fritza struchlało na tę myśl. Był jeden poważny problem: nie znał polskiego. Gdyby coś ich rozdzieliło, przepadłby.

– Tato, powinniśmy poczekać, aż dotrzemy do Niemiec – powiedział. – Tam obaj będziemy mogli się porozumieć.

Ojciec pokręcił głową.

– Do Niemiec jeszcze daleko. – Rozejrzał się, spoglądając na wyczerpanych towarzyszy. – Kto wie, czy kiedykolwiek tam dotrzemy. Nawet zakładając, że w ogóle SS chce, żebyśmy tak długo przetrwali.

Ich rozmowę przerwał rozkaz do wymarszu. Gdy dźwigali się z miejsc, część tych, którzy zasnęli, została na miejscu. Dopadła ich hipotermia i ich ciała zaczynały już zamarzać. Inni wciąż żyli, ale byli zbyt słabi, żeby wstać. Esesmani chodzili między nimi, kopiając, poganiając i strzelając do każdego, kto nie mógł się podnieść.

Kolumna wlekła się dalej. Za nią rozciągał się koszmar stratowanego śniegu i porzrzucanych zwłok, prowadzący aż do Auschwitz, gdzie wciąż trwały ostatnie ewakuacje. Żydów zbyt słabych, by się ewakuować, zmuszano do palenia stosów zwłok wokół komór gazowych. Krematoria wysadzano w powietrze, a urzędnicy SS palili dokumenty. Niektórzy podkradali coś z magazynów „Kanady”, gdzie obciążające góry łupów także podpalano. Ostatecznie jednak sam ciężar popełnionych tu zbrodni skazywał na porażkę wszelkie starania o usunięcie dowodów.

Tego wieczoru kolumna dotarła do Gleiwitz, gdzie działało kilka podobozów należących do systemu Auschwitz. Więźniów z Monowitz zapędzono do baraków przeznaczonych dla zaledwie tysiąca osób.

Tamtejszych więźniów ewakuowano poprzedniego dnia. Więźniom z Monowitz nie dano nic do jedzenia, ale cieszyli się, że przynajmniej mają schronienie i mogą się przespać.

Spędzili w Gleiwitz dwa dni i dwie noce, podczas których SS organizowało następny etap podróży. W przeciwieństwie do większości nieszczęśników maszerujących z Auschwitz mężczyźni z Monowitz mieli pojechać pociągiem.

Wygoniono ich z baraków i zapędzono na miejski plac załadunkowy, gdzie już czekały transporty. Zamiast zwykłych zamkniętych wagonów towarowych podstawiono cztery długie pociągi z niezadaszonymi wagonami, zwykle używanymi do przewozu węgla i żwiru. Wydzielono racje żywnościowe – pół bochenka chleba i kawałek kiełbasy dla każdego – a potem zaczął się załadunek. Fritz i Gustav wspięli się do wagonu razem z ponad stu trzydziestoma innymi mężczyznami, gramoląc się po stromych ścianach i spadając z hukiem na stalową podłogę. Każda kolejna para stóp wywoływała mniejsze echo, a ostatnich kilka osób musiało wcisnąć się między pozostałych.

W co drugim wagonie była budka hamulcowa – mała nadbudówka umieszczona nad poziomem wagonów. Umieszczono w nich strażników SS uzbrojonych w karabin albo pistolet maszynowy. „Każdy, kto wystawi głowę nad ścianę, zostanie zastrzelony” – ostrzegł Blockführer nadzorujący załadunek.

Pociąg zaczął wibrować. Para i dym z lokomotywy utworzyły gęstą mgłę w lodowatym powietrzu. Wreszcie, wśród szczęku i stukania sprzęgów oraz pisku kół, pociąg ruszył, ciągnąc ładunek w postaci czterech tysięcy dusz. Gdy nabierał prędkości, wiatr, schłodzony do dwudziestu stopni poniżej zera, wył w otwartych wagonach.

אבא

Holokaust był zbrodnią złożoną z podróży, przemierzania Europy przy akompaniamencie fałszywej melodii skrzypiących maszyn. Koła syczały na torach, sprzęgi jęczały i podskakiwały. Syk, jęk, stukot, łomot pudeł na stalowych kółkach sunących po metalowych szynach był niekończącą się koszmarną muzyką.

Ciało Gustava kołysało się na boki w rytm telepania pociągu. Siedział z kolanami przysuniętymi do klatki piersiowej, mając tuż obok siebie Fritza, skulony z powodu potwornego zimna.

Po wyjeździe z Gleiwitz pociąg odłączył się od trzech pozostałych, zmierzając na południe, podczas gdy tamte pojechały na zachód. Nazajutrz rano zatrzymał się, by zabrać setki kolejnych więźniów ewakuowanych z podobożu Charlottengrube, a następnie wjechał na terytorium Czechosłowacji. Mimo ostrzeżenia Blockführera Gustav od czasu do czasu wyglądał z wagonu, oceniając postęp podróży i spoglądając na mijane miasteczka. Pociąg nigdy się nie zatrzymywał, lecz jechał potwornie wolno i dotarł do Czechosłowacji dopiero po dwóch mroźnych nocach i jednym dniu.

Powiedziano im, że jadą do obozu koncentracyjnego Mauthausen. Austriaków ta perspektywa zelektryzowała i jednocześnie przeraziła. Mauthausen słynęło z przemocy. Było jednak w Austrii, w pięknej pagórkowatej krainie niedaleko Linzu. Austria! Wkrótce Gustav i Fritz mieli się znaleźć na ojczystej ziemi pierwszy raz od ponad pięciu lat.

I z pewnością czekała ich tam śmierć. W Mauthausen nie mieliby systemu wsparcia, który stworzyli w Auschwitz, i poddano by ich jeszcze surowszemu reżimowi.

Oczywiście zakładając, że w ogóle tam dotrą. Gdy Gustav snuł te myśli, wśród więźniów w wagonie zapanowało poruszenie. Zmarła kolejna osoba. Osłabienie, choroba i hipotermia zabijały ich bez przerwy. Przyjaciel zmarłego zdjął ze zwłok kurtkę i spodnie, by włożyć je na własne ubranie, próbując się trochę ogrzać. Zwłoki podano na tyły wagonu i ułożono w kącie razem z innymi zwłokami, rozebranymi do bielizny i zamarzniętymi na kość. Ten kąt służył także za latrynę i nawet mimo zimna panował tam okropny smród.

Dzięki zgonom było przynajmniej więcej miejsca do siedzenia. Gustav rozejrzał się, spoglądając na zmizerniałe twarze, głębokie cienie pod oczami, na kości policzkowe, na których głód wystrugał górskie granie. Niektórzy oszczędnie gospodarowali jedzeniem i czwartego dnia podróży skubali jeszcze ostatnie okruchy. Gustavowi i Fritzowi nic nie zostało. Gustav już czuł, jak opuszczają go siły, ich powolny odpływ osłabiał jego siłę woli. Był już w stanie myśleć tylko o jednym: o ucieczce.

– Niedługo musimy uciec – powiedział cicho do Fritza. – Potem będzie za późno. – Gdyby zdołali ześlizgnąć się z bocznej ściany nocą, możliwe,

że strażnicy by ich nie zauważyli. Wkrótce znaleźliby się w Austrii i nie byłoby problemu. Mogliby ruszyć do Wiednia w cywilnych ubraniach i znaleźć jakąś kryjówkę. – Olly albo Lintschi się nami zaopiekują.

– Dobrze, tato – zgodził się Fritz.

Tej nocy poddali próbie czujność strażników. Z pomocą dwóch przyjaciół podnieśli martwe ciało ze sterty zwłok, dźwignęli je w stronę krawędzi ściany i wypchnęli z wagonu. Gdy bezwładnie runęło w ciemność, czekali na okrzyk z budki hamulcowej i serię z karabinu... ale nic się nie stało. Uznali, że pójdzie im łatwo. Musieli tylko poczekać, aż dotrą do Austrii.

Rano pociąg dojechał do Lundenburga^[1] oddalonego o zaledwie kilka kilometrów od granicy z Austrią. Tam, ku ich rozczarowaniu, lokomotywa się zatrzymała. Mijała godzina za godziną i nic się nie działo. Wystarczyło wyjrzeć z wagonu, by się przekonać, że cały pociąg otoczyli esesmani. Gdy zapadł zmierzch, wreszcie znowu ruszyli, i po jakimś czasie czeska wieś ustąpiła miejsca Austrii. Nadeszła ich pora. Z każdym kolejnym kilometrem sytuacja w wagonie się pogarszała, ocierając się o barbarzyństwo. Część towarzyszy osiągnęła stan, w którym była gotowa udusić przyjaciela za kęs chleba. Przez zimno, głód i zdarzające się morderstwa liczba zwłok piętrzących się w kącie rosła w tempie ośmiu–dziesięciu dziennie.

Fritz trącił ojca łokciem.

– Tato! Obudź się! Pora już iść.

Gustav powoli wynurzył się ze snu i spróbował wstać. Nie był jednak w stanie się podnieść. Jego zamrożone mięśnie za bardzo osłabły. Spojrzał na niecierpliwącego się Fritza.

– Nie dam rady – oznajmił.

– Musisz, tato. Trzeba uciekać, póki można.

Jednak nic, co mówił Fritz, nie było w stanie podźwignąć Gustava.

– Musisz uciekać sam – powiedział Gustav słabym głosem. – Zostaw mnie i uciekaj.

Fritz przeraził się na samą myśl. „Jeśli chcesz dalej żyć, musisz zapomnieć o ojcu”. Tak powiedział mu Robert Siewert tamtego dnia w Buchenwaldzie. Wtedy to było niemożliwe – i teraz też.

– Musisz uciekać – nalegał Gustav. – Ja nie dam rady, jestem stary, nie mam siły. Uciekaj już... proszę.

– Nie, tato. Nie ucieknę. – Fritz usiadł z powrotem i objął ojca obiema rękami.

Gdy nastał świt, znaleźli się na przysypanych śniegiem znajomych wiejskich terenach niedaleko Wiednia. Pociąg przejechał wzdłuż północnego brzegu Dunaju i w środku dnia wtoczył się na północne przedmieścia, przeciął rzekę i znalazł się w Leopoldstadt. Ledwie odważyli się wyrzeć z wagonu, gdy mijali swój dom. Byli tak rozdierająco blisko. Przetoczyli się przez zachodni kraniec Prater, a potem pociąg sunął ze stukotem przez Kanał Dunajski, przez zachodnie przedmieścia, z powrotem ku otwartym polom.

Przed południem przejechali przez miasteczko St Pölten, a potem dotarli do Amstetten, gdzie pociąg się zatrzymał. Od Mauthausen dzieliło ich już tylko nieco ponad czterdzieści kilometrów.

Po zmroku pociąg znowu ruszył.

Gustav jeszcze raz poprosił Fritza, żeby uciekł.

– Musisz to zrobić, zanim będzie za późno. Proszę, Fritzl, uciekaj.

Fritz ustąpił. Ból, jaki temu towarzyszył, nigdy go nie opuścił: „Po pięciu latach wspólnego losu miałem odciąć się od ojca” – wspominał ze smutkiem.

Pociąg osiągnął maksymalną prędkość. Fritz wstał i zdjął z siebie znienawidzone pasiaki z *Judenstern* i numerem obozowym, po czym rzucił czapkę z głowy. Jeszcze raz uściskał ojca i ucałował go, a potem z pomocą przyjaciela wspiął się na ścianę.

Rozpędzony mroźny wiatr ugodził go niczym włócznie. Pociąg trząsał się i pędził z łoskotem. Fritz spojrzał z obawą na budkę hamulcową. Księżyc świecił teraz jaśniej niż wtedy, gdy sprawdzali czujność strażników. Tylko dwa dni dzieliły ich od pełni – upiorna poświata rozświetlała biały krajobraz i przesuwane się obok drzewa.

Gustav poczuł ostatni uścisk dłoni syna, a potem Fritz skoczył. Już po chwili go nie było.

Siedząc samotnie na podłodze wagonu w świetle księżyca, Gustav napisał w dzienniku: „Panie Boże, chroń mojego syna. Nie mogę uciekać, jestem za słaby. Nie strzelali do niego. Mam nadzieję, że mu się uda i znajdzie schronienie u naszych bliskich”.

Pociąg pędził dalej, stukając i klekocząc, jakby sama lokomotywa rozpaczliwie pragnęła, by ta okropna podróż dobiegła końca. W ciemności przejechał przez Linz, przeciął Dunaj i skręcił na wschód ku miasteczku Mauthausen.

Fritz koziółkował w powietrzu, tracąc na krótką chwilę wszelkie poczucie przestrzeni i kierunku. Silne zderzenie z ziemią wstrząsnęło jego kośćmi i pozbawiło go tchu. Długo turlał się po grubej warstwie śniegu, aż w końcu się zatrzymał. Niedaleko sunęły z kłopotem koła pociągu. Bał się choćby drgnąć.

Ostatni wagon przemknął obok niego i zniknął w oddali, zostawiając go samego w ciszy pod sklepieniem z gwiazd. Rozejrzał się. Leżał w gęstej zaspie, która zamortyzowała upadek. Bolały go kończyny, jednak niczego sobie nie złamał. Otrząsnął się i ruszył wzdłuż torów z powrotem ku Amstetten.

W pobliżu miasteczka odwaga go opuściła. Nie był gotów tam wejść nawet o tak późnej porze. Ześlizgnął się z nasypu i ruszył przez otwarte pole. Szło się ciężko, śnieg sięgał mu do bioder, ale w końcu Fritz dotarł do wąskiej uliczki na skraju miasteczka. Była opuszczona. Powłókł się po niej ospale.

Udało mu się okrążyć północną część miasteczka i nikogo nie spotkać. Wkrótce znalazł się na krętej wiejskiej drodze prowadzącej na wschód i biegnącej równoległe do linii kolejowej. Przeszedł przez kilka małych wiosek i osad, powoli kierując się z powrotem w stronę St Pölten. Po śliskich drogach szło się powoli, a Fritz był coraz słabszy.

Kilka godzin później dotarł do miasteczka Blindenmarkt, gdzie droga zbiegała się z torami kolejowymi. Pociąg przejeżdżał tamtędy poprzedniego dnia. Była tam mała stacja, na której zatrzymywały się pociągi pasażerskie kursujące między Linzem a Wiedniem. Fritz był zmęczony, a w kieszeniach miał trochę reichsmarek – swój mały zapas awaryjnej gotówki zwędzonej w Monowitz. Zastanawiał się, czy zaryzykować.

Pod wpływem impulsu zszedł z głównej drogi i ruszył w stronę stacji. Wciąż było ciemno, więc znalazł zostawiony na torach pusty wagon bydłocy i wczołgał się do środka. Było za zimno, żeby zasnąć, ale przynajmniej ściany osłaniały go przed wiatrem.

Przed świtem rozbłysły światła w budynku stacji. Fritz odczekał kilka minut, a potem zebrał się na odwagę i wyskoczył z wagonu.

W budynku było cicho, w okienku siedział jedynie samotny kasjer. Fritz się zawahał. Nie był pewny, jakie panują teraz zwyczaje. Czy zostanie poproszony o dokumenty? Podszedł do okienka i najswobodniejszym tonem, na jaki zdołał się zdobyć, poprosił o bilet do Wiednia. Kasjer,

nieprzyzwyczajony do ludzi podróżujących o tak wczesnej porze, spojrzał na niego z pewnym zdziwieniem (Fritz odniósł wrażenie, że także z podejrzliwością). Bez słowa przyjął jednak pieniądze i podał mu bilet.

Fritz poszedł do opuszczonej poczekalni i usiadł. Po kilku minutach kasjer przyszedł rozpaść w piecu. Fritz przysunął się do źródła ciepła – pierwszego, jakie poczuł od wymarszu z Monowitz. Przemarzał do szpiku kości, więc życie i ciepło płynące do jego ciała były doznaniem niebiańskim i jednocześnie torturą – wypełniały otepiały nerwy dotkliwym mrowieniem i budziły uspięone dolegliwości wywołane podróżą.

Senny ze zmęczenia, nie miał pojęcia, jak długo tam siedział, zanim wiedeński pociąg w końcu z sapnięciem zatrzymał się za oknem. Fritz wyszedł na peron – wciąż był jedynym pasażerem na stacji – i wsiadł do wagonu trzeciej klasy.

Zamykając za sobą drzwi, zauważył z nagłym przerażeniem, że wagon jest pełny niemieckich żołnierzy. Nie było w nim ani jednego cywila – jedynie tłum szarych mundurów Wehrmachtu. Na szczęście żołnierze byli zbyt pochłonięci rozmowami, paleniem, graniem w karty i drzemaniem, by zwrócić na niego uwagę. Było za późno, by wysiąść z pociągu, więc Fritz znalazł miejsce i usiadł.

Gdy pociąg ruszył, Fritz ukradkiem się rozejrzał. Czuł się jak obcokrajowiec we własnej ojczyźnie, nie wiedział, jakie obowiązują w niej prawa i zwyczaje, i miał nikłe pojęcie na temat tego, jak powinien się zachowywać zwykły cywil. Żołnierze prawie na niego nie patrzyli. Słuchając ich rozmów, domyślił się, że jadą z frontu na przepustkę.

Dwie godziny i kilka stacji później (na których nikt więcej nie wsiadł) pociąg dotarł do St Pölten i tam się zatrzymał. Wsiadło dwóch niemieckich żołnierzy z charakterystycznymi stalowymi ryngrafami Feldgendarmerie – żandarmerii wojskowej Wehrmachtu.

Ruszyli wzdłuż przejścia, żądając okazania przepustek. Żołnierze siedzący niedaleko Fritza wyjęli z kieszeni na piersiach dowody tożsamości i przepustki. Fritz wyjął bilet, bo niczego więcej nie miał. Żołnierze składali dokumenty i wręczali je wszystkie razem najbliższemu stojącemu żandarmowi. Fritz skorzystał z szansy i wsunął pomiędzy nie swój bilet.

Żandarm spoglądał po kolei na żołnierzy i oddawał im dokumenty. Wreszcie dotarł do samotnego biletu kolejowego i zmarszczył brwi. Spojrzał na Fritza i wykonał zniecierpliwiony gest.

– Dokumenty proszę – powiedział.

Fritz z walącym sercem zaczął udawać, że przetrząsa kieszenie. Bezradnie wzruszył ramionami.

– Zgubiłem.

Żandarm jeszcze bardziej zmarszczył brwi.

– W porządku, pójdiesz z nami.

Fritza ogarnęła rozpacz, ale wiedział, że lepiej nie stawiać oporu. Wstał i wyszedł z pociągu za Feldgendarmami.

– Proszę mnie puścić, muszę się dostać do Wiednia – powiedział, gdy go prowadzili.

– Nie możemy pana puścić, dopóki nie ustalimy pańskiej tożsamości.

Poprowadzili go w stronę pobliskiej placówki Wehrmachtu. Sierżant przepytывał go surowo, ale nie był agresywny.

– Dlaczego wsiadł pan do tego pociągu?

– Muszę się dostać do Wiednia – odparł Fritz.

– Ale dlaczego akurat tym pociągiem? Na pewno pan wiedział, że to specjalny transport z frontu. Niedługo po nim jechałby zwykły pociąg.

– Ja... nie miałem pojęcia.

– Młody mężczyzna w cywilu i bez dokumentów wsiada do wojskowego pociągu. To nie jest normalne, prawda? Jak się pan nazywa?

– Kleinmann. Fritz Kleinmann. – Nie było sensu kłamać. Fritz nosił całkiem porządne niemieckie nazwisko, w dodatku trudno byłoby je uznać za rzadkie.

– Dlaczego nie ma pan dokumentów?

– Widocznie je zgubiłem.

– Adres zamieszkania?

Pod wpływem impulsu Fritz podał fikcyjny adres w miasteczku niedaleko Weimaru. Sierżant go zapisał.

– Proszę tu zostać – powiedział, po czym wyszedł z pokoju.

Długo go nie było, a gdy zjawił się ponownie, towarzyszył mu zwierzchnik.

– Sprawdziliśmy adres, który pan podał. Nie istnieje. No więc gdzie tak naprawdę pan mieszka?

– Przepraszam – powiedział Fritz. – Pamięć mnie zawodzi. – Podał inny adres.

Wyszli i znowu ustalili, że adres jest fałszywy. Fritz rozpaczliwie próbował zyskać na czasie. Feldgendarmi po raz kolejny wzięli udział

w farsie, ustalając, że trzeci adres także jest fałszywy, aż wreszcie stracili cierpliwość.

Wezwano dwóch strażników.

– Zabierzcie Herr Kleinmanna do garnizonu – rozkazał sierżant. – Do sekcji bezpieczeństwa.

Wsadzono go do pojazdu i powieziono ulicami do małego wojskowego kompleksu garnizonowego, gdzie trafił do przypominającego więzienie budynku z pomieszczeniami biurowymi i celami.

Oficer spojrział na notatkę z Feldgendarmerie i poprosił Fritza, by podał prawdziwe dane.

– Jeśli pan mnie okłamie, zamknę pana.

Cóż innego mógł zrobić Fritz? Podał czwarty zmyślony adres. Sprawdzono go i Fritz został oficjalnie aresztowany. Oficer zachowywał się spokojnie i cicho. Nie krzyczał, nie wściekał się ani nie groził torturami. Zwyczajnie polecił swoim ludziom, by zamknęli Herr Kleinmanna w celi.

– Może tam odzyska pan pamięć – powiedział złowrogo.

Cela była olbrzymia, a w środku siedziało trzech więźniów – sami żołnierze – czekających na sąd wojskowy po popełnieniu drobnych wykroczeń. Przyglądali się mu z zaciekawieniem, więc Fritz odbył z nimi zdawkową rozmowę, wyjaśniając, że jest po prostu cywilem, który zgubił dokumenty i czeka na weryfikację.

Celę wypełniało przyjemnie ciepło. Każdy osadzony miał do dyspozycji łóżko, a do tego wspólny stół z krzesłami, miednicę i toaletę w kącie. Fritz od lat nie przebywał w tak wygodnych warunkach. Gdy dyżurny przyniósł kolację – pierwszy gorący posiłek, jaki Fritz widział od blisko miesiąca, i pierwszy pełny posiłek, odkąd sięgał pamięcią – musiał się pilnować, by jeść normalnymi kęsami i nie pożreć wszystkiego jak wygłodniały pies.

Po kolacji, gdy Fritz odchylił koc na swoim łóżku, nie mógł uwierzyć własnym oczom – pod spodem była pościel. Pościel! Kto widział taką celę? Układając wyczerpane ciało na łóżku, czuł się niemal jak w niebie, a potem twardo i błogo przespał całą noc.

Nie mógł w to uwierzyć, ale nazajutrz rano było jeszcze lepiej. Dyżurny przyniósł śniadanie i choć posiłek był prosty, na jego widok Fritzowi aż zakręciło się w głowie. Podano prawdziwą gorącą kawę, chleb, margarynę, kielbasę – na dodatek wszystko w dużej ilości. Podczas gdy inni aresztowani prowadzili leniwą rozmowę, Fritz pochylił głowę i skupił się na napełnianiu brzucha.

W końcu znowu zaprowadzono go do oficera, który władcym tonem spytał, kim Fritz naprawdę jest. Słyszając kolejne pytania, Fritz zdał sobie sprawę, że oficer podejrzewa go o dezercję z armii. Rzeczywiście, miałyby to sens. Wszystko – jego wiek, wygląd i akcent – pasowało do takiej teorii, podobnie jak okoliczności jego zatrzymania. Oficerowi, przekonanemu, że przyłapał aresztanta na drobnym oszustwie, nie przyszło do głowy, że należałoby rozważyć znacznie poważniejsze przestępstwo – że ten młodzieniec o wyrazistych rysach twarzy, w cywilnym ubraniu i z wiedeńskim akcentem to tak naprawdę Żyd, który uciekł SS.

Fritz odmówił odpowiadania na dalsze pytania i znów trafił do celi. Był zadowolony: czuł się tam bezpieczny, było mu ciepło i dobrze go karmiono. Obiad składał się z prostej, lecz bardzo smacznej potrawy oraz kawałka chleba. Tak, to wystarczyło, by zadowolić Fritza.

Mimo tych luksusów część umysłu Fritza, dzięki której przetrwał w obozach, była w pełni świadoma niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł. Wiedział, że prędzej czy później oficer odkryje prawdę. Mijały godziny, a Fritz usilnie szukał jakiegoś rozwiązania. Po kolacji, gdy inni aresztowani byli pochłonięci rozmową, zwędził jednemu z nich kawałek mydła do golenia i połknął go. Nazajutrz rano był bardzo chory: miał gorączkę, pocił się i dokuczало mu potworne rozwolnienie. Inni aresztanci wezwali strażnika i Fritza wyniesiono z celi.

Trafił do wojskowego szpitala. W czasie badania – które nie wykazało niczego poważniejszego niż ból żołądka i podwyższona temperatura – zachował dość przytomności umysłu, by ukryć tatuaż z Auschwitz. Umieszczono go w izolatce na obserwacji.

W szpitalu było jeszcze lepiej niż w celi: czyściutka biała pościel, pielęgniarki przynoszące herbatę i leki. Po jakimś czasie był już w stanie jeść, choć wciąż miał biegunkę. Uznał to jednak za niewielką cenę za odroczenie przesłuchania. Lekarz, który badał go trzeciego dnia, wspomniał, że obok drzwi siedzi strażnik z pistoletem maszynowym, i ostrzegł, żeby Fritz nie myślał o ucieczce.

W końcu gorączka minęła i rozwolnienie ustąpiło. Fritza natychmiast przeniesiono z powrotem do sekcji bezpieczeństwa. Spotkał się z oficerem, który tracił już cierpliwość.

– Pora zamknąć tę sprawę – powiedział. – Jeśli się pan nie przyzna, będę musiał przekazać pana Gestapo.

Najwyraźniej myślał, że ta potworna groźba przełamie opór więźnia, lecz Fritz milczał. Wściekły i sfrustrowany oficer odesłał go do celi.

– Jeszcze dwa dni – zapowiedział – i kończę z panem!

Po dwóch dniach wspaniałych luksusów Fritz ponownie trafił do pokoju przesłuchań.

– Domyśliłem się, kim pan jest – oznajmił oficer ku wielkiemu zaniepokojeniu Fritza. – Wcale nie jest pan dezertorem. Moim zdaniem jest pan wrogim brytyjskim agentem. Zrucili pana na spadochronie, by wziął pan udział w tajnych operacjach. – Przedstawivszy ten zdumiewający wniosek, oficer oznajmił beznamiętnym tonem: – Będzie pan traktowany jak szpieg.

Fritz poczuł przerażenie. To było gorsze, niż gdyby zidentyfikowano go jako uciekiniera z obozu koncentracyjnego. Stanowczo odrzucał oskarżenie, lecz oficer nie chciał go słuchać. Według niego jedynie agent wrogiego państwa mógłby zakraść się tak jak Fritz i dołączyć do niemieckich żołnierzy. I tylko wyszkolony szpieg wytrzymałby tak długie przesłuchanie. Żaden dezerterski nie dałby rady.

Fritz zaprzeczał, lecz zaprowadzono go z powrotem do celi. Nagle przestała mu się wydawać taka przyjemna. Czy powinien się przyznać? Nie – odesłano by go do SS i stracono. Ale gdyby uznali go za szpiega, rezultat byłby taki sam. Z drugiej strony, czy gdyby wyznał prawdę, uwierzyliby mu? Oficer był tak głęboko przekonany, że Fritz jest niemiecko-austriackim emigrantem, i wydawał się taki dumny z tego, że przyskrzypił brytyjskiego szpiega, że nawet gdyby zobaczył tatuaż, mógłby uznać, że to element kamuflażu.

Nazajutrz jeszcze raz zaprowadzono Fritza do oficera. Obok stali trzej uzbrojeni żołnierze.

– Mam dość pańskich wykrętów – oznajmił oficer – i umyvam ręce od pańskiej sprawy. Jedzie pan do Mauthausen. Niech zajmie się panem SS.

[1] Obecnie Brzeclaw w Republice Czeskiej.

MAUTHAUSEN

□

Fritz poczuł stal zaciskającą się wokół nadgarstków, gdy zakładano mu kajdanki.

– Jeśli spróbuje pan uciec – zapowiedział oficer – zostanie pan natychmiast zastrzelony.

Jego trzyosobowa eskorta – podoficer i dwaj szeregowi – zaprowadziła go na stację kolejową, gdzie wszyscy wsiedli do pociągu jadącego do Linzu. Fritz trzeci raz podróżował znajomą trasą: z St Pölten do Amstetten przez Blindenmarkt, mijając w pewnym momencie miejsce, w którym wyskoczył z wagonu. Teraz, gdy topniał śnieg, było nie do poznania. Jak wyraźnie widział je w swojej pamięci. Równie wyraźnie jak przyjemne interludium w St Pölten, które przypominało błogie wakacje. W jego wspomnieniach trwało trochę dłużej niż tydzień, podczas gdy w rzeczywistości upłynęły prawie trzy. Trzy tygodnie dobrego jedzenia, odpoczywania w bezpiecznym miejscu i wracania do zdrowia.

W Linzu przesiedli się do pociągu osobowego i odbyli krótką podróż do Mauthausen, ładnego miasteczka przycupniętego w zakolu Dunaju pod zielonymi wzgórzami pokrytymi szachownicą pól i lasów. Fritz maszerował po ulicach dwa kroki przed strażnikami, którzy szli, mierząc z karabinów w jego plecy. Miejscowi, przywykli do życia w cieniu obozu na wzgórzach za miasteczkiem, nie zwracali na nich uwagi.

Kręta droga wiodła w górę doliny. Obóz koncentracyjny, który ukazał się oczom Fritza, nie przypominał żadnego obozu, jaki dotąd widział – bardziej kojarzył się z fortecą o wysokich, grubych kamiennych murach

zwieńczonych gankami straży i upstrzonych stanowiskami strzelniczymi. W murze było załamane, w którym umieszczono masywny kamienny budynek bramy obozowej otoczony dwiema wieżami: z jednej strony przysadzistą i okrągłą, a z drugiej kwadratową i liczącą cztery piętra. Gdzieś w tych murach byli ojciec Fritza i jego przyjaciele. W każdym razie Fritz miał taką nadzieję. Nietrudno sobie wyobrazić, jak surowe selekcje odbywały się w takim obozie. Fritz wierzył jednak w siłę ojca. W głębi ducha był pewny, że znowu się spotkają – znacznie szybciej, niż się spodziewali. Miał ojcu wiele do opowiedzenia.

Zamiast wprowadzić go przez tę imponującą bramę, eskorta skręciła i poprowadziła go drogą biegnącą równoległe do muru i wzdłuż sadu. Przy narożniku następował ostry zakręt w prawo, a grunt po jednej stronie opadał stromo, tworząc coś przypominającego przepastny wąwóz odgradzony nierównymi ścianami urwiska.

Fritz spoglądał na miejsce, któremu Mauthausen zawdzięczało złą sławę: na kopalnię granitu. Była większa i znacznie głębsza niż kopalnia piaskowca w Buchenwaldzie: dno przypominało ul, w którym roilo się od niewolników oraz pobrmiewały echa metalicznego szcęknięcia kilofów i dźwięków ryjących w kamieniu. W jednej z przeciwległych ścian wykuto w skale strome schody biegnące kręto w górę olbrzymim rzędem stu osiemdziesięciu sześciu stopni łączących dno dołu z jego krawędzią. Wspinają się po nich setki więźniów, a każdy dźwigał na plecach kwadratowy blok granitu. Nazywali to Schodami Śmierci i były one symbolem wszelkiej potworności Mauthausen.

Wydobywano tam granit przeznaczony do monumentalnych projektów budowlanych Hitlera, górnołotnych wizji wymagających kolosalnej ilości kamienia. Tysiące więźniów zginęło przy tej pracy. Schody Śmierci doskonale obrazowały sposób myślenia SS – po co instalować wydajniejszy taśmociąg, skoro praca przestępców i Żydów była tania, a cały proces tak skutecznie wykańczający? Nieustannie dochodziło do wypadków i zgonów – wystarczyło najmniejsze potknięcie na schodach, by człowiek i jego granit stoczyli się na dół, strącając innych jak kostki domina, łamiąc kończyny i miażdżąc ciała.

Idąc drogą wzdłuż krawędzi kamieniołomu, Fritz i jego strażnicy dotarli do niskich baraków. Tam żołnierze Wehrmachtu przekazali go esesmanom i odeszli.

Spodziewał się przesłuchania i bicia, lecz nic takiego nie nastąpiło. Wciąż nie byli pewni, co o nim sądzić. Sierżant SS zaprowadził go do głównej bramy, kolejnej masywnej budowli z granitu wyposażonej w dwie wieże zwieńczone stanowiskami obserwacyjnymi zaopatrzonymi w reflektory i karabiny maszynowe. Było to główne wejście do części obozu zamieszkałej przez więźniów (brama, którą widział z przodu, prowadziła do garaży SS).

Wchodząc do fortecy, Fritz znalazł się w zaskakująco małym i zwyczajnym wnętrzu. Było bardziej zwarte niż Monowitz, wypełnione rzędami równie prostych drewnianych baraków ustawionych po obu stronach wąskiego placu apelowego. Sierżant zniknął w bramie, rozkazując Fritzowi, by zaczekał pod ścianą.

Kręciło się tam kilku więźniów. Jeden podszedł i przyjrzał się cywilnemu ubraniu Fritza.

– Ktoś ty? – spytał. – Za co tu jesteś?

– Nazywam się Fritz Kleinmann. Jestem z Wiednia.

Mężczyzna kiwnął głową i odszedł. Kilka minut później wrócił z innym więźniem, który zachowywał się jak ktoś ważny. Najwidoczniej był jakimś więźniem funkcyjnym.

– Jesteś z Wiednia – powiedział. – Ja też. Siedzę tu od lat. – Przyjrzał się Fritzowi. – Tu jest bardzo źle, ale najgorzej jest Żydom. Żydzi nie dają tu rady. – Po tych słowach odszedł.

W końcu z budynku przy bramie wyszedł sierżant i ku zaskoczeniu Fritza spytał, czy ma tatuaż z Auschwitz. Ostatnio przyjechało kilka transportów z Auschwitz i poszukiwano zbiegów.

– Nie – powiedział Fritz. Podwinął prawy rękaw. – Widzi pan, nie mam tatuażu.

Dłuższe włosy i zdrowy wygląd były dość przekonujące. Sierżant wydawał się zadowolony. Przekazał Fritza więźniowi funkcyjnemu, który zaprowadził go do łaźni.

Tam ponownie spotkał więźnia z Wiednia. Tym razem mężczyzna przedstawił się, jak należy. Nazywał się Josef Kohl, ale wszyscy wołali na niego Pepi. Najwyraźniej pełnił w obozie jakąś ważną funkcję. Fritz dowiedział się później, że był przywódcą ruchu oporu w Mauthausen. Od razu poczuł się przy nim swobodnie i wreszcie wyznał prawdę. W każdym razie jej część: to, że był w Buchenwaldzie i w Auschwitz, a także historię swojej ucieczki z transportu, aż do momentu aresztowania. Twierdził, że

jest więźniem politycznym. Wszelka nadzieja na przetrwanie w Mauthausen zależała od tego, czy zdoła ukryć, że jest Żydem.

Po raz trzeci Fritz przechodził przez rytuał przyjęcia do obozu: prysznic, konfiskata ubrania i rzeczy osobistych. Gdy maszynka do strzyżenia przesuwiała się po jego głowie i wyrosłe niedawno włosy opadały kępkami na podłogę, wiedział, że na dobre wrócił do koszmaru.

– Płacisz cenę za zatajenie swojego adresu – stwierdził urzędnik Gestapo, zapisując jego dane. Fritz spojrzał na niego pytająco. – Tylko dlatego tu jesteś – wyjaśnił urzędnik, kiwając głową w stronę leżącej na biurku notatki oficera Wehrmachtu. Widząc minę Fritza, dodał: – Teraz już za późno na wyjaśnienia, chłopie.

Czy wciąż myśleli, że jest szpiegiem? Fritz miał potworny dylemat. Gdyby wyznał prawdę, nie byłoby nadziei na wybrnięcie z tej sytuacji. Widok kamieniołomu potwierdził wszystko, co kiedykolwiek słyszał o złej reputacji Mauthausen. Gdyby jednak dalej milczał, poddano by go torturom i prawdopodobnie zastrzelono.

Zdecydował, że najbezpieczniej będzie się przyznać, trzymając się tych samych półprawd, które powiedział Pepiemu Kohlowi. Wyznając, że uciekł z transportu z Auschwitz, podwinął lewy rękaw i pokazał tatuaż.

– Powód uwięzienia? – spytał urzędnik.

– Areszt ochronny – odrzekł Fritz. – Niemiecki Aryjczyk, więzień polityczny.

Urzędnik nawet nie mrugnął okiem. Fritza wpisano do rejestru i przydzielono mu trzeci więzienny numer w jego życiu: 130039. Nie można było zasięgnąć informacji na jego temat, nawet gdyby Gestapo chciało to zrobić. Auschwitz przestało istnieć. Dwudziestego siódmego stycznia – w tym samym dniu, w którym Fritz wsiadł do pociągu z żołnierzami w Blindenmarkt – wyzwoliła je w końcu Armia Czerwona. W Monowitz znaleziono jedynie kilkaset półżywych zjaw zostawionych w szpitalu. Wiele z nich nie przetrwało długo.

Fritz podał nazwisko swojej kuzynki Lintschi – oficjalnie będącej Aryjką – jako najbliższej krewnej oraz swój prawdziwy adres w Wiedniu. Z tego, co wiedział od Fredla Wochera, nie mieszkał tam teraz nikt, kogo powiązania z nim mogłyby narazić na niebezpieczeństwo. Podając swój zawód, dobrze się zastanowił. W obozach zdobył przeróżne umiejętności, ale do których powinien się przyznać? Nie zanosilo się na to, by w Mauthausen było duże zapotrzebowanie na murarzy, a domyślał się, że

wszyscy zbędni robotnicy kończą w kamieniołomie. Powiedział zatem, że jest termotechnikiem. Była to po trosze prawda – pomógł zbudować i wyposażyć kilka ciepłowni, a od ojca nauczył się blefować, udając fachowca.

Mimo że jego próba ucieczki okazała się nieudana, zyskał przynajmniej chwilę wytchnienia, w której podreperował zdrowie i odzyskał siły. Dobrze wiedział, jak wielka jest to korzyść w walce o przetrwanie. Nie wiedział jednak, że okaże się decydująca. Mimo że całe dorosłe życie spędził w piekle na ziemi, najgorsze miał bowiem jeszcze przed sobą.

ן

Fritza umieszczono w bloku niepokojąco blisko obozowego Bunkra, do którego przylegały komora gazowa i krematorium. W drugiej części obozu, oddzielonej murem, przetrzymywano w okropnych warunkach setki sowieckich jeńców wojennych, głodzonych i kierowanych do morderczej, ciężkiej pracy. Dwa tygodnie wcześniej doszło do dużej ucieczki: Rosjanie użyli mokrych ręczników, by wywołać zwarcie ogrodzenia pod napięciem. Wielu zginęło od strzałów karabinów maszynowych, ale czterystu zbiegło. Potem przez wiele dni miejscowa ludność słyszała w lesie strzały, gdy tropiono Rosjan i przeprowadzano egzekucje.

Obóz był przeludniony, w blokach zbudowanych dla trzystu więźniów mieszkało ich wielokrotnie więcej. Podobnie jak we wszystkich obozach koncentracyjnych na terenie Rzeszy w Mauthausen roiło się od więźniów ewakuowanych z Auschwitz.

Fritz nie mógł się doczekać spotkania z ojcem i przyjaciółmi, którzy na pewno byli gdzieś w tym tłumie. Rozpytywał o nich, jednak nie znalazł nikogo, kto by wiedział, gdzie przebywają, albo przynajmniej kojarzyłby ich nazwiska. Z tego, co zdołał ustalić, choć do Mauthausen przyjeżdżały transporty z Auschwitz, nikt nie słyszał o takim, który dotarłby tam około 26 stycznia.

W końcu był zmuszony dojść do wniosku, że jego ojca po prostu tam nie ma. Jeśli faktycznie tak było, co się z nim stało? Fritz słyszał opowieści o okropnościach, do jakich dochodziło w Polsce i na Wschodzie – o całych transportach Żydów mordowanych w lasach. Czy właśnie tak skończył transport z Auschwitz? Czy takiego losu uniknął Fritz?

אבא

Gustav siedział oparty plecami o ścianę wagonu. Fritza już nie było, wyskoczył w mroźną noc. Z Bożą pomocą znajdzie drogę do domu i będzie bezpieczny. Gustav był rozpaczliwie słaby i zmęczony. Od wielu dni nic nie jadł, wypił tylko wodę z garści stopniałego śniegu. „Człowiek jest gotów zabić drugiego za kawałeczek chleba” – napisał. „Jesteśmy prawdziwymi artystami głodu [...], nabieramy śnieg kubkiem przywiązany do sznurka i dyndającym na zewnątrz wagonu”.

Tej samej nocy pociąg z ładunkiem umierających mężczyzn i zwłok zatrzymał się przy rampie w Mauthausen. Otoczył go kordon SS. Mijały godziny, nastał świt, potem zbliżało się południe. Ludzie w wagonach, którzy pozostawali jeszcze przy zdrowych zmysłach, zastanawiali się, co się dzieje. Wyglądało na to, że toczy się jakiś spór.

Grupa więźniów z obozu szła wzdłuż pociągu, rozdając chleb i konserwy z żywnością. Było tego niewiele – pół bochenka i jedna konserwa na pięciu mężczyzn. Pożarli je z przerażającą zachłannością.

Wreszcie, gdy znów zbliżała się noc, pociąg jęknął i ruszył, zmierzając w stronę, z której przybył. Komendant Mauthausen, którego obóz już pękał w szwach, odmówił przyjęcia transportu. Pociąg znów przejechał przez Dunaj i skręcił na zachód w kierunku niemieckiej granicy. W ciągu kilku godzin mieli dotrzeć do Bawarii, a gdyby pociąg jechał prosto, dowiozłby ich do Monachium. To mogło oznaczać tylko jedno: Dachau.

Gustav słyszał podniesione głosy prowadzące ożywioną dyskusję. Tuzin jego towarzyszy – w tym kilku starych buchenwaldczyków – zainspirowało się ucieczką Fritza i rozważało, czy nie pójść w jego ślady. Namawiali Gustava i Paula Schmidta, który był kapo Fritza w Buna Werke i pomógł go ukryć po upozorowanej śmierci. Gustav był jednak równie niezdolny do ucieczki jak wtedy, gdy przekonywał go do niej syn. Schmidt także odmówił. Gdy pociąg wytaczał się z Linzu, dwunastu mężczyzn wspięło się po ścianie i wyskoczyło. Mimo tak dużej skali ucieczki strzały nie padły. Odnosiło się wrażenie, że SS niczego nie zauważyło. Gdyby więcej więźniów miało siłę, pociąg mógłby dotrzeć do miejsca przeznaczenia pusty, jeśli pominąć zwłoki.

Wjeżdżając do Bawarii, odbili na północ. Zatem nie Dachau. Po nocy nastał dzień – potem następny i kolejny, a Gustav wciąż kurczowo trzymał się życia. Piątego dnia od wyjazdu z Mauthausen znaleźli się w niemieckiej prowincji Turyngia, niedaleko Weimaru. Pociąg wciąż jechał na północ i w

niedzielę 4 lutego – dokładnie dwa tygodnie od opuszczenia Gleiwitz – wjechał na plac załadunkowy w Nordhausen, przemysłowym miasteczku na południowym skraju gór Harz.

Na pociąg czekali strażnicy SS i Sonderkommando z pobliskiego obozu koncentracyjnego Mittelbau-Dora. Gustav z wielkim trudem wspiał się na ścianę wagonu. Gdy żywi, pomagając sobie wzajemnie, zdołali się już wydostać, wyniesiono martwych. Pod koniec rozładunku na rampie utworzył się stos z siedmiuset sześćdziesięciu sześciu zwłok.

Gustav widział wiele okropnych rzeczy, lecz to należało do najgorszych. „Zagłodzeni i zamordowani – napisał w dzienniku – niektórzy zamarznąli na śmierć, a całość nie do opisania”. Duża część ocalałych znajdowała się w niewiele lepszym stanie niż martwi – około sześciuset z nieco ponad trzech tysięcy tych, którzy przetrwali podróż, zmarło w ciągu dwóch dni od przyjazdu.

Obóz koncentracyjny Mittelbau-Dora, tkwiący w zagłębieniu wśród zalesionych gór na północ od miasteczka, był mniej więcej wielkości obozu w Buchenwaldzie. Pękał w szwach. W blokach upchnięto ponad dziewiętnaście tysięcy więźniów.

Nowo przybyłych poddano procedurze rejestracyjnej. Gustav dostał numer 106498. Po skierowaniu do bloków wreszcie dostali jeść („Pierwszy ciepły posiłek od początku naszej czternastodniowej odysei” – zanotował Gustav). Każdy dostał pół bochenka chleba, porcję margaryny i kawałek kiełbasy. „Rzuciliśmy się na to jak wygłodniałe wilki”.

Gustav spędził w obozie zaledwie dwa dni, zanim wybrano go do przeniesienia do jednego z mniejszych obozów satelickich. Transportu nie było, więc całą drogę musieli pokonać pieszo, okrążając wzgórze, na którym wzniesiono główny obóz, i idąc przez dolinę na północny zachód do wsi Ellrich – czternaście kilometrów.

Obóz koncentracyjny w Ellrich był chyba najgorszym obozem, w jakim Gustav dotąd przebywał. Nie był duży, lecz umieszczono w nim około ośmiu tysięcy więźniów i przetrzymywano ich w podłych, niehigienicznych warunkach. Mimo napływu więźniów z innych obozów populacja nieustannie malała z powodu głodu i chorób. Nie było łaźni ani pralni, wszędzie panowały wszy. Nieudany program odswawiania przeprowadzony jesienią zniszczył setki więziennych uniformów, których nigdy nie wymieniono. Gdy Gustav i jego towarzysze dotarli do obozu, zastali brudnych współwięźniów, niejednokrotnie w łachmanach, a czasami

w samej bieliźnie. „Nieubrani” byli zwolnieni z pracy i ograniczono im racje żywnościowe. W rezultacie błyskawicznie wykańczał ich głód.

Grupie Gustava pozwolono na dwa dni odpoczynku, a potem skierowano ją do pracy.

Oslabiony z powodu niemłodego wieku, zmęczenia i pięcioletniego pobytu w obozach oraz udręki długiej podróży z Auschwitz, Gustav był zdruzgotany bezwzględny piekłem w czystej postaci, jakie zastał w Ellrich. Uderzyło ono w niego jak jeszcze nic dotąd.

Codziennie o trzeciej nad ranem była pobudka. W środku zimy odnosiło się wrażenie, że to środek nocy. Przyczyna tego nieludzko wczesnego początku dnia szybko stała się jasna. Po typowo rozwlekłym apelu komanda robotników maszerowały w stronę torów kolejowych biegnących obok obozu i wsiadały do pociągu jadącego do wsi Woffleben, gdzie w tunelach wydrążonych u podnóży wzgórz znajdowało się ich główne miejsce pracy.

Niemcy, wciąż bombardowane z powietrza, przeniosły znaczną część swojej produkcji broni pod ziemię. W tunelach Woffleben – wydrążonych przerażającym kosztem pracy więźniów – produkowali pociski rakietowe V2, najbardziej zaawansowaną i najbardziej przerażającą tajną broń Hitlera. Miejsce przypominało kamieniołom: strome skalne ściany wyciosane w stoku wzgórza, a u ich podstawy wydrążone wielkie otwory przywodzące na myśl wjazdy do hangarów lotniczych. Cały teren na zewnątrz kompleksu tuneli pokryto rusztowaniem, na którym starannie udrapowano kamuflaż. Prace trwające w środku, w głębi ziemi, były ściśle tajne, a dla przymusowych robotników oznaczały niewyobrażalne piekło.

Gustava skierowano do komanda drążącego nowe tunele kawałek na zachód od głównego kompleksu. Jego współpracownikami byli przede wszystkim rosyjscy jeńcy wykonujący morderczą pracę, która polegała na kładzeniu torów kolejowych w tunelach. Kapo i vorarbeiterzy bardzo przypominali demonicznych poganiaczy niewolników: okładali kijami każdego, kto im się nawinął. Gustav nie zaznał czegoś takiego od czasu pracy w buchenwaldzkim kamieniołomie. Tu było jeszcze gorzej, dlatego że musiał cierpieć z dala od przyjaciół i żywić się racjami pokarmowymi, które nie wystarczyłyby przykutemu do łóżka inwalidzie: codziennie dostawał tylko dwa talerze cienkiej zupy oraz kawałek chleba. Na dwa pełne tygodnie wstrzymano wydawanie chleba i musieli się zadowolić samą wodnistą zupą, pracując od świtu do wpół do ósmej wieczorem. Żył

w brudzie i już po kilku tygodniach był równie zmizerniały i zawszawiony jak reszta.

W Ellrich dowodził sierżant SS Otto Brinkmann, mała sadystyczna gnida nienadająca się do dowodzenia. Komendant Mittelbau-Dora traktował Ellrich jak śmietnik, do którego wyrzucał niechciany personel SS oraz tych więźniów, którzy mieli najmniejsze szanse na przetrwanie. Na wieczornym apelu, gdy więźniowie byli tak wyczerpani, że prawie mdleli, Brinkmann zmuszał ich do wykonywania ćwiczeń i kładzenia się na twardych kamieniach niewykończonego placu apelowego.

Gustav szacował, że od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu osób dziennie umierało tam z głodu albo wskutek pobicia – „idealny młynek do kości”. Miał jednak charakter, który nawet w takich warunkach nie pozwalał mu się poddać. „Człowiek ledwo się wlecze – napisał – ale obiecałem sobie, że wytrwam do końca. Biorę przykład z Gandhiego, indyjskiego żołnierza pokoju. Jest taki chudy, a mimo to żyje. Poza tym codziennie odmawiam modlitwę: »Gustl, nie rozpaczaj. Zaciśnij zęby, ci mordercy z SS nie mogą cię pokonać«”.

Myślał o słowach, które pięć lat wcześniej zawarł w wierszu *Kalejdoskop kamieniołomu*:

Bach! – już na czworakach jest,
Ale zdechnąć nie chce pies!

Wspominając ten symbol oporu, napisał: „Myślę sobie, że psy dotrwią do końca”. Jego wiara, że tak się stanie, była jak skała, równie twarda jak jego przeświadczenie, że jego syn jest bezpieczny. Był pewny, że Fritz dotarł już do Wiednia.

□

Fritz spojrział z przygnębieniem na swoją porcję jedzenia: kawałek chleba niewiele większy od dłoni i małą miskę cienkiej potrawy z brukwi. W połączeniu z kubkiem kawy z żółdziej miało mu to wystarczyć na cały dzień pracy. Czasami dostawał dokładkę potrawy, ale i tak tylko na chwilę łączyła jego duszę z ciałem. Minął nieco ponad miesiąc od jego przyjazdu, lecz nadgarstki miał już wyraźnie chudsze i czuł, jak wyostrzają mu się rysy twarzy. Nigdy nie był tak osamotniony, tak pozbawiony przyjaźni

i wsparcia. Więzi, które podtrzymywały go w Buchenwaldzie i Auschwitz, przestały istnieć. Przeciął je, wyskakując z pociągu.

Przebywał teraz w podobozie we wsi Gusen, cztery kilometry od Mauthausen. Wydarzenia, które go tu przywiodły, były na swój sposób jeszcze dziwniejsze niż te, za których sprawą trafił do Mauthausen. Gdy Niemcy walczyły o istnienie i rozpaczliwie brakowało im ludzi, komendant obozu pułkownik SS Franz Ziereis ogłosił, że niemieccy i austriaccy żołnierze, w których żyłach płynie aryjska krew, mogą zasłużyć na wolność, zgłaszając się na ochotnika do SS. Mieli utworzyć specjalne jednostki, wyposażone w mundury i broń, oraz walczyć u boku zwykłej SS o przetrwanie ojczyzny.

Na zebraniu ruchu oporu w Mauthausen Pepi Kohl i inni przywódcy uzgodnili, że część ich ludzi powinna się zgłosić. Przypuszczali, że SS będzie próbowało wykorzystać te jednostki jako mięso armatnie albo zwrócić je przeciwko innym więźniom. Przenikając do ich szeregów, członkowie ruchu oporu mieli sprawić, by ten plan obrócił się przeciwko SS. W kluczowym momencie ochotnicy skierowaliby broń przeciwko esesmanom.

Wśród stu dwudziestu „ochotników” wybranych przez Pepiego znalazł się Fritz. Oficjalnie był Aryjczykiem, był zdrowy i miał wojowniczy wygląd. Fritz bardzo się przed tym wzbraniał. Mdlilo go na samą myśl o włożeniu munduru SS, bez względu na cel. Pepi jednak nalegał, a nie należał do osób, którym łatwo odmówić. Dlatego ostatecznie Fritz Kleinmann, wiedeński Żyd, poszedł do biura komendanta i zgłosił się do specjalnej jednostki Oddziałów Trupiej Głównki SS.

Ochotników zabrano do pobliskiej placówki szkoleniowej SS, gdzie zaczął się pospiesznie przeprowadzany program indoktrynacji i nauczania. Podczas gdy inni zdołali skupić się na celu i podporządkować mu to, co robili, Fritz odkrył, że nie jest do tego zdolny. To wszystko wydawało mu się tak gruntownie złe, że postanowił się wycofać. Nie mógł zrezygnować, więc zaczął źle się zachowywać, mając nadzieję, że go wyrzucą. Była to niebezpieczna taktyka – potencjalna droga do zarobienia kulki w tył głowy. W końcu po rozmaitych karach za mniejsze wykroczenia wydano go z jednostki. Znowu stał się więźniem i odesłano go do obozu, a jego kariera w SS dobiegła końca, zanim w ogóle się zaczęła.

Przeniesiono go do podobozu w Gusen, gdzie został jednym z dwustu osiemdziesięciu czterech wykwalifikowanych robotników. Nikogo tam nie

znał i z nikim nie czuł się związany. Było to kosmopolityczne grono – Żydzi i więźniowie polityczni z całej Rzeczy: Polacy, Francuzi, Austriacy, Grecy, Rosjanie, Holendrzy; elektrycy, monterzy, hydraulicy, malarze, metalowcy i mechanicy oraz jeden jedyny Ukraińiec będący mechanikiem samolotowym.

W Gusen II przebywało około dziesięciu tysięcy więźniów. Wielu z nich było technikami zatrudnionymi w tajnych fabrykach lotnictwa w tunelach wywierconych pod wzgórzami. Fritza przydzielono do batalionu Ba II. Był to kryptonim podjednostki pracującej w zakładach lotniczych B8 „Bergkristall”, które mieściły się w sztolniach obok St Georgen, gdzie Messerschmitt budował kadłuby swojego ultranowoczesnego myśliwca Me 262 z napędem odrzutowym.

Fritz czuł się osamotniony i pozbawiony przyjaciół. Ogarnęło go przygnębienie, tak jak przez pewien czas w Monowitz. W marcu i kwietniu prawie nie zauważał upływu dni. W jego pamięci zapisały się jedynie jako koszmarne niewyraźna plama.

Więźniowie w tunelach opadali z sił wskutek głodu, a esesmani i kapo z zielonymi trójkątami bezkarnie ich mordowali. W samym tylko marcu prawie trzysta osób uznano za niezdolne do pracy i wysłano do Mauthausen, gdzie większość zginęła. Gdy Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża dostarczał do obozu ciężarówkę jedzenia, esesmani plądrowali ją, zabierając najlepsze produkty dla siebie, a potem przebijali pozostałe puszki z jedzeniem i mlekiem skondensowanym, by ze śmiechem rzucać je więźniom. Jednak mimo wysokiej śmiertelności populacja gwałtownie rosła, ponieważ do obozu docierało coraz więcej marszów śmierci z ewakuowanych obozów w Austrii. Ludzie umierali tysiącami, a ich niespalone zwłoki tworzyły sterty.

Fritz zmienił się zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Warunki w Mauthausen-Gusen w ciągu dwóch miesięcy osłabiły szczupłego młodego mężczyznę, który wyszedł z garnizonu Wehrmachtu w St Pölten, i odarły jego kości z resztek ciała. Pod koniec kwietnia przypominał upiornego, wychudzonego „muzułmana”. Świat, w którym teraz żył, był najgorszy ze wszystkich, jakie dotąd widział. Tylko czas – i to krótki – dzielił go od dołączenia do kościstych zwłok na stercie.

Jednak mimo depresji wciąż nie poddał się tak zupełnie jak *Muselmänner*. Zbliżał się koniec, trzeba było tylko wytrzymać

wystarczająco długo, by go zobaczyć. Odgłosy wojny rozbrzmiewały coraz donośniej – znajome dudnienie artylerii w oddali. Nadciągali Amerykanie.

SS było na to przygotowane. Naziści nie mieli zamiaru pozwolić, by ich ściśle tajne zakłady produkcji odrzutowców wpadły w ręce wroga – podobnie jak tysiące więźniów. Czternastego kwietnia Heinrich Himmler wysłał telegram do komendantów wszystkich obozów koncentracyjnych: „Żaden więzień nie może wpaść żywy w ręce wroga”. Himmler miał na myśli ewakuację i właśnie taka była wymowa jego telegramu. Komendant Mauthausen Franz Ziereis zinterpretował to jednak jako rozkaz totalnej likwidacji. I ułożył stosowny plan.

Rankiem 28 kwietnia żaden z więźniów w Gusen nie poszedł do pracy. Za piętnaście jedenasta zawyły syreny przeciwlotnicze. SS i kapo natychmiast zaczęli zaganiać dziesiątki tysięcy więźniów do sztolni Kellerbau, drugiego podziemnego kompleksu w Gusen. Wprowadzono ich jednym z trzech wejść – przez olbrzymią paszczę wielkości tunelu kolejowego.

Granitowe i betonowe ściany w środku były ciemniejsze i zimniejsze niż piaskowiec w tunelach Bergkristall. Z powodu kosztu wydobycia tak twardego kamienia i narażenia tunelów Kellerbau na zalanie ich budowy nigdy nie ukończono, ale nadawały się na schron przeciwlotniczy dla obozów.

Fritz stał w wilgoci i chłodzie i czekał, nasłuchując warkotu bombowców oraz huku eksplozji. Mijała minuta za minutą, lecz niczego nie było słyhać.

Nigdy wcześniej nie był w tunelach Kellerbau, ale część osób, która je знаła, mogła zauważyć, że dwa z trzech wejść zamurowano, zostawiając tylko jedno. Nawet ci o najostrzejszym wzroku nie zdawali sobie jednak sprawy, że gdy weszli do środka, strzelcy maszynowi SS zajęli stanowiska na zewnątrz. Więźniowie nie wiedzieli również, że w ciągu ostatnich kilku dni na rozkaz Ziereisa ostatnie wyjście zaminowano. Operacja nosiła kryptonim *Feuerzeug* – Zapalniczka.

Wykonania tego zadania podjął się Paul Wolfram, cywilny kierownik odpowiedzialny za budowę tunelu. Jemu i jego współpracownikom powiedziano, że jeśli spartaczą sprawę albo wyjawią sekret, życie ich i ich rodzin będzie zagrożone. Wolfram zaprawił wejście wszystkimi ładunkami wybuchowymi, jakimi dysponował. I tak było ich za mało, więc dorzucił

dwa tuziny bomb lotniczych i dwie ciężarówki min morskich. W nocy poprzedzającej alarm przeciwlotniczy ładunki podłączono.

Teraz, gdy wszyscy więźniowie byli już w środku i rozstawiono karabiny maszynowe mające udaremnić ucieczkę, wejście do tunelu można było wysadzić w powietrze. Uwięzieni w środku ludzie mieli się udusić.

KRES DNI

אבא

Pod koniec marca, po mniej więcej półtoramiesięcznym pobycie w Ellrich, sytuacja Gustava trochę się poprawiła – na tyle, by wzmocnić jego silną wolę, pokrzepić ciało i ducha.

Odwołano go od kładzenia torów i zaczął pracować w tunelach jako cieśla. Erich, jego kapo, był porządnym człowiekiem, który potajemnie korzystał z jakiegoś źródła żywności i oddawał Gustavowi swoją porcję zupy – akurat tyle, by spowolnić, lecz za mało, by zatrzymać proces śmierci głodowej. Tymczasem z każdym dniem Gustav był coraz brudniejszy i bardziej zawszawiony.

Spędzał czas pod ziemią. Przypominało to czwarty krąg piekła Dantego: większość harujących tam niewolników była o włos od śmierci, silniejsi żerowali na słabszych, okradając ich z marnych racji żywnościowych. Pod dostatkiem mieli jedynie zwłok i zdarzały się przypadki kanibalizmu. W marcu zmarło ponad tysiąc więźniów, a kolejne tysiąc sześćset chodzących szkieletów wysłano do koszar w Nordhausen, pełniących funkcję śmietniska, na które trafiali wyczerpani i bezużyteczni.

W kwietniu amerykańskie siły znajdowały się już tylko o kilka dni od obozu i SS zaczęło pakować manatki. Wstrzymano prace i szykowano się do ewakuacji. Tej samej nocy bomby zrzucone przez RAF na Nordhausen spadły na koszary, zabijając setki chorych więźniów. Następnej nocy znów nadleciały samoloty, by zrównać miasteczko z ziemią i uśmiercić kolejnych więźniów.

Ewakuacja Ellrich trwała dwa dni. Gustav i inni więźniowie zdolni do poruszania się zostali załadowani do wagonów bydłych. Gdy 5 kwietnia ostatni pociąg szykował się do odjazdu, ostatni esesman opuszczający obóz zastrzelił około tuzina pozostałych tam więźniów. Amerykańska 104. Dywizja Piechoty, która dotarła do Ellrich tydzień później, nie zastała tam żywej duszy.

אבא

Gustav przypomniał sobie podróż z Auschwitz. Teraz była lepsza pogoda, miał miejsce do siedzenia, a nawet wszyscy dostali trochę jedzenia. Jednak zdecydowanie nie tyle, ile powinni byli dostać. Gdy opuszczali Ellrich, wypełnione jedzeniem wagony jechały na końcu składu, lecz w którymś momencie je odłączono. Odrobinę ulgi przyniósł im postój pociągu w miasteczku, w którym działała fabryka chleba. Brytyjski jeniec wojenny dał Gustavowi dwa kilogramy chleba i pumpernikiel – dość jedzenia dla niego i jego najbliższych towarzyszy na trzy dni.

Pociąg dotarł daleko na północ Niemiec, minął Hanower i 9 kwietnia dotarł do celu: miasteczka Bergen, stacji wyładunkowej obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen.

Pierścień utworzony przez wrogów zaciskał się coraz mocniej i Himmler był zdeterminowany, by zatrzymać ocalałych więźniów. Mieli spełnić ostatnią funkcję – zakładników. Bergen-Belsen było jednym z ostatnich obozów koncentracyjnych, jakie działały jeszcze na terenie kontrolowanym przez Niemcy. Gdy Gustav tam dotarł, obóz zaprojektowany dla zaledwie kilku tysięcy osób rozrósł się, przekraczając wszelkie granice rozsądku, i choć w każdym miesiącu tysiące ludzi umierały wskutek głodu i chorób – siedem tysięcy w lutym, osiemnaście tysięcy w marcu, dziewięć tysięcy w pierwszych dniach kwietnia – populacja żywych osiągnęła zawrotną liczbę sześćdziesięciu tysięcy osób umieszczonych wśród stert niepogrzebanych zwłok i w atmosferze szerzącego się tyfusu. Co osobliwe, Himmler był przekonany, że ratuje tych ludzi, i próbując zdobyć przychylność aliantów, pokazuje im, że nie jest architektem masowego mordowania Żydów, lecz okazuje im litość.

Gustav i inni ocalali z Ellrich mieli trafić właśnie do tej wrzącej ludzkiej masy.

Wielu nie przetrwało podróży i jak zwykle trzeba było wydobyć z pociągu ładunek zwłok. Gdy ocalali maszerowali ze stacji w stronę obozu, wydarzyło się coś zdumiewającego. Było to okropne i jednocześnie cudowne. Kolumna duchów spotkała drugą, maszerującą w tym samym kierunku. Byli to węgierscy Żydzi – mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy wygłodniali i zmizerniali. Wielu ocalałych z Ellrich też pochodziło z Węgier i ku zaskoczeniu Gustava coraz więcej osób z jednej kolumny rozpoznawało krewnych w drugiej. Biegli do nich, wołając ich po imieniu. Przyjaciele, matki, siostry, ojcowie, dzieci, długo rozdzieleni i przekonani, że ich najbliżsi nie żyją, odnaleźli ich na drodze do Belsen. Było to radosne i zarazem rozdzierające wydarzenie. Gustav nie znajdował słów, by opisać to, co widział – „takie spotkanie można sobie tylko wyobrazić”. Czego by nie dał, by móc tak odnaleźć Tini, Hertę i Fritza. Ale nie tutaj, nie w tym miejscu.

Przepadły wszelkie kotwice, wszystkie kamienie probiercze, nic już nie było pewne – zepsuł się nawet system obozów. Belsen pękało w szwach i półtora tysiąca więźniów z obozów Mittelbau zawrócono. Eskortujące ich SS znalazło dla nich zakwaterowanie w pobliskim ośrodku szkoleniowym dla żołnierzy dywizji pancernych Wehrmachtu między Belsen a Hohne. Koszary pełniły teraz funkcję dodatkowego obozu koncentracyjnego (Belsen II), w którym dowodził kapitan SS Franz Hössler, towarzyszący wcześniej transportom. Ów osobnik o wyglądzie zbira z wystającą żuchwą i zapadniętymi ustami dowodził przed Mittelbau kobiecą sekcją w Auschwitz-Birkenau, uczestnicząc w selekcjach, zagazowywaniu i niezliczonych aktach mordowania pojedynczych osób. To właśnie Hössler wybierał „ochotniczki” do domu publicznego w Monowitz.

Warunki w ośrodku szkoleniowym Wehrmachtu były dla więźniów przyjemną odmianą: czyste, przestronne białe budynki usytuowane wokół asfaltowych placów rozrzuconych w lesie. Personel Wehrmachtu – składający się teraz z węgierskiego pułku – pomagał strażnikom SS zajmować się więźniami.

Poprawiła się jakość racji żywnościowych, ale ich ilość była rozpaczliwie nieadekwatna do potrzeb. Gustav i jego towarzysze byli zmuszeni szukać obierek ziemniaków i brukwi w kubłach na śmieci obok garnizonowych kuchni („Cokolwiek, byleby uciszyć głód” – zanotował w dzienniku).

Nigdy w ciągu lat spędzonych w obozach nie otaczały go takie tłumy i nie widział bezradnego głodowania na tak olbrzymią skalę. Po wszystkim, co przeszedł, właśnie tu, w Belsen, jego wiara w siebie, która dotąd trzymała go przy życiu, zaczęła słabnąć. Dlaczego miałby być wyjątkowy? Dlaczego miałby wytrwać do końca, skoro tak wiele milionów nie dotrwało albo nie dotrwa?

Na swój sposób węgierskie oddziały były równie brutalne jak SS. Większość oficerów była zadbana, używała pomady do włosów i wpoila swoim w przeważającej części niepiśmiennym ludziom antysemitkę, faszystowską ideologię dorównującą wszystkiemu, czego mogłoby ich nauczyć samo SS. Ludzie ci byli bezwzględni i mieli skłonność do strzelania do więźniów dla zabawy. Ich najważniejszym obowiązkiem była ochrona kuchni. Stali na placu między barakami, strzelali do więźniów szukających resztek i zabijali dziesiątki z nich. Część trwała w mistycznym oddaniu nazistowskiej sprawie. Jeden powiedział pewnej Żydówce, że żałuje, iż nie doprowadzono do końca eksterminacji jej narodu. Dodał, że Hitler na pewno powróci „i znów będziemy walczyć ramię w ramię”.

Pierwszej nocy w obozie Belsen II Gustav czuwał na piętrze budynku, w którym go zakwaterowano. Na południu widział, jak ciemne niebo jaśniej na pomarańczowo. Wyglądało to tak, jakby płonęło jakieś miasteczko – prawdopodobnie Celle, oddalone o mniej więcej dwadzieścia kilometrów. Gustav patrzył na rozbłyski i eksplozje. To nie było bombardowanie z powietrza – zbliżał się front.

Jego słabnący duch zaczął odzyskiwać siły. „Myślę sobie, że wyzwoliciele wkrótce tu będą, i odzyskuję wiarę. Myślę sobie jeszcze, że Pan Bóg nas nie opuścił”.

Dwa dni później, 12 kwietnia, lokalni dowódcy Wehrmachtu skontaktowali się z brytyjskimi siłami i zaczęli negocjować pokojowe poddanie Bergen-Belsen. By zatrzymać epidemię tyfusu, kilkukilometrowa strefa wokół obozu miała stać się strefą neutralną.

W barakach Gustav zauważył, że większość węgierskich żołnierzy zaczęła nosić białe opaski na ramię symbolizujące neutralność. Robiła tak nawet część esesmanów – w tym dowódca obozu kapral SS Sommer, którego Gustav zapamiętał z Auschwitz jako „jednego z najsurowszych prześladowców”. Wyglądało na to, że więźniowie zostaną przekazani Brytyjczykom bez rozlewu krwi. „Najwyższa pora” – napisał Gustav. SS chciało im urządzać „noc Świętego Bartłomieja w angielskiej iluminacji”,

ale węgierski pułkownik nie miał zamiaru brać w tym udziału, więc zostawili ich w spokoju.

Czternastego kwietnia Gustav zobaczył w oddali pierwsze brytyjskie czołgi. Wieść rozeszła się po barakach, wywołując radość, i świętowano przez całą noc.

חברים

Kapitan Derrick Sington starał się mówić tak, by go słyszano, mimo że konwój czołgów z postukiwaniem i warkotem jechał przez Winsen. Dogoniwszy pojazdy opancerzone 23. Pułku Huzarów, Sington odnalazł oficera wywiadu i wśród hałasu próbował go poinformować o swojej misji specjalnej.

Derrick Sington dowodził 14. Jednostką Wzmacniaczy Korpusu Wywiadowczego. Byli wyposażeni w lekkie ciężarówki wyładowane głośnikami i ich rola polegała na rozprzestrzenianiu informacji oraz propagandy. Dostał rozkaz, by towarzyszyć kolumnie czołowej 63. Pułku Artylerii Przeciwpancernej, która miała utworzyć strefę neutralną wokół obozu Bergen-Belsen. Z powodu chorób więźniowie – Brytyjczycy oficjalnie nazywali ich „internowanymi” – nie mogli opuszczać tej strefy. Pilna misja kapitana Singtona polegała na zlokalizowaniu obozu i przekazaniu więźniom stosownych ogłoszeń. Ponieważ władał niemieckim, miał również pełnić funkcję tłumacza podpułkownika Taylora z 63. Pułku Artylerii Przeciwpancernej, któremu powierzono dowództwo w tej strefie.

Krzycząc na całe gardło wśród szczęku gąsienic i warkotu silników, Sington wyjaśnił to wszystkemu oficerowi huzarów, który wychylił się z wieżyczki czołgu, przystawiając dłoń do ucha. Oficer kiwnął głową i powiedział Singtonowi, żeby jechał razem z nimi. Sington wskoczył z powrotem na siedzenie, dał znak kierowcy i wjechali na drogę, dołączając do strumienia wojsk pancernych.

Za Winsen kolumna przejechała przez otwarte pola, które ustąpiły gęstym jodłowym lasom. Silny zapach tych drzew mieszał się z wonią spalin i swądem spalenizny. Piechota podpałała podszycie po obu stronach za pomocą miotaczy ognia – nie chcieli ryzykować natknięcia się na ukryte niemieckie działa przeciwpancerne albo na snajperów.

Kawałek dalej Sington ujrzał pierwsze ostrzeżenia – „UWAGA, TYFUS” – oznaczające granicę strefy neutralnej. Dwaj niemieccy podoficerowie przekazali mu notatkę napisaną kiepską angielszczyzną. Zapraszano go na spotkanie z komendantem Wehrmachtu w Bergen-Belsen.

Gdy droga odbiła na wschód, Sington zauważył obóz – teren otoczony wysokim ogrodzeniem zwieńczonym drutem kolczastym i wieżami wartowniczymi, w lesie, rozciągający się po jednej stronie drogi. Przy bramie powitała go grupka bardzo elegancko ubranych niemieckich oficerów: jeden był w szarym mundurze Wehrmachtu, obwieszony odznaczeniami węgierski kapitan miał na sobie mundur koloru khaki, a tęgi oficer SS o mięsistej twarzy, z małpią żuchwą i blizną na policzku, okazał się kapitanem SS Josefem Kramerem, byłym komendantem obozu.

Gdy czekali na przybycie pułkownika Taylora, Sington wdał się w uprzejmą rozmowę z Kramerem. Spytał go, ilu więźniów przebywa w obozie. Kramer odpowiedział, że czterdzieści tysięcy, a kolejne piętnaście tysięcy w obozie Belsen II kawałek dalej. Jakiego rodzaju są to więźniowie? „Notoryczni przestępcy i homoseksualiści” – odrzekł Kramer, spoglądając ukradkiem na Anglika. Sington nie odpowiedział, ale później zanotował, że miał „powody przypuszczać, że to oświadczenie jest niepełne”.

Na szczęście ich rozmowę przerwało przybycie jeepa pułkownika Taylora. Pułkownik rozkazał Singtonowi wjechać na teren obozu i przekazać ogłoszenia, a sam ruszył z warkotem w stronę Bergen. Zachęcony przez Singtona Kramer wspiął się na stopień ciężarówki z głośnikami i razem wjechali przez bramę.

Sington wielokrotnie próbował sobie wyobrazić, jak wygląda obóz koncentracyjny od środka, lecz to, co tam zobaczył, okazało się zupełnie inne. Przez środek wiodła droga oddzielająca dwa osobne kompleksy, każdy wypełniony drewnianymi barakami. W powietrzu unosiła się „woń łajna”, która skojarzyła się Singtonowi z „zapachem małpiarni w zoo”. „Smutny niebieski dym wisiał między niskimi zabudowaniami jak mgła”. Podekscytowani więźniowie „tłoczyli się przy ogrodzeniach z drutu kolczastego [...], mieli ogolone głowy i obsceniczne, bardzo odczłowieczające pasiaki”. Od lądowania w Normandii Sington doświadczył wdzięczności wielu ludzi, lecz radosne okrzyki tych wychudłych, wymizerowanych zjaw, „przerażającej zbieraniny, która kiedyś była polskimi oficerami, ukraińskimi rolnikami, budapesztańskimi

lekarzami i francuskimi studentami, wywoływały silniejsze emocje” i z trudem powstrzymywał łzy.

Co kawałek ciężarówka przystawała i ogłaszała przez głośniki, że teren obozu został objęty kwarantanną i podlega administracji brytyjskiej, że SS przekazało kontrolę i zacznie się wycofywać, że węgierski pułk pozostanie w obozie, ale znajdzie się pod bezpośrednim zwierzchnictwem armii brytyjskiej, że więźniom nie wolno opuszczać terenu, ponieważ istnieje ryzyko rozprzestrzenienia tyfusu, że trwa pospieszny transport żywności i środków medycznych do obozu.

Rozradowani więźniowie wylegli zza ogrodzeń i otoczyli ciężarówkę. Kramer się wystraszył, a węgierski żołnierz zaczął strzelać tuż nad głowami więźniów. Sington zeskoczył z ciężarówki. „Wstrzymać ogień!” – rozkazał, wyjmując rewolwer. Żołnierz opuścił karabin. Jednak ku zdumieniu Singtona, gdy tylko przestał strzelać, uzbrojona w pałki grupa mężczyzn w pasiakach podbiegła do tłumu, bijąc ludzi z przerażającą brutalnością.

Wracając do głównej bramy, Sington powiedział do Kramera: „Urządziliście tu niezłe piekło”. Krótka przejażdżka ukazała mu jedynie chmurę ocalałych. Dopiero po paru dniach odkrył wreszcie doły ze zwłokami, krematorium oraz rozrzucone na ziemi i ułożone w sterty tysiące nagich, wychudłych zwłok.

Wyjeżdżając przez bramę, skierował ciężarówkę w stronę Belsen II, by i tam przekazać ogłoszenia.

אבא

Minął dzień, odkąd Gustav zauważył czołgi w oddali. Wreszcie brytyjska kolumna przetoczyła się po głównej drodze w Bergen, przejeżdżając obok obozu. Wyglądało jednak na to, że niewiele się dzieje. Potem do Belsen II przyjechała ciężarówka z głośnikami. Więźniowie zebrali się wokół niej, by wysłuchać ogłoszeń brytyjskiego oficera zagłuszanych wesołymi okrzykami.

Więźniowie w Belsen II, choć także byli w okropnym stanie, nie wyglądali na tak wymizerowanych jak ci w obozie głównym. Zostało im jeszcze trochę sił i mieli w sobie złość. Gdy tylko odjechała ciężarówka kapitana Singtona, zaczęły się lincze.

Setki mężczyzn, niesione falą wściekłości i przewagi liczebnej, wybierały osobników, którzy je wcześniej nękali. Gustav – najlepszy, najłagodniejszy człowiek, jakiego można sobie wyobrazić – patrzył obojętnie, jak inni wieszają albo biją na śmierć strażników SS i blokowych noszących zielone trójkąty. Widział śmierć co najmniej dwóch morderców z Auschwitz-Monowitz i nie czuł żadnego żalu ani wyrzutów sumienia. Węgierskie oddziały nie robiły nic, by temu zapobiec. Po południu, gdy skończyło się zabijanie, ocalałym esesmanom rozkazano usunąć ciała i pochować je nazajutrz w dołach wykopanych gołymi rękami.

Brytyjczycy powoli przejmowali kontrolę administracyjną, rejestrując wszystkich ocalałych więźniów i grupując ich według narodowości. Bergen-Belsen przekształciło się w obóz wysiedleńców, szykowano osadzonych do repatriacji. Gustav został z węgierskimi Żydami. Miał wśród nich wielu dobrych przyjaciół i wybrali go na starszego sali.

Było to wyzwolenie i zarazem niewyzwolenie. Więźniów nie ciemniły już SS, Brytyjczycy przywieźli jedzenie i artykuły medyczne, ludzie zaczęli dobrze się odżywiać i wracać do zdrowia (choć w głównym obozie więźniowie byli w tak złym stanie, że w tygodniach po wyzwoleniu zmarły tysiące z nich). Mimo to wciąż pozostawali więźniami. Węgierscy żołnierze dostali od Brytyjczyków rozkazy, by zapobiegać opuszczaniu obozu, i traktowali je bardzo poważnie. W przypadku Belsen II kwarantanna była jednak niedorzeczna – nikt nie chorował tam na tyfus i nie było potrzeby dalszego przetrzymywania ludzi. Gustav zaczął się niecierpliwic. Po tych wszystkich latach pragnął znów doświadczyć wolności.

O wyzwoleniu Belsen pisały gazety na całym świecie. Mówiono o tym w kronikach filmowych i w radiu, rozpisywano się o tym w prasie. W Europie, Wielkiej Brytanii i Ameryce krewni osób aresztowanych przez nazistów ślali rozpaczliwe prośby o informacje. Ciężarówka z głośnikami kapitana Singтона regularnie objeżdżała Belsen II, podając nazwiska ludzi, o których pytały rodziny.

Gustav pomyślał o Edith i Kurcie. Nie widział córki od jej wyjazdu do Anglii na początku 1939 roku i nie miał od niej wieści od wybuchu wojny. W grudniu 1941 roku stracił też kontakt z Kurtem. Napisał do Edith, podając swoje miejsce pobytu i numer bloku. Wiadomość, podobnie jak tysiące innych więźniów, powierzył brytyjskiej administracji.

W obozie głównym pracował personel medyczny, by ocalić jak najwięcej istnień ludzkich. Panujące tam warunki nie mieściły się w głowach tym, którzy je ujrzeli. Tysiące zwłok tworzyły sterty, a półżywi ludzie snuli się między nimi, jakby to były stosy drewna: przechodzili nad nimi, siedzieli oparci o leżące na kupie zwłoki i zjadali resztki jedzenia. Wykopano głębokie doły mierzące dziesiątki metrów. Kazano strażnikom SS zanosić tam martwych. Ocalali lżyli i przeklinali esesmanów. Kilku strażników próbowało uciec do lasu, lecz zostali zastrzeleni i ich towarzysze musieli przywlec ich ciała z powrotem. Trafiły do dołów razem ze zwłokami ich ofiar. Ostatecznie zadanie okazało się ponad ich siły. Zwłok było po prostu za dużo i trzeba było zepchnąć rozkładające się ciała buldożerami. Nim spalono ostatnie, minęły prawie dwa tygodnie.

Ocalałych z obozu głównego przeniesiono do czystych, porządných budynków Belsen II, w których urządzono szpital. Po opróżnieniu brudnych, zniszczonych drewnianych baraków w głównym obozie podpalono je miotaczami ognia.

Pewna angielska pielęgniarka z personelu medycznego czuła wstyd i wyrzuty sumienia w związku z tym, że choć słyszała o istnieniu takich obozów już w 1934 roku, nigdy nie zdawała sobie sprawy – i nie chciała jej sobie zdawać – że mogą one tak wyglądać. Ona i jej koledzy „kpieli ze złości na tych, którzy byli za to odpowiedzialni, na Niemców, a w Belsen ta złość rosła z każdym dniem”. Innych szokowało to, jak przemoc i poniżenie zredukowały wielu ocalałych do istot przypominających zwierzęta, które walczyły o jedzenie, jadły z misek pełniących funkcję nocników, a między jedną a drugą czynnością tylko przecierały je szmatą.

Napływ więźniów z głównego obozu oznaczał problem dla Gustava i ocalałych z Mittelbau: w ich sąsiedztwie pojawił się tyfus. Budynki, w których umieszczono chorych, były wprawdzie oddzielone kordonem, ale sama obecność zarażonych zwiększała ryzyko, że choroba rozprzestrzeni się w barakach.

Gustav coraz rozpaczliwiej pragnął opuścić to okropne, przekłete miejsce.

Dziesięć dni po wyzwoleniu wypuszczono z obozu pierwsze transporty z repatriantami, w których znaleźli się Francuzi, Belgowie i Holendrzy. Ich droga do domu wiodła przez wyzwolone kraje. Ci, którzy pochodzili z Niemiec, Austrii i innych miejsc znajdujących się w strefie działań wojennych albo wciąż w rękach Niemców, musieli zaczekać. Gustav

patrzył tęsknie na odjeżdżające transporty i z każdym dniem niecierpliwił się coraz bardziej. Nie miało znaczenia to, że jego reakcja była irracjonalna, że Austria nie została jeszcze wyzwolona. Był pewny, że bez względu na wszystko zdołałby trafić do domu. Wierzył, że Fritz jest już w Wiedniu i na niego czeka. Musiał jakoś się do niego dostać. A przynajmniej pragnął nie siedzieć dłużej w zamknięciu.

Wybrał odpowiednią chwilę i w poniedziałek 30 kwietnia wyruszył w drogę. Zabrawszy parę rzeczy i trochę jedzenia, wyszedł z budynku na asfaltową ulicę.

Węgierski żołnierz stanął przed nim i uniósł karabin.

– Dokąd się wybierasz?

– Do domu – powiedział Gustav. – Odchodzę.

Gustav zobaczył w oczach żołnierza coś, co widział u setek strażników SS – było to spojrzenie antysemitę patrzącego na żydowskiego więźnia. Jeszcze dwa tygodnie temu ten żołnierz walczył u boku nazistów. Gustav spróbował go ominąć. Żołnierz zamachnął się kolbą karabinu i uderzył go w tors. Gustav zachwiał się i zarzęził.

– Spróbuj to zrobić jeszcze raz, a cię zastrzelę – powiedział żołnierz.

Gustav widział wystarczająco dużo, by wiedzieć, że mężczyzna się nie zawaha. Próba odzyskania wolności dobiegła końca, tkwił w pułapce.

Rozcierając obite żebra, wrócił do bloku. Wydostanie się z Belsen okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. Omówił sprawę z innym wiedeńczykiem, Josefem Bergerem, który także rozpaczliwie chciał wrócić do domu.

Po południu dwaj mężczyźni cicho wyszli z budynku i krążyli w pobliżu, obserwując strażników. W końcu nastąpił moment, na który czekali: zmiana warty. Gdy żołnierze byli zajęci, Gustav i Josef puścili się biegiem – tym razem nie ku drodze, lecz w stronę lasu otaczającego północno-zachodni kraniec obozu.

Byli już między stanowiskami strażników, gdy rozległo się wołanie po węgiersku i ktoś wystrzelił z karabinu. Kula świsnęła nad ich głowami. Następna śmignęła obok i obaj rzucili się na ziemię. Kule uderzały w ziemię wokół nich. Gustav i Josef czołgali się na łokciach. Gdy tylko nastąpiła chwila przerwy w ostrzale, zerwali się na nogi i pobiegli w stronę lasu, slalomem, pędząc między drzewami i przedostając się na drugą stronę zagajnika. Przebiegli przez rosyjską część obozu i wpadli do lasu.

W chłodnej, zawilgotniałej jaskini Kellerbau mijały minuty, lecz nie było słycać samolotów ani huku eksplozji: wokół Fritza rozlegały się jedynie odbijające się echem ściszone głosy dziesiątków tysięcy więźniów, szepczących i mamroczących do siebie nawzajem.

Czas płynął. Przed wejściem do tunelu strzelcy SS obserwowali otoczenie i czekali na rychły wybuch.

Powoli minuty przemieniły się w godziny. Więźniowie, przywykli do stania na apelach, które też się tak przeciągały, niewiele się nad tym zastanawiali. Prawdopodobnie fałszywy alarm. Przynajmniej nie musieli pracować. Większość z nich nigdy nie poznała prawdziwego powodu, dla którego wysłano ich do tunelu, i nie była świadoma komplikacji, które sprawiły, że musieli tam spędzić tyle czasu. Wydarzenia rozgrywały się niezależnie od nich, spowite tajemnicą, której nigdy do końca nie rozwikłano.

Ładunki rozmieszczone wokół wejścia nie wybuchły. Paul Wolfram, odpowiedzialny za tę akcję kierownik, twierdził później, że specjalnie sabotował plan masowego morderstwa, nakazując swoim ludziom, by rozmieścili bomby i miny bez detonatorów. Nie wyjaśnia to jednak, dlaczego nie eksplodowała reszta ładunków. Komendant Ziereis – który przez większość tego okresu był pijany – twierdził, że miał zastrzeżenia do tej całej akcji. Wśród części ocalałych krążyła jednak pogłoska, że polski więzień Władysław Palonek z grupy elektryków odkrył przewody detonatora i przeciął je.

O czwartej po południu zabrzmiała syrena odwołująca alarm i więźniowie, którzy nieświadomie poszli na śmierć, wyszli z jaskini – wciąż nie mając pojęcia, że wisi nad nimi wyrok śmierci – a potem wrócili do obozów. Gdyby plan się powiódł, zginęłoby ponad dwadzieścia tysięcy ludzi – byłby to jeden z największych jednostkowych aktów masowego mordu w historii Europy.

Wznowiono codzienne apele i pracę, ale we wtorek 1 maja więźniów nie skierowano do zadań. Fritz wyczuł wśród esesmanów nastrój, który skojarzył mu się z tym, jaki panował w Monowitz w połowie stycznia. Tym razem panika sięgała jednak głębiej. SS nie miało już Rzeszy, do której mogłoby się wycofać. Nie było dokąd ewakuować Mauthausen.

Dwa dni później z obozu zniknęli wszyscy strażnicy. Fanatyczni naziści zamierzali bronić się do końca w górach, a reszta zrzuciła mundury i ukryła

się wśród cywilów w miastach. Dowództwo Mauthausen-Gusen powierzono oficjalnie wiedeńskiej policji, a administrowanie obozem przypadło w udziale Luftwaffe. Do pomocy zwerbowano oddział wiedeńskiej straży pożarnej przywieziony w 1944 roku w charakterze więźniów politycznych.

Na południu armie złożone z Amerykanów, Brytyjczyków, Polaków, Indusów, Nowozelandczyków i żołnierzy Brygady Żydowskiej parły w stronę górskiej granicy między Włochami a Austrią.

Na wschodzie Armia Czerwona przekroczyła austriacką granicę i 6 kwietnia otoczyła Wiedeń. Pozostałe tam siły niemieckie nie miały szans obronić miasta i oblężenie trwało krótko. Siódmego kwietnia sowieckie oddziały były już w południowej części śródmieścia, a trzy dni później Niemcy ewakuowali Leopoldstadt. Zdobyto mosty na Dunaju i 13 kwietnia ostatnia uzbrojona jednostka SS porzuciła miasto. Wiedeń został wyzwolony prawie dokładnie siedem lat po tym, jak Hitler przeprowadził tam swój plebiscyt i przypieczętował anszlus. Teraz Führer utknął w berlińskim bunkrze, a jego Rzesza była już tylko malutkim, krwawiącym kikutem.

Trzecia aliancka szpica nadciągnęła z północnego zachodu. Dwudziestego siódmego kwietnia amerykańskie siły przeszły w Bawarii przez Dunaj. Patton skierował swój XII Korpus do Austrii, na północ od rzeki. Napotkał zaciekły opór fanatycznych niemieckich oddziałów, które zaczęły wieszać dezerterskie na przydrożnych drzewach. Gdy posuwający się naprzód Amerykanie parli przez dolinę Dunaju, czubek szpicy składał się z patrolu utworzonego przez 41. Szwadron Rozpoznawczy Kawalerii i pluton 55. Batalionu Piechoty Zmotoryzowanej. Badając obszar na wschód od Linzu, żołnierze dotarli do wsi St Georgen i Gusen, gdzie po raz pierwszy ujrzeli obozy.

Jeśli chodzi o skalę horroru, Mauthausen i Gusen dorównywały Bergen-Belsen. Oba obozy były kloaką, do której spływały resztki z obozów koncentracyjnych. Liczba zgonów w Mauthausen osiągnęła zawrotny poziom ponad dziewięć tysięcy osób miesięcznie. Chodzące trupy, które powitały amerykańskich wyzwolicieli, żyły wśród dziesiątków tysięcy niepochoowanych, częściowo pochowanych albo częściowo spalonych zmarłych. Panujący tam odór trwale zapisał się w umysłach żołnierzy. „Smród zmarłych i umierających, smród głodujących” – wspominał jeden z oficerów. „Tak, to właśnie ta woń, odór obozu śmierci, sprawia, że to

miejsce wciąż płonie w moim nosie i w mojej pamięci. Już zawsze będę czuł zapach Mauthausen”.

Podrapane i zniszczone oliwkowe czółgi opatrzone białą amerykańską gwiązdą wtoczyły się na teren obozu. W Gusen I jakiś sierżant wspiął się na swojego shermana i krzyknął po angielsku do tłumu wychudzonych więźniów: „Bracia, jesteście wolni!”. W tłumie eksplodowały różne hymny państwowe, a dowodzący niemieckimi strażnikami oficer Volkssturmu oddał sierżantowi swój miecz.

Fritz w sąsiednim Gusen II patrzył na przybywających Amerykanów z ulgą i zadowoleniem, lecz bez wszechogarniającej radości. Był za słaby i zbyt przygnębiony, by świętować. Już po przyjeździe do obozu nie był do końca zdrowy, a potem przeżył trzy miesiące w piekle, gdzie nawet najsprawniejsi przybysze wytrzymywali średnio cztery. Ledwo żył, był tylko czymś odrobinę więcej niż kośćmi owiniętymi w posiniaczoną, poranioną skórę. W Mauthausen-Gusen nie miał prawdziwych towarzyszy, a jedynie innych cierpiących. „Byłem tam zupełnie rozbity” – napisał później. Był za słaby i zbyt chory, żeby wracać do domu – zakładając, że wciąż jeszcze miał dom. Najbardziej tęsknił za ojcem, ale nie miał bladego pojęcia, co się z nim stało.

אבא

Uszedłszy kilometr, Gustav i Josef zatrzymali się, by odsapnąć. Nasłuchiwali, ale nie dobiegały ich odgłosy pościgu, a jedynie śpiew ptaków w stłumionej leśnej ciszy. Osunęli się na ziemię, żeby odpocząć. Gustav rozejrzał się, spojrzął na niebo i wciągnął zapach jodeł. Już sama ta woń wywoływała w nim radość – to był zapach wolności. „Nareszcie wolny!” – napisał w swoim dzienniku. „Powietrze wokół nas jest nie do opisanania”. Pierwszy raz od lat atmosfery nie skazały woń śmierci, pracy i hord niemytych ludzi.

Nie byli jeszcze bezpieczni. Linia frontu ciągnęła się na wschodzie, więc na razie Gustav i Josef odwrócili się plecami do ojczyzny i ruszyli na północny zachód przez las.

Szli całe popołudnie i wieczór, mijając maleńkie osady rozrzucone w lesie – osady niemieckie, w których nie odważyli się prosić o pomoc. W końcu po mniej więcej dwudziestu kilometrach wynurzyli się z lasu

w wiosce Osterheide. Na jej obrzeżach znajdował się olbrzymi obóz jeniecki – Stalag XI – wyzwolony przez Brytyjczyków dzień po Belsen. Ewakuowano go kilka dni wcześniej, lecz w środku wciąż przebywali rosyjscy jeńcy wojenni, którzy udzielili wędrującym wiedeńczykom schronienia na noc.

Nazajutrz Gustav i Josef dotarli do Bad Fallingbostel, przyjemnego miasteczka uzdrowiskowego, w którym roiło się od uchodźców i żołnierzy. Dwaj mężczyźni zgłosili się do brytyjskich władz, lecz powiedziano im, że w najbliższym czasie nic nie da się dla nich zrobić – powinni przebywać w którymś z obozów dla wysiedleńców. Bardziej poszczyliło im się w biurze niemieckiego burmistrza, gdzie przydzielono im miejsca w hotelu i racje żywnościowe.

Gustav zatrudnił się na tydzień jako rymarz u miejscowego tapicera Brokmana. Stawka była przyzwoita i pierwszy raz od siedmiu lat traktowano go jak obywatela. Zaczął wracać do siebie po męczarniach, których doświadczył w obozach. W pokoju hotelowym wyjął zielony notesik, który towarzyszył mu od samego początku. Na pierwszej stronie widniał wpis: „Przyjechaliśmy do Buchenwaldu 2 października 1939 roku po dwudniowej podróży pociągiem. Z dworca w Weimarze przybiegliśmy do obozu...”.

Tak zaczynał się zapis jego niewoli. Teraz Gustav zaczął zapisywać swoją wolność.

„Wreszcie człowiek jest wolny i może robić, co mu się podoba” – napisał. „Gnębi mnie tylko jedno: niepewność co do losu rodziny”.

Te myśli nie dawały mu spokoju, dopóki na obszarze dzielącym go od ojczyzny wciąż walczyły niedobitki nazistowskiego reżimu.

DŁUGA DROGA DO DOMU

משפחה

Edith stała przy frontowym oknie, patrząc, jak listonosz na rowerze wjeżdża pod górkę. Noszące dumną nazwę Spring Mansions – elegancki trzypiętrowy wiktoriański dom przekształcony w mieszkania – stało na rogu Gondar Gardens w Cricklewood, skąd było widać pół Londynu: tory kolejowe i ciągnąca się dalej Kilburn High Road tworzyły prostą linię sięgającą aż do Westminsteru.

Mały Peter stał obok niej, patrząc na ten krajobraz. Niedawno wrócił do rodziców z farmy niedaleko Gloucester, na którą go wcześniej ewakuowano. Pod jego nieobecność rodzice i Joan, jego młodsza siostra, wyprowadzili się z Leeds do tego mieszkania w Londynie. Peter był dla matki prawie obcy – na wskroś brytyjski z urodzenia i z mowy. Edith i Richard, świadomi wrogości Wielkiej Brytanii wobec wszystkiego, co w tym kraju niemieckie, nigdy nie mówili w domu inaczej niż po angielsku.

Listonosz oparł rower o żywoplot i wsunął przez szparę w drzwiach plik listów. Edith zeszła na dół i podniosła je z wycieraczki. Przerzucając koperty zaadresowane do innych lokatorów, natknęła się na jedną skierowaną do „Fr. Edith Kleinmann”. Widniało na niej kilka przekreślonych adresów, zaczynających się od adresu pani Brostoff w Leeds. Rozerwała kopertę.

Peter usłyszał, jak jego matka biegnie po schodach i z przejęciem woła jego ojca. Nie rozumiał, co ją tak rozemocjonowało. Powtarzała w kółko, że jej ojciec żyje. Żyje!

To było wręcz niepojęte. Przez tyle lat nie miała pojęcia, co się stało z jej rodziną. Wiedziała od Kurta, że ojciec i Fritz pojechali do Buchenwaldu, nic więcej. Wszyscy widzieli potworne kroniki z Belsen oraz słyszeli audycje BBC – i pomyśleć, że jej tata tam był i przeżył!

Edith natychmiast napisała do Kurta. Sędzia Sam Barnet użył w ich imieniu wszelkich politycznych wpływów, jakie miał, próbując nawiązać kontakt z ich ojcem. Minęło kilka tygodni, ale nie było żadnych nowych wieści od Gustava. Zupełnie jakby ujawniwszy swoją obecność, nagle zniknął.

□

Po wyzwoleniu amerykańskie wojsko zapewniło ocalałym z Mauthausen i Gusen pomoc medyczną. Tysiący osób nie udało się jednak uratować i zmarły już w pierwszych dniach.

Fritz Kleinmann był wśród tych, którzy wciąż kurczowo trzymali się życia. Gdy zaczęły się badania lekarskie, rozmawiał z nim amerykański oficer, który wyjawiał, że też urodził się w wiedeńskim Leopoldstadt. Zadowolony z tej łączącej ich więzi, oficer znalazł dla Fritza priorytetowe miejsce wśród pilnie ewakuowanych.

Zawieziono go do Regensburga w południowej Bawarii, pięknego, starego miasta, w którym otwarto amerykański szpital wojskowy. Jego przybycie zbiegło się w czasie z wieścią o kapitulacji Niemców. Hitler i Himmler nie żyli i wojna w Europie dobiegła końca.

Szpital Ewakuacyjny numer 107 mieścił się w namiotach i budynkach nad brzegiem rzeki Regen, w miejscu gdzie wpadała ona do Dunaju. Gdy przyjmowano tam Fritza, ledwo żył: ważył trzydzieści sześć kilogramów. Fatalny i zarazem cudowny chaotyczny ciąg wydarzeń, który przez pięć i pół roku pozwalał mu uniknąć śmierci, omal nie wykończył go na finiszu.

Odпочywając na łóżku w szpitalnym namiocie, wiedział, że męka, która zaczęła się tamtego dnia w marcu 1938 roku, gdy Luftwaffe zasypało Wiedeń śniegiem ulotek, dobiegła końca.

Tyle że niezupełnie. Podróż zapoczątkowana tamtego dnia nie mogła być kompletna, dopóki Fritz nie wróci do Wiednia i nie ustali, czy wciąż jest tam jego dom – oraz, co najważniejsze, czy jego ojciec przeżył. A jeśli chodzi o koszmar – cóż, on też nie mógł dobiec końca, dopóki trwają życie

i pamięć. Martwi pozostają martwi, żywi wciąż są poranieni, a ich numery i historie pozostają na wsze czasy jako pomnik tamtych lat.

Zostawiając przyszłość, by na razie zająć się sobą, Fritz skupił się na odzyskaniu sił. Lekarze zalecili mu dietę złożoną z ciastek, puddingu mlecznego i wzmacniającej mikstury, której składników nigdy nie poznał. W ciągu dwóch tygodni przybyło mu dziesięć kilogramów. Wciąż miał znaczną niedowagę, ale czuł, że podoła podróży, i ciągnęło go do domu. Szpital pakował się przed przeniesieniem w inne miejsce. Pozwolono Fritzowi się wypisać. Poszedł do ratusza w Regensburgu, gdzie wydano mu cywilne ubranie i zorganizowano transport z powrotem do Austrii.

Był koniec maja, gdy Fritz przejechał przez Linz i dotarł do linii demarkacyjnej między amerykańską a sowiecką strefą na południowym brzegu Dunaju, po przeciwnej stronie niż Gusen i Mauthausen. W St Valentin złapał pociąg. Ponownie odbył podróż koleją przez Amstetten, Blindenmarkt i St Pölten. Tym razem nie napotkał żadnych przeszkód.

W końcu w poniedziałek 28 maja 1945 roku Fritz dotarł do Wiednia – pięć lat, siedem miesięcy i dwadzieścia osiem dni po tym, jak opuścił to miasto razem z transportem zmierzającym do Buchenwaldu. Jego pociąg zatrzymał się na Westbahnhofie, tym samym dworcu, z którego wyjechał. Później Fritz odkrył, że z tysiąca trzydziestu pięciu żydowskich mężczyzn, którzy jechali tym transportem, przeżyło zaledwie dwudziestu sześciu.

Wiedeń nie ucierpiało w niedawnych walkach tak mocno jak Berlin. Oblężenie trwało krótko, udało się uniknąć masowej destrukcji. Niektóre części miasta były prawie nienaruszone. Fritz miał jednak pecha, bo trasa, którą szedł z dworca w głąb miasta, biegła przez najbardziej dotknięte tereny. Miał przygnębiające wrażenie, że Wiedeń został prawie doszczętnie zniszczony.

Był późny wieczór i gdy dotarł do Kanału Dunajskiego, na ulicach zapadał mrok letniej nocy. Budynki po stronie Leopoldstadt były mocno zniszczone przez bomby, a niegdyś piękny most Salztor przypominał zaledwie kikut wystający z brzegu. Fritz przeszedł przez rzekę w innym miejscu i wreszcie znalazł się w Karmelitermarkt.

Stragany zwinięto, bruk opustoszał i wszystko wyglądało tak jak w te wieczory dawno temu, gdy bawił się tu z przyjaciółmi, kopiąc szmacianą piłkę, wypatrując policjantów i uciekając przed zapalaczami latarni, którzy przeganiali go, kiedy wspinał się na słupy. Pamiętał ciastka z kremem, różowe wafle *Mannerschnitte*, okrawki chleba i kiełbasy, sklepikarzy

i straganiarzy, Żydów i nie-Żydów handlujących ramię w ramię, dobrze prosperujących bez nienawiści i wrogości, ich dzieci bawiące się w jednej rozbieganej, roześmianej grupie. Teraz połowa tego, co niegdyś ożywiało to miejsce, zniknęła: popioły z pieców w Auschwitz płynęły Wisłą, kości spoczywały w ziemi pod sosnowymi igłami w Małym Trościeńcu, a żywi rozpiezchli się po całym świecie, wyjeżdżając do Palestyny, Anglii, obu Ameryk i na Daleki Wschód. Oprócz garstki takich jak Fritz już nigdy nie mieli wrócić na Karmelitermarkt.

Gdy dotarł do starej kamienicy przy Im Werd, zastał zewnętrzne drzwi zamknięte. Sowieckie władze wprowadziły godzinę policyjną, która zaczynała się o ósmej wieczorem. Zaczął walić do drzwi i w końcu otworzyła mu znajoma postać, Frau Ziegler, dozorczyńni budynku. Powitała go ze zdumieniem. Wszyscy myśleli, że on i jego ojciec nie żyją.

Wpuściła go, ale nie pozwoliła wejść do dawnego mieszkania. Zajmowali je teraz nowi lokatorzy, którzy stracili swój dom w bombardowaniu. Nie było tam już żadnych Kleinmannów.

Pierwszej nocy po powrocie do Wiednia Fritz spał na podłodze u Frau Ziegler. Gdy nazajutrz wstał i wyszedł, odkrył, że wieść o jego powrocie już krąży po okolicy. „Młody Kleinmann wrócił” – mówili do siebie zdumieni ludzie.

Tego ranka nie spotkał się z Olgą Steyskal ani z innymi przyjaciółmi ojca, lecz przypadkiem wpadł na Josefę Hirschler, dozorczynię w kamienicy Olly. Kobieta serdecznie go powitała i zaprosiła, by pierwsze śniadanie w Wiedniu zjadł razem z nią i jej dziećmi, swoimi dawnymi przyjaciółmi. Był brudny po podróży przez Austrię, więc Josefa posłała go na podwórze za budynkiem, żeby się umył. Znalazł tam czekającą na niego miskę pełną gorącej wody.

Gdy spryskiwał tą wodą twarz i szorował szyję, poczuł, że zaczyna się dla niego nowe życie. Było to jednak nowe życie w samotności, bez rodziny. Jego młodszy brat był w Ameryce, siostra wyjechała do Anglii, matka i Herta zniknęły, prawie na pewno zginęły na Wschodzie... Jeśli chodzi o ojca, nie było chyba wielkich nadziei. Już gdy się rozstawali, wydawał się bliski śmierci. „Musisz zapomnieć o ojcu...” Czyżby słowa Roberta Siewerta ostatecznie miały okazać się słuszne tu, pod koniec drogi? A jeśli jakimś cudem ojciec przetrwał, gdzie teraz był?

אבא

Gustavowi przyjemnie się żyło w Bad Fallingbostel. Miał pracę, dobrze się odżywiał. Zaprzyjaźnił się z Niemką z Aachen i dostawał od niej jedzenie. Szył plecaki dla oficerów serbskiej armii, którzy zostali jeńcami wojennymi. Byli dobrze zaopatrzeni i dawali mu mnóstwo papierosów.

„Jestem o wiele silniejszy” – napisał. Dodał jednak: „Dobry Boże, gdybym tylko był teraz w Wiedniu z synem”. Nigdy nie wątpił, że Fritz dotarł do domu po ucieczce z pociągu.

Do Fallingbostel dotarło kilkoro innych wiedeńczyków i utworzyli małą społeczność. Gdy wojna wreszcie się skończyła, Gustav wraz z nowymi przyjaciółmi wyruszyli w długą podróż do domu.

Szli powoli, znajdując jedzenie i schronienie, gdzie się tylko dało. Przemierzali góryste, zalesione tereny na południe od Hildesheim. Gustav cieszył się z powolnego tempa podróży, delektował się wolnością i pięknem krajobrazu. W miasteczku Alfeld natknął się na starego przyjaciela, który był więźniem politycznym w Buchenwaldzie, a po wojnie został ni mniej, ni więcej tylko komendantem policji. Słyszając o podróży, jaką miał przed sobą Gustav, dał mu rower.

Odtąd podróż przebiegała szybciej i 20 maja wędrowcy dotarli do miasta Halle w Saksonii, gdzie Gustav spotkał wielu innych starych towarzyszy z Monowitz i Buchenwaldu. Wśród tych ostatnich był jego dobry przyjaciel i mentor Fritza Robert Siewert, który przetrwał do samego końca i wrócił do rodzinnego miasta, by rozpocząć odbudowę tamtejszej partii komunistycznej.

Halle okazało się czymś w rodzaju miejsca zbiórki osób ocalałych z obozów koncentracyjnych i Gustav postanowił spędzić tam trochę czasu. Zapewniono im dobrą opiekę i mnóstwo jedzenia. W mieście działał specjalnie powołany komitet austriacki. Robert Siewert wygłosił publiczne przemówienie na temat warunków w Buchenwaldzie i odtąd do końca życia starał się podtrzymywać pamięć o tamtych wydarzeniach.

Po miesiącu w Halle wiedeńczycy znów wyruszyli w drogę. Jadąc rowerem przez Bawarię, Gustav zachwycał się pięknem przyrody. „Te tereny są wspaniałe” – napisał w czasie jednego z częstych przystanków. „Wszędzie tylko góry. Czuję się tak, jakbym narodził się na nowo”.

Pod koniec czerwca dotarli do Regensburga, a 2 lipca Gustav przejechał rowerem przez most nad Dunajem w Passau i znalazł się w Austrii.

W ojczyźnie powitało go bicie kościelnych dzwonów obwieszczające południe.

Repatrianci dotarli do Linzu po zmroku, w ulewnym deszczu. Było za późno, by znaleźć nocleg, więc przespali się w schronie przeciwlotniczym. Zaopatrzeni w kartki żywnościowe, spędzili w mieście kilka dni.

Mimo że Gustav był już na ojczystej ziemi i od Wiednia dzieliła go zaledwie podróż pociągiem, znów zwolnił tempo. Przebywszy tak daleką drogę, nagle poczuł, że nie spieszy mu się do domu. Było mu dobrze i mimo że nigdy nie zwierzył się z tego swojemu dziennikowi, w jego umyśle z pewnością kołatała się obawa, że w Wiedniu mogą go powitać przygnębiające wieści. Nie chodziło wyłącznie o prawdę o tym, co spotkało Tini i Hertę – bał się, że jego wiara okaże się chybiona i Fritza wcale tam nie będzie.

Przede wszystkim rozkoszował się wolnością. Po raz pierwszy – nie tylko od pobytu w obozach, lecz po raz pierwszy w życiu – Gustav cieszył się zupełną swobodą: wolny od odpowiedzialności, trosk i strachu, mógł iść, dokąd zechciał, niespiesznie chłonąć widoki i wachać kwiaty.

Pewnego dnia, korzystając z pięknej pogody, wybrał się na górską wycieczkę razem z jednym z towarzyszy. Pod wpływem chwili skierowali się do wsi Mauthausen, gdzie komendantem policji był Walter Petzold, kolejny stary towarzysz z obozu w Auschwitz. Weszli na wzgórze i spojrzeli na obóz koncentracyjny. Imponująca kamienna struktura była teraz opuszczona. Gustav chciał zobaczyć miejsce, z którego zawrócono pociąg z Auschwitz. Gdyby wiedział, że Fritz spędził w Mauthausen trzy miesiące i omal nie stracił tam życia, ujrzałby je zapewne w innym świetle.

Jedenastego lipca Gustav pierwszy raz przekroczył zieloną granicę, opuszczając amerykańską strefę i wchodząc do sowieckiej. Odkrył, że Rosjanie są „bardzo uprzejmi dla ocalałych z obozów koncentracyjnych”. Resztę lipca i sierpień spędził w centralnej Austrii i dopiero gdy lato zaczęło przemijać, wreszcie rozpoczął ostatni etap podróży do domu.

Pewnego wrześniowego dnia Gustav Kleinmann dotarł do Wiednia. Zobaczył zniszczenia, masywne betonowe wieże przeciwlotnicze górujące nad ładnymi parkami, i dostrzegł znajome punkty orientacyjne. Karmelitermarkt wciąż był na swoim miejscu, otoczony kamienicami Im Werd, a na parterze pod numerem jedenastym nadal znajdował się jego dawny warsztat, zajęty teraz przez kogoś innego. Wszedł do budynku z numerem dziewięć, wspiął się na drugie piętro i zapukał do drzwi

mieszkania Olly. Jego najdroższa, najwierniejsza przyjaciółka patrzyła na niego z głębokim zdumieniem, a gdy już odzyskała mowę, wesoło powitała go w domu.

Brakowało tylko jednego, lecz problem szybko się rozwiązał. Osoba, którą Gustav najbardziej pragnął ujrzeć, mieszkała samotnie w tym samym budynku. Jego duma i radość, jego ukochany syn. Gustav złapał Fritza w ramiona i razem płakali z radości.

Znów byli w domu.

EPILOG. ŻYDOWSKA KREW

Wiedeń, czerwiec 1954

Amerykański żołnierz patrzył nad Kanałem Dunajskim w stronę Leopoldstadt. Był w mundurze galowym z szewronem starszego szeregowego na rękawie. Nosił też naszywkę pułku piechoty, którego oddziały jako jedne z pierwszych uderzyły na plaży Omaha podczas lądowania w Normandii. Ten żołnierz był o wiele za młody, by mógł się tam znaleźć tego dnia – w 1944 roku chodził jeszcze do szkoły. Teraz urósł, wyglądał jak wzór amerykańskiego żołnierza. Stacjonował w Bawarii i skorzystał z tygodniowej przepustki, by zajrzeć do miasta, w którym się urodził.

Wiedeń wyglądał znajomo, lecz zarazem inaczej – wracał do życia, leczył rany. Żołnierz podszedł do sowieckiego punktu kontrolnego i pokazał dokumenty. Przepuścili go, a wtedy przeszedł po szerokim moście Augarten, w cieniu okazałych cesarskich Rossauer Kaserne, w których jego rodzice w 1917 roku wzięli ślub.

Wiele znajomych budynków ucierpiało, część z nich pokryto rusztowaniami i wciąż remontowano. Rozpoznał jednak Leopoldstadt, nadal tak żywe w jego umyśle jak w dniu, w którym je opuścił. Jego życie bardzo się od tej pory zmieniło, zmieniając także jego samego. Po szkole średniej poszedł do college’u studiować farmację, a w 1953 roku powołano go do wojska – został szeregowcem Kurtem Kleinmannem. A teraz wrócił.

Kurt był w równej mierze produktem Ameryki, co Wiednia. W Stanach Zjednoczonych miał teraz rodzinę – nie tylko Barnetów, którzy stali się jego rodziną pod każdym względem z wyjątkiem nazwiska, lecz także Edith, która zamieszkała w Connecticut. Po wojnie spędziła z Richardem jeszcze trzy lata w Londynie, lecz ostatecznie opuścili ponurą, zubożałą Anglię. Paltenhofferowie szybko przywykli do amerykańskiego życia. Gdy przyjechali, Peter i Joan – mający wówczas odpowiednio osiem i sześć lat – byli angielskimi dziećmi z „oksfordzkim akcentem” (tak napisano o nich w gazecie w New Bedford), lecz nie trwało to długo. Richard i Edith, zdeterminowani, by dopasować się do otoczenia, zmienili nazwisko

z Paltenhoffer na Patten, a w roku, w którym Kurt przebywał z wojskiem za oceanem, dostali amerykańskie obywatelstwo.

Spacerując po Obere Donaustrasse i w górę Grosse Schiffgasse, Kurt był zaskoczony, że tak dobrze to wszystko pamięta: znajomy zakręt w prawo, w lewo, a po nich Karmelitermarkt z rzędami straganów, zegarem na smukłej wieży pośrodku, sklepami oraz kamienicami Leopoldsgasse i Im Werd po obu stronach. Dokładnie tak jak dawniej.

Mimo że wszystko wydawało się znajome, był tu teraz obcy. Poczucie obcości było wręcz namacalne – nie umiał już nawet posługiwać się tutejszym językiem.

Kurt wspiął się po schodach i zapukał do drzwi Olgi. Otworzył jego ojciec. Gustav postarzał się, pomarszczył, miał więcej siwych włosów, ale na jego szczupłej twarzy z zadbanym wąsem wciąż widniał ten sam znajomy uśmiech. Kurt ujrzał też Olgę – lojalną, cudowną Olly. Była teraz Frau Kleinmann, jego macochą.

Tego lata odwiedzał ich wiele razy. Siedzieli we czwórkę przy stole w kuchni – Gustav i Olly, Kurt w niepasującym do otoczenia wojskowym mundurze oraz Fritz – i rozmawiali najlepiej, jak umieli. Z biegiem czasu Kurt przypominał sobie trochę niemieckiego: akurat tyle, żeby się porozumieć, ale za mało, by porządnie porozmawiać.

Trudno było odzyskać stracone lata. Jego ojciec nie chciał wspominać czasu spędzonego w obozie, a stosunki Kurta z Fritzem całkiem się zmieniły. Wychowanego na wskroś po amerykańsku Kurta bardzo niepokoiły komunistyczne sympatie brata. Fritz dostał przekonania polityczne w spadku po socjalizmie ojca oraz od takich obozowych bohaterów jak Robert Siewert i Stefan Heymann. Życie robotnika w kontrolowanej przez Sowietów powojennej Austrii jeszcze bardziej je umocniło. Braci dzieliły także różnice religijne. Nikt z rodziny oprócz Kurta nie był zbyt religijny, a Fritz zupełnie porzucił wiarę gdzieś na drodze do Auschwitz.

– Żadnych rozmów o polityce i religii – zarządził Gustav.

Trzymali się bezpieczniejszych tematów.

Po powrocie do Wiednia w 1945 roku Gustav i Fritz napotkali problemy z przystosowaniem się. Nawet znalezienie mieszkania było wyzwaniem w zniszczonym przez bomby i kontrolowanym przez Sowietów mieście. Gustav został u Olly Steyskall i mieszkał u niej aż do ich ślubu w 1948 roku. W tym samym roku udało mu się ponownie otworzyć zakład tapicerski.

Wciąż istniał antysemityzm, ale zszedł do podziemia, ograniczając się do pomruków i insynuacji. Spośród stu osiemdziesięciu trzech tysięcy Żydów, którzy w marcu 1938 roku mieszkali w Wiedniu, wyemigrowało ponad dwie trzecie: prawie trzydzieści jeden tysięcy do Wielkiej Brytanii, dwadzieścia dziewięć tysięcy do Stanów Zjednoczonych, trzydzieści trzy tysiące do Ameryki Południowej, Azji i Australii oraz nieco ponad dziewięć tysięcy do Palestyny. Ponad dwadzieścia jeden tysięcy wyjechało do europejskich krajów, które później znalazły się pod panowaniem nazistów, i prawie wszyscy trafili do obozów razem z 43 421 Żydami deportowanymi bezpośrednio z Wiednia do Auschwitz, Łodzi, Theresienstadt i Mińska oraz z tysiącami wywiezionymi tak jak Fritz i Gustav do Dachau i Buchenwaldu.

Po Szoah żydowska społeczność w Wiedniu powoli odzyskiwała swoją tożsamość i pielęgnowała spuściznę, lecz była tylko fragmentem tego, co istniało tam dawniej. Synagogi zniszczono albo popadły w ruinę, odbudowano jedynie kilka z nich, między innymi Stadttempel w starej dzielnicy żydowskiej, gdzie w dzieciństwie śpiewał Kurt.

Początkowo Fritz nie był zdolny do pracy z powodu słabego zdrowia i przez jakiś czas żył z renty inwalidzkiej. Rozmawiali z ojcem o tym, co powinni zrobić w sprawie Kurta. Sprowadzić go do domu? Wciąż był dzieckiem i tęsknili za nim. Tylko co czekało na niego w Wiedniu? Jego matka nie żyła, ojciec starzał się w ubóstwie. Doszli do wniosku, że lepiej mu będzie tam, gdzie jest. Gustav i Fritz trzymali się zatem razem, we dwóch, wspierając się tak jak w wielu chwilach próby.

Jednym z radosnych wydarzeń w tych powojennych latach było ich spotkanie z Alfredem Wochem. Twardy, odważny stary Niemiec przeżył piekło ostatniej obrony Rzeszy, a potem odnalazł w Wiedniu przyjaciół z Auschwitz. Odwiedzał ich wielokrotnie. „Dla nas, więźniów obozu koncentracyjnego, Wocheer zrobił coś więcej niż tylko spełnił obowiązki” – wspominał Fritz. „Swoim postępowaniem dał nam odwagę i wiarę, zdecydowanie przyczyniając się do naszego przetrwania w Auschwitz. Nikt go za to nie nagroził. My, ocalali, jesteśmy jego dłużnikami”.

Podczas gdy Gustav starał się zapomnieć o tym, co widział i wycierpiał w obozach, Fritz miał do tego zupełnie inne podejście. Wspominał to wyraźnie, z determinacją i złością. Żywił głęboką odrazę do byłych nazistów, którzy wciąż mieszkali w Wiedniu. Słyszał, jak starsi ludzie mamroczą o jego ojcu – „Patrzcie, Żyd Kleinmann wrócił” – i podczas gdy Gustav starał się żyć w spokoju wśród kolaborantów, Fritz nie chciał rozmawiać z nikim, kto popierał nazistów. Dziwiło ich to. Jeden z sąsiadów, którzy donieśli na nich do SS, poskarżył się nawet Gustavowi: „Twój syn nie mówi nam dzień dobry!”. Uparta ignorancja związana z Szoah była tak głęboko zakorzeniona, że ten człowiek nie mógł pojąć zła, jakie wyrządził.

Młodszy Żydzi czasami mścili się na kolaborantach. Fritz także zaangażował się w działania odwetowe. Sepp Leitner, aryjski sąsiad, należał do stacjonującej w Wiedniu 89. SS-Standarte, która brała udział w niszczeniu synagog w „noc kryształową”. Fritz zaczepił Leitnera i pobił go. Aresztowano go za napaść, ale sowieckie władze, próbujące doraźne karanie faszystów, nakazały go zwolnić.

Fritz nie umiał się pogodzić z tym, co stało się z jego krajem. W Buchenwaldzie przysłuchiwał się dyskusjom austriackich *Prominenten* na temat postnazistowskiej przyszłości narodu, wyobrażając sobie socjaldemokratyczną utopię, i teraz za nią tęsknił. Sytuacja poprawiła się w 1955 roku, gdy Austria odzyskała niezależność. Fritz poszedł do szkoły wieczorowej i został czynnym działaczem związku zawodowego w swoim zakładzie pracy. W jego życiu prywatnym brakowało stabilizacji: ożenił się dwukrotnie i miał z tych związków syna Petera oraz pasierba Ernsta.

Gdy utworzono państwo Izrael, Fritz przeniósł się tam wraz z rodziną, lecz nawet wtedy nie zaznał spokoju. Zobowiązany do służby w izraelskiej armii, odkrył, że po doświadczeniach w obozach koncentracyjnych walka na wojnie jest ponad jego siły. Po odsłużeniu obowiązkowych dwóch lat wrócił do Wiednia.

Tymczasem Gustav cieszył się, że znów może wykonywać swój dawny fach i ożenić się z Olly. W 1964 roku przeszedł na emeryturę, kończąc pracę w dojrzałym wieku siedemdziesięciu trzech lat. Razem z Olly odbyli podróż do Ameryki. Choć nie rozumiał prawie ani słowa po angielsku, miał teraz pięcioro amerykańskich wnucząt i troje prawnucząt. Pozował do zdjęć, trzymając maleństwa na kolanach, i promieniał zadowoleniem, znów otoczony miłością i rodziną.

Gustav Kleinmann zmarł 1 maja 1976 roku, dzień przed swoimi osiemdziesiątymi piątymi urodzinami. Przed śmiercią był ciężko chory, lecz u schyłku życia wciąż podtrzymywała go ogromna siła wewnętrzna.

Dwa lata później Fritz, mający zaledwie pięćdziesiąt kilka lat, musiał przejść na wcześniejszą emeryturę. Tortury, których doświadczył w lochu Gestapo w Auschwitz, spowodowały trwałe uszkodzenie pleców, które mimo operacji kręgosłupa doprowadziło w końcu do częściowego paraliżu. Odziedziczył jednak twardość po ojcu i przeżywszy długie życie, zmarł 20 stycznia 2009 roku w wieku osiemdziesięciu pięciu lat.



Podczas gdy Gustav próbował wymazać Szoah z pamięci, jego syn uparcie starał się dopilnować, by świat o niej nie zapomniał. Po zakończeniu wojny alianci wytoczyli wysoko postawionym nazistom procesy w Norymberdze w latach 1945–1946 i w Dachau w latach 1945–1947. Wielu skazano na śmierć albo więzienie, a pojęcia ludobójstwa i zbrodni przeciwko ludzkości weszły do prawa międzynarodowego.

Gdy jednak procesy dobiegły końca, na okropne czyny nazistów opadła zasłona – zwłaszcza w samych Niemczech. Ci, którzy przeżyli i popierali tamte działania, woleli, by o nich zapomniano. Pod koniec lat pięćdziesiątych pokolenie Niemców wyrastało na kłamstwach – że większość Żydów po prostu wyemigrowała, że w czasie wojny obie strony dopuszczały się okrucieństw i że te popełniane przez Niemców wcale nie były gorsze od tych popełnianych przez aliantów. Ci młodzi Niemcy prawie nic nie wiedzieli na temat Holokaustu, a takie nazwy jak Auschwitz i Sobibór, Buchenwald i Belsen były dla nich niejasne albo zupełnie obce. Większość morderców z SS pozostała na wolności, wielu wciąż mieszkało w Niemczech.

Zmieniło się to w 1963 roku, gdy Fritz Bauer, żydowski prawnik pracujący we Frankfurcie, który pomógł wytropić Adolfa Eichmanna w Argentynie, wszczął postępowania przeciwko dwudziestu dwóm byłym esesmanom oskarżonym o potworne czyny w Auschwitz. Wśród świadków procesów oświęcimskich we Frankfurcie znalazło się ponad dwustu ocalałych więźniów, w tym dziewięćdziesięciu Żydów. W ich gronie byli Gustav i Fritz Kleinmannowie, którzy złożyli pisemne zeznania w obecności prokuratorów w kwietniu i maju 1963 roku. Zeznawali także Stefan Heymann, Felix Rausch i Gustav Herzog. Sądzone między innymi członków obozowego Gestapo, Blockführerów i pracowników

administracji. Niektórych uniewinniono, innych skazano na kary więzienia od trzech lat pozbawienia wolności do dożywocia.

Ważniejsze od poszczególnych wyroków było to, że procesy oświęcimskie we Frankfurcie – oraz proces Eichmanna w Jerozolimie w 1961 roku – zmusiły Niemcy do otwarcia oczu i dopilnowały, by naród – oraz cały świat – nie zapomniał o Holokauście.

Fritz Kleinmann kontynuował swoje zadanie. W 1987 roku Reinhold Gärtner, jego przyjaciel i austriacki politolog, zaprosił go, by wygłosił publiczne przemówienie na temat swoich doświadczeń przed grupą szykującą się do wyprawy naukowej do Auschwitz-Birkenau. Fritz miał być jednym z czterech ocalałych, którzy zabiorą głos. „Przed tym przemówieniem przez wiele dni nie mogłem spać. Obrazy z obozu koncentracyjnego wzbierały we mnie z większą intensywnością niż kiedykolwiek wcześniej”. Całe to wydarzenie – obejmujące między innymi czytanie fragmentów dziennika jego ojca przez wiedeńskiego aktora – głęboko Fritza poruszyło i wywarło na słuchaczach kolosalne wrażenie. Potem przez ponad dziesięć lat wygłaszał takie przemówienia dla kolejnych słuchaczy.

Fritz, namawiany, by jeszcze bardziej zgłębił swoje wspomnienia, spisał je i następnie opublikował w postaci książki. Mimo upływu dekad okrucieństwo, które spotkało jego i jego naród, wciąż wywoływało w nim oburzenie i złość, lecz jego gniew równoważyła miłość do tych, którzy pomogli mu przetrwać: do Roberta Siewerta, Stefana Heymanna, Leo Mosesa i innych. Ślęczał nad garstką starych dokumentów, które przechowywał. Wciąż miał swoje zdjęcie zrobione w 1939 roku do *J-Karte* oraz to zrobione w Buchenwaldzie w 1940 roku, które jego matka przekazała krewnej, zanim wsiadła do pociągu do Małego Trościeńca.

Poza tym był jeszcze dziennik ojca. Gustav wyjawiał mu istnienie notesika niedługo po ich ponownym spotkaniu w Wiedniu. Po przewróceniu sfatygowanej okładki ukazywała się pierwsza strona, pożółkła, pokryta kanciastymi literami napisanymi ołówkiem, blaknącymi po tych wszystkich latach. „Przyjechaliśmy do Buchenwaldu 2 października 1939 roku...” Wyraziste obrazy wryte w umyśle Fritza. Kamieniołom, ciągnięcie wyładowanego wagonu po torach, zwłoki w błocie, mężczyzna przebiegający przez łańcuch straży i padający z kulą w plecach, wiszenie na belce w Bunkrze Gestapo, z rękami wyrwanymi ze stawów, ciężar parabelki w dłoni, przejmujące zimno w otwartym wagonie między Gleiwitz

a Amstetten... oraz wiersz jego ojca *Kalejdoskop kamieniołomu* z niezapomnianym centralnym obrazem:

Dzień w dzień kruszarki warczenie,
Warczy i warczy, krusząc kamienie,
Godzina za godziną przeżuwa je i zjada,
Szufla za szuflą do jej paszczy wpada.
A ci, co ją karmią sumiennie i w znoju,
Wiedzą, że choć je, nie zazna sytości.
Najpierw pożre kamień, a potem ich kości.

Ale nie pożarła ich wszystkich. Kilku, tak jak ten wysoki więzień z wiersza, zdołało wytrwać dłużej niż maszyna, wytrzymało, aż kruszarka stanęła, zepsuła się, udławiła własną żarłocznością.

Ostatecznie rodzina Kleinmannów nie tylko przetrwała, lecz także dobrze jej się wiodło. Dzięki odwadze, miłości, solidarności i ślepemu szczęściu wytrwali dłużej niż ci, którzy próbowali ich zniszczyć. Oni i ich potomkowie rozjechali się po świecie i rozmnożyli, zachowując dla kolejnych pokoleń miłość i jedność, dzięki którym przetrwali najmroczniejsze czasy. Zabrali ze sobą swoją przeszłość, wiedząc, że żywi muszą wziąć wspomnienia umarłych i zanieść je w bezpieczną przyszłość.

BIBLIOGRAFIA I MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE

WYWIADY

Przeprowadzone przez autora

Kurt Kleinmann: marzec–kwiecień 2016, lipiec 2017

Peter Patten: kwiecień 2016, lipiec 2017

Zarchiwizowane

Fritz Kleinmann: luty 1997, wywiad 28129, Visual History Archive:
University of Southern California Shoah Foundation Institute

Źródła archiwalne i nieopublikowane

ABM Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau,
Oświęcim, Polska

AFB Findbuch for Victims of National Socialism, Austria:
findbuch.at/en, dostęp: 21 lutego 2017

AJJ American Jewish Joint Distribution Committee Archives, Nowy
Jork

AWK Świadectwa z „nocy kryształowej”: Wiener Library, Londyn:
dostępne online na
stronie [wienerlibrarycollections.co.uk/novemberpogrom/testimonies-
and-reports/overview](http://wienerlibrarycollections.co.uk/novemberpogrom/testimonies-and-reports/overview), dostęp: 19 lutego 2017

BWM Belohnungsakten des Weltkrieges 1914–1918:
Mannschaftsbelohnungsanträge No. 45348, Box 21: Austriackie
Archiwum Państwowe, Wiedeń

DFK Listy, zdjęcia i dokumenty z archiwum Fritza Kleinmanna

DKK Listy i dokumenty będące w posiadaniu Kurta Kleinmanna

DOW Dokumentationsarchiv des Österreichischen Widerstandes,
Wiedeń: część materiałów dostępna online na
stronie www.doew.at/personensuche, dostęp: 14 kwietnia 2017

DPP Dokumenty i zdjęcia będące w posiadaniu Petera Pattena

DRG Dokumenty i zdjęcia będące w posiadaniu Reinholda Gärtnera

FDR Presidential Library, Hyde Park, Nowy Jork

FTD Zapisy z procesów oświęcimskich we Frankfurcie: Fritz Bauer
Institut, Frankfurt nad Menem, Niemcy

GRO Akta urodzeń, ślubów i zgodnów obejmujące Anglię i Walię:
General Register Office, Southport, Wielka Brytania

HOI Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Wielkiej Brytanii, Wydział
Cudzoziemców, spis internowanych, 1939–1947: HO 396: Archiwum
Państwowe, Kew, Londyn

IKA Archiv der Israelitischen Kultusgemeinde, Wiedeń

ITS Dokumenty dotyczące ofiar prześladowania przez nazistów:
archiwum cyfrowe International Tracing Service, Bad Arolsen, Niemcy

LJL Leeds Jewish Refugee Committee, akta osobowe, WYL
5044/12: West Yorkshire Archive Service, Leeds, Wielka Brytania

LJW Leeds Jewish Refugee Committee, korespondencja
i dokumenty, kolekcja 599, Wiener Library, Londyn

MTW Korespondencja ze świadkami z Małego Trościeńca, 1962–
1967: kolekcja Światowego Kongresu Żydów, Box C213-05, American
Jewish Archives, Cincinnati

NARA National Archives and Records Administration, Waszyngton

PGB Archiwum dokumentacji więziennej: KZ-Gedenkstätte
Buchenwald, Weimar

PGD Archiwum dokumentacji więziennej: KZ-Gedenkstätte Dachau,
Dachau

PGM Archiwum dokumentacji więziennej: Ośrodek Badań KZ-
Gedenkstätte Mauthausen, Wiedeń

PNY Listy pasażerów statków przyływających do Nowego Jorku:
mikrofilm M237, 675: NARA

TAE Proces Adolfa Eichmanna, posiedzenia sądu okręgowego,
Ministerstwo Sprawiedliwości Izraela, dostępne online na stronie
nizkor.org, dostęp: 19 marca 2016

WLO *Adolph Lehmanns Adressbuch*: Wienbibliothek
Digital: www.digital.wienbibliothek.at/wbrobv/periodical/titleinfo/5311,
dostęp: 20 maja 2017

YVP artykuły i dokumenty, Yad Vashem, Jerozolima, część dostępna
online na stronie www.yadvashem.org

YVS Centralna baza nazwisk ofiar Holokaustu: Yad Vashem,
Jerozolima, yng.yadvashem.org, dostęp: 14 kwietnia 2017

KSIAŻKI I ARTYKUŁY

Aarons Mark, *War Criminals Welcome: Australia, a Sanctuary for
Fugitive War Criminals Since 1945*, Melbourne 2001.

American Religious Responses to Kristallnacht, ed. by Maria Mazzenga, New York 2009.

Anatomy of the Auschwitz Death Camp, ed. by Yisrael Gutman, Michael Berenbaum, Bloomington 1994.

Arad Yitzhak, Gutman Israel, Margaliot Abraham, *Documents on the Holocaust*, transl. by Lea Ben Dor, Lincoln, Jerusalem 1999.

Auschwitz 1940–1945: węzłowe zagadnienia z dziejów obozu, red. Waław Długoborski, Franciszek Piper, Oświęcim-Brzezinka 1995, t. 5.

Belsen 1945: New Historical Perspectives, ed. by Suzanne Bardgett, David Cesarani, London 2006.

Bentwich Norman, *The Destruction of the Jewish Community in Austria 1938–1942*, w: *The Jews of Austria*, ed. by Josef Fraenkel, London 1970.

Berkley George E., *Vienna and Its Jews: The Tragedy of Success, 1880s–1980s*, Cambridge 1988.

Browning Christopher, *The Origins of the Final Solution*, London 2005.

Buchenwald Concentration Camp 1937–1945, compl. by Harry Stein, ed. by Gedenkstätte Buchenwald, Göttingen 2004.

Burkitt Nicholas Mark, *British Society and the Jews*, rozprawa doktorska na University of Exeter 2011.

Cesarani David, *Eichmann – jego życie i zbrodnie*, tłum. Jacek Lang, Zakrzewo 2008.

Cesarani David, *Final Solution: The Fate of the Jews 1933–49*, London 2016.

Czech Danuta, *Kalendarz wydarzeń w KL Auschwitz*, Oświęcim-Brzezinka 1992.

Czeike Felix, *Historisches Lexikon Wien*, Vienna 1992–1997, Bd. 6.

Dobosiewicz Stanisław, *Mauthausen-Gusen obóz zagłady*, Warszawa 1977.

Dror Michael, *News from the Archives*, „Yad Vashem Jerusalem” 2016, No. 81.

Dutch Oswald, *Thus Died Austria*, London 1938.

Ermordet in Maly Trostinec: die österreichischen Opfer der Shoa in Weißrussland, hrsg. Waltraud Barton, Vienna 2012.

Fein Erich, Flanner Karl, *Rot-Weiss-Rot in Buchenwald*, Vienna 1987.

Foreign Office, *Papers Concerning the Treatment of German Nationals in Germany, 1938–1939*, London 1939.

Friedländer Saul, *Nazi Germany and the Jews: The Years of Persecution, 1933–1939*, London 1997.

Friedman Saul S., *No Haven for the Oppressed: United States Policy Toward Jewish Refugees, 1938–1945*, Detroit 1973.

Frieser Karl-Heinz, *The Eastern Front, 1943–1944*, transl. by Barry Smerin, Barbara Wilson, Oxford 2017.

Gärtner Reinhold, Kleinmann Fritz, *Doch der Hund will nicht krepieren: Tagebuchnotizen aus Auschwitz*, Innsbruck 1995, 2012.

Gedye G.E.R., *Fallen Bastions: The Central European Tragedy*, London 1939.

Gerlach Christian, *Kalkulierte Morde: Die deutsche Wirtschafts- und Vernichtungspolitik in Weißrußland 1941 bis 1944*, Hamburg 1999.

Gilbert Martin, *Atlas historii Holocaustu*, tłum. Marek Klimowicz, Roman Szabla, Liszki 2001.

Gilbert Martin, *Auschwitz and the Allies*, London 1981.

Gilbert Martin, *The Holocaust: The Jewish Tragedy*, London 1986.

Gillman Peter, Gillman Leni, *‘Collar the Lot!’ How Britain Interned and Expelled Its Wartime Refugees*, London 1980.

Gold Hugo, *Geschichte der Juden in Wien: Ein Gedenkbuch*, Tel Aviv 1966.

Goltman Pierre, *Six mois en enfer*, Paris 2011.

Gottwaldt, Alfred, Schulle Diana, *Die «Judendeportationen» aus dem Deutschen Reich 1941–1945*, Wiesbaden 2005.

Grenville Anthony, *Anglo-Jewry and the Jewish Refugees from Nazism*, „Association of Jewish Refugees Journal” 2012; dostępna online na stronie ajr.org.uk/index.cfm/section.journal/issue.Dec12/article=11572, dostęp: 18 lipca 2017.

Haunschmied Rudolf A., Mills Jan-Ruth, Witzany-Durda Siegi, *St Georgen-Gusen-Mauthausen: Concentration Camp Mauthausen Reconsidered*, Norderstedt 2007.

Hayes Peter, *Industry and Ideology: IG Farben in the Nazi Era*, Cambridge 2001.

Hecht Dieter J., *“Der König rief, und alle, alle kamen”*: Jewish Military Chaplains on Duty in the Austro-Hungarian Army during World

War I, „Jewish Culture and History” 2016, No. 17 (3).

Heimann-Jelinek Felicitas, Höbling Lothar, Zechner Ingo, *Ordnung muss sein: Das Archiv der Israelitischen Kultusgemeinde Wien*, Vienna 2007.

Heller Peter, *Preface to a Diary on the Internment of Refugees in England in the Year of 1940*, w: *Exile and Displacement*, ed. by Lauren Levine Enzie, New York 2001.

Horsky Monika, *Man muß darüber reden. Schüler fragen KZ-Häftlinge*, Vienna 1988.

Jones Nigel, *Countdown to Valkyrie: The July Plot to Assassinate Hitler*, London 2008.

K.u.k. Kriegsministerium, *Verlustliste Nr 209 ausgegeben am 13.7.1915*, Vienna 1915.

K.u.k. Kriegsministerium, *Verlustliste Nr 244 ausgegeben am 21.8.1915*, Vienna 1915.

Keegan John, *The First World War*, London 1998.

Kershaw Roger, *Collar the lot! Britain's policy of internment during the Second World War*, UK National Archives Blog, 2 lipca 2015, blog.nationalarchives.gov.uk/blog/collar-lot-britains-policy-internment-second-world-war, dostę: 18 lipca 2017.

Kurzweil Edith, *Nazi Laws and Jewish Lives*, London 2004.

Langbein Hermann, *Against All Hope: Resistance in the Nazi Concentration Camps, 1938–1945*, transl. by Harry Zohn, London 1994.

Langbein Hermann, *Ludzie w Auschwitz*, tłum. Halina Jastrzębska, Jan Parcer, Oświęcim-Brzezinka 1994.

Le Chêne Evelyn, *Mauthausen: The History of a Death Camp*, Bath 1971.

Levi Primo, *Survival in Auschwitz and The Reawakening: Two Memoirs*, New York 1986.

Loewenberg Peter, *The Kristallnacht as a Public Degradation Ritual*, w: *The Origins of the Holocaust*, ed. by Michael Marrus, London 1989.

London Louise, *Whitehall and the Jews, 1933–1948: British Immigration Policy, Jewish Refugees and the Holocaust*, Cambridge 2000.

Lowenthal Marvin, *The Jews of Germany*, London 1939.

Lucas James, *Fighting Troops of the Austro-Hungarian Army, 1868–1914*, Tunbridge Wells 1987.

Maier Ruth, *Ruth Maier's Diary: A Young Girl's Life under Nazism*, transl. by Jamie Bulloch, London 2009.

Nachrichten über Verwundete und Kranke Nr 190 ausgegeben am 6.1.1915; Nr 203 ausgegeben am 11.1.1915, Gemeinesames Zentralnachweisbureau, Vienna 1915.

van Pelt Robert Jan, *The Case for Auschwitz: Evidence from the Irving Trial*, Bloomington 2016.

van Pelt Robert Jan, Dwork Debórah, *Auschwitz: 1270 to the Present*, New Haven 1996.

Pendas Devin O., *The Frankfurt Auschwitz Trial, 1963–1965*, Cambridge 2006.

Phillips Raymond, *Trial of Josef Kramer and Forty-Four Others: The Belsen Trial*, London 1949.

Plänklers Tomas, *Ernst Federn: Vertreibung und Rückkehr. Interviews zur Geschichte Ernst Federns und der Psychoanalyse*, Tübingen 1994.

Pukrop Marco, *Die SS-Karrieren von Dr. Wilhelm Berndt und Dr. Walter Döhrn. Ein Beitrag zu den unbekanntem KZ-Ärzten der Vorkriegszeit*, „Werkstatt Geschichte“ 2012, No. 62.

Rabinovici Doron, *Eichmann's Jews: The Jewish Administration of Holocaust Vienna, 1938–1945*, transl. by Nick Somers, Cambridge 2011.

Rees Laurence, *Holokaust. Nowa historia*, tłum. Łukasz Praski, Warszawa 2018.

Rosenkranz Herbert, *The Anschluss and the Tragedy of Austrian Jewry 1938–1945*, w: *The Jews of Austria*, ed. by Josef Fraenkel, London 1970.

Sagel-Grande Irene, Fuchs H.H., Rüter C.F., *Justiz und NS-Verbrechen: Sammlung Deutscher Strafurteile wegen Nationalsozialistischer Tötungsverbrechen 1945–1966: Band XIX*, Amsterdam 1978.

Schindler John R., *Fall of the Double Eagle: The Battle for Galicia and the Demise of Austria–Hungary*, Lincoln 2015.

Silverman Jerry, *The Undying Flame: Ballads and Songs of the Holocaust*, Syracuse 2002.

Sington Derrick, *Belsen Uncovered*, London 1946.

Taylor Melissa Jane, ‘Experts in Misery’? *American Consuls in Austria, Jewish Refugees and Restrictionist Immigration Policy, 1938–1941*, PhD dissertation, University of South Carolina 2006.

Teichova Alice, *Banking in Austria, w: Handbook on the History of European Banks*, ed. by Manfred Pohl, Aldershot 1994.

The Buchenwald Report, ed. & transl. by David A. Hackett, Boulder 1995.

The Night of Broken Glass: Eyewitness Accounts of Kristallnacht, ed. by Uta Gerhardt, Thomas Karlauf, transl. by Robert Simmons, Nick Somers, Cambridge 2012.

The United States Holocaust Memorial Museum Encyclopedia of Camps and Ghettos, 1933–1945, ed. by Geoffrey P. Megargee, Bloomington 2009, vols 4.

Trimble Lee, Dronfield Jeremy, *Beyond the Call*, New York 2015.

Wachsmann Nikolaus, *KL: historia nazistowskich obozów koncentracyjnych*, tłum. Maciej Antosiewicz, Warszawa 2016.

Wagner Bernd C., *IG Auschwitz: Zwangsarbeit und Vernichtung von Häftlingen des Lagers Monowitz 1941–1945*, Munich 2000.

Wallner Peter, *By Order of the Gestapo: A Record of Life in Dachau and Buchenwald Concentration Camps*, London 1941.

Walter John, *Luger: The Story of the World's Most Famous Handgun*, Stroud 2016.

Wasserstein Bernard, *Britain and the Jews of Europe, 1939–1945*, London 1999.

Watson Alexander, *Ring of Steel: Germany and Austria–Hungary at War, 1914–1918*, London 2014.

Weinzierl Erika, *Christen und Juden nach der NS-Machtergreifung in Österreich, w: Anschluß 1938*, Vienna 1981.

Werber Jack, Helmreich William B., *Saving Children*, London 1996.

Wünschmann Kim, *Before Auschwitz: Jewish Prisoners in the Prewar Concentration Camps*, Cambridge 2015.

Wyman David S., *America and the Holocaust*, London 1990, vols 13.

Zalewski Andrew, *Galician Portraits: In Search of Jewish Roots*, Jenkintown 2012.

Zucker Bat-Ami, *In Search of Refuge: Jews and US Consuls in Nazi Germany, 1933–1941*, London 2001.

PODZIĘKOWANIA

Ta książka nie mogłaby powstać bez najważniejszych materiałów źródłowych – dziennika Gustava Kleinmanna pisanego w obozach koncentracyjnych i wspomnień Fritza Kleinmanna, które trafiły do mnie dzięki profesorowi Reinholdowi Gärtnerowi z uniwersytetu w Innsbrucku. Reinhold pomógł Fritzowi opublikować oba dokumenty w formie książki *Doch der Hund will nicht krepieren* (Innsbruck 2012) i udzielił mi nieocenionej pomocy, współpracując ze mną na początkowym etapie badań poprzedzających napisanie tej książki, za co mu dziękuję.

Jestem ogromnie wdzięczny Kurtowi Kleinmannowi, który mieszkał w Wiedniu w czasie anszlusu i niemieckiej okupacji, za wielogodzinne wywiady i trwającą całe miesiące korespondencję. Gdyby nie życzliwa i niestrudzona pomoc Kurta, tej opowieści nie cechowałoby takie bogactwo głębi i szczegółów. Peter Patten, wnuk Gustava, także był łaskaw udzielić mi wywiadów i prowadził ze mną korespondencję. Jestem wdzięczny również Rachel Schine, która pomogła mi nawiązać kontakt z amerykańską częścią rodziny. Strona austriacka też okazała mi wsparcie. Trudno byłoby mi się obyć bez pomocy ze strony Petera Kleinmanna, Victora Zehetbauera i jego ojca Ernsta oraz Richarda Wilczka.

Pierwszy raz zetknąłem się z tą historią dzięki roboczemu przekładowi na angielski wiersza *Doch der Hund* przygotowanemu przez Johna Rie. Stał się on niezbędną podstawą mojego przekładu dziennika Gustava i wspomnień Fritza. Za opracowanie hebrajskich śródtytułów dziękuję Keren Joseph-Browning, której jestem wdzięczny także za eksperckie porady. Staranna adiustacja wykonana przez Richendę Todd uchroniła mnie przed wieloma drobnymi, lecz niezręcznymi pomyłkami. Júlia Moldova, tłumaczka tę książkę na węgierski, zwróciła mi uwagę na to, że w pierwszym wydaniu pominąłem ważne fakty historyczne (w tym wydaniu uzupełniłem braki).

Wielu archiwistów dostarczyło mi wskazówek, dokumentów i obrazów oraz cierpliwie odpowiadało na moje pytania. Jestem wdzięczny im wszystkim, a są to między innymi: pracownicy Österreichischen

Staatsarchiv w Wiedniu (znalazłem tam dokumenty dotyczące służby Gustava Kleinmanna w czasie pierwszej wojny światowej), Douglas Ballman i Georgiana Gomez, kierowniczka do spraw udostępniania źródeł z University of Southern California Shoah Foundation Institute for Visual History and Education (zapis wywiadu udzielonego przez Fritza Kleinmanna w 1997 roku i pomoc dotycząca zdjęć), Ewa Bazan, szefowa Biura do spraw Byłych Więźniów przy Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau, archiwista Johannes Beermann z Fritz Bauer Institut, Goethe-Universität we Frankfurcie nad Menem (zeznania Fritza i Gustava złożone na procesach oświęcimskich we Frankfurcie, pracownicy Cambridge University Library, Judy Farrar, Archives and Special Collections w Claire T. Carney Library na University of Massachusetts w Dartmouth (informacje o Samuelu Barnecie), archiwistka Harriet Harmer z West Yorkshire Archive Service w Leeds w Wielkiej Brytanii (dokumenty dotyczące Edith Kleinmann i Richarda Paltenhoffer), archiwistka i koordynatorka projektów specjalnych Elisa Ho z The Jacob Rader Marcus Center of the American Jewish Archives w Cincinnati (dokumenty dotyczące Małego Trościeńca), Katharina Kniefacz z KZ--Gedenkstätte Mauthausen Research Centre w Wiedniu (dokumenty więzienne Fritza Kleinmanna), archiwista Albert Knoll z KZ-Gedenkstätte Dachau (informacje dotyczące Richarda Paltenhoffer), wolontariuszka Kimberly Kwan z Gedenkstätte Buchenwald (informacje o Kleinmannach i Richardzie Paltenhofferze), Heike Müller z International Tracing Service w Bad Arolsen w Niemczech (dokumenty związane z przetrzymywaniem Kleinmannów w różnych obozach koncentracyjnych), szefowa działu archiwum Israelitischen Kultusgemeinde w Wiedniu Susanne Uslu-Pauer w Wiedniu oraz pracownicy Wiener Library w Londynie.

Na koniec chciałbym podziękować swojemu agentowi literackiemu Andrew Lowniemu za zwrócenie mojej uwagi na historię Kleinmannów oraz Danowi Bunyardowi i Zennor Compton z Penguin Books, którzy wierzyli w tę książkę i z entuzjazmem podchodzili do tego przedsięwzięcia. Moja partnerka Kate jak zawsze okazywała mi nieustanne, cierpliwe wsparcie moralne, które dodawało mi sił podczas pracy nad wszystkimi książkami, jakie dotąd napisałem.

Jeremy Dronfield, czerwiec 2018

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Przedmowa

Słowo wstępne Kurta Kleinmanna

Prolog

Część I. Wiedeń

1. „Gdy z noża kapie krew żydowska...”

2. Zdrajcy narodu

Część II. Buchenwald

3. Krew i kamień: Konzentrationslager Buchenwald

4. Kruszenie kamienia

5. Droga do życia

6. Przychylna decyzja

7. Nowy Świat

8. Niegodni życia

9. Tysiąc całusów

10. Podróż do śmierci

Część III. Auschwitz

11. Miasto zwane Oświęcimem

12. Auschwitz-Monowitz

13. Koniec Żyda Gustava Kleinmanna

14. Opór i kolaboracja. Śmierć Fritza Kleinmanna

15. Życzliwość obcych ludzi

16. Daleko od domu

17. Opór i zdrada

Część IV. Przetrawianie

18. Pociąg śmierci

19. Mauthausen

20. Kres dni

21. Długa droga do domu

Epilog. Żydowska krew

Bibliografia i materiały źródłowe

Podziękowania

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
The Boy Who Followed His Father Into Auschwitz. A True Story
Original English language edition first published by Penguin Books Ltd,
London

Text copyright © Jeremy Dronfield 2019
The author has asserted his moral rights
All rights reserved

Copyright © for the translation by Anna Gralak
Projekt okładki
Katarzyna Bućko
Fotografie na okładce

© Stephen Mulcahey / Trevillion Images
© Nathan Dumlao / Unsplash.com
© Frederick Tubiermont / Unsplash.com
© Annie Spratt / Unsplash.com

Opieka redakcyjna
Monika Kucab

ISBN 978-83-240-7201-9

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink
woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

